

Niedokończony pamiętnik

Spis treści

Od autora	str. 5
1. Wspomnienie z Krzemienieckiej Ziemi	" 7
2. Wiosna 1943 roku	" 13
3. Niedokończony pamiętnik	" 23
4. Czas przetrwania	" 45
5. Śladami przeszłości	" 65
6. Listy	

Od autora

Z wielką estymą, z głębokim wzruszeniem, które na samo wspomnienie o bliskiej mi krzemienieckiej ziemi chwyta za serce i łzy w oczu wyciska, zabieram się do opisu zdarzeń, dziś już historią zwanych i do opisu losów żyjących tam niegdyś Polaków.

Być może wiąże się to głównie z moją tęsknotą za minionym czasem i za krainą gdzie w tragicznych latach II wojny światowej wypadł czas mego rozstania.

Nie będzie to tylko opisanie moich własnych wojennych doznań a raczej opracowany przeze mnie mały zbiór wspomnień moich Przyjaciół Wołyniaków. W okresie ostatnich kilku lat na **pólkach mego sekretarzyka uzbierało się od nich mnóstwo listów, pełnych głębokich i szczerych zwierzeń, szczegółowych relacji dotyczących różnych wydarzeń a także wiele faktów wziętych z ich życia na Kresach Wschodnich oraz sporo zdjęć i dokumentów uzupełniających owe wspomnienia.**

Z tych listów, relacji i opisów wybrałem co ważniejsze a zwłaszcza te, które razem dają bogaty obraz, stanowią część historii, odtwarzają atmosferę przeszłych czasów.. W moje ręce dostał się też pamiętnik Stanisława Sekuły, jednego z bohaterskich obrońców Rybczy, wsi leżącej akurat "Na mojej drodze" wiodącej z Białozórki do Krzemieńca.

Pamiętnik ten stał się źródłem aspiracji do napisania tej pracy i stanowić będzie zasadniczy trzon tych opowieści.

Wszakże nie uzurpuję sobie wyłącznego prawa do opisanie samoobrony Rybczy przed napadami upowców ukraińskich nacjonalistów w 1943 roku. Ale Stach Sekuła jeszcze kilka lat temu był u mnie i czytał mi pierwsze strony swego pamiętnika. Niewiele miesięcy potem odszedł "na tamtą stronę". Nie zdążył dokończyć swego pamiętnika i tak jakoś potoczyło, że opisanie samoobrony Rybczy do tej pory nie zostało dokończzone.

Trzymam teraz w ręku te różnorodne listy i próbuję je jakoś logicznie powiązać. Jeśli zdarzą się tu jakieś niedociągnięcia, nieścisłości, pomyłki, czy też pewne przeinaczenie - proszę o wybaczenie.

Tyle to już minęło lat, ponad pół wieku. Po tak długim czasie zdarzenia te trudno jest dokładnie odtworzyć, tym bardziej, że relacje otrzymane od różnych osób a dotyczące tego samego faktu w pewnych fragmentach były nieco odmienne. Czasem nie mamy pewności co się tam naprawdę stało i już nie da się dociec, czy rzeczywiście tak było.

Nie ma to być jednak praca naukowa a tylko obraz tamtych lat, tamtych tragicznych dni i miesięcy. A że zdaję sobie sprawę, że nie w pełni sprostam podjętemu zadaniu więc powtórzę zasłyszana filozoficzną myśl - "Zrobiłem co mogłem, niechaj kto może, zrobi lepiej"

Całość opracowań na podstawie relacji, pamiętników i wspomnień Stanisława Sekuły, Wiktora Dąbrowskiego. Jana Niesiołowskiego, Jana Mytkowskiego. Tadeusza Grzydkowskiego, Mirosława Swelsela, Ireny Kuszej, Zofii Teligi, Danuty Siniarskiej, Leokadii Domowskiej a także kilku innych osób.

Warszawa kwiecień 1990-

1992 rok

B. Bosakowski

Od lat jakże długich i trudnych wciąż ta sama na sercu troska, że gdzieś tam zostały trzy ziemie Wileńska, Wołyńska i Lwowska.

Biesiada Krzemieniecka 1988 r. Toronto.

Pod Górą Królowej Bony

Jakkolwiek żywię przeświadczenie iż zebrane tu wspomnienia najbliższe będą tym Polaków, którzy na Kresach Wschodnich kiedyś zamieszkiwali, to przecież mam też pewną nadzieję, że to moje pisanie trafi również do młodszego czytelnika, który na Kresach nigdy nie był a Wołyń zna jedynie z literatury.

Jak potoczyły się nasze losy, że przez wiele lat o wojennych, dramatycznych losach Kresowiaków oraz o historii wołyńskich miast, wsi i osiedli nie należało ani mówić ani pisać. Stąd też zdarza się, że często słyszemy jak komuś Łuck mylnie kojarzy się z Łąckiem a Krzemieniec z Kamieńcem.

Młodym wspomnienia rodziców wydają się być już legendą. Wszystko wraz z upływem czasu uchodzi w zapomnienie. Spróbuję przeto pokrótce wspomnieć o historii krzemienieckiej ziemi, bowiem jak zauważa J.J. Kraszewski - "Chciejmy tylko zastanowić się nad swoim krajem a znajdziemy w nim tysiące wdzięków, tysiące pamiątek, tysiące godnych zastanowienia przedmiotów."

Wertuję więc poźółkle karty ksiąg starych i tych bardziej nam nowszych i wynotowuję z nich różne ciekawostki dotyczące wołyńskich miasteczek i nim przejdę do właściwego tematu, chciałbym te drobiazgi pokazać Miłemu Czytelnikowi.

Oto Krzemieniec, stolica naszego powiatu. Jego niebywale piękno urzekło wszystkich. Sławomir Szczepański w "Zeszytach Naukowych" 1888 r. /str.21/ tak pisze - "Urok tego miasteczka stwarzał niepowtarzalny, bajkowy klimat,

gdzie o wschodzie słońca odzywały się sygnaturki, by przerodzić się w muzykę dzwonów i śpiew ludzi idących wąwozami w pole a powietrze napełniał charakterystyczny zapach torfu niebieską smugą unoszący się z kominów przesławnej architektury".

Ktoś inny rozmówowany w Krzemieńcu wspomina - "Pamiętam te dworki omotane bujnymi ogrodami, małe ganeczki, dachy z gontu albo z karłowatej dachówki, ściany bielone wapnem z dodatkiem lazuru, ocienione koroną drzew wspinały się pod górę, tonęły w zieleni jary i rozpadliny".

A jakże by tu nie wspomnieć o słynnym niegdyś Liceum Krzemienieckim, zwanym dawniej Atenami Wołyńskimi. I ten wspaniały kościół licealny fundacji ks. Janusza Wrębiewickiego z 1731 r. wraz kompleksem pojezuickich gmachów, noszących cechy stylu barokowego, świecił wśród zieleni bielą dostojnych murów i stanowił dominantę architektoniczną miasta. Dawna jest też historia Krzemieńca. Już w X w. zamek na Górze Bony należał do książąt ruskich. W 1539 r. Starostwo Krzemienieckie otrzymała królowa Bona z obowiązkiem zwiększenia obronności i utrzymania załogi, co przyczyniło się do rozwoju miasta. Przez całe wieki Krzemieniec stał na straży wschodnich granic, jak mocna warownia.

Dodać tu trzeba, że "Dzięki staraniom Stanisława Sheybala miasteczko Krzemieniec, miejsce urodzenia Juliusza Słowackiego ze swym unikalnym zespołem drewnianego budownictwa z XVII wieku zostało uznane za rezerwat architektoniczno-urbanistyczny".

"18 km na południowy wschód od Krzemieńca leży Katerburg, miasteczko 1000 mieszkańców liczące. Założone w końcu XVIII wieku przez Józefa Platera, kasztelana trockiego, nazwane tak na cześć jego żony Katarzyny z Sobieskich. W XIX wieku dobra przeszły na Ożarówskich. Kościół z lat 1854-77 fundacji hr. Cecylii Ożarowskiej wystawiono w miejscu poprzedniego, drewnianego z roku 1700 fundacji Platerów. Cerkiew prawosławna. Gospoda pana Stycznia. Dookoła wiele kolonii osadników wojskowych. Katerburg leży w okolicy bezleśnej, lasy rosną w dość znacznej odległości od miasteczka. Na północ od Potylkowiec, Wilii i Cecyniówki rosną lasy wyłącznie liściaste /dąb, grab, brzoza i jesion/ o powierzchni 90 ha, zaś na północny-wschód dość duży las liściasty o powierzchni 1820 ha rośnie między Matwiejowicami a Okurnami.

W sąsiedztwie Rybacze /Rybcza/ przysiółek szlachecki 5 km na północ ukraińska wieś Wika Górna, sławne dobra Starostwa Krzemienieckiego z cerkwią drewnianą z r. 1797, odnowioną w r. 1866. Kilka kilometrów na zachód źródła rzeki Wilii, dalej wpadającej do Horynia. 12 km na wschód z Katerburga - Zahajce w Wahajcach Wielkich ładny pałac empirowy zbudowany przez Bobrów w początkach XIV w, potem własność hr. Potockiego. Obecnie dobra rozparcelowano między osadników wojskowych. Tam cerkiew drewniana z r. 1705 odnowiona w 1864 r. Obok Zahajce Małe, gdzie na wysokiej górze stał niegdyś zamek Bohatywinów otoczony rowem i wałem. Irena z Bohatywinów Jarmolińska w miejscu tego zamku fundowała w r. 1636 klasztor Bazylianów,

po kasacie zamieniony na monaster prawosławny. W wieku XIX dobra przeszły na hr. Potockich"

"W roku 1438 dnia 4 lutego Świdrygiełło w x Litewskim nadał własnoręcznym przywilejem wsie Borszczówkę "Borek" w Sewszcze Kandytów - wszystko w powiecie krzemienieckim położone na wieczystą własność kuchmistrzowi swojemu panu Piotrowi Myszkowcowi, którego w przywileju tym "Myszką" nazywa. Wiśniowiec Stary i Nowy, miasteczka nad Horyniem 20 km na południe od Krzemieńca są starą kolebką Wiśniowieckich do których należał do 1704 r.. Kościół św. Michała fundowany był przez księcia Jaremięgo w r. 1645. Początkowo, gdy Wiśniowiec należał do Wiśniowieckich na miejscu pałacu stał zamek obronny a po wygaśnięciu rodu przeszedł do rodziny Mniszków, którzy w 1781 r podejmowali króla Stanisława Augusta i Wielkiego Księcia Pawła w pięknie wówczas urządzonym pałacu ze słynną galerią obrazów oraz przedsionkiem, klatką schodową i salą balową z dobranymi kafelkami z Delj". Do dziś zachowały się ruiny tego pałacu.

W niedalekiej odległości na wschód od Krzemieńca leży m. Szumsk. Nader ciekawą wzmiankę o Szumsku znajdziemy w pracy Feliksa Koniecznego pt. "Święci w dziejach Narodu Polskiego". "Od roku 1850 ustało dokuczliwe włączanie unickich męczenników po prawosławnych monastyrach. Księdzu Micewiczowi pozwolono zamieszkać w miasteczku Szumsku pod opieką bogobojnej żony marszałka powiatowego pani Ludwiki Mężyńskiej. Należał tam do niego dozór nad budową nowo wznoszonego przez nią kościoła w Szumsku. Po zgonie swej opiekunki w 1854 r. wypadło mu mieszkać w nędznej chacinie żyjąc tylko z Opatrzności i łaski sąsiednich dobrodziejów ale przynajmniej go nie czepiano i nowych prześladowań nie przydawano. Żyjącym na wygnaniu męczennikom poprzedniego prześladowania pogorszył się los po roku 1863. Na przykład marszałka Mężeńskiego wysłano w głąb Rosji za udział w powstaniu a jego majątek skonfiskowano; nie mógł tedy ks. Micewicz korzystać z jego gościnności lecz musiał od 1867 r szukać sobie mieszkania. Siedział przez 19 lat w Szumsku w "pokątne" tj. nie mając osobnej izby, tylko kąt we wspólnej izbie. Bardzo mu dokuczał pop a tak chciwy, że odebrał biednemu unicie nawet skórę na obuwiu i kazał z niej uszyć buty dla siebie."

1. Ilustrowany przewodnik po Wołyniu dr M. Orłowicz Łuck 1929 r.
2. Borek - dzisiejsza wieś Borki niedaleko Szumska i Szymbaru
3. Myszka - nazwa pogańska - Mieszko, Mieczysław
4. Encyklopedia Gutenberga

"Na południu dzisiejszego powiatu krzemienieckiego położony był ongiś wielki gród Wyhoszew, na ruinach którego powstało terazniejsze miasteczko Wyszogródek. Osada miejska znajdująca się częściowo w dolinie od wyższego terenu otrzymała nazwę Wyższygród, Wyżogródek, w końcu Wyszogródek. Pierwsza wzmianka o Wyhoszewie zjawia się w rocznikach pod rokiem 1152. Wtedy to Włodzimierz książę Halicki zagarnął miasta ruskie: Bużek, Tycholm, Szumsk, Wyhoszew i Gnojnice. W roku 1241 w czasie najazdu tatarskiego

Wyhoszew ulega silnemu zniszczeniu. Dopiero w wieku XIV król polski Kazimierz Wielki wyswobadza Wyhoszew i inne grody wołyńskie z jarzma tatarskiego przyłączając je do państwa polskiego.

Właścicielem Wyhoszewa w wieku XIV są książęta Zbarazcy stanowiący boczną linię Rurykowiczów. W roku 1482 Wyhoszew, który w tym czasie występuje już jako Wyszogródek przechodzi w ręce księcia Teodora Zbarazkiego. Aktami lubelskiej na mocy którego nastąpiło dobrowolne przyłączenie ziem ruskich do państwa Jagiellońskiego wymienia w szeregu innych miejscowości tworzących powiat krzemieniecki także Wyszogródek."

1. "Życie Krzemienieckie" 1935 r.

"18 km na wschód z Wyszogródka, na granicy polsko-sowieckiej, w urodzajnej lecz bezleśnej okolicy leży miasteczko Białozórka 2500 mieszkańców mające przeważnie prawosławnych. Restauracja Fr. Rudkowskiego. Dojazd do najbliższej stacji kolejowej w Łanowcach - 12 km. Są to dobra koronne obejmujące 35 wsi na obszarze 500 km kw., które w początkach XVI w. Zygmunt nadał Zbarazkim. Po kolei przechodziły na Wiśniowieckich, Ogińskich, Brzostowskich i wreszcie /po 1863 r. E.B./ Rosjan Peplakowych. Miasteczko posiada pałac, piękny kościół murowany, niegdyś parafialny, cerkiew drewnianą z r. 1735 i synagogę. Pod miasteczkiem las liściasty o pow. 42 ha: graby, jawory, jesiony i brzozy."

Wśród starych miasteczek w pow. krzemienieckim nie sposób nie wspomnieć słynnego Poczajowa - "to taka prawosławna Częstochowa" - wspominają Kresowiacy. Franciszek Stemler w swoim pamiętniku pisze "Ze szczytu Góry Królowej Bony w dzień ładny i pogodny na dalekim horyzoncie daje się dojrzeć złote kopuły Ławry Poczajowskiej.

Ławra Poczajowska, klasztor bazylikański z cudownym obrazem Matki Boskiej istnieje od średniowiecza. Cerkiew stoi na górze a na jej stokach dookoła wbudowane są kapliczki i cele dla pustelników /obr. M. Orłowicz - Wołyń/.

"W cerkwi stopka Matki Bożej odlana ze złota, umieszczona w gablotce na czerwonej atlasowej poduszce. Historia stopki datuje się najazdu Tatarów. W czasie oblężenia Pocijowa broniąca się w klasztorze ludność i mnisi znaleźli się w skrajnej rozpacz bo zabrakło wody. Wtedy jeden z mnichów nazywany świętym Jowem wyszedł za mury obronne i gorąco modlił się o pomoc. I stał się cud - objawiła się Jowemu Matka Boska i stopka wskazała gdzie ma kopać studnię.

Do dziś w podziemiach klasztoru wyciekają kropelki wody, która ma moc wody z Lourdes. Można tę wodę otrzymać po złożeniu ofiary. Do Stopki na kolanach ciągną tłumy pielgrzymów zarówno w niedzielę jak i w dni powszednie.

Obok cerkwi piękna dzwonnica z obrazem Chrystusa Błogosławionego. Ogromny dzwon daje się przy pogodzie słyszeć na odległość 25 km"

Ten słynny monastyr w Pocijowie ufundowała żona sędziego ziemskiego

pod koniec XVI w.

"Druga połowa szesnastego wieku przyniosła gwałtowne nasilenie procesów kolonizacyjnych. Jak grzyby po deszczu wyrastały nowe wsie, osady i miasteczka. Rodziły się wielkie fortuny Wiśniowieckich, Zbarazkich, Ostrogskich, Zasławskich.

Chłopi z województwa ruskiego przenosili się na Wołyń i Podole. Przez wiele pokoleń ziemie ukraińskie stanowiły teren na którym ścierały się interesy tatarskie, tureckie, litewskie, polskie i rosyjskie. Ta bogata kraina była niemal stale zasnutą dymem pożarów, skąpana we krwi mieszkańców, wypełniona jękami i krzykami mordowanych, gwałconych, uprowadzanych w niewolę i pozbawianych swego dobytku.

27 stycznia 1596 r. Zygmunt III wysłał uniwersał stosowany do szlachty wołyńskiej informując, iż nakazał hetmanom aby ruszyli z wojskiem przeciw "ludziom swawolnym" i postępowali z nimi jak z nieprzyjaciółmi Korony. Hetman polny Stanisław Żółkiewski liczył na wsparcie szlachty kresowej ale na próżno czekał pod Krzemieńcem na obiecane posiłki" /Wł. Szewczyk - "Na dalekiej Ukrainie"/.

Miły Czytelniku! Uzbierało się tyle tych różnych ciekawostek dotyczących historii powiatu krzemienieckiego, że do zasadniczego tematu mojej pracy wciąż dojść nie mogę. Ale przecież myślę, że owe opowieści warto było przytoczyć i przypomnieć. Wszakże było nie było, po drodze do Rybczy mamy jeszcze Katerburg.

Było to wciąż małe, prowincjonalne miasteczko od niepamiętnych czasów zamieszkałe głównie przez Żydów. Stąd też prócz kościoła i cerkwi przy bocznej uliczce stała ich niewielka, stara bożnica. Środek tego miasteczka zajmował typowy dla kresowych miasteczek czworobok kamienistego i zawsze zabłoconego rynku obudowanego popadającymi w ruinę biednymi, żydowskimi domkami w których mieściły się ich nędzne sklepiki, pamiętające jeszcze dawne czasy.

Jednak jak na potrzeby ówczesnych mieszkańców gminy wszystko tam kupić było można - "szuwaks, mydło i powidło". Ale przecież była tam gmina więc był też Urząd Gminy., Posterunek Policji Państwowej, Straż Pożarna, poczta, no i jak wszędzie - lekarz i apteka.

Raz w tygodniu odbywały się tam targi chłopskie, na które zjeżdżali się gospodarze ze wszystkich przynależących do gminy wiosek. Było to miejsce spotkań, handlu, zawziętych targów a przy tym zakupów - znanego do dziś zwyczaju poczęstunku po dobitym targu, co stwarzało okazję do wypitki a często do wybitki. Słyszało się tam mowę polską, ruską i żydowską.

W "Życiu Krzemienieckim" 1935 roku zachowała się relacja dotycząca zdarzenia wielkiej wagi - "Wczesnym rankiem dnia 13 maja 1935 r. jęk dzwonów kościelnych niósł wieść złowrogą. Ludzie stali się jakby bezradni, zbierali się grupami, nieśmiało z cicha komentują wiadomość. O godz. 8 w miejscowym kościele parafialnym rzym/katolickim, cerkwi prawosławnej, oraz

synagodze odbyły się nabożeństwa żałobne na których obecni byli pracownicy gminy, działka szkolna oraz ludność, która zdążyła przybyć. W skupieniu i uwadze wysłuchano nabożeństwa. U niejednego na twarzy można zauważyć łzę. Smutna wiadomość obiegła prędko teren gminy. Nie bacząc na prace w polach, wieśniak zdążył do miasteczka aby się tu dowiedzieć i sprawdzić czy rzeczywiście śmierć nieubłaganie zabrała Ukochanego Wodza.

W dniu 14 maja zaczęły do Katerburga napływać Wasze organizacje gromad i szkół powszechnych. Przy pomniku Marszałka w Katerburgu zaczęto składać wieńce. Składano je w ciszy i w skupieniu z wyrazem głębokiego smutku i przez chwilę pogrążono się jakby w modlitwie.

W dniu 15 maja w salach gminy odbyło się zebranie przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa, w liczbie około 200 osób. Wójt gminy - Kazimierz Kunej odczytał Orędzie Prezydenta RP, którego wysłuchano stojąc. Następnie oddano hołd zmarłemu Marszałkowi przez dwuminutową ciszę, poczem ustalono program uroczystości pogrzebowych.

16 maja we wszystkich świątyniach na terenie gminy odbyły się nabożeństwa żałobne. Podniosłe kazania wygłosili księża prawosławni podkreślając, że stracono Ojca i Opiekuna, który jednako traktował wszystkich bez względu na narodowość i wyznanie i jednakowo kochał.

W dniu 17 maja odbyła się uroczystość żałobna w Katerburgu dla ludności całej gminy. Ściągnął tłum jakiego Katerburg dotychczas nie widział. O godz. 10 rozpoczęły się nabożeństwa w świątyniach wszystkich wyznań religijnych. Nabożeństwo w kościele rzym/kat. odprawił ks. Wyrzykowski, w cerkwi prawosławnej 8 księży, z ks. Kiszczynem proboszczem Katerburga na czele i w synagodze - rabin Spektor. Wszystkie świątynie były przepełnione. Ci, którzy nie mogli dostać się do środka świątyni stanęli dookoła..

Po nabożeństwie uformowano pochód, który w skupieniu i powadze przeszedł ulicami miasteczka ku pomnikowi Józefa Piłsudskiego.. Tłum złożony z około 2500 osób zaległ wszystkie ulice miasteczka. Była to wielka manifestacja ludności. Po ustawieniu się pochodu przed pomnikiem przemówił Starosta Powiatowy p. Czarnecki obrazując życie i zasługi tego, który życie poświęcił dla ogółu, ponad wszystko ukochał wolność i ją dla wszystkich wywalczył. U wielu obecnych zabłyśły łzy, wszyscy ślubowali wierność Jego ideałom."

W tych kilku opisach i relacjach rysuje się nam obraz historii krzemienieckiej ziemi, rozciągającej się spod podnóża Góry Królowej Bony po przekątną ku południowi, liczącej ok. 50 km.

Stąd na tej drodze, na 12 km leżała wieś Rybcza. Wyobraź miły Czytelniku, że zbyt długą i okrężną drogą Ciebie tu prowadziłem. Ale jakże tu mówić o zasadniczym temacie, nie przypomniawszy historii tych ziem. Jest to wielka polska całość, której podzielić się nie da. A więc dopiero teraz zapraszam do wsi Rybczy, której i ja część mego serca oddaję.

Ta wieś, to duża szkoła,
 a przy niej wielki krzyż
 zielone sady i pola
 i słońce, co świeci wzwyż
 Pisał ludowy piewca tej ziemi Stan. Micewski.

Rybczanie nie znają swojej historii. Nie wiedzą jak dawno ich pradziadowie przywędrowali w te strony i skąd ich wiatry przyniosły. Być może otrzymali te ziemie z nadania Królowej Bony a może jeszcze wcześniej jako, że już "w roku 1344 za Kazimierza Wielkiego nastąpiło wcielenie do Polski ziemi przemyskiej, halickiej ze Lwowem a także ziemi krzemienieckiej. /Zofia Kurzowa - "Pielgrzym Kresów Wschodnich".

W pamięci mieszkańców Rybczy, w zakamarkach historii zapodziała się też jej pierwotna nazwa. Wszakże zawsze była to wieś całkowicie polska. Wyjątek stanowiła tu jedna rodzina żydowska, która prowadziła sklep "kolonialny" i jak to dawniej bywało coś w rodzaju wyszynku.

Rybczanie żyli się z tą żydowską rodziną. Zresztą przydatna im była. W małym sklepiku zaopatrywali się w różne, drobne artykuły potrzebne im na co dzień a w chwilach wolnych mieli się też gdzie spotkać i pogadać.

Pierwsi Rybczanie wybierając swoją życiową przystań osiedlili się w pobliżu Krzemieńca, omal, że w cieniu Góry Królowej Bony. Tam bowiem były najbardziej żyzne polskie ziemie. Tam też oprócz urodzajnej ziemi, która od początku była racją ich bytu, w niedalekiej odległości było trochę starych, dorodnych lasów, dających budulec i opał oraz te pomniejsze ale również ważne dobra, jak jagody, maliny i grzyby.

Jak pamiętają starsi ludzie w dawniejszych czasach trafiała się często różna zwierzyna. W okolicy było też parę stawów a w nich królestwo ryb. Odławiali je na swój skromny stół a przede wszystkim na stół pański. Ot i tak, być może od owych ryb z dawna przystała do nich nazwa Rybacze, która za pamięci ich ojców na Rybczę przemieniona została.

Na przestrzeni wieków Rybczanie przechodzili różne, nieraz dramatyczne koleje losów. Ale w czasie pokoju żyło im się spokojnie i cicho. Zasobność ich - rzecz można była dostatnia ale niebogata. Od wieków pracowali na roli, uprawiali żyto i ziemniaki, a o swoim szlachectwie już chyba dawno zapomnieli. Na co dzień żyli pracą, chlebem i modlitwą. Przyłgnęli do tej ziemi i pokochali ją.

Biskup Ignacy Krasicki, któremu wtedy do swojego majątku na Rusi nieraz przejeżdżać wypadło tak powiadał - "Zgoła wszystko niezamożnie, pusto, głodno ale pobożnie".

Hrabia Maurycy Ożarowski, właściciel Katerburga swoim i okolicznych mieszkańców kosztem w roku 1780 wzniósł tu nowy, murowany kościół katolicki, który był ostoją polskośći i wiary.

Początkowo nie była to wielka parafia. Ot trochę Polaków zamieszkałych

Katerburgu i nieco okolicznych, polskich ziemian. Trochę rozsypanych po sąsiedzkich, ukraińskich wioskach polskich gospodarzy, no i ta drobna, polska szlachta z przysiółka Rybcza, zawsze wierna temu kościołowi.

Dopiero po 1920 roku parafia w Katerburgu znacznie powiększyła się. Dołączyło do niej kilkudziesięciu polskich żołnierzy, uczestników zwycięskiej bitwy z bolszewikami. Oni to upomnieli się o te z dawna polskie ziemie, które za udział w stłumieniu powstania styczniowego 1863 roku zagarnął carski generał Babrykow a po nim jego zięć szambelan Burmaszow.

I tak na mocy powołanej ustawy z dnia 17 XII 1920 roku część zdobytej ziemi na Kresach Rzeczypospolitej Polskiej w niektórych powiatach Wołynia, Polesia i Podola oddano na własność żołnierzom Wojska Polskiego, którzy bronili granic Ojczyzny.

W całym powiecie krzemienieckim, w tym w pobliżu Wiśniowca, Poczojowa, Katerburga, Szumska i Białozórki po 1920 r zaczęły powstawać liczne osady wojskowe. Osadnicy wywodzili się z różnych formacji wojskowych ale wszyscy mieli swój wojenny wkład, który ziemię przez nich uprawianą ich własną uczynił.

A pochodzili z różnych stron - Galicji, z Podola, spod Rzeszowa, Buska i spod Zamościa a także ci, którzy przybyli tu zza "kordonu" nakazem władzy sowieckiej wyrugowani z okolic Żytomierza, Jampola, Bazalii, Szepetówki i Płoskirowa. W pobliżu Rybczy powstały trzy osady - Wola Rycerska, Witosowo, i najbliższej leżąca Katerburga osada Łany.

Życie przybyłych tu osadników toczyło się początkowo po trudzie i po grudzie. Ale dumni byli z nadanej im ziemi i wierzyli w lepsze jutro, które sami mieli zbudować. A zaczęli od niczego. Zanim na wytyczonych im działkach postawili pierwsze zręby swoich domów, zamieszkiwali początkowo w naprędce skleconych szałasach, lub zgoła wrytych w ziemi ziemiankach. Ale twardy to był ten nowy, polski żywioł.

Po paru latach pełnych znoju, wyrzeczeń i uciążliwej pracy mocno wrosli w tę ziemię i umocnili katerburską parafię. Wspólnym wysiłkiem budowali szkoły, domy ludowe, tworzyli organizacje, brali czynny udział w życiu społecznym i politycznym, poczuli się tu prawowitymi gospodarzami. W ciągu paru lat to ciche i nieco senne życie tych stron znacznie ożywiło się.

Na szczególne uznanie zasługiwała nowo powstała osada Wola Rycerska. Pod okiem mającego tam swoją działkę prezesa Związku Osadników Kresowych kpt. Stefana Teligi rozwinęła się nader wzorowo.

Wzdłuż planowo zaprojektowanych dróg, łączących osadę z Krzemieńcem, Katerburgiem oraz Kuszlinem i sąsiednią wsią Horynką osadnicy wytyczyli swoje działki. Wprawdzie ich sytuacja ekonomiczna nie była dobra ale w ciągu paru lat, wśród szumiących latem łąnów zbóż i młodych tu jeszcze ale licznych sadów owocowych i kilku pasiek, rozrosły się ich domostwa. Nie były to co prawda domostwa bogate ale schludne i przemyślnie usytuowane. Każdy z osobna budował się na swoim i każdy na swoim czuł się panem.

Ale prawdziwym panem był tu kpt. Teliga. Jego biały, stylowy domek wylaniający się z zieleni drzew nadawał osadzie szczególną krasę. Wola Rycerska rozlokowała się w rozłożystej dolince i z daleka była widoczna.

Stanisław Micewski, były mieszkaniec wsi Folwarki wspomina - Mieszkaliśmy za wsią, na futorze należącym do gminy Szpikołos, tuż przy szosie łączącej Krzemieniec z Wiśniowcem. Były tam dwie rodziny polskie i cztery ukraińskie. Pamiętam, że z naszego domu, w odległości może półtora kilometra widać było osadę Wolę Rycerską, która rozbudowywała się i rosła w naszych oczach. Zawsze spoglądaliśmy na nią z szacunkiem i byliśmy z niej dumni.

W latach trzydziestych przystąpiono do budowy Domu Ludowego. Wielka duma i radość rozpieła osadników, kiedy na szczycie zwieńczonego dachu zatknięto zieloną wiechę i biało-czerwony proporczyk. Było to dla nich wielkie święto. Na uroczystość poświęcenia obiektu, którego dokonał ks. kanonik Dominik Wyrzykowski, przybył też gen. Marian Żegota-Januszajtis, mający też swoją osadniczą działkę w niezbyt odległych Szyłach.

Po zakończonym poświęceniu i odprawionej mszy św. ks. Wyrzykowski i gen. M. Żegota-Januszajtis razem z osadnikami zasiedli przy zmontowanych z surowych desek stołach, obstawionych suto jadłem i wypitkiem i ucztowali do późnego wieczora.

Uradzono też wtedy wybudowanie 4-ro klasowej szkoły powszechnej. I już jesienią - na zawczasu przygotowanej działce zaczęto zwozić materiały potrzebne do budowy /vide mapka Woli Rycerskiej/. Osadnicy nie stronili też od dawna zamieszkałej tu ludności. Zaprzyjaźnili się z mieszkańcami Rybczy oraz bliżej leżącej wsi Horynki, zamieszkałej zarówno przez Polaków jak też i przez Ukraińców. Bywali u siebie, w potrzebie pomagali sobie wzajemnie, niekiedy zapraszali się na różne rodzinne uroczystości. A kilku osadników wzięło sobie za żony Rybczanki. Stąd też pomiędzy nimi wytworzyła się pewna zażyłość a nawet serdeczność.

Ich kontakty z ludnością ukraińską układały się całkiem poprawnie. Przemienne, łączyły ich dobre, sąsiedzkie stosunki. "W Horynce Wiśniowieckiej, w styczniu 1935 r. obchodzono uroczystość poświęcenia kaplicy rzym/katol. w odnowionej przez Samorząd Powiatowy i przeznaczonej na ten cel starej przedwojennej karczmi.

Po nabożeństwie odprawionym przez ks. proboszcza Dominika Wyrzykowskiego i po kazaniu, w sali szkolnej odbył się wspólny opłatek, w którym udział wzięli przedstawiciele gminy, organizacji społecznych, osadnictwa i goście z Krzemieńca. Miły nastrój wytworzony, łamanie się opłatkami oraz kołędami polskimi i ukraińskimi znalazł piękny wyraz w przemówieniu inspektora szkolnego p. Robaka, który podkreślił znaczenie coraz większego ożywienia się narodowości polskiej i ukraińskiej. Udział całej wsi bez różnicy wyznania i narodowości w przepelnionej sali szkolnej świadczył dobitnie o umiejętności współżycia i współpracy miejscowej ludności." /"Życie

Krzemieńskie" 1935 r/.

Po odzyskaniu niepodległości, za przykładem innych miejscowości w pow. krzemieckim również życie mieszkańców Rybczy nabrało nowego rozmachu. W latach trzydziestych, kiedy Rybczanie nabrali wiary w idące nowe czasy pomyśleli o lepszym wychowaniu i wygodzie swoich dzieci i postanowili wybudować 4 klasową szkołę powszechną. W szybkim czasie, wysiłkiem wszystkich mieszkańców, w środku wsi stanął piętrowy, murowany budynek szkolny.

Od strony południowej górował nad naturalną, wysoką skarpią, z daleka czerwieniał się dach kryty karbowaną dachówką, wyraźnie dominował ponad wiejskimi zabudowaniami i nawet wydawał się być wyższy, niż był w rzeczywistości. Jego szerokie okna, od północnej strony spoglądały na drogę biegnącą przez wieś z Krzemieńca do Katerburga.

Od tej pory dzieci i wnuki Rybczan aż do klasy 5 nie musiały w dobrą ale i nieraz w bardzo złą pogodę biegać do szkoły w Katerburgu, czy też przynosić się na stację do Krzemieńca.

Kierownikiem szkoły został Ksawery Sierakowski a w pracy pedagogicznej pomagały mu - Stanisława Horodecka /krótko/ i Zofia Sanecka z d. Kurzejówna, która wraz z mężem Tadeuszem z Horynki do Rybczy przeniesiona została i aż do 1943 r. /w latach wojny potajemnie/ uczyła dzieci Rybczan.

W godzinach wolnych od nauki budynek szkolny od początku służył też nowo powołanym organizacjom. Owa bliskość granicy sowieckiej i ta wieloletnia już świadomość zagrożenia od wschodu była powodem specjalnego wysiłku wychowawczego w szkole. No i jak wszyscy Kresowiaczy twierdzą i chyba nie bez racji - patriotyzm na Wołyniu był silniejszy niż w centralnej Polsce.

W Rybczy powstało wówczas Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej i Męskiej, swoje zebrania odbywał tu Związek Strzelecki, któremu patronował kpt. Rózański z Katerburga - Dow. Zw. Rezerwistów. Tu też czasowo przytulisko znalazł Oddział Ochotniczej Straży Pożarnej. Szkoła stała się miejscem spotkań towarzyskich, zebrań i różnych uroczystości w ciągu roku. Tu ze swoimi odczytami przyjeżdżali często prelegenci Stronnictwa Narodowego z Krzemieńca.

W 1936 roku, w celu zlikwidowania rozproszonych działek należących do jednego właściciela i utworzenia gospodarstw o zwartej powierzchni, w Rybczy przeprowadzono komasację gruntów. Zaprojektowano nowe ulice, drogi, przy których na wyznaczonych działkach gospodarze stawiali nowe i lepsze domostwa.

Rybcza przestała być wsią tzw. ulicówką. Nabrała nowego wyglądu z charakterem. O mieszkańcach, którzy w wyniku parcelacji przenieśli się poza teren wiejskiego skupiska, mówiło się, że - mieszkają na hutorze. Rybczanie w ciągu wielu, wielu lat nie opuszczali swojej wsi. Tu rośli i często żenili się

między sobą, stąd też często powtarzające się ich nazwiska, stąd też bliżej lub dalej wszyscy byli spokrewnieni między sobą i stąd też nie bez racji mówiło się, że są jedną, wielką polską rodziną.

I tak, w tym nowym obrazie wsi zapracowani wiecznie Rybczanie doczekali się owego, tragicznego 1939 roku. Wojna wisiała już na włosku ale Rybczanie postanowili ten już omal nieodwołalny fakt przyjąć "z otwartą przyłbicą". Ale niestety, nie zdawali sobie jeszcze sprawy, jak w wyniku wojny tragicznie potoczą się ich losy.

Dnia 6 sierpnia 1939 r. przypadała 25 rocznica wymarszu 1 Kompanii Kadrowej w 1914 roku z Oleandrów w Krakowie. Ku upamiętnienia tej rocznicy mieszkańcy Rybczy postanowili dzień ten uczcić postawieniem dużego drewnianego krzyża - pomnika. Ów krzyż staraniem organizacji Strzelca został wzniesiony w środku wsi, na wzgórzu, tuż obok szkoły. Na krzyżu umieszczono napis - 6 VIII 1914 - 6 VIII 1939.

Delegacji z Katerburga przewodniczył Kazimierz Kuruj pierwszy powojenny wójt gminy, niezapomniany społecznik i działacz, oraz jego następca osadnik z Łanów Jan Rudnicki. Przybył tu też kpt. Stefan Pelga z licznym poczem osadników wojskowych z Woli Rycerskiej i Witosowa a także kpt. Różański z oddziałem Zw. Rezerwistów, który na ten dzień podporządkował sobie też młodych Strzelców z Rybczy. Świadek tej uroczystości Janek Pilecki, b. mieszkaniec Rybczy, tak to wspomina:

Uroczystość ustawienia i poświęcenia krzyża opodal szkoły odbyła się skromnie. Przy jednej ze ścian szkoły został urządzony połowy ołtarz przy którym ks. Dominik Wyrzykowski odprawił mszę św. w intencji Ojczyzny i poległych za odzyskanie Niepodległości Legionistów Piłsudskiego. Podczas mszy św. śpiewał chór parafialny oraz przygrywała orkiestra dęta, która istniała przy parafii - oczko w głowie księdza kanonika. Po skończonym nabożeństwie wyruszone w procesji do krzyża, gdzie został dokonany akt poświęcenia. Następnie ks. Wyrzykowski wygłosił płomienne kazanie - przemówienie na temat bohaterstwa Wojska Polskiego i przelanej żołnierskiej krwi za wyzwolenie Ojczyzny od wrogów Polski tak z zachodu, jak i ze wschodu. A ks. kanonik Wyrzykowski potrafił mówić, jak mało kto! Niejednemu z owych żołnierzy a wówczas osadników wojskowych łza pokazała się w oku, którą z jakimś zawstydzeniem, ukradkiem wycierali.

Następnie drużyna Strzelców z Rybczy oddała salwę honorową i głos zabrał przybyły z Krzemieńca w towarzystwie innych gości wicestarosta Jerzy Osostowicz. Po jego przemówieniu celebrians zaintonował pieśń "Boże coś Polskę". Rozśpiewali się Rybczanie, rozśpiewali się gromko osadnicy wojskowi, rozśpiewali się goście. A orkiestra dęta włączyła się i aż prawie zagłuszyła śpiewających ludzi. Ale echo poniosło tę melodię daleko - hen!

Dzień był piękny, słoneczny. Mieszkańcy Rybczy zebrali się tu tłumnie. Uroczystość poświęcenia tego krzyża stała się wyrazem ich głębokiego patriotyzmu. A czas był bliski wybuchowi wojny.

Uroczystość tę można było odczytać jako manifestację antywojenną."

Nie wiedzieli jeszcze Rybczanie, że już niecały miesiąc dzielił ich od dnia wybuchu wojny, którą 17 września doświadczyć mieli na sobie. I nie przypuszczali, że w niedługim czasie miejsce to przy krzyżu - pomniku zostanie uświęcone krwią pomordowanych mieszkańców Rybczy i że w ciężkich latach wojny, tuż przy szkole, a obok tego krzyża powstanie spory cmentarzyk - ofiar wojny.

A biegu historii nieuchronnie zmierzającej ku drugiej wojnie światowej nie dało się zatrzymać. W następnym tygodniu w Rybczy powołano do wojska rezerwistów, podoficerów. Dzień 1 września przyniósł pierwsze echa wojny.

Ale działania wojenne były jeszcze daleko. Potem z pewnym spokojem oczekiwano kolejnych komunikatów radiowych. Wszakże już następny tydzień ostudził ich optymistyczne nadzieje.

Wojenna nawałnica szybko posuwała się z zachodu na wschód. trudno było przewidzieć co przyniesie każdy następny dzień. Drogą z Krzemieńca do Katerburga uchodzili pierwsi uciekinierzy - później tzw. "bieżeńcy". Oprócz Polaków uchodzili także Żydzi, którzy czuli szczególne zagrożenie od Niemców. Czulo się już nadchodzącą grozę wojny. Jeszcze tylko nie było wiadomo z której strony na nich uderzy..

I stało się! Dla polskiej ludności Wołynia i całych Kresów Wschodnich dzień 17 września 1939 r. był dniem wielkiego zaskoczenia i przygnębienia. Pierwsze uderzenie wojsk sowieckich przyjęły strażnice KOP-u wzdłuż całej wschodniej granicy Polski. Ludność Wołynia przeżyła to bardzo ciężko - "Był wczesny, szary ranek. Zbudził nas szum motorów dochodzący od strony wschodniej, z terenu Rosji - wspomina Regina Pozikowska, mieszkanka futoru należącego do Białozórki - Było jeszcze ciemnawo - myśleliśmy, że to wojsko niemieckie z tej strony idzie. Ojciec wyszedł na dwór ale za chwilę przerażony mocno powrócił, mówił to już koniec z nami, to bolszewicy! Stoją na całym wzgórzu i nawet słysząc jak klną!".

"O godz. 5 rano padł strzał i cała chmura wojska ruszyła, jak szarańcza. Szli polami na zachód, bez żadnych dróg. Najpierw jechało masę czołgów, następnie ciężkie samochody z wojskiem i armatami a potem kawaleria i piechota. Widać było ich małe koniki a na nich zarośniętych ludzi o wyglądzie Tatarów"

Dzień ten 17 września 1939 r. każdy z nas relacjonować będzie trochę inaczej, zależy gdzie kto wtedy był i co widział, lub przeżył. Dokładniejszą relację odnajdziemy w książce W.R. Cygana pt. "Kresy w ogniu". Urywek, który przytoczę ze str. 86/87 mówi o działaniach wojennych w pow. krzemienieckim - "Okolo godz. 4.00 rano oddziały 5 armii przekroczyły granice Polski. Przesuwały się w trzech kolumnach. Pierwsza pancerna przeszła granicę pod Korcem, druga również pancerna pod Ostrogiem, zaś trzecia kawaleryjska /wsparta artylerią/ pod Dederkałami. Nie dał się zaskoczyć baon KOP "Dederkały" mjr Jana Szablowskiego. W walkach na strażnicy wyróżniali się plut. Adam Porycki i kpr. Dziołko.

Niepełne dwie kompanie pod dowództwem por. Mariana Kowalewskiego /obw. 4 komp./ cofnęły się na Poczajów, tocząc walki z dywersantami, w związku z tym spalono Podzamcze. Kompania z Łanowiec na rozkaz gen. Skuratowicza wycofała się ba Borsuki-Krzemieniec. Po krótkiej walce w rejonie Borsuk około godz. 19 kompania dotarła do Krzemieńca. Dalej na południe o godz. 4.45 oddziały II K.K. z 6 armii po walce zajęły Białozórkę i posuwały się w kierunku zachodnim."

A więc jeszcze raz jesteśmy na terenie Białozórki, spójrzmy co działo się tutaj. Już na początku września ogłoszono w kraju stan wojenny, który szczególnie obowiązywał w strefie przygranicznej. W tym czasie osadnicy w gm. Białozórka wspierali niewielkie liczbowo placówki KOP-u i razem z żołnierzami chodzili na nocne patrole. Osadnicy - Tarnowski i Sygnarowski przyłapali jakiegoś sowieckiego szpiega. Nad tym przygranicznym terenie ukazywały się wysoko w chmurach jakieś wywiadowcze samoloty. W powietrzu wisiało coś groźnego.

W nocy z 16 na 17 września lunęły potoki deszczu. Z towarzyszeniem błyskawic i piorunów okropna burza przewalała się z zachodu na wschód. Nadchodził cichy, szary, jesienny ranek. Po północy osadnik Marian Pawlicki przejął od przemokniętych do cna kolegów osadników konną wartę na przedpolach Białozórki. O świcie usłyszał nadjeżdżających z dala jeźdźców. Zatrzymał się na mostku przy wjeździe do Białozórki i czekał.

Stój! Kto jedzie? - zawołał widząc wyłaniające się z porannej szarówki uzbrojone postacie. Bros osuźje! - usłyszał w odpowiedzi. Ale Pawlicki nie był z tych co tak szybko rzucają broń, Stój! - krzyknął ponownie podnosząc karabin do strzału. I chyba nawet nie zauważył jak to się stało, kiedy został przeszyty kulami z radzieckiego karabinu. Raptem zachwiał się, osunął z konia i spadł na drewniany mostek. Widziano go potem jak leżał pod krzakami dzikiego bzu, obok Domu Ludowego. Była to pierwsza ofiara wojny w Białozórcie. Osierocił żonę i ośmioro dzieci.

Owej nocy na warcie w Szuszkowicach przebywał posterunkowy Ryżykowski i Gienek Kozubski członek Związku Strzeleckiego. Pierwsze echa wystrzałów doszły do nich z kierunku Mołotkowa. Tam to właśnie ów już legendarny dowódca strażnicy KOP-u kpr. Szydełko z paroma żołnierzami - rezerwistami WP postanowili do ostatniego naboju bronić honoru żołnierza polskiego.

Dziś już trudno orzec jak tam było naprawdę. O tym zdarzeniu tyle już odmiennych nieco wersji narosło. Ale bezsprzeczną prawdą jest to, że ta garstka dzielnych żołnierzy stawiała opór i na pewien czas zatrzymała sowiecką nawałę przepływającą się przez rzeczkę Łysogórkę pod Mołotkowem. Ale niestety, jest to dziś ziemia obca i żaden pomnik tam nie stoi.

Strzelec Gienek Kozubski i posterunkowy Ryżykowski zdyszani i zdenerwowani przybiegli do komisariatu w Białozórcie. Byli już tam wszyscy. Komendant Jan Walenia i zebrani policjanci zastanawiali się co mają począć.

Ale nie było wiele czasu do namysłu. Od wschodu słyszeć było wciąż narastającą kanonadę. Komendant posterunku poprowadził ich na południe w kierunku Koszlak. Na ich nieszczęście pod koszlackim lasem wpadli prosto w ręce sowieckiego, konnego patrolu.

Doprowadzili ich z powrotem do Białozórki. Tu uformowano już większą kolumnę i w szeregu innych jeńców popędzono ich w kierunku wsi Szybenna a następnie do Szepetówki. Szli całą szerokością jezdni, byli straszliwie pomęczeni, szli i w marszu nieraz spali.

Wśród nich byli też tzw. wówczas "bieżeńcy", czyli uciekinierzy z Polski centralnej, uchodzący przed Niemcami. Wielu wziętych do niewoli żołnierzy polskich było rannych. Po bokach szli eskortujący ich, uzbrojeni sowieccy żołnierze. Do jeńców nie pozwolono podchodzić "ale rzucaliśmy im chleb, bułki i owoce."

Była niedziela. Dzień był pogodny, słoneczny. Na nowym ubitym przez sowieckie czołgi wojennym szlaku, przez całą szerokość osady Weteranówka posuwało się mrowie sowieckiego wojska. Dzieci osadników wojskowych z ciekawością zbliżali się, przystawali w pobliżu i przyglądali się tym nowym dla nich nieznanym ludziom.

Stałem i ja tam. Niektórzy żołnierze uśmiechali się do nas, coś w niezbyt znanym nam języku do nas zagadywali, dawali nam drobne monety - kopiejki. Daleko do Warszawy? - pytali. Wchodzili w gospodarskie obejście, zatrzymywali się koło studni, nabierali do manierek wodę. Idziom na Niemców - mówili.

Nasi rodzice stawali w oddaleniu. Z niepokojem wybiegali myślami w przyszłość. Matki nasze popłakiwały. My jeszcze dzieci nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy z grozy wojny. Było to dla nas coś nowego i ciekawego.

Tego poranka działania wojenne nie ominęły też Katerburga. Jakiś artyleryjski pocisk trafił w dach kościoła. Przez otwór w dachu ukośnym promieniem sączyło się słoneczne światło. W bocznej nawie leżała kupka zgarniętej, potłuczonej dachówki. A po kościele szerokim echem poniósł się chóralny śpiew - "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy."

Tego dnia, jak zwykle w każdą niedzielę, w kościele w Katerburgu ksiądz Dominik Wyrzykowski odprawiał mszę św. Po błogosławieństwie zwrócił się do zebranych parafian - A teraz zaśpiewajmy "Jeszcze Polska nie zginęła", bo dziś ostatni raz w tym kościele możemy to sobie zaśpiewać.

Również tego dnia dla ufetowania nowej władzy Ukraińcy a także Żydzi wznosili spontanicznie bramy tryumfalne dla przybywających żołnierzy radzieckich - witali ich chlebem i solą. Niszczyli polskie godła i napisy a rozwieszali nowe. Zwoływali mityngi. Nastąpiły zaraz aresztowania Polaków. Aresztowano też wójta gminy Jana Rudnickiego, który nie przewidując jeszcze niczego złego zjawił się jeszcze do swego biura. Ale jakimś cudem udało mu się wyjść z tej opresji cało.

Mieszkańcy Katerburga wybronili też dwóch miejscowych policjantów.

Jeden z nich nazywał się Polański. Zaświadczyli, że ci policjanci nigdy nikogo nie skrzywdzili i byli dobrzy dla mieszkańców. W ten sposób niewątpliwie wyratowali ich od internowania.

Władze radzieckie po zawładnięciu tych terenów, z mocy swego prawa w kwietniu 1941 roku powołały do radzieckiego wojska dwa roczniki młodzieży /1917-1918/. Z Rybczy zabrano do wojska 10 osób. Połowa z nich nigdy już nie powróciła do swoich rodzin.

Tu wszakże cofniemy się jeszcze nieco w czasie i ocalimy od zapomnienia jeszcze jeden skrótowy ale jakże charakterystyczny obrazek z życia osadników wojskowych i ich wojennych losów.

"Nieopodal Krzemieńca w gminie Radziwiłłów po 1920 r. powstała osada Wola Piłsudskiego. Osada nie miała zwartej zabudowy a to z tego względu, że zamieszkujący ją legionści otrzymali po 20 ha pola i każdy budował się na swoim, gdzie mu było wygodniej.

Jedni graniczyli więc z wioską Podzamcze, inni z Podlipkami, jeszcze inni z Budkami. Trzech spośród nich pochodziło z okolic Rzeszowa - Władysław Wróbel z Dylygowki, Wiktor Kociuba z Błazowej i Jakub Kowalski z Przybyszówki. Wszystkich cechował wielki patriotyzm i miłość do marszałka Piłsudskiego. Wyrazili ją zresztą wprost, nazywając osadę Jego imieniem.

Życie osady płynęło w miarę spokojnie. Stosunki z zamieszkałymi w okolicy Ukraińcami rzecz można były poprawne. W osadzie powstała szkoła, wybudowano zlewnię mleka. Ze światem łączyła ją droga do słynnego Poczajowa i Radziwiłłowa. Jak się już rzekło - żyli zgodnie i spokojnie. Nie sądzili, że tak szybko odwróci się od nich karta historii a wszelkie plany na przyszłość legną w gruzach.

17 września 1939 r. do osady wkroczyły konne oddziały Armii Czerwonej. Zaraz też we wsi Podzamcze odbył się wiec podczas którego ogłoszono wyzwolenie ukraińskich wsi spod jarzma polskich obszarników. Ukraińcy przyjęli to różnie. Jedni z radością, inni z dużą rezerwą. Jednak odtąd bardzo zmienił się ich stosunek do Polaków, wśród których zapanowało przygnębienie i rozpacz. Ten stan trwał do 10 lutego 1940 roku.

Było pół godziny po północy. Usłyszeli łomotanie do drzwi i jakieś krzyki. Do wnętrza mieszkania wpadli Ukraińcy z enkawudzistą. Odczytali jakiś nakaz, kazali się ciepło ubrać, zabrać pościel, żywność i w ciągu 20 minut przygotować się do dalekiej drogi. Na saniach, pod konwojem odtransportowano ich do budynku szkolnego, gdzie zgromadzono wszystkie rodziny osadnicze. Stąd sznur sań ruszył do stacji kolejowej w Radziwiłłowie. Tam na bocznej rampie załadowano ich do bydłych wagonów, po wiele rodzin do każdego wagonu i pociąg ruszył na wschód." /lista Edwarda Wróbla/.

W dalekiej parotygodniowej podróży mieli jeszcze jeden postój w Krzemieńcu. Dowieziono tu osadników z Woli Rycerskiej, Witosowa, z osady Łany oraz z innych osad w pow. krzemienieckim.

Wiele rodzin z różnych powiatów porozdzielało się.

Uchowali się głównie ci, których tej nocy nie było w domu. Z osady Łany zabrano żonę wójta Katerburga ze starszą córką Renatą. Młodsza córka Basia uchowała się wraz z ojcem na terenie Krzemieńca i ich Sybir ominął.

Paru osadniczym rodzinom udało się uchronić przed wywiezieniem. Z racji dużej zawiei i dużych zasp śnieżnych do zagrody rodziny najdalej położonej w Woli Rycerskiej enkawudziści nie dali rady saniami dojechać. Drogę tak zawiąło, że rodzina ta była odcięta od świata. W innej rodzinie była taka okropna bieda, że nawet enkawudziści nie mieli sumienia na siłę pakować tych biedaków na sanie i wywozić na niechybną śmierć. Kilkoro dzieci w tej rodzinie siedziało boso i bez ubrań na ciepłym piecu.

Po wkroczeniu Niemców w 1941 roku odnaleziono spis Polaków przeznaczonych do kolejnej wywózki. 50% osadników wojskowych z okolic Rybczy miało za żony właśnie Rybczanki a to mogło już być powodem - pretekstem do wywiezienia. Miejscowi Ukraińcy urzędnicy znali każdy szczegół w okolicy i oni o tym decydowali.

Losy mojej rodziny potoczyły się jednak inaczej. Ojciec mój legionista i żołnierz z lat 1915-1920 jako osadnik wojskowy otrzymał 9 ha ziemi w osadzie Weteranówka gm. Białożórka pow. Krzemieniec. Osada ta powstała na miejscu rozparcelowanego majątku rosyjskiego generała Turałowa i jego zięcia Mitrytanowa. Mój ojciec już w 1936 roku gospodarkę oddał w dzierżawę. Wyjechaliśmy do Sosnowca gdzie ojciec otrzymał posadę na PKP. W 1939 roku razem z bratem Zbyszkim pojechałem do Białożórki na wakacje. Tam zastała nas wojna i do rodziców nie udało się już powrócić.

Za Sowietów po 17 września 1939 r. przeżyliśmy obaj wiele ciężkich sytuacji i przykrych kłopotów. Zaś po wejściu Niemców w grudniu 1942 r. mając niecałe 16 lat zostałem aresztowany. Po kilku dniach pobytu w więzieniu w Łanowcach i

Krzemieńcu dostałem się do obozu pracy przymusowej w Białokrynicy. Ale o tym co się tam działo dowiemy się już w następnym rozdziale. A jako że nie o mnie tu chodzi, to też w tej opowieści wędrujemy dawnym torem. /Losy Polaków z Białożórki opisuję w pracy pt. "Na mojej drodze", która wydana została w 1991 r. w Łomżyńskim wydaw. "Stopka" w 4 ro tomowej serii pt. "Wschodnie losy Polaków"/.

Wiosna 1943 roku

Wiosna 1943 roku przyszła szybko i zdecydowanie. Ciepłe marcowe słońce i lekkie powiewy wiatru robiły swoje. Nie wiadomo kiedy zniknęły resztki brudnego śniegu. Po ostrej i śnieżnej zimie pozostały tylko wspomnienia. Wiosnę czuło się już, widziało się ją na polach i pod płotami, gdzie nieśmiało ukazywała się pierwsza zieleń, gdzie nieśmiało i powoli pękały nabrzmiące pąki na gałęziach drzew. Wiosnę głosiły już ptaki budzące się o brzasku i śpiewające wesoło.

Zapowiadał się rok dobrego urodzaju ale miał to być też rok, w którym idąca z kosą groźna śmierć już od wczesnej wiosny miała zebrać obfite, tragiczne żniwo.

Wówczas to w powiecie krzemienieckim a szczególnie w lasach koło Białokrynicy pokazali się banderowcy. Coraz częściej dochodziły do nas chaotyczne wieści o napadach UPA na polskie osiedla i wioski. Wieczorami luny pożarów ukazywały się na północno-wschodnim horyzoncie.

Michał Fijelko w książce "27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK" na str. 44 podaje "Ukraińska policja stała się bazą i rezerwą kadrową tworzącej się partyzantki nacjonalistycznej, coraz bardziej jawnie z nią współpracując aż do marca 1943 r. kiedy to 4000-5000 policjantów otwarcie przeszło do szeregów UPA.

Pewnego poranka do obozu pracy w Białokrynicy przybiegli dwaj młodzi chłopcy. Byli przerażeni, pokrwawieni i brudni. Poprzedniego wieczoru w pobliskiej wsi upowcy okrążyli domy polskich gospodarzy. Kiedy zapadła noc napastnicy zaczęli się zbliżać do drzwi. Rodzina tych chłopców była w domu w komplecie. Nie wiadomo było jak się ratować. Niebezpiecznie było pozostać w domu ale i niebezpiecznie było z niego uchodzić. Chłopcy zdecydowali się. Jeden z nich rąbnął siekierą w okno aż z trzaskiem rozleciała się rama i rozprysły się szyby. Potem momentalnie wyskoczył do ogrodu. Zaraz po nim uczynił to jego młodszy brat. Pod osłoną nocy przemknęli się między drzewami. Słyszeli za sobą strzały ale udało im się ująć z opresji i wcisnąć się do przygotowanej zawczasu, zamaskowanej kryjówki.

Za chwilę później ich dom i domy sąsiadów zaczęły się palić. Słysząc było krzyki, rozpaczliwe wołania i strzały. Płomienie objęły zabudowania. Chłopcy leżeli bez ruchu na dnie wykopanej jamy - przywarli do ziemi. Drzewa oddzielały ich od palących się zabudowań. Ale dochodził ich gryzący dym a żar ognia omal, że docierał do ich kryjówki. W tej wsi tylko oni pozostali jedynymi żywymi świadkami owej strasznej nocy. Kiedy dom dogasał, cichaczem wysunęli się z ukrycia i pomknęli w puste jeszcze wiosną pola. Wczesnym rankiem śmiertelnie przerażeni dostali się do naszego obozu.

W oddalonym od Krzemieńca 11 km Tetylkowcach, niedaleko Rybczy, w majątku będącym pod zarządem niemieckim gospodarowała rodzina Czepielewskich. /Z relacji primo voto Olgi Czepielewskiej ale z domu Szubniakowskiej-Kucewiczowej/..

Ich spokojna praca trwała tam do marca 1943 r. Dzień 19 marca i dni następne utkwily w pamięci tych, co te dni przeżyli. Były nader tragiczne dla rodziny Czepielewskich. 16 marca policja ukraińska opuściła pobliskie posterunki i z bronią w ręku "poszła w las". We wsiach odczuwano wielkie niepokoje, szczególnie przez zamieszkałych tam na ogół bezbronnych Polaków. Pamiętnego dnia, w sobotę Czepielewski wysłał konie po rodziców i po brata. Goście mieli pobyć do poniedziałku.

Rodzina po kolacji zasiadła do brydza. Grali - ojciec Leon Czepielewski /senior/, Jan Kucewicz rządcą majątku Potylkowce i Czepielewski Leon /junior/ z żoną Olgą. Matka po kąpieli położyła się do łóżka w sąsiednim pokoju a Tadeusz Czepielewski - młodszy brat Leona absolwent Liceum Krzemienieckiego z 1939 roku był w łazience. Była tam też Ewa Spława-Neuman żona starosty w Równem, którego władze sowieckie aresztowały po 20 IX 1939 r. i od tej pory ślad po nim zaginął. Ona wraz z synem jakimś cudem uratowała się od wywózki.

W pewnym momencie ciotka zauważyła ruch w ogrodzie - jakieś kręcące się pod oknami postacie. Wszyscy ze strachem zerwali się z miejsc i stwierdzili, że dom jest otoczony. Kucewicz chwycił za słuchawkę ale telefon nie działał. W tym momencie na oszklony ganek padła seria pocisków, po czym kilku mężczyzn wtargnęło do mieszkania.

Żona Leona /juniora/ uciekła do sypialni, gdzie spała ich trzy i półletnia córeczka Joanna. Banderowcy zabrali wszystkich domowników za wyjątkiem gospodyni i Ewy Spława, która w tym czasie była w kuchni. Wszystkim pozostałym w pokoju kazali położyć się na podłodze i powiązali im ręce. Jeden z bandytów wszedł do sypialni i kazał żonie Czepielewskiego wyjść z dzieckiem do pokoju, gdzie leżała już cała rodzina i Jan Kucewicz. Inny z napastników nie wiedząc dlaczego kazał jej jednak wrócić do sypialni. Zaczęło się plądrowanie mieszkania. Zabrano ukryte pod łóżkami szerokie, skórzane pasy napędowe do maszyn, doskonale nadające się na zelówki. Czepielewskiemu zdjęto obrączkę i sygnet a wszystkim zegarki. Po pewnym czasie pod ganek dworski podjechały wozy zaprzęgnięte w folwarczne konie, załadowane workami ze zbożem. Noc była jasna, księżycowa w pełni oświetlała zabudowanie. Banderowcy kazali wszystkim wstać i wsiąść na wozy.

Cała rodzina wyszła przed dom. Nikt jednak nie chciał wsiadać, domyślali się, że czeka ich okropna śmierć. Jedynie Kucewicz wykonał polecenie upowców i wóz z nim zaraz odjechał. Na pozostałych domowników posypał się grad kul. Wszyscy upadli na podłogę. Żona Czepielewskiego poczuła silne ukłucie w szyję i zobaczyła na ręku krew. Pobiegnęła do sypialni do dziecka, które spokojnie usnęło. Stamtąd słyszała rżenie konających. Po pewnym czasie znów wybiegła na ganek. Leon Czepielewski – senior i jego żona Regina leżeli bez oznak życia. Czepielewski – junior wraz z bratem byli ranni.

Leon zdążył wypowiedzieć do żony prośbę aby rozwiązała im ręce. Nagle z cienia wynurzył się napastnik w jakimś ciemnym mundurze i krzyknął - A sukinsyny jeszcze żywiot?

Czepielewskiemu przyłożył broń do piersi i naciągnął spust, ale na szczęście pistolet nie wypalił. Kobieta uciekła w głąb mieszkania i ukryła się pod łóżkiem. Stamtąd słyszała jeszcze jakieś strzały. Kiedy zapadła cisza Czepielewska wysunęła się z ukrycia i z nożem w ręku powróciła na ganek. Koszula Tadeusza była cała czerwona od krwi, z ust płynęła mu krew. Jednak niespodziewanie wstał i podszedł kilka kroków o własnych siłach.

Krzemieckiego nie tworzyły większej siły. Mieściły się w masywnych, murowanych budynkach, w których okna zostały mocno okratowane a dostępu do nich broniły pobudowane obok potężne, betonowe bunkry. Całość ich posesji była z reguły ogrodzona wysokim murem oraz najbliższy teren opatrzony kilkakrotnie drutem kolczastym rozciągniętym na rozstawionych wokół budynku krzyżakach. W tych przygotowanych "fortecach" czuli się bezpieczni ale już w tych czasach poza owe fortyfikację niechętnie nosa swego wychylali.

Wszakże nie dawali jeszcze za wygraną chociaż na wschodzie grunt palił się im już pod nogami. Za każde naruszenie ich panowania kazali sobie drogo płacić. Ich beznamiętny stosunek do rozrastającego się nacjonalizmu ukraińskiego zmienił się dopiero wtedy, kiedy od tej nowej siły sami poczuli się zagrożeni. Wtedy też pokazali swoje faszystowskie pozory i swoje sposoby wypróbowanych, zbrodniczych odwetów.

Tak właśnie 29 kwietnia 1943 roku postąpili w Mołotkowie w gminie Białozórka. Działo się to już w obronie największego rozboju UPA. Ściągnięto wówczas z Krzemieńca wojsko niemieckie i dokonano straszliwej pacyfikacji zamieszkałej w Mołotkowie ludności polskiej i ukraińskiej..

O dokonanej tam okropnej masakrze wspomina naoczny świadek – „O godz. 8 rano wojsko niemieckie otoczyło całą wieś i zaczęła się strzelanina. Partyzantka ukraińska, bo taka tam była ostrzeliwała się przez 4 godziny ale kiedy zabrakło amunicji Ukraińcy zaczęli kryć się po domach. Wtedy Niemcy ruszyli do ataku. Wszystko po drodze palili a ludzi rozstrzeliwali lub żywcem do ognia wrzucali. Ja z bratem i z rodzicami – wspomina dalej świadek, w czasie tej strzelaniny siedzieliśmy w domu. Widzieliśmy tylko ogień a nie wiedzieliśmy jeszcze co to się dzieje.

Wyszliśmy wszyscy przed dom. Wtedy obok nas zjawilo się dwóch Niemców z rewolwerami w rękach. Zaczęliśmy ich błagać o łaskę. Mówiliśmy, że jesteśmy Polakami i nic nie jesteśmy winni. A dlaczego nie donosiliście nam, że tu jest partyzantka? – odpowiedział Niemiec łamaną polszczyzną. Potem wycelowal z rewolweru do ojca i zaraz potem do brata Stasia. Ojciec zginął na miejscu a brat żył jeszcze dwie godz. Ale był nieprzytomny.

Ja z mama staliśmy o parę kroków dalej. Gdy padły strzały rzuciłem się ratować ojca. Wtedy jeden bandzior skierował pistolet do mnie ale drugi momentalnie chwycił mnie za rękę i odepchnął z taką siłą, że poleciałem parę metrów i aż się przewróciłem. Chciałem ratować jeszcze ciężko rannego brata Stasia. Podniosłem się i podeszłam do niego. Ale wtedy koło mojej głowy znów świsnęła kula. To jeden z tych Niemców strzelił do mnie. Ale obie z Mamą pozostałyśmy przy życiu.

Widząc pomordowanych moich najbliższych i nieco dalej popalone ciała moich sąsiadów – z jednej strony 4 osoby a z drugiej 1 osobę, byłam okropnie oszołomiona. Nic wtedy do mnie nie docierało. Naraz zobaczyłam, że z piwnicy naszego domu wyjrzało czterech partyzantów /ukr..E.B./.

Nawet nie wiem kiedy oni tam się skryli. Przedtem ich tam nie było. Może wtedy, kiedy Niemcy rozprawiali się z nami. Czy to była ukraińska policja, która przeszła do UPA – nie wiem.. Ci co się przed Niemcami ostrzelali byli po cywilnemu.

Parę godzin po tej tragedii, ci co się jeszcze jakoś uratowali, zaczęli znowu uciekać. Niemcy jeszcze raz powrócili i dobijali tych, co jeszcze przy życiu pozostali. Nie chcieli pozostawić ani jednego świadka tej straszliwej pacyfikacji.

Obie z Mamą zdążyłyśmy uciec w pole. Potem od pozostałych jakimś cudem niedobitków dowiedziałam się, że na jednym podwórku Niemcy spędzili kilkanaście osób i strzelali do nich z karabinu maszynowego. Był tam straszny jęk, bo nie wszyscy od razu zginęli. Kiedy Niemcy odeszli z tej kupy trupów wstała jedna pani nazwiskiem Popławska, bo w nią akurat nie trafili. Ona stamtąd uciekła i nam to później opowiadała.

Znowu w innym miejscu Niemcy spędzili do kuźni około 30 osób, obleli ich benzyna i podpalili. Było to prawdziwe piekło! To co się tam działo, było nie do pomyślenia. Osmolone i obrzęknięte trupy ludzi leżały w Mołotkowie przez kilka dni. Nie było nawet komu ich pochować. Ale są to opowiadania „na gorąco” tych uciekinierów, którzy jakimś cudem z tej matni uratowali się.

Po paru dniach, kiedy się nieco uspokoiło Polacy z Białozórki przyjechali tam drabiniastymi wozami, zabrali ciała swoich bliskich i znajomych i przywieźli na cmentarz w Białozórce. Ilu ludzi zginęło tam naprawdę – to powiada dalej, trudno dziś dokładnie stwierdzić. Różnie się ludzie ratowali. Zależy kto się w jakim miejscu znajdował i w jaki sposób ukrywał się przed niemieckimi oprawcami. Każdy inaczej to widział, inaczej przeżywał swoją tragedię i dlatego każdy może to inaczej opisać. mówi się, że tego dnia zginęło tam ponad 300 osób. Wszystko jest możliwe.

Powojenne radzieckie źródła podają liczbę 617 osób. Po wojnie ku uczczeniu pamięci pomordowanych tam postawiono pomnik z takim napisem „Straszna akcja dokonana przez hitlerowców 29 kwietnia 1943 r. W Mołotkowie rejonu Krzemienieckiego – zagłada 617 niewinnych mieszkańców na wsze czasy włączyła tę wieś do jednego bolesnego szeregu, razem z białozórska Chatynią i wołyńskimi Kartewrami”.

Zaraz po spaleniu Mołotkowa obie z Mamą uciekłyśmy za „kordon” tj. za granice pol-ros. Do 39 r. Tamci mieszkańcy choć to też była Ukraina bardzo chętnie i życzliwie nas przyjęli. Potem powróciłyśmy jednak na nasze polskie tereny i dotarłyśmy do Płycki /gm. Białozórka/. Ale Ukraińcy zaczęli już i tu napadać na polskie rodziny i mordować je. Pewnej nocy napadli na nas. Jeden z napastników uderzył mnie rewolwerem w plecy pomiędzy łopatki a tak silnie, że nie mogłam wcale oddychać. Ale dzięki Bogu pozostawili nas przy życiu. Chociaż strasznie pobili.

Przez dwa tygodnie miałam sine policzki. Potem nocowałyśmy w wykopanych i zamaskowanych ziemiankach albo na polach.

Po tym wszystkim stwierdziłyśmy, że co miałyśmy do stracenia, to już straciłyśmy i puściłyśmy się w świat. Najpierw zawędrowałyśmy do Zbaraża gdzie władze niemieckie zebrały więcej uciekinierów, takich jak my Polaków. Stamtąd w kilka furmanek pod konwojem odtransportowano nas do Tarnopola skąd Niemcy chcieli nas wszystkich wywieźć do jakiegoś obozu. O tym potajemnie poinformowano nas przez Polski Komitet Opiekuńczy – tam wówczas urzędujący tzw. RGO i każdy z Polaków ratował się jak mógł. Niektórzy wcześniej gdzieś uciekli a niektórzy już potem uciekali z transportu kolejowego..

PS Bardzo proszę nie wymieniać w książce mojego nazwiska albo podać inne, bo do dziś jeszcze się boję jakiegokolwiek zemsty. Nie chodzi już o mnie ale o moją rodzinę”. – kończy swa dramatyczna opowieść świadek tych zdarzeń..

Ot i tak jak się już rzekło „idąca z kosą groźna śmierć zbierała obfite, tragiczne żniwo”. A w tym czasie miały miejsce również i takie zdarzenia co do których do dziś trudno osądzić kto mógł być ich sprawcą.

„...w 1942 roku, równoległe z rosyjską cerkwią prawosławną kierowaną na Ukrainie przez metropolitę Aleksieja Gromadzkiego, powstała w Łucku, pod płaszczykiem władz okupacyjnych Ukraina Cerkiew Autokefaliczna, którą kierował metropolita Polikarp Sikorski /EB/. Cerkwie te nie były do siebie nastawione wrogo ale też specjalnie nie kochały się i funkcjonowały równocześnie. Metropolita Aleksiej uważał się za podległego patriarchowi moskiewskiemu a Polikarp metropolii berlińskiej.

7 maja 1943 r. Reichkomisarz Koch wezwał do siebie obu metropolitów do Równego, jakoby w celu osiągnięcia między nimi zgody i porozumienia. To wezwanie zostało wysłane przez gebnitz-komisarza Mullena. On wysłał po Aleksiego swój samochód z wynajętym szoferem Aleksandrem Michniczukiem.

Rano wyjechali z Krzemieńca a mianowicie Metropolita Aleksiej i osobisty sekretarz pretofierej ojciec Fiedor konsystorza p. Jurkiewicz i tłumacz metropolity Mark Życharew oraz szofer. Na trzecim kilometrze za Smygą samochód został ostrzelany i Mark siedzący obok szofera został zabity jedną kulą, która przeszła przez prawe ramię i wyszła przez serce z lewej strony. To dowodziło, że strzelano z góry, z prawej strony, prawdopodobnie z drzewa. Metropolita był zabity kilkoma strzałami a następnie zadano mu osiem ran kłutych nożem. Pretofierej ojciec Fiedor był także mocno pokaleczony i zabity. Ale najbardziej ze wszystkich męczyli szofera. On prawdopodobnie próbował bronić się pistoletem i został dosłownie zamęczony. Wszystkich zabitych grabiono. Zabrano im cenne rzeczy, zdjęto obuwie i zegarki..

O powyższym zdarzeniu było kilka wersji a mianowicie: 1/ Niemcy nie chcąc mieć za plecami promoskiewskiej a zatem z natury wrogiej cerkwi, sami wszystko zorganizowali. 2/ Metropolita Polikarp działał poprzez organizacje banderowskie za zgodą władz okupacyjnych. 3/ Zabójstwo wynikło zupełnie przypadkowo i zostało dokonane przez partyzantów sowieckich.

Niektórzy sądzą, że najbardziej wiarygodna wydaje się być wersja druga, gdyż zgodnie z wersją słowną – podaniem ustnym – u jednego z najbliższych zwolenników Polikarpa w Krzemieńcu widziano odebrane metropolicie Aleksiejowi – Krzyż i popagiju /ikona na łańcuszku/ z kości słoniowej, ze złotem i brylantem.

Polikarp i jego przyjaciele twardo podtrzymywali wersję trzecią, pragnąc odwrócić od siebie poszlaki. Niemcy faktycznie nie prowadzili dochodzenia. Władze sowieckie również nic nie ustaliły, bądź nie chciały, bądź nie mogły.

Pisarz i publicysta A..P. Bielajew w swoich dochodzeniach słańia się do wersji pierwszej ale nie odrzuca wersji drugiej. / z relacji pisanej przez rodzzonego brata szofera Marka Życharewa przetłumaczonej z jęz. Ruskiego w 1991 r E.B./.

Ot i tak jak widzimy z powyższej relacji wiarygodnej osoby – wiele faktów z lat II wojny światowej pozostanie nie wyjaśnione do końca. Nawet tam gdzie istnieją świadkowie zdarzenia, b. często dochodzi do powstania różnych wersji. W moich poszukiwaniach, dociekaniach i rozważaniach pozostają często niezadowolony, jest mi nawet przykro, kiedy otrzymuję różne liczby ofiar, inne nazwiska i odmienne opisy. Co wtedy począć? No cóż przy zachowaniu pewnej chronologii przystępuję tym razem do moich osobistych wspomnień.

A więc Białokrynica – grudzień 1942 r – wiosna 1943 .A zanim co, moim zwyczajem zajrzałem do Encyklopedii Powszch. S. Orgelbranda – „Białokrynica pow. Krzemieniec posiada zamek książąt Zbarazkich, odnowiony starannie przez Czarnkowskiego. Władysław syn Zygmunta III idąc na wojnę przeciw Rosji bawił tu...”

Białokrynica, to również po odzyskaniu niepodległości Szkoła Rolnicza i Leśna przynależąca do sławnego Liceum Krzemienieckiego.

Białokrynica, to 12 Pułk Ułanów Podolskich. 12 Pułk Uł. Podolskich w Białokrynicy od 1921 r do 1939. Obok koszar biegła główna szosa z Wiśniowca przez Krzemieniec – Dubno – Łuck do Kowla. Dowódcami Pułku /podając wszystkich od początku/ byli: płk H. Kuncman 1918, płk J. Tokarzewski 1919-1920, rtm .A. Szuszeicz 1920, rtm. T. Komorowski /gen. Bór/ 1920, płk M. Korczyński 1920-24, płk Z. Ruburski 1931-36, ppłk Andrzej Kucek 1936-39 przydzielony z 9 Pułku Uł. Małopolskich. Jest na liście oficerów w Katyniu – ppłk dypl. L. Bitner 1943-44, ppłk A. Bieliński 1944, ppłk L. Fudokowski /informacja przekazana z Koła 12 Puł. Pol. z Anglii/ EB.

Tu w latach 1932-33 stacjonował sztab II Samodzielnej Kresowej Brygady Kawalerii, składającej się z trzech pułków, w tym z 12 Pułku Uł. Podolskich.

Dowódcą Brygady był Wł. Anders. Pamiętają go maturzyści liceum z owych lat i ze wzruszeniem jeszcze dziś go wspominają – „Przyjeżdżał z Białokrynicy bryczką razem ze swoją córką noszącą długie warkocze. Swoją osobą zaszczycił bale, które odbywały się w salach gmachu Lic. Krzemienieckiego”.

W latach wojny w dawnych koszarach i stajniach zlokalizowano obóz pracy przymusowej „Staat-liche Landlgestut Białokrynica”. Dawne mieszkanie w budynku koszarowym, które niegdyś zajmował Wł. Anders z rodzina przejął komendant tego obozu Niemiec Miller. W dwóch dużych stajniach mieściła się stadnina 120 ogierów i koni taborowych. W lutym 1943 r. umieszczono tu duże stado małych, zwawych koników Tarpanów, które ściągnięto z Polesie.

Jak już wspomniałem na końcu poprzedniego rozdziału pod koniec grudnia 1942 roku znalazłem się w tym obozie.

Pracowało tam wtedy ok. 40 chłopców, którzy na ogół pochodzili z okolicznych wiosek i w ten sposób chronili się przed wywózką na roboty do Niemiec oraz paru takich jak ja, których na ich szczęście wyciągnięto z więzienia.

Każdy z nas miał do codziennej przejażdżki i do obrządzenia po trzy ogiery. Nastrój wśród chłopaków Polaków i Ukraińców był raczej dobry. W zdrowiu utrzymywała nas nasza młodość a surowe kowbojskie życie było dla nas dobrą zaprawą do kształtowania własnych osobowości.

I chociaż nieraz marzyły się nam nasze ciepłe, domowe pielesze i mielone, smażone kotlety, to przecież każdy z nas wiedział, że jest wojna a wojna to nie żarty!

Tak więc jak wszyscy inni chłopcy o godz. 6 rano, na głos gongu zrywałem się z legowiska, śniegiem przecierałem oczy i twarz i pędziłem do stajni czynić powierzone mi obowiązki.

Jedzenie z wojskowego obozowego kotła zawsze nam smakowało, ponieważ mieliśmy wilcze apetyty i zawsze było go nam za mało. Młode organizmy przy codziennej, ruchliwej pracy domagały się solidnych porcji. Rano otrzymywaliśmy ćwiartkę chleba, kawę oraz plasterki margaryny i marmolady. Obiad to talerz gęstej zupy na kościach a czasem ziemniaki lub kasza i sos. Na kolację była już tylko sama czarna kawa. Szczęściem nie było tam w tym zakresie ścisłego rygoru, to młode i miłe dziewczyny dla bardziej zgłodniałych chłopaków /jeśli tylko mogły/ starały się pozostawić coś w kotle z obiadu, choć ich obowiązkiem było resztki jedzenia dawać do baniek na pokarm dla świń.

Z tego samego kotła pobierali jedzenie zatrudnieni tam jako grupowi, czy też pracownicy magazynu byli podoficerowie 12 pułku ułanów. O to ich nazwiska: wachmistrz Dolka, wachmistrz Romaniuk, Brzozowski, Wąsiecki, Wojland oraz Woźniak i Żak. Wszyscy oni należeli wówczas do polskiej organizacji podziemnej. Dowódcą palcówki AK w Białokrynicy był były chorąży 12 pułku Władysław Jankowski.

Kierownikiem naszego miejsca pracy był Polak Nowak ale niestety „wprawdzie był wachmistrz 12 pułku ale folksdojcz renegat zdrajca”. Od rana do wieczora biegał ze szpicrutą po terenie całego obozu, ciągle na wszystkich wrzeszczał, był „cholernie srog i wszyscy się go bali”. Do pewnego czasu i ja go się bałem. Ale zdarzyło się, że zachorowałem.

Lekarz obozowy przepisał mi zwolnienie na 3 dni a z uwagi na niedomaganie serca napisał mi zaświadczenie o mojej niezdolności do ciężkiej pracy.

Kiedy po trzech dniach choroby zjawiłem się znów w stajni, bałem się „starego”. „Stary” wściekł się i wrzeszczał na mnie a zaświadczenie podarł. Stałem przed nim smutny, ze spuszczoną głową, nic nie mówiłem i chyba w końcu rozplakałem się.

I coś się wtedy w tym człowieku stało. Kazał mi usiąść na desce obok stajni i opowiadać mu swoje losy. Po południu kazał mi przywieźć furę drzewa do swego domu na opał. Był wtedy w domu i podczas spożywania obiadu spoglądał na mnie przez kuchenne okno. Kiedy już zrzuciłem drewno i miałem już odjeżdżać z podwórza, przez swoją córkę, moja rówieśniczkę podał mi ćwiartkę chleba. Uśmiechnęła się też do mnie jego córka Marysia i ja się do niej uśmiechnąłem. A „Starego” już się od tego czasu nie bałem.

Pomyślałem też sobie, że nikt nie jest do końca zły. Zresztą następnego dnia „Stary” przeniósł mnie do lepszej pracy, do taborów za furmana i już nigdy na mnie nie krzychał. Zresztą miałem na uwadze słowa „Starego” – „Ty dziękuj Bogu, że jesteś tutaj, bo mogłeś być Tam, gdzie naprawdę jest źle”.

Ale szedł marzec 1943 roku. Wiosna była ciepła i ładna. Wszakże nadchodzący czas nic dobrego nie wróżył. Żyliśmy tam w ciągłej niepewności jutra.. Zadawaliśmy sobie pytanie – Jak potoczy się wojna? Co będzie działo się dalej? Czego oczekiwać? Co począć?

Gdzieś pod koniec marca z naszego obozu wysłano dwóch ukraińskich chłopaków do pobliskiego lasu po drzewo na opał. Pojechali we dwa wozy, które ciągnęły powoli ale silne, niemieckie taborowe konie. Pojechali rano, wrócili późnym wieczorem ale już bez koni, bez wozów..

W lesie na 10 km od obozu chłopcy zostali zatrzymani przez banderowców. Szczęściem byli to chłopcy ukraińscy. Odebrano im konie i wozy a potem kazano im modlić się po ukraińsku i uczynić na sobie znak krzyża, na sposób prawosławny. Umiejętność ta niewątpliwie uratowała im życie. Wieczorem puszczono ich i pieszo powrócili do obozu.

W obozie w Białokrynicy na razie czuliśmy się raczej bezpieczni. Niemiecka straż obozowa była mała ale w przyległych koszarach stała kompania niemieckiego wojska i kompania nadal służących Niemcom Ukraińców..

Pewną ochronę dla polskich rodzin w Białokrynicy stanowiła placówka Armii Krajowej. Posiadaną broń ukrywano w obozie w podwójnym strychu nad stajnią.. Ale wkoło Białokrynicy rozgrywały się tragedie. Wieczorami i nocami widać było powtarzające się co noc łuny pożarów.. Banderowcy i bulbowcy przebywający w okolicznych lasach wciąż dawali o sobie znać. Z dymem pożarów puszczali polskie wioski, osiedla i futory.

Wprawdzie nie było na razie prób zaatakowania majątku w którym pracowaliśmy ale obawialiśmy się napadu, gdyż silną pokusą dla nich mogły być doborowe ogiery i konie taborowe.

I tak mijały kolejne tygodnie. Kończył się kwiecień 1943 roku. Do dziś zastanawiam się kto wtedy obmyślił plan mojej ucieczki z obozu i kto był tego inicjatorem.. Informację tę dostałem niespodziewanie – byłem zaskoczony, miałem podjąć szczególną i niebezpieczną decyzję.

W pobliżu mieszkało wielu Polaków. Część z nich pracowała w majątku a część w stadninie koni „Landgestut Białokrynica”. Bodajże Brzozowski przyszedł do mnie z tą propozycją i podał mi plan ucieczki.. Plan był prosty. W ustalonym dniu należało niepostrzeżenie wymknąć się z obozu i przed wieczorem dojść do Rybczy. W tej wsi zamieszkałej wyłącznie przez Polaków miał na mnie oczekiwać Norbert Pozichowski mieszkaniec Białozórki. Następnego dnia jego drabiniastym wozem mieliśmy powrócić do Białozórki.

Decyzję ucieczki przyjąłem bez większego zastanowienia się; nie zdawałem sobie w pełni sprawy co by mnie czekało gdybym po drodze wpadł w łapy przygodnie napotkanych banderowców. Nie mówiąc już o nieznamości ukraińskiego pacierza, również kiepsko posługiwałem się językiem ukraińskim. Niewiele lepiej wyszedłbym też, gdybym natknął się na Niemców. Tak i tak byłoby ze mną marnie.

W dniu ucieczki, tak jak co dzień przywiozłem z Krzemieńca robotników dojeżdżających do pracy w obozie. Potem zjadłem śniadanie, przygotowałem swoje manatki, obrządziłem konie i tak zeszło mi do obiadu.. W taborach nie byłem zbyt kontrolowany, pracę miałem ustaloną i sam jej dopilnowywałem. Ucieczkę zaplanowałem między godzinami 13 a 15. O tej porze na ogół wszyscy jedli obiad a ja w czasie tych dwóch godzin powinienem dojść do Krzemieńca.

Na obiad już nie poszedłem. Chciałem szybciej i niepostrzeżenie wymknąć się z obozu. Na drogę ubrałem się w kurtkę na baranim kozuchu, którą szkoda mi było pozostawić. Dzień był zresztą pochmurny co mi bardziej sprzyjało a pod koniec kwietnia było jeszcze dość chłodnawo. Wziąłem pod pachę swoje zawiniątko i nie zwracając niczyjej uwagi skierowałem się do bramy. Szedłem wolno, spokojnie, ot tak, jakbym chciał się gdzieś przejść i niby z obojętnością ale bacznie rozglądałem się na wszystkie strony. Bałem się aby ktoś niespodziewanie nie pokrzyżował moich planów.. Strażnik przy bramie znał mnie z codziennych wyjazdów rano do Krzemieńca a po południu do majątku po mleko. I chociaż nigdy dotąd poza ustalonym harmonogramem zajęć nie wychodziłem z obozu, to jednak i tym razem, tak jak zwykle o nic nie pytając przepuścił mnie przez furtkę.

Po wyjściu poza teren obozu poczułem pewien lęk. Bałem się aby na drodze do Krzemieńca nie spotkać się z kimś oko w oko. Poszedłem ścieżką biegnącą nad rowem wykopany wzdłuż lewego pobocza szosy. Zaraz jednak ujrzałem grupowego Żaka idącego z naprzeciwka a zmierzającego do obozu na obiad.

Jego nie musiałem się bać. Był to dobry człowiek i dobry Polak. Ostatnią wigilię na jego serdeczne zaproszenie spędziłem w jego ubogim domku, w towarzystwie jego rodziny. Dziś zastanawiam się dlaczego zadał mi wtedy takie pytanie – Co Edmund uciekasz? Tak -odpowiedziałem z cicha, wymijając go, proszę tylko nikomu nic nie mówić. Skinął mi przyjaźnie ręką i rzekł – Bywaj zdrów!

Szedłem szybko, drogę znałem dobrze, obawiałem się jednak ewentualnej pogoni. Na szczęście wybrałem dobrą porę – przerwa obiadowa sprzyjała mi. Po obu stronach drogi ozimina już dobrze podrosła. Szeroką zielonością pokryła rozległe pola. Do Krzemieńca doszedłem szczęśliwie. Potem omijając centrum skierowałem się najkrótszą drogą w kierunku wylotu na Katerburg i Wiśniowiec.

Po lewej stronie ulicy minąłem jeszcze stylowy gmach Liceum Krzemieckie w którym w owym czasie mieścił się ośrodek leczenia i odpoczynku dla żołnierzy niemieckich skierowanych tu z frontu wschodniego.

Zaraz za miastem, na rozstaju dróg skierowałem się na prawo, na szeroki jampolski trakt po obu stronach obramowany rowami.

Michał Kowalski w „Dziejach Mniszewa” /W-wa 1984/ pisze – „Mniszew leżał na dawnym szlaku lubelsko-wołyńskim. Była to droga gruntowa a jako trakt pocztowy dobrze utrzymana. Przetaczały się po niej wojska w czasie wojen i w powstaniach. Przejeżdżali również tym traktem udający się z Warszawy w Podolskie i Wołyńskie. Często też tędy wiódł szlak króla Jana Sobieskiego oraz biskupa Ignacego Krasickiego prowadzący do ich dóbr na Rusi”.

W 1781 r. król Stanisław August po zwiedzeniu Wiśniowca zmierzał tędy na nocleg do Białozórki. A nieco później w 1791 roku zdążył z wojskiem Naczelnik spod Raławic Tadeusz Kościuszko i w bliskości Szepetówki zbrojnie przed Rosjanami stawał /J.J. Kraszewski – „Wspomnienia z Wołynia” L.S.W. Warszawa 1985/.

Tędy w czasie powstania listopadowego ze swym dużym oddziałem ciągnął gen. Józef Dwernicki i dotarł aż do mojej rodzinnej Białozórki / „Historie wojskowości” L. Ratajczak MON/.

Potem trakt ten syberyjskim nazwano, jako że tędy szły kibitki z tymi, co nie chcieli się nigdy pogodzić z utratą tych ziem. Szedłem i ja tym historycznym już traktem z duszą na ramieniu i małym tobołkiem pod pachą. Ale nie w głowie mi były wtedy te historyczne rozważania i nie zdawałem sobie z tego sprawy, nie było to dla mnie istotne.

Przedemną rozprzestrzeniała się rozległa równina. Gdzie niegdzie tylko rysowały się niewielkie wzniesienia i szerokie dolinki. Tu rozpoczynał się prawdziwy, rolniczy Wołyń.

Mijało popołudnie. Pod wieczór niebo trochę przejaśniło się. Szarawe chmury przerzedziły się i od czasu do czasu przebłyskiwało blade, chylące się ku zachodowi słońce.

Uszedłem już kawał drogi i byłem już blisko celu, kiedy w pewnej chwili usłyszałem za sobą odgłos bryczki toczącej się po wyboistej drodze. Mimo woli obejrzałem się i włosy mi urosły. Bryczka zbliżała się szybko. Już z dala zauważyłem, że siedzieli w niej umundurowani Niemcy i jacyś cywile. Ogarnął mnie lęk. Zachowałem jednak spokój, nawet specjalnie zwolniłem kroku, coś poprawiałem sobie koło buta i tak jakby od niechcienia ale z ciekawością a także, co tu rzec i z trwogą, co chwila oglądałem się do tyłu. Po obu stronach drogi jacyś ludzie sadzili kartofle. To mnie trochę ratowało, mogłem być stać..

Bryczka z Niemcami zrównała się już ze mną. Na szczęście trakt w tym miejscu był bardzo szeroki. Idąc rowem byłem oddalony od nich o jakieś 25 metrów. Zauważyłem, że Niemcy przyglądali mi się zbyt z dużym zainteresowaniem. Naraz bryczka gwałtownie zatrzymała się, Niemcy przyglądali mi się uważnie i z siedzącymi obok cywilami o czymś żywo dyskutowali..

O ucieczce nie mogło być mowy. Tylko spokój może mnie uratować – pomyślałem. I nic zresztą innego mi nie pozostało.. Więc jak gdyby nigdy nie szedłem sobie nadal powolnym krokiem i też zdawałoby się spokojnie na nich spoglądałem. Kto kogo przechytrzy? Zastanawiałem się. I jak na zawołanie, ku mojej radości bryczka ruszyła i szybko potoczyła się pod górkę. A jadący nią cywile jeszcze parę razy obejrzeni się za mną. Ale co w tym było nigdy bym tego nie odgadł.

Jednak nieco już ochłonałem i spokojnie spoglądałem za oddalającą się szybko bryczką. Zaraz też skryła się za pierwszą górką.. Dochodziłem do Rybczy. Po prawej stronie drogi, zaraz na skraju wsi, na porośniętej już zielenią murawie wysokiej skarpie leżało kilku chłopaków. Edmund = chodź no tu! Zawołał któryś z niemiecka. Co tak patrzysz, nie poznajesz nas? Przecież to my z twoim bratem Zbyszkiem chodziliśmy w Białozórce do jednej klasy!

Siadaj – miałeś szczęście, że to właśnie my jechaliśmy z tymi Niemcami! Rozpoznaliśmy ciebie, więc Niemcom powiedzieliśmy, że jesteś z naszej wsi i dlatego ciebie nie zatrzymali, tylko po co ci ten kozuch, przecież to już wiosna a ty wyglądasz jakbyś wracał z Syberii. No i coś tak zaniemowił? Siadaj i mów co ciebie niesie do naszej wsi.

Tym niespodziewanym spotkaniem byłem niezmiernie zaskoczony. Gdyby nie oni – lepiej nie myśleć co by się stało! Ale widać Bóg czuwał nade mną. Byłem zmęczony. Chętnie obok nich przysiadłem. Opowiedzieli mi co tu się dzieje i co oni tu robią.

Rybcza – stara polska wieś, od dawien dawna zamieszkała przez zasiedziały tam Polaków zorganizowała samoobronę i już parę razy odstraszała ukraińskich napastników. Nawet Niemcy dali im broń do obrony przed banderowcami. I z tym właśnie wiązała się ich wspólna jazda z Krzemieńca.

Kiedy trochę odpocząłem i ostygłem z wrażenia pokazali mi gdzie mieszka gospodarz u którego zatrzymał się Pozichowski. Chodź – odprowadzę cię,

powiedział jeden z chłopaków, to kawał drogi, pogadamy. Był ciekawy co mnie sprowadziło do ich wsi. W tym czasie już nikt samopas drogą z Krzemieńca do Rybczy nie odważył się iść.

Na odchodnym podał mi dłoń i rzekł – Stach jestem – Stach Sekuła. Ale dziwię się, że też miałeś odwagę w taki czas wybrać się do Białozórki – dorzucił jeszcze za mną. Wtedy nie przypuszczałem, że omal pół wieku później wypadnie się mi jeszcze raz z Stachem spotkać. Trudno było przewidzieć, jak potoczą się nasze losy.

Pozichowski i gospodarz czekali na mnie na podwórku. Zaraz dali mi coś zjeść a potem zaprowadzili do stodoły ma nocleg. Byłem bardzo niespokojny. Za stodołą, pomiędzy deskami widać było otwarte pole i jakiś las na północnym horyzoncie. W nocy stamtąd mogli przyjść banderowcy. Gospodarz pokazał mi, że w jednym miejscu deska była specjalnie obluzowana. Bez trudu można było ją wyjąć w razie czego umykać w pole. Bałem się ale co miałem robić. Zagrzebałem się w słomę i sam nie wiem kiedy usnąłem.

Wczesnym rankiem coś przegryźliśmy, gospodarz dał mi jakąś przydużą czapkę którą po chłopsku wcisnąłem głęboko na głowę, usadowiłem się w tyle drabiniastego wozu i pożegnaliśmy się, obaj z Pozichowskim wyruszyliśmy do Białozórki. Umawialiśmy się, że w drodze będziemy rozmawiali tylko po ukraińsku. Ale prawie wcale nie rozmawialiśmy, chyba tylko modliliśmy się aby szczęśliwie dojechać.

Dziwne są zaiste ludzkie losy. Jakimś cudem, chyba tylko z boska pomocą udało się mi przeżyć te ciężkie, wojenne lata na Wołyniu. Ale dla Norberta Pozikowskiego los okazał się nader okrutny. Niespełna w trzy miesiące później on i prawie cała jego rodzina zostali zamordowani przez białozórkowskich upowców.. /Zachował się protokół spisany w inspektoracie AK w Zbarażu z dnia 15 VIII 1943 r. dotyczący dramatu rodziny Pozichowskich./

Wszakże w tej części opowieści zatrzymamy się na razie w Rybczy a do Białozórki powędrujemy jeszcze w ostatnim rozdziale. Chciałbym dziś też wiedzieć u kogo ja wtedy w Rybczy nocowałem. Drobną to była sprawa ale do dziś pozostała w mojej pamięci.

Niedokończony Pamiętnik

/Rozdział ten opracowano głównie na podstawie pamiętnika Stanisława Sekuły i przekazano w formie jego wspomnień./

W piękny, słoneczny dzień, w końcu 18443 r. wiozłem moją chorą siostrę ze wsi Boszkowce do rodzinnego domu w Rybczy. Jechaliśmy polną, dość wyboistą drogą pomiędzy dojrzewającymi już łanami zbóż. Zbliżało się południe. Słońce stało wysoko i mocno przygrzewało. Jechaliśmy wolno, konie szły noga za nogą. Miejscami wóz podskakiwał na nierównościach i głośno skrzypiał. Chora siostra postękiwała i od czasu do czasu prosiła o wodę. W podróży towarzyszył nam kuzyn szwagra, maszynista kolejowy ze Zdołbunowa.

Powoli zbliżaliśmy się do głównego traktu.

Tu z niepokojem ujrzałem, że szosą z Krzemieńca do Szumska, na całej niemal długości, w wielkim pośpiechu i zgiełku podążały sowieckie wojska. Byłem bardzo zdziwiony i zaskoczony tym gwałtownym i niespodziewanym wycofywaniem się Czerwonej Armii. Nie było bowiem słychać żadnych odgłosów walki. Znalazłem się też w niemałym kłopotcie. Żołnierze chcieli zarekwirować moją furmankę. Na szczęście chora siostra jakoś ich ubłagała i pozostawili nas w spokoju.

Z wielkim trudem przebrnęliśmy pomiędzy potokiem zmierzających na wschód różnorodnych pojazdów. Wśród wyzwisk kierowców i furmanów z ledwością przemieszczały się samochody ciężarowe i tabory konne. Miejscami tworzyły się zatory. Jechaliśmy poboczem drogi. Przed nami i za nami szli umęczeni sowieccy żołnierze.

Pod wieczór dotarliśmy do Katerburga. Tu było gorzej aniżeli podczas jarmarków. W paru sąsiednich uliczkach i na małym rynku stłoczyła się cała masa będących w odwrocie wojsk sowieckich. Żołnierze posilali się obok dymiącej kuchni polowej. Robiło się już szaro. Dzień się kończył. Jakimś cudem wydostaliśmy się z pomiędzy tego nawału pojazdów i ludzkiej ciżby i wreszcie znaleźliśmy się na drodze wiodącej do naszego domu.

Do przebycia pozostało nam jeszcze około trzech km. Na drugim kilometrze, niedaleko Horynki minęło nas kilka czołgów. Z wielkim zdziwieniem ale i niemałym przerażeniem stwierdziłem, że były to czołgi niemieckie. Znak czarnej swastyki niósł ze sobą coś bardzo groźnego. Wtedy też na jampolskim trakcie, na wysokości Katerburga usłyszeliśmy odgłosy walki. Jak się później okazało walka na szosie pomiędzy Rybczą a Katerburgiem trwała dwie doby. Szosami i traktami lawina wojsk niemieckich parła na wschód.

Ludność Rybczy była przerażona. Obawiano się nasilenia walk na tym terenie. Gromadzono się w bezpiecznych miejscach, uważając murowane piwnice za schrony. Następnego dnia, wczesnym rankiem, w Rybczy zatrzymali się Niemcy. W szkole rozlokował się ich sztab. Przyprowadzili kilku sowieckich żołnierzy. W wielu domach we wsi robili rewizje w poszukiwaniu broni i radzieckich żołnierzy. W zagrodzie Jana Dobrowolskiego ujrzeli grupę mężczyzn. Wszyscy oni byli sąsiadami z jednej ulicy. Niemcy spośród nich wybrali pięciu, którzy byli w wojskowych mundurach, w których jeszcze jesienią 1939 r. powrócili z wojny.

Nie pomogły żadne prośby i tłumaczenia, że są mieszkańcami tej wsi. Nie pomogła też Gertruda Grządkowska, która znała język niemiecki. Jeńców sowieckich i tych pięciu Polaków zaprowadzili do szkoły. Był to czas wojny. Wydano na nich bez sądu wyrok śmierci.

Wszystkich aresztowanych zaprowadzili na wzgórze, pod ten wielki krzyż, na którym widniały jeszcze wyryte daty – 6 VIII 1914 – 6 VIII 1939. Nie darowali Niemcy Rybczanom postawienie tego krzyża, wyrytych na nim dat w tej wiejskiej, przedwojennej manifestacji w sierpniu 1939 roku.

Leon też próbował wstać ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Żona posadziła go na podłodze i oparła o ścianę. Tadeusz usiadł również. Nie mógł jednak mówić ani napić się wody, gdyż jedna z kul przestrzeliła mu język. Ponieważ wydawało się, że obaj bracia nie są bardzo ciężko ranni, możliwie szybko należało zawieźć ich do szpitala w Krzemieńcu. Gospośia Hania pobiegła na folwark po konie. Służba zamknięta w jednej z izb odmówiła jednak posługi – bandyci zabronili służbie wychodzić i udzielać gospodarzom

„Samo rozstrzelanie odbyło się szybko i bez świadków”. Najpierw zostali zabici Rosjanie. Na drugi dzień, po odejściu Niemców znaleziono ich pod skarżą nieopodal szkoły i tam ich pochowano. Natomiast tych pięciu Polaków znaleziono martwych koło tego dużego krzyża. „Widocznie taka była wola niebios”.

Oto ich imiona: Józef Dabrowski, Waław Dubiecki, Feliks Jakubowski, Józef Jaroszewski i Marian Janczyński.

Zanim odeszli na „tamtą stronę” stanęli w jednym szeregu, tak jak na ostatniej warcie przystało, po żołniersku, równo i na baczność. I być może do ostatniej chwili nie zdawali sobie sprawy, że tak łatwo i szybko odchodzi się tam skąd już nie ma powrotu.

Pochowano ich na drugi dzień, według obrządku katolickiego z udziałem ks. Dominika Wyrzykowskiego – „Spoczywają w jednej wspólnej mogile”. /Istnieją wersje odmienne/.

Ale nie wiedzieliśmy jeszcze, że były to dopiero pierwsze ofiary wojny w Rybczy. Byliśmy pod wrażeniem tej tragedii, żyliśmy w smutku i w żałobie. Zastanawialiśmy się nad niepewną dla nas sytuacją. Mieliśmy poważne powody do rozmyślań, co przyniesie jutro?

Tak jak poprzednio za Sowietów, ponownie poczuliśmy się zagrożeni. W wielu miastach Wołynia przeprowadzono liczne aresztowania i egzekucje.

Front przesunął się szybko na wschód. Pozostawiony rozbitý wojenny sprzęt tarasował drogę do Katerburga. Cała szosa, pobocza oraz pobliskie pola zawałone były zniszczonymi pojazdami, skrzynkami z resztkami amunicji oraz wieloma poległymi sowieckimi żołnierzami i różnorodną, porzuconą przez nich bronią. Nie szło tu ani spokojnie przejść ani przejechać. Władze niemieckie nie zajmowały się uprzątnięciem pola walki. Zajął się tym dotychczasowe władze miejscowe.

Na drugi dzień, po przejściu frontu sołtys Rybczy zalecił grzebanie sowieckich żołnierzy i zrobienie porządków na drodze. Przypadło to głównie naszej polskiej młodzieży. Grzebiąc poległych, ich broń ręczną i pozostawioną amunicję wrzucaliśmy do ich mogił. Często gęsto w miejscu przydrożnych lej, wrytych przez armatnie pociski. A tego wojennego dobra było tyle, że można byłoby zapelnąć nim niemały arsenał. Wtedy jednak nikt z nas nie przewidywał, że za dwa lata broń ta będzie dla nas droższa od złota. Na razie wszystko wrzucaliśmy do dołów i zasypywaliśmy ziemią.

Ale niektórzy, bardziej przezorniejsi z nas znajdując broń krótka, czy jakiś udany karabinek połasili się nań i cichaczem chowali za pazuchę. Potem ukrywali ją po szopach albo w stodołach za gontem. I jak się później okazało, kiedy byliśmy już w wielkiej potrzebie, u jednego zapobiegliwego gospodarza w Rybczy, w kącie stodoły, pod stertą słomy znalazł się nawet całkiem okazały i sprawny karabin maszynowy oraz dwie skrzynki z amunicją. Na nasze szczęście sporo się tego dobra po stodołach uratowało.

Po przejściu frontu polami i miedzami przemykali się jeszcze ostatni, zagubieni sowieccy żołnierze. Trzech z nich, lżej rannych ukrywaliśmy w naszej wsi. Przywłókł się też jakiś lekko okulały koń taborowy.

Kilka dni po przejściu frontu – wspominał Stach Sekuła, poszedłem do Katenburga. Chciałem rozejrzeć się i dowiedzieć co też w tej nowej sytuacji czas nam wróży. I chyba nie przypadkiem spotkałem tam mego szkolnego kolegę, z którym siedziałem kiedyś w jednej ławce. Ale tym razem, pomimo, że dawniej byliśmy kolegami, jego stosunek do mnie wyraźnie się zmienił. Był to Pietia Ukrainiec, syn właściciela młyna. Widać było, że był wielce zafascynowany nową władzą. Przechwalał się, że Niemcy dadzą im „Samostijną Ukrainę” i teraz oni tzn. Ukraińcy będą rządzić, nie, nie „proklati Lachy”, jak przed wojną i że dopiero teraz dobrze im będzie.

Zaraz w najbliższą niedzielę w Katerburgu zwołano uroczysty mityng. Od samego rana z sąsiednich wiosek zjeżdżali się Ukraińcy w swoich tradycyjnych, narodowych ubiorach. Pomimo upału na głowach mieli duże, okrągłe „papachy” ozdobione Tryzubem. Starszyzna przybywała na ten zjazd furmankami, na wyściełanych kolorowymi kilimkami siedzeniach, porobionych z wiązek słomy. Natomiast dziarska młodzież ukraińska na ten raz paradowała konno i powiewała żółto-niebieskimi flagami i proporczykami

Tego dnia na katerburskim rynku zrobiło się tłoczno i kolorowo. Na naprędce ustawionej trybunie ustawiła się nowo powołana władza. Wygłoszono szereg mów, w których przedstawiono piękną wizję nadchodzących czasów a już w „Samostijnej Ukrainie”, którą obiecywano sobie nareszcie uzyskać.

Wszakże nam Polakom przemowy ich nie były miłe. Musieliśmy wysłuchać ich utyskiwań na przedwojenne czasy. Wytykali nam to i owo. Szeroko też rozprawiali o swojej niedoli za „Sowieckoj włości”.

Tę niebywałą uroczystość uświetniła jeszcze defilada, w której udział wzięły liczne delegacje wiosek, oraz ukraińska, konna banderia. Odśpiewano też kilka narodowych, ukraińskich pieśni. Uroczystość przerwały grzmoty i niespodziewana, duża ulewa. Nie był to dla nich dobry znak.

Również i my Polacy z Rybczy trochę z własnej ciekawości, a przede wszystkim z obowiązku wynikającego z nakazu władzy uczestniczyliśmy w tym wiecu. Przed deszczem schroniliśmy się do kościoła. Marysia Wyszomirska powiadomiła nas o aresztowaniu podczas wiecu Józefa Grządkowskiego. Podobno on to – mówiła, że w czasie przemówienia czy też podczas odśpiewania ich hymnu nie chciał zdjąć czapki.

Należało się w tej sprawie czegoś więcej dowiedzieć. Razem ze Stanisławem Dobrowolskim udałem się do budynku gminnego, gdzie znajdował się tymczasowy areszt i tam natknąłem się na wspomnianego już „kolegę” Pietię. Reprezentował już nową władzę i z karabinem na ramieniu i z bagnetem w ręku stał przed gminą i już wówczas zwaną „selradą”.

Na nasze pytania o Józefie Grządkowskim unikał wyraźnej odpowiedzi. Nie dowiedzieliśmy się i mieliśmy już wracać do domu.

Ale właśnie wtedy Pietia zatrzymał nas. No, co, jeżeli koniecznie chcecie go zobaczyć, no to chodźcie – zwrócił się do nas z tajemniczym uśmiechem i poprowadził nas w stronę małego, gminnego pomieszczenia, gdzie miała być zrobiona publiczna ubikacja. Otworzył tam wąskie drzwi i zwrócił się do nas – Wchodźcie do środka. Nie przewidywałem niczego złego, postąpiłem pochopnie i wszedłem pierwszy. Natomiast kolega Dobrowolski zatrzymał się przy futrynie, coś mu się to nie widziało. Ale „kolega” Pietia silnym pchnięciem i przy pomocy kolby karabinu „pomógł” nam wejść do tej klitki i momentalnie zatrasnął za nami drzwi.

Jak się okazało nie byliśmy tam pierwszymi więźniami. Oprócz Józefa Grządkowskiego było już tam kilku innych Polaków wcześniej aresztowanych. Z woli Pieti powiększyliśmy grupę aresztowanych.

Trzymano nas tam bez jedzenia i bez picia przez parę dni. Nie dopuszczono do nas naszych zrozpaczonych rodzin. Niemców w tym czasie w Katerburgu nie było. Przesłuchania odbywały się zawsze w nocy i przesłuchiwali nas wyłącznie Ukraińcy a pilnował, rzecz można dawni szkolni „koledzy”. Nie obeszło się też bez poszturchiwań i bez bicia. Ukraińcy domyślali się, że posiadamy ukrytą broń i domagali się jej oddania.

Po paru dniach i nieprzespanych nocach byliśmy okropnie wyczerpani. Czasem gdy przesłuchujący był bardziej ludzki, pozwolono nam napić się wody. Wypuszczono nas rankiem czwartego dnia. Wiktor Gorzkowski był tak wyczerpany i osłabiony, że nie był w stanie iść o własnych siłach i trzeba było sprowadzić po niego furmankę.

Dla Polaków a przede wszystkim najpierw dla Żydów czas robił się niebezpieczny.

Pewnego jesiennoego dnia snuje swoje wspomnienia Stach Sekuła razem ze Stanisławem Dobrowolskim i Jankiem Pileckim gwarzyliśmy na ganku u sąsiada Wiktora Grządkowskiego. Byliśmy młodzi, pełni jeszcze dobrych nadziei. Życie było przed nami a jednak wesoło nie było nam na duszy.

W pewnej chwili zauważyliśmy wyłaniające się zza węgła domu cztery karabinowe lufy, potem wyskoczyło czterech Ukraińców z okrzykiem „ruki w wierch”. I znów znaleźliśmy się w rękach ukraińskich policjantów. Ponownie zamknęli nas w areszcie w Katerburgu.

Przez dwa dni dręczyli nas uciążliwymi przesłuchaniami, głodem. Chcieli wymusić zeznanie o posiadanej broni. Nic z nas jednak nie wydobyli i znów na szczęście po dwóch dniach wróciliśmy do swoich rodzin, do domów.

I na jakiś czas Polakom dano spokój. Bo oto nadszedł czas „na rozwiązanie kwestii żydowskiej”. W Katerburgu Niemcy urządzili getto

Zamknęli tam wszystkich Żydów z okolicy oraz rodzinę żydowską, która od wielu lat zamieszkiwała w Rybczy. Było ich 5 osób. Najmłodszy syn tych Żydów przed wojną służył w polskim wojsku. Po wrześniu 1939 roku, po wejściu władzy sowieckiej stał się komunistą i wielkim aktywistą w „Sielradzie”.

W czerwcu 1941 roku przed wejściem Niemców zdążył uciec do Związku Radzieckiego.

Żydów umieszczonych w gettcie w Katerburgu Niemcy zatrudniali do różnych prac. Z naszyta żydowską żółtą gwiazdą na rękawach i z łopatami na ramionach szli czwórkami do kopania dołów. Kopali doły na groby dla swoich rodzin i dla siebie. Na wiosnę 1942 roku Niemcy wyprowadzili ich do jaru koło Katerburga i tam ich wszystkich rozstrzelali.

Z całej żydowskiej społeczności z Katerburga uratował się mały 9 letni chłopiec, który nieraz przychodził do Rybczy po żywność. Akurat tego dnia kiedy Niemcy Żydów z Katerburga wymordowali, on przyszedł do Rybczy i tak ocalał.

Przechował go Rybczanin Peterka – Czech z pochodzenia, który po pierwszej wojnie światowej ożenił się w Rybczy i tu się osiedlił. A z tym Żydkiem to był nader ciekawy przypadek.

Po wyzwoleniu Żydek ten został ochrzczony, zmienił imię i nazwisko i nawet ożenił się z córką Peterki, gdy ta owdowiała. W 1945 roku wyjechał z Rybczanami na zachód. Początkowo mieszkał i prowadził gospodarstwo rolne koło Ziębic a potem zamieszkał we Wrocławiu i pracował jako taksówkarz. Obecnie mieszka w Bielsku-Białej. Zaiste dziwnymi drogami szły ludzkie losy.

Toczyła się wojna na wschodzie i na zachodzie. Wszyscy dorośli Niemcy wojowali na frontach. Niemieckie fabryki i zakłady potrzebowały robotników. Rozpoczęło się wywożenie młodzieży na roboty przymusowe do Niemiec. Kartę wyjazdu otrzymała też część młodzieży z Rybczy. Nieznane losy czekały tych co odjeżdżali w nieznaną i tych co w Rybczy mieli jeszcze pozostać.

Odbyło się wtedy pożegnane spotkanie młodzieży – smutne, ostatnie. Deklamowano wiersze i śpiewano piosenki. I jeszcze raz wszyscy poszli na plac przed szkołą aby obok uświęconego już krwią Rybczan dużego krzyża pomodlić się i prosić Boga o doczekanie końca wojny.

Nadeszła jesień 1942 roku. Droga do końca wojny była jeszcze daleka i dramatyczna. Na terenie Wołynia odczuwało się już nowe, wielkie zagrożenie ze strony Ukraińców. Na samotnych futorach a także we wsiach, gdzie pośród ludności ukraińskiej mieszkaly pojedyncze rodziny polskie zdarzały się coraz częstsze napady.

Początkowo ograniczały się tylko do rabunku mienia a czasem i do silnego pobicia. Ale zdarzały się też morderstwa, których ofiarami padały nie tylko pojedyncze osoby ale również całe polskie rodziny..

Jeden z mieszkańców wsi Folwarki, leżącej w sąsiedztwie Rybczy wspomina – „Mieszkaliśmy za wsią, na małym futorze. Pamiętam, że była to niedziela. Poszedłem do Krzemieńca na mszę oraz do spowiedzi i komunii św.. Po powrocie umęczony drogą mocno spałem Banderowcy zjawili się pod wieczór.. Zaskoczyli nas w domu. Na ucieczkę nie było szans. Kazali otworzyć spiżarnię i nasze zboże wsypać do naszych worków. Potem musieliśmy to jeszcze włożyć na nasz wóz i naszymi końmi banderowcy odjechali.

Przedtem postraszyli nas pistoletem ale na szczęście zostawili nas żywych /z listu Stan. Micewskiego/.

Zrozumieliśmy jednak, że nie mamy już co tam robić i w niedługim czasie wynieśliśmy się do Krzemieńca, który stał się schroniskiem dla polskich uchodźców. Z braku mieszkań wiele polskich rodzin stłoczyło się w nawach kościoła oraz na ogrodzonych dziedzińcach. Ludność polska była zastraszona kolejnymi morderstwami popełnianymi w powiecie i w całym wołyńskim województwie. Z trwogą opuszczała swoje domostwa i chroniła się do miast.

Rybcza leżała 12 km na połdn/wschód od Krzemieńca. Zamieszkiwało tu 189 polskich rodzin. Wszystkie sąsiednie wsie zamieszkiwali Ukraińcy. Przed wojną na obrzeżach mieszkało wielu osadników wojskowych. Za sowietów prawie wszystkich wywieziona na Sybir. Uratowali się jedynie ci, którzy nieco wcześniej wyjechali stąd w nieznaną.

Rybcza pozostała jak oaza pomiędzy wsiami ukraińskimi. W 1936 roku na skutek przeprowadzonej komasacji większa część gospodarstw przeniosła się poza obręb wsi, na swoją skomasowaną ziemię czyli na tzw. Futory. Z tego też powodu zabudowa wsi była bardzo rozproszona. Dodać należy, że budynki gospodarcze były na ogół drewniane i kryte słomą. W takich to warunkach zorganizowanie samoobrony Rybczy nie było sprawą łatwą ale stało się koniecznością..

Już od wczesnej wiosny 1943 r. w związku z coraz liczniejszymi napadami upowców na polskie osiedla samoobrona Rybczy przybrała charakter stały. Nie była ona jednak zapięta na ostatni guzik i w pełni centralnie dowodzona a rozproszenie gospodarstw powodowało, że była ona z reguły spontaniczna. Ale pomimo wszystko była wystarczającą zaporą przeciw bandyckim zamierzeniom upowców..

Przydatni okazali się miejscowi podoficerowie. Na komendantów samoobrony wybrano Franciszka Mytkowskiego ps. „Ułan”, który przed wojną był plutonowym 12 pułku ułanów Białokrynicy oraz Marcina Mysłowskiego ps. „Sołtys” dowódcę placówki Armii Krajowej, która w tym czasie powstała w Rybczy. Podoficer Stefan Gołębiowski zajął się ćwiczeniami i przygotowaniem chłopców do żołnierskiego zajęcia.

W ramach zaplanowanej samoobrony wieś została otoczona kilkunastoma placówkami obrony na które przydzielono po kilku obrońców. Rozstawione placówki czuwały w nocy. Natomiast w dzień na wieży obserwacyjnej stale przebywał obserwator, który w przypadku zbliżania się napastników sygnalizował trzema strzałami a dyżurny pozostające w szkole włączały syrenę alarmową.

Na jej odgłos obrońcy biegli na wyznaczone placówki. W tym czasie mieszkańcy wsi i podległych futorów chronili się w szkole, która była murowana i kryta dachówką. Ten niezbyt duży budynek stał się głównym bastionem obrony i tu mieściła się jego komenda.

Ponieważ obawiano się niespodziewanego nocnego napadu, więc mieszkańcy futorów z reguły na każdą noc zabierali konie, krowy i co cenniejszy dobytek i chronili się na terenie szkoły, względnie do domów murowanych i otoczonych placówkami obronnymi. W Rybczy były cztery takie punkty, gdzie gospodarze w swoich domach pozostawali na noc i własną bronią postanowili bronić tam swego życia i mienia

Jednakże w przypadku bardzo silnego ataku i niemożności odparcia napastników, obrońcy ze wszystkimi pozostającymi w domach mieszkańcami mieli wycofać się z punktów obrony do szkoły i razem ze wszystkimi bronić się do ostatniego naboju.

Z różnych zakamarków powyciągaliśmy poukrywaną dotąd broń. Spora ilość została przezornie ukryta jeszcze we wrześniu 1939 roku. Walało się jej trochę po polach, ponieważ w pobliżu trwały walki polskich oddziałów z nacierającymi sowietami. Pozostawili ją też uchodzący żołnierze z placówek KOP-u.

Przypomnieliśmy sobie też o broni poległych sowieckich żołnierzy spoczywającej w ich grobach od czerwca 1941 roku. Potajemnie przed władzami niemieckimi i przed Ukraińcami sięgnęliśmy po tę broń. Nocami rozkopywaliśmy owe żołnierskie mogiły. Często natrafialiśmy na zwłoki zakopanych tam żołnierzy. Jednak kopaliśmy dalej, ponieważ broń była wtedy najważniejsza. Zresztą ku naszej radości sporo jej tam nazbieraliśmy.

Niestety w czasie grzebania ofiar zamki karabinowe były rozbierane i wrzucane do dołów w drobnych częściach. Zbieraliśmy jednak wszystko, co w rękę wlało. Wszystko mogło się nam przydać.

Znajdowana broń była więc mocno zdewastowana i często niekompletna. Na szczęście w Kamieńcu mieszkał dobry rusznikarz Tadeusz Murza. Z tym problemem udaliśmy się do niego. Tadeusz Murza i jego brat Jan służyli nam radą i pomocą. Broń ukrywaliśmy w słomie na wozach i zawoziliśmy do Krzemieńca. Często dostarczaliśmy broń zleżałą i niekompletną a nieraz tylko lufy i magazynki. Brakujące części dorabialiśmy gospodarskim sposobem. Początkowo musieliśmy się tego uczyć.

W bocznej uliczce, niedaleko mieszkania Murzy, w domu Wacka Śledzińskiego, po drugiej stronie sieni był warsztat stolarski. Tam dorabialiśmy kolby do karabinów..

Wypadało nam sprawdzić ich skuteczność i sprawność. Wychodziliśmy późnymi wieczorami na dwór i strzelaliśmy do obranego celu lub na wiwat. Niemców nie musieliśmy się wtedy obawiać. Nocą nie ujrzało się ich na ulicy. Zaszywali się w mocno ufortyfikowanych budynkach i nosa stamtąd nie wychylali.

W ten sposób broni znów nam trochę przybyło ale nadal pełnego uzbrojenia wszystkich dorosłych mężczyzn w Rybczy wciąż było w sumie tego za mało. Którejś niedzieli, po mszy św. W kościele w Katerburgu zebraliśmy się na przykościelnym placu.

W trakcie rozmów o broni organista wspomniał, iż swego czasu obok cmentarnego muru zakopał poległego, sowieckiego żołnierza razem z jego „gwintówką”. I nawet pokazał nam to miejsce.

Postanowiłem tę broń wydobyć. Chciałem się też popisać tym przed swoimi kolegami. Toteż nie zwlekając, jeszcze tej niedzielnej nocy zabrałem z domu łopatę i wybrałem się samotnie na cmentarz. Miejsce to bez trudy odnalazłem ale prawdę mówiąc z pewnym niepokojem zabrałem się do tej roboty. Początkowo łopata dzwoniła na narzuconych kamieniach ale szczęściem mogła nie być zbyt głęboka i w niedługim czasie rzeczywiście do czegoś się dokopałem. W świetle latarki, w resztkach zbutwiałego munduru ukazał się szkielet żołnierza. Wprawdzie mimo woli włosy urosły mu na głowie ale z duszą na ramieniu chwyciłem za skórzany pas, którym opasany był ów żołnierz i otrząsnawszy nieco z ziemi ostrożnie uniosłem jego doczesne szczątki. A serce jeszcze bardziej mi zabiło, kiedy zobaczyłem, że spod niego wystawała lufa karabinu. Ku mej radości znalazłem dziesięcioprzętowy automat. Był całkiem dobry, nawet lufa nie spróchniała. W okrytym dole znalazłem też dwa zapasowe magazynki z amunicją. Spociałem się przy tym jak mysz ale zdobycz moja była niebagatelna, przed kolegami i przed dowódcą samoobrony miałem się czym pochwalić. Ale przecież nie o pochwałki tu chodziło. Broń ta skutecznie służyła nam w ciągu długotrwałej samoobrony Rybczy.

W Horynce miałem znajomego traktorzystę. Był to Ukrainiec, który pochodził z „kordonu” i niewątpliwie to było przyczynkiem do tego, że sprzyjał Polakom. Spotkałem go przypadkowo w Krzemieńcu. Przyznał mi się, że posiada dwa dobre ruskie karabiny i trochę amunicji. Targ w targ zgodził się nam to sprzedać.

Horynka od Rybczy była oddalona o około 5 km. Aby powrócić stamtąd przed nocą należało wybrać się tam zaraz po południu. Pojechaliśmy tam we trzech, z Piotrkim Wyszomirskim i z Tadeuszem Murzą. Transakcję w Horynce załatwiliśmy szybko. Zakupioną broń i amunicję załadowaliśmy na wóz i wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Obawialiśmy się jednak zasadzki. Na trakcie znajdowały się ukraińskie futory i tam groziło nam niebezpieczeństwo. Postanowiliśmy nie wracać tą samą drogą, którą przybyliśmy. Zaraz za bramą majątku skręciliśmy w kierunku Jankowic. Na drugim kilometrze zaledwie minęliśmy skrzyżowanie spostrzegliśmy za nami szybko jadącą furmankę. Nasze konie były słabe. Wynajęliśmy je od mieszkańca Michałówki, który ze swoją rodziną schronił się w naszej wsi. Natomiast ścigający nas Ukraińcy mieli lepsze konie i zaczęli nas szybko dopędywać. Weszło nie zanosilo się. Nie mieliśmy szans ucieczki. Oddałem więc lejce Tadeuszowi Murcie i pouczyłem go, którędy powinien dalej jechać. Natomiast ja z Wyszomirskim niepostrzeżenie zsunęliśmy się z wozu, chyłkiem odbiegliśmy, kilkanaście metrów od drogi i przyczailiśmy się za resztką zagajnika.

Napastnicy zbliżali się już do skrzyżowania dróg.

Nie zwlekając puściłem w ich stronę kilka kul z mego zdobytego automatu. Na szczęście to poskutkowało. Widać było, że wystraszyli się, raptownie wyskoczyli z furmanki i kryjąc się za nią zawrócili w kierunku Kuszlina. Tak więc dobrze, że mieliśmy ze sobą broń, czego napastnicy nie przewidywali. Widać strach ich obleciał.

My zdążyliśmy jeszcze dopędzić Tadka Murzę i już razem, bogatsi o zakupioną w Horynce broń szczęśliwie powróciliśmy do Rybczy.

Wszakże nadal do pełnego uzbrojenia obrońców Rybczy nadal brakowało nam broni i amunicji. Zbieranina różnego typu karabinów ledwo mogła wystarczyć do odparcia krótkotrwałych ataków UPA. Większa część tej broni, która przeleżała długo w ziemi nie nadawała się już do użytku. Toteż ciągle zdobywanie broni i amunicji było naszą codzienną troską. W tym celu wykorzystywaliśmy wszelkie nasze kontakty i możliwości. Ponadto oddzielnym problemem były nasze stosunki z Niemcami. A chodziło nam o to aby w tym czasie mieć tylko jednego bezpośrednio zagrażającego nam wroga.

Należało więc być z nimi w zgodzie i nie popaść w jakiś niepotrzebny konflikt. Sprawą tą zajęła się Rybczanka Gertruda Grządkowska, wdowa po bogatym gospodarzu. Pochodziła z Torunia, doskonale знаła język niemiecki a że do tego była dość ładna, to i łatwiej jej poszło nawiązać kontakt z Niemcami. Zresztą już od pewnego czasu cieszyła się u nich poważaniem i zaufaniem.

Przez to mieszkańcom Rybczy w wielu sprawach mogą pomóc i pomagała. W swoim majątku zatrudniła trochę młodzieży z Rybczy i przez to uratowała kilkanaście osób przed wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec. Zdarzyło się też, że krowy, które były wyznaczone od gospodarzy na kontyngent zostawiała w swoim majątku. Było to pozornie za zgodą Niemców. Krowa była u niej a gospodarz, jej właściciel przychodził codziennie doić swoją krowę. Odbywało się to „w granicach normy” i tak czy inaczej zaakceptowane zostało przez Niemców.

Gertruda Grządkowska miała „dojście” do jednego ważnego Niemca w Krzemieńcu, toteż i w tym przypadku potrafiła odpowiednio ustawić Niemców do polskiej sprawy. Tym łatwiej jej to poszło, że już w tym czasie Niemcy zaczęli obawiać się rosnących wciąż w siłę upowców.

Rybcza leżała na szlaku Krzemieniec – Katerburg Donowe – Szepetówka, gdzie jeszcze stały ich niewielkie garnizony wojskowe. Zależało im na utrzymaniu na tej trasie większego bezpieczeństwa. A od czasu jak policja ukraińska poszła do lasu, to i przestała służyć Niemcom ukraińska administracja na tym terenie.

W Rybczy był też zbudowany drewniany most, którego nie dało się ominąć. W razie napadu banderowców most ten byłby zagrożony. Brak tego mostu utrudniałoby im łączność z resztą administrowanego przez nich terenu. Toteż powstanie samoobrony polskiej w Rybczy było Niemcom na rękę.

Nie tylko, że zaakceptowali jej istnienie ale na złożoną oficjalnie prośbę do gebitzkomisarza Millera w Krzemieńcu przez mieszkańców Rybczy broń nie tylko, że obiecali ale nawet jeszcze przed świętami Wielkanocnymi sami ją do Rybczy przywieźli.

Otrzymaliśmy od nich 12 krótkich karabinków francuskich i do każdego po 20 szt. amunicji. Broń tę należało oczywiście oficjalnie pokwitować i chociaż pozornie stworzyć drużynę wartowniczą oraz wyznaczyć dowódcę. Do tego zadania wyznaczony został sierżant Stefan Gołębiowski. Stąd też już po wojnie również on uważał się za dowódcę samoobrony Rybczy. Wypada jeszcze dodać, że w latach 50 sierżant Gołębiowski mieszkający na Ziemiach Odzyskanych został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa i oskarżony o współpracę z Niemcami. Na szczęście po przesłuchaniu i zeznaniach świadków zwolniono go.

Uzyskana przez nas w ten sposób broń była też parawanem dla posiadanej już przez nas wcześniej. I tej wydobytej z żołnierskich mogił, z różnych skrytek a także kupowanej od samych Niemców. Za jeden karabin dawaliśmy im kilo masła a za każdą sztukę amunicji płaciliśmy jajkami.

I tak to wspomina Stach Sekuła. Nasze życie toczyło się wówczas rzecz można w wojennym trybie. Całymi nocami obrońcy czuwali na swoich placówkach i obserwowali łuny pożarów, które nocami rozjaśniały niebo. W sąsiedzkich wioskach ginęły polskie rodziny, które jeszcze pozostały pomiędzy Ukraińcami.

Upowcy kontynuowali akcję, czerwonej, wielkanocnej nocy. Codziennie nadchodziły tragiczne wieści o kolejnych ofiarach upowskich napadów.

24 marca 1943 r we wsi Szpikołosy w gminie Bereżek zamordowano 10 osób. Przed świętami Wielkanocnymi w Wielki Czwartek na kolonii Zakora w gm. Uhorek wymordowano 93 osoby. Z tego wielkiego pogromu zdołał jedynie uciec Marcin Dobrowolski z trzema synami oraz Albin Jastrzębski.

15 maja we wsi Szpekołosy zamordowano Macieja i Franciszka Zachów. Pozostali Polacy z trwogą opuścili swoje domostwa i ukryli się w Krzemieńcu.

We wsi Sosnówka mieszkał gospodarz Wincenty Kucharski. Obawiając się banderowców przeniósł się z rodziną do Rybczy i zamieszkał u teściowej. Kilka dni później jego żona Salomea koniecznie chciała pojechać do Sosnówki aby zabrać coś jeszcze z domu oraz pozostawioną tam krowę. Kucharski sam nie chciał jechać i stanowczo odradzał żonie. Ona jednak wzięła ze sobą 9 letniego syna, za furmana Ukraińca Iwana, który pomagał im w gospodarstwie i we trójkę pojechali.

Iwan był pewny, że jemu nic nie grozi. Tymczasem nikt z nich do Rybczy nie powrócił. Już po wkroczeniu Armii Czerwonej w 1944 roku córka Kucharskich Janina pojechała tam z sowieckim kapitanem. Od dawnych sąsiadów dowiedziała się, że jej matka była wówczas w Sosnówce. Kiedy przywiązała krowę do wozu i mieli już odjeżdżać, wtedy niespodziewanie pojawili się banderowcy. Zabrali całą trójkę i wyprowadzili w pole.

Iwanowi nie darowali, że jeszcze pomaga Polakom. Kazali mu wykopać duży dół, nad którym ich wszystkich rozstrzelali i w tym dole ich razem pochowali.

Stanisław Stefański, przebywający w Rybczy wybrał się w daleką drogę do swoich córek do Kamieńca. Z Rybczy wyjechał ale do Kamieńca nie dojechał. Gdzieś na tej drodze ma swój grób.

W gm. Dedorkały zostali wymordowani mieszkańcy wsi Michałówki. Jedną z nich Ludwikę Gajewską uchodzącą samopas zamordowano w drodze z Michałówki do Szyroboru.

Wiosną 1943 roku zbierała dziesiątki a nawet setki polskich ofiar. W tej sytuacji liczba mieszkańców Rybczy stale się powiększała. Polacy, którym udało się uciec z życiem schronili się pod skrzydła naszej samoobrony, gotowej w każdej chwili do odparcia ataku banderowców. Nie wiedzieli oni jak dużą siłą dysponujemy i gdzie rozlokowaliśmy główne punkty obrony. Różnymi sposobami próbowali wywiedzieć się czegoś o naszej przygotowanej samoobronie. Próbowali też sprawdzać naszą czujność.

Pewnego razu Antoni Piotrowski gospodarz mieszkający na skraju wsi uchwycił nieznanego nam osobnika zagląającego do okien jego sąsiadów. Złapany nie chciał ujawnić swego nazwiska.

Przesłuchiwano go na poddaszu szkoły, w mieszkaniu nauczyciela. Było już po zachodzie słońca. Komendant Mytkowski polecił zaprowadzić go do piwnicy na noc. Podczas schodzenia, po zewnętrznych schodach szkoły osobnik ten zdołał zerwać więzy, po czym ściągnął opaskę z oczu i momentalnie rzucił się do ucieczki. Razem z Janem Peteską staliśmy w pobliżu. Ukraińiec pryskał ile sił w nogach. Widzieliśmy jego ucieczkę ale nie mogliśmy użyć broni, gdyż za uciekającym na linii strzału biegł Jurek Niwiński.

W pewnym momencie Niwiński potknął się i upadł. Wówczas uciekinier skręcił w lewo w kartofliska. Zdołał zeskoczyć jeszcze ze skarpy do rowu ale pod urwiskiem tam został trafiony kulą.

Innym razem do dowództwa samoobrony młodzi obrońcy doprowadzili mężczyznę w niemieckim mundurze. Miał przy sobie karabin, udawał Niemca i mówił tylko po niemiecku. Twierdził, że nazywa się Nanczor, pochodził z Zahajec Wielkich i idzie do domu na urlop. I w tym przypadku okazało się, że był to upowski wywiadowca.

Od dłuższego czasu na drodze z Woli Rycerskiej do Zawady około pierwszej w nocy słycać było przejeżdżającą furmankę. Pewnej nocy komendant Mytkowski wysłał ośmioosobowy zwiad aby sprawdzić kto tam tak stale jeździ.

W Woli Rycerskiej po obu stronach drogi były zabudowania osadników wywiezionych na Sybir. Zajęliśmy stanowiska za stodołą Marsa. W jego zabudowaniach przez jakiś czas zamieszkiwali Ukraińcy i dlatego jego stodoła nie została rozebrana. Czekaliśmy około godziny. I znów na drodze zaterkotała furmanka. Znienacka oświetliliśmy ją rakieta.

Spłoszone konie ruszyły z kopyta galopem. W pobliżu zabudowań ruin Fudalskiego wyskoczyło z nich czterech mężczyzn. Pobiegliśmy za nimi. Nastąpiła chaotyczna wymiana strzałów. Jednego banderowca raniliśmy w pobliżu zasypanej studni. Tego odprowadziliśmy do dowództwa. Schwytanym okazał się Ukrainiec, mieszkaniec wsi Jankowce.

Pewnego razu zdarzyła się rzecz nader dziwna. Na jakieś dwa miesiące przed największym napadem – opowiada Janek Pilecki, od wieczora do północy pełniłem wartę na końcu wsi od strony Krzemieńca. W środku nocy usłyszałem turkot wozu zbliżającego się w moim kierunku od strony wsi. Widząc szybko zbliżający się do mnie wóz, krzyknąłem – Stój! Kto jedzie? Wóz toczył się jednak nadal. Miałem pietra i chyba ze strachu wypaliłem w tamtą stronę dwa razy. Wóz przystanął a wystrzały zaalarmowały wieś. Zbiegło się trochę ludzi wraz z dowódcą. Przy zachowaniu wszelkiej ostrożności doszli do nieznanego pojazdu. Wóz był zaprzężony w parę koni ale był bez woźnicy. Jeden koń od mego wystrzału został trafiony i padając zatrzymał wóz.

Sprawa była prawdę mówiąc dla nas żenująca i szerzej nie rozgłaszana. Jak to się stało, że wóz bez woźnicy przez nikogo nie zauważony przejechał przez całą wieś, trudno było sobie wyobrazić. Najwidoczniej warta postawiona od strony Katerburga prysnęła. Ale droga przez wieś ciągnęła się przeszło kilometr. I nikt tego nie słyszał. Jak to się mogło stać sami zachodziliśmy w głowę. W każdym bądź razie doszliśmy do wniosku, że banderowcy chcieli wybadać naszą czujność, którą od tego czasu zaostrzyliśmy, warty wzmocniliśmy.

Ja – dopowiada Janek Pilecki w nagrodę dostałem wóz, ocalały koń został przydzielony jednemu z gospodarzy, który był gońcem czy też łącznikiem a wartownicy, którzy tej nocy zaspali w „nagrodę” dostali porządną naganę i dodatkowe warty.

Na początku lipca 1943 r. – opowiada Stach Sekuła coś mnie podkusiło aby wybrać się do Katerburga. W tym czasie byli tam Niemcy i z tego powodu nie wziąłem ze sobą żadnej broni. Kiedy uszedłem już dobry kilometr drogi i znalazłem się na wzgórzu, chyba odruchowo obejrzałem się i wtedy zdrętwiałem. Zobaczyłem, że dom Wiktora Grądkowskiego znajdujący się zaraz za naszymi zabudowaniami stoi w płomieniach. Niewiele myśląc zawróciłem w kierunku wsi. Wtedy usłyszałem odgłos wystrzałów karabinowych i w tym momencie od strony wsi doleciały do mnie głośne okrzyki i wołanie o pomoc. Syrena alarmowa wzywała już do pomocy. Nie było wątpliwości, że banderowcy napadli na futor. Ze wsi wybiegli uzbrojeni strażnicy i szeroką tyralierą podążali w kierunku palących się zabudowań Wiktora Grądkowskiego. Pobiegłem za nimi. Wkrótce dołączyłem do tyraliery. Dobiegł do nas syn naszego sąsiada Mazurkiewicza. Był mocno zziębnięty, w biegu opowiadał, że kiedy usłyszał strzelaninę akurat pasł konie przy naszej studni. Był przekonany, że zamordowano moją rodzinę. Zaszliśmy tam od strony sadu. Na moim podwórku i w moim domu była całkowita cisza.

Baliśmy się tam wejść, obawialiśmy się zasadzki. Nie mogliśmy się jednak zbyt długo ociągać. Stanisław Niwiński dał mi swój pistolet. Rozejrzeliśmy się wkoło i z dużą ostrożnością weszliśmy na podwórko. Ale tu nadal panowała cisza. Nie było żadnych śladów napastników ale nie było też i domowników. Na nasze wołanie nikt nie odpowiadał. W domu było pusto. Pobiegliśmy w stronę dalszych zabudowań. Ale nie widać tam było żywej duszy. Wszyscy mieszkańcy gdzieś uszli.

Uciekli na czas i ukryli się w zbożach. Banderowcy widząc nadciągającą tyralierę wycofali się w kierunku Kuszlina. My szliśmy dalej. Zaglądaliśmy do opustoszałych domostw. Pod wieczór doszliśmy do dopalającej się zagrody Rybiałków. Spod ich spalonego domu wysunęły się dwie śmieszne okopcone i wychudzone postacie. Były to – Rybiałkowa i jej córka Emilia. Były przerażone. Gdy dostrzegły zbliżających się banderowców zdążyły wbiec do ogrodu i ukryły się w małym loszku. Widziały potem jak palił się ich dom. Później wylazły z chłodnego loszku i aż do naszego przyjścia przesiedziały w osmolonej piwnicy, pod zgliszczami spalonego domu.

Dzięki Bogu napad ten nie przyniósł ofiar w ludziach. Zbawienną ochroną były wtedy wysokie dojrzewające zboża, które osłaniały uciekających z zabudowań Polaków. W zbożu ukryła się też moja rodzina. Zostały spalone tylko dwa domy – Grządkowskiego i Rybiałków.

Czuliśmy jednak, że to są jedynie wstępne zagrywki do silnie zorganizowanego napadu. Musieliśmy się do tego przygotować, przeliczyć i rozstawić nasze siły w paru zasadniczych punktach naszej wsi i wzmocnić czujność w ciągu dnia, a szczególnie w nocy. Ale zanim miało to nastąpić nieszczęście na mieszkańców spadło wewnątrz wsi.

4 lipca 1943 roku w Rybczy wybuchła silna epidemia tyfusu. Nie było lekarstw, środków opatrunkowych i higienicznych. A przede wszystkim brak było służby lekarsko-sanitarnej. To wszystko utrudniało walkę z gwałtownie rozszerzającą się epidemią. Szpital w Krzemieńcu nie był w stanie udzielić nam większej pomocy. Do szpitala przyjęto zaledwie kilku chorych osób. Kilkudziesięciu chorych przebywających w szkole bez lekarstw i opieki medycznej w krótkim czasie zmarło. Zmarłych pochowano na cmentarzyku, który powstał niedaleko szkoły. Grzebanie zmarłych na cmentarzu parafialnym w Kateburgu było już zbyt niebezpieczne. Wieść o epidemii, o wielkim dramacie Rybczy szerokim echem rozeszła się po powiecie.

Tymczasem do Rybczy docierały późne echa kolejnych tragicznych losów zamieszkałych na Wołyniu Polaków. Do Rybczy przybywali coraz to nowi uciekinierzy z pobliskich okolic. Przynosili najróżniejsze, tragiczne wieści. Śmierć szczególnie w lipcu tego roku zbierała swoje obfite żniwo.

Któregoś lipcowego dnia w Rybczy pojawił się nikomu nieznany człowiek imieniem Bolesław. Był strasznie pokrwawiony, obdarty i brudny. Opowiadał straszne historie swojej rodziny i swojej wsi.. Pewnego poranka banderowcy otoczyli ich wieś.

Zamieszkałym tam Polakom kazali załadować swoje rzeczy na drabiniaste wozy. Gromadnie opuścić wieś i udać się tam, gdzie się im podoba.

Ale kiedy znaleźli się na szosie zostali otoczeni przez uzbrojonych Ukraińców, którzy nakazali skierować wozy na polną drogę prowadzącą w kierunku polany w lesie. Polacy przeczuwając co ich tam czeka zaczęli płakać i lamentować. Co się działo potem na leśnej polanie trudno opisać. Polacy bronili się jak mogli, walczyli z Ukraińcami tym co kto miał pod ręką. Bolesław był tam z żoną i dwójką dzieci. Na wozie mieli cały swój dobytek lecz nie o niego walczyli – bronili swego życia.

Ale siły były nierówne. A kobiety i dzieci błagały tylko o litość. Ich los mimo rozpaczliwych wysiłków był przesądzony. Bolesław w trakcie zmagania z jednym z napastników drapieźnie bronił rodziny i w czasie walki wydułab napastnikowi oko. Co się potem wydarzyło, co stało się z jego rodziną i z innymi Polakami nie miał pojęcia.

Słyszał tylko okropne krzyki i lament. A widząc straszne pobojuwisko rzucił się do ucieczki. Sam nie wiedział jakim cudem wypadł z lasu. Po jakimś czasie ocknął się w zbożu. Był prawie półprzytomny. Miedzami i polami dowlókł się do Rybczy.

Nie wiadomo jakimi drogami przybyła do Rybczy 4 osobowa rodzina Gardzińskich z Domaninki, gdzie była znana na całą okolicę kaplica z cudownym obrazem Matki Boskiej /Domaninka – daw. Bereżanka wieś w pow. Krzemieniec parafia Łanowce/. Historia tych ziem podaje – „W samym środku wsi Doamninki, na górze drzewami zasadzonej wznosi się niewielka kaplica, w której w soboty solennie odprawia się nabożeństwo z litaniami i pieśniami do Matki Boskiej z tutejszym obrazem cudami słynącym a pobożni z dalekich nawet okolic zgromadzać się tutaj w ten tydzień zwykli.”

W tej to wsi do domu rodziny Jardaińskich przyszło dwóch uzbrojonych Ukraińców. Sterroryzowali Gardaińskich i zwyczajnie oświadczyli im, że mają polecenie ich zabić. Małżonkowie Gardaińscy, ich dorosły syn Kazik i jego żona Niusia poprosili Ukraińców o ostatnią modlitwę przed obrazem Matki Boskiej. Po czym wszyscy czworo uklękli i razem głośno odmówili Zdrowaś Mario i Pod Twoją obronę.

Wtedy panowała epidemia tyfusu.

Podkarmili i napoili swoje konie, sami nieco ochłonęli z wrażenia i opowiedzieli Rybczanom o swoim dziwnym ocaleniu. Matce Boskiej Domanieńskiej podziękowali za jeszcze jeden cud, który sprawiła i wyruszyli w dalszą, niepewną drogę do Krzemieńca. Zaiste dziwne są wyroki boskie.

Ale przykazy – rozporządzenia UPA były bardzo rygorystyczne nawet do Ukraińców. „Niejednokrotnie sprawdzano wierność idei ukraińskiemu nacjonalizmowi” i „Samostijnej Ukrainie” przez polecenie zabicia najlepszego z polskich sąsiadów.

„Kto dawniej chałupa w chałupę, bok w bok żył w przyjaźni. Wsio rawno Polak, Białorusin czy Ukrainiec, teraz już sam nie wiedział czy jego sąsiad,

choć tutejszy z wrogami trzyma. /H. Auderska „Babie lato” str. 12/.

Kazimierz Kurzej przedwojenny wójt gminy Katerburg miał stryjecznego brata Adasia, który mieszkał i pracował w Szumsku, jako urzędnik. Adaś żonaty z Czeszką Jadwigą z domu Holouszek. Jej ojciec miał piekarnie albo sklep rzeźniczy.

Adaś ukończył gimnazjum w Krzemieńcu, należał do Strzelca, był bardzo miłym, dobrym człowiekiem, który rzecz można nie miał żadnych wrogów. Ale jak się okazało „prykaz” to „prykaz”. Przyszło do niego trzech, czy też czterech znajomych Ukraińców. Wywołali go z mieszkania na „krótką sprawę”. Chciał się jeszcze ciepiej ubrać bo na dworze było chłodno ale powiedzieli mu „Nie treba”. Po czym zaprowadzili go pod kościół, powiedzieli mu, że mają „prykaz” zabić go i nie zwlekając „prykaz” wykonali. Ale do domu Adasia wrócili jeszcze. Jego rodzinie żadnej krzywdy nie uczynili, no i tak po sąsiedzku poradzili aby rodzina zabrała jego ciało i pochowała go. Postąpili ot tak, po prostu po sąsiedzku.

W połud-wschd. części pow. Krzemienieckiego we wsi Wanżułów zamieszkiwał młynarz Franciszek Szreffel z rodzina oraz jego brat Stanisław, również właściciel młyna wodnego. Franciszek Szreffel znany był na całą okolicę. Z mąki zmielonej w jego młynie pieczono chleb i gotowano „hałuszki”. Znany też był ze swojej zadzierzystości ale i ze serdecznej wesołości. Jego młyn był miejscem spotkań, okazją do pogadania o polityce i gospodarce a także do chłopskich zmagani i rubasznym żartów, od których zresztą i sam młynarz nie stronił Chętnie gospodarze do niego jechali mleć zboże. Po powrocie było o czym pogadać i z sąsiadami pośmiać się. I tak do następnej potrzeby zmielenia zboża na mąkę.

I tak było od lat. Aż przyszła wiosna 1943 r.. Ktoś w swoim pamiętniku zanotował – „W przeciwieństwie do dziejów ludzkich, wiosna 43 roku jest piękna i łagodna. Sady kwitną obficie i zapowiadają bogactwo owoców. Trawa w słońcu jest utkana żółtymi kwiatami mlecza, jak niebo gwiazdami” o Na przeciwieństwo, ta druga wiosna 1943 r., która niosła śmierć ludziom. Tej wiosny brat Ukrainiec powiedział braciom Polakom – „Na Welykden Laćkoju krowju jajcie krasyty budem....”.

Już wczesną wiosną w Wanżytowiu w pobliżu Białozórki zorganizowano upowską placówkę. Jej „komandirem” był batiuszka Wesołowski. Pewnej niedzieli, po nabożeństwie w miejscowej cerkwi batiuszka „przemówił” do swoich „wiernych”, poświęcał im kosy i siekiery, namawiał ich by szli „rizaty Lachów”.

Zaprzyjaźniony ze Szreffelem Ukrainiec mieszkaniec Kornaczówki uprzedził młynarza o grożącym Polakom niebezpieczeństwie. Szreffel zrozumiał, że nie ma już na co czekać. Należało im wszystkim stamtąd uchodzić. Następnego dnia, bladym świtem Szreffel ubrał się z chłopska, wziął laskę i przez nikogo nie zauważony, cichaczem wymknął się z domu.

Zdjął buty i na bosaka powędrował skrajem rzeczki, która dostarczała wodę do jego młyna. Potem trochę łąkami, to polami doszedł do Łanowiec. Tu na szosie było nieco bezpieczniej.

W najbliższą niedzielę jego żona poprosiła zaprzyjaźnionego z nimi Ukraińca aby zawiózł ją swoim wozem na mszę do kościoła w Łanowcach. Tam spotkała się z mężem no i oczywiście do Wenzutowej już też nie powróciła. W domu pozostała matka Fran. Szreffela Wiktoria i jego siostra Karolina. Obie postanowiły tam pozostać. Wiktoria ufała Ukraińcom. Nigdy im żadnej krzywdy nie zrobiłam – mówiła, nigdzie stąd nie pojedę!

Natomiast siostra Karolina była tam felczerem. Często leczyła Ukraińców przy każdej chorobie coś poradziła a na przednówku pomagała co biedniejszym – dawała im mąkę i kaszę.

Stanisław Szreffel był jej najukochańszym synem. Odkąd w 1941 roku zabrali go Sowieci oczy za nim wypłakiwała. Pilnowała młyna i czekała na powrót swego Stasia. Nie mogła pozostawić tego wszystkiego na zmarnowanie i też nie chciała wyjechać z Wanżutowa, choć jej tak doradzano.

Życzliwi Ukraińcy, bo nie wszyscy przecież byli podli, opowiedzieli potem Szreffelowi w jak okrutny sposób miejscowi banderowcy zamordowali jego matkę i siostrę.

Działo to się koło stawu, na łące pod Moskalówką. Po wymyślnych torturach obie kobiety banderowcy zakopali do ziemi i zasypali kamieniami. A udział w tym brał ich własny mielnik i młoda służąca.

Dopełnieniem tragedii tej rodziny było zamordowanie w Roztokach brata Szreffelowej Kazimierza Sawickiego oraz jego syna Feliksa. A pod Wiśniowcem zginął ich kuzyn Tadeusz Szreffel, były kierownik szkoły w Okurnach.

W Wanżylowie mieszkały jeszcze dwie polskie rodziny – Pasłowskich i Iszczuków, które posługiwały się wprawdzie językiem ukraińskim ale byli to katolicy. Pewnej nocy obie te rodziny też zostały zamordowane. Ocalała tylko stara Pasłowska, która w czasie napadu w ostatniej chwili wcisnęła się do chlebowego pieca i dzięki temu ocalała.

Szreffelowie wyjechali z Łanowiec do Krzemieńca. Ich droga prowadziła także przez Rybczę. Była to droga wówczas bardzo niebezpieczna ale innej drogi nie było.

Potem Szreffel jeszcze przez jakiś czas prowadził w Wiśniowcu młyn wodny. Dzięki temu od czasu do czasu dostarczał Polakom w Krzemieńcu mąkę i kaszę. Banderowcy kilkakrotnie próbowali młyn ten zdobyć. Był on jednak dobrze chroniony przez Madziarów oraz przez miejscowych Polaków. Ale przyszedł czas gdy i tam zrobiło się bardzo „gorąco”. Było to późną jesienią 1943 roku. Wtedy Niemcy i Madziarzy wynieśli się do Krzemieńca. Zresztą i na froncie wschodnim grunt palił się im już pod nogami. Szreffel zrozumiał, że już i on powinien się stąd wynosić. Wkoło szalał terror nacjonalistów ukraińskich.

Polacy zamieszkujący w Wiśniowcu i okolicznych wiosek schronili się za murami starego wiśniowieckiego klasztoru św. Michała. Ale swego ostatecznego, strasznego losu, który ich tam na przełomie zimy 1943/1944 roku czekał jeszcze nawet nie przewidywali. Wszyscy oczekiwali rychłego końca wojny. Wiedziano o powstałej w Związku Sowieckim Dywizji im. T. Kościuszki.

Im słonko wyżej, tym Polska bliżej - powiadali ludzie. Ale póki co Wojsko Polskie było jeszcze daleko, w całej okolicy z rąk oprawców wciąż ginęli Polacy i groźna burza zbliżała się do Rybczy.

3 sierpnia 1943 roku nastąpił największy groźny napad na Rybczę. Dziś trudno jest odtworzyć dokładny przebieg tego napadu i relacjonować w szczegółach obronę jej mieszkańców.

Dwaj główni dowódcy samoobrony już po wejściu Sowietów, w kwietniu 1944 roku zostali podstępnie zwabieni i w bestialski sposób zamordowani.

Rok później mieszkańcy Rybczy, którzy dotrwali do końca wojny opuścili wieś i przenieśli się na Ziemie Odzyskane. Wielu z nich już pomarło a ci, co jeszcze żyją to są już ludzie starzy, schorowani, sfrustrowani, zmęczeni życiem. Jakże im wspominać te czasy? Niewiele już zresztą pamiętają a poniekąd już nie chcą pamiętać. Powiadają, że jeszcze dziś się tego boją!

Z różnych wątków, ze strzępów opowiadań i z tego co nie zostało dopowiedziane o ich dramatycznej samoobronie trzeba zrobić jednolity zapis dla historii. Ale będzie to przede wszystkim obraz ich zmagania a może już tylko legenda.

Była wtedy jasna, księżycowa noc. Jedną z takich, jakie bywają tylko w lipcu i w sierpniu. Tę jasną noc jeszcze bardziej rozświetlił pożar rzeźni w Katerburgu. Łunę pożaru widać było daleko. Podpalenie rzeźni było hasłem do rozpoczęcia napadu na Rybczę.

Okolo godz. 23 cała Rybcza została otoczona i ostrzelana przez wielką siłę banderowców, rekrutujących się głównie z mieszkańców pobliskich, ukraińskich wiosek. Napastnicy próbowali od razu z miejsca opanować całą wieś. Ale Rybczanie na taką ewentualność byli dobrze przygotowani. Wokoło placówek obrony przygotowano okopy i rowy. Było też dość broni i amunicji. Obronę utrudniało tylko znaczne rozrzucenie placówek obrony i każda w zasadzie mogła liczyć tylko na własne siły. Ale pierwsze uderzenie obrońcy rozlokowani na swoich placówkach skutecznie odparli pierwszym ogniem.

Widząc jednak przeważającą siłę napastników stopniowo zaczęli wycofywać się w stronę szkoły. Po drodze sprawdzali aby wszyscy mieszkańcy zdolali zniknąć ze swoich domów. Niektórych napad zastał w łóżku, w głębokim śnie. Byli przerażeni, zrywali się, zbierali tylko to co mieli przygotowane pod ręką i w popłochu uciekali.

Na szczęście banderowcy nie byli też zbyt odważni, nie chcieli za bardzo ryzykować swoim życiem i posuwali się powoli i w bezpiecznej odległości.

Ale krok po kroku dochodzili do pierwszych zabudowań, które wkrótce zaczęły płonąć. W ogniu rozszerzającego się pożaru ruszyli na środek wsi i podpalali kolejne zabudowania. Łuna pożaru była tak wielka, że widoczna była jak za dnia. Wielkie kłęby dymu i snopy iskier tworzyły dodatkową scenerie do zaistniałej groźnej sytuacji.

Z obu stron rozterkotały się karabiny maszynowe. Na zmianę trzaskały pojedyncze wystrzały karabinowe. Niosły się jakieś wołania, jakieś krzyki, gdzieś w różnych miejscach wybuchały granaty. Środkiem wsi biegli ludzie i unosili ze sobą resztki uratowanego dobytku. Wszyscy uciekali do murowanej szkoły, która była głównym bastionem obrony i dawała bezpieczne schronienie..

Wszakże też parę placówek obrony usytuowanych w murowanych budynkach i dobrze ufortyfikowanych utrzymywało się na swoich stanowiskach. Wystrzały obrońców z automatów i karabinów maszynowych skutecznie odstraszały napastników.

Grozę sytuacji podnosiła syrena alarmowa, która bez przerwy zawodziła na całą okolice. Przerażliwie wyły psy w zamkniętych, palących się oborach i chlewikach ryczało pozostawione tam bydło i rozpaczliwie kwiczały świny zamknięte w kojcach. Temu wszystkiemu akompaniowała ostra strzelanina i gwałtownie rozrywające się granaty. W całej wsi zapanowało wielkie przerażenie.

Na szczęście ogół mieszkańców i uchodzący z placówek obrońcy na czas schronili się w szkole. W szkolnych salach stłoczyło się wielu mieszkańców. Wszyscy byli okropnie przerażeni ale gotowi byli bronić się do upadłego, do ostatniej chwili, do walki wręcz. Kto nie miał broni, ten chwycił za narzędzia gospodarskie – widły, łopaty, siekiery. Starsi mężczyźni przygotowywali się do pomocy młodszym obrońcom, którzy czatowali przy każdym oknie a kobiety uspakajały płaczące dzieci. Wkoło szkoły, w przygotowanych okopach przyczaili się najlepsi strzelcy.

Naturalną fortyfikację tworzyła wysoka skarpa dająca możliwość skutecznej obrony w przypadku bezpośredniego ataku od południa. Toteż rzec można szkoła trudna była do zdobycia. Banderowcy zdawali sobie z tego sprawę i nie porywali się do atakowania z bliska.

Kiedy po I wojnie światowej Rybczanie zdecydowali się wybudować nową szkołę, nikt z nich nie przeczuwał, że w latach II wojny stanie się ona niezdobytą twierdzą obronną i dzięki temu ocaleje ludność Rybczy.

Kilku obrońców dyżurujących na placówce koło domu Słoniny wspomina Tadeusz Grządkowski, przebywało w stodole Piotrowskiego. Słyszając strzelaninę wybiegliśmy na dwór. Banderowcy podchodzili od strony Woli Rycerskiej i Horynki. Ja z ojcem pobiegliśmy do domu Słoniny, gdzie stał nasz karabin maszynowy. Szybko wyciągnęliśmy go przed om. Niestety, tym razem już po pierwszej serii strzałów zaciął się. Próbowałem coś z nim zrobić. Ale nie dałem rady. Ojciec naglił. Sam przyczaił się za rogiem domu. Miał przy sobie

wypróbowany karabin ale oszczędzał naboje. W ciemnościach nocy wypatrywał napastników..

Raptem dostrzegłem, że dom Piotrowskiego pali się. Wówczas ojciec nakazał mi z uszkodzonym karabinem zmykać w kierunku szkoły. Chwyciłem go obiema rękami ale był ciężki i było mi nieporęczne. Pociągnąłem go wręcz za sobą i upadłem w jakieś kartoflisko. Za miedzą, na sąsiednim polu rósł dorodny tytoń. Pobiegłem tam chyłkiem i przywarłem na chwilę.. Obok siebie, w zielonej gęstwinie dużych liści tytoniu dostrzegłem zięcia Słoniny Antoniego Piotrowskiego. Miał on przy sobie sprawny karabin ale bał się chyba bardziej ode mnie. Niewiele mówiąc i nie namyślając się wiele chwyciliśmy razem za karabin maszynowy i pociągnęliśmy go przez pole w kierunku szkoły. Za nami słychać było jakieś wystrzały.

Noc była księżycowa. Widoczność była dobra. Na wyprzątniętym ściernisku stały szeregami nie zwiezione jeszcze kopki zboża dające możliwość ukrycia się. Położyliśmy się w ich cieniu i przywarliśmy bez ruchu do ziemi. W pewnej chwili dostrzegliśmy jakieś ciemne postacie posuwające się w naszą stronę.

Kłęli po ukraińsku i szli szeroką tyralierą pomiędzy kopkami zboża. Szczęśliwie nas nie dostrzegli. Obserwowaliśmy ich pilnie i mieliśmy ich na „muszce”. Ale jak z jednym karabinem stawać przeciwko kilkunastu Ukraińców? Zachowaliśmy się więc cicho. Oczekaliśmy jakiś czas aż zniknęli nam z oczu i potem ostrożnie ruszyliśmy za nimi w kierunku szkoły. Ale tam zniecka powitały nas strzały. Znowu musieliśmy przypaść do ziemi.. W nocy trudno było rozpoznać kto swój a kto wróg.

Jakieś pół kilometra na zachód od szkoły przy drodze na futory, w pobliżu murowanego domu Niwińskiego wywiązała się silna strzelanina. Z tej strony grasowali banderowcy z Wilii i Ceczyniówki. Ale obrońcy kryjący się w murach domu i przygotowanych okopach celnymi strzałami nie dopuszczali napastników w pobliże domu. Od strony północnej, po drugiej stronie wsi paliły się czyjeś zabudowania. Banderowcy nacierali. Ukryliśmy się w jakichś chaszczach i przeczekali tam do rana.

Była to letnia, pogodna noc – dopowiada Stanisław Sekuła. Razem z Janem Peterką i Józefem Wyszomirskim byliśmy na warcie koło mego domu. Atak z Horynki nastąpił nagle. Byliśmy zaskoczeni. Odpowiedzieliśmy pojedynczymi strzałami i rakietami świetlnymi, czym daliśmy sygnał o napadzie innym placówkom.

Banderowcy dopadli najpierw do stojącego na skraju futuru domu Piotrowskiego i podpalili go. Nasza grupa wybiegła na drogę. Puściliśmy tam serie strzałów ale zdawaliśmy sobie sprawę, że nie na wiele to się zdało. Wtedy po drugiej stronie zapaliły się zabudowania gospodarskie Jancykowskiego. Jego dom był murowany, kryty czerwoną dachówką i ogień go nie brał. Ale paliła się stodoła i obora. Na szcz

Zdawaliśmy sobie sprawę, że będziemy musieli wycofać się i zamieraliśmy podążyć już w kierunku szkoły. Nagle dostrzegliśmy, że płonie też dom Słoniny a także stojący nieco dalej mój dom i stodoła.

Pobiegliśmy w tamtą stronę i przyczailiśmy się za krzakami. W pobliżu zabudowań Słoniny kręciło się kilka postaci. Kto wy? Zawołałem głośno. Swój – padło w odpowiedzi. Więcej nie pytałem, pociągnąłem za spust. Słysząc było ukraińskie przekleństwa. Następną serią strzałów wystraszyła banderowców.

Chwilę odczekaliśmy i mieliśmy wracać ale ktoś biegł w naszą stronę. Okazało się, że uratowaliśmy Józefa Grządkowskiego, który pozostał sam a widząc nadchodzących banderowców ukrył się w domu Słoniny. Ukraińcy podpalili dom i próbowali go stamtąd wykurzyć. On strzelając przez okno odstraszał napastników. Zjawiliśmy się na czas.

Po drugiej stronie drogi, w domu Peterki ukrywał się młody Żydek z Katerburga o którym już mówiliśmy. Gdy rozpoczęła się strzelanina skrył się w lochu na kartofle. Również i jego wybawiliśmy z opresji. Kiedy zobaczył naszą grupę, wybiegł na drogę i dołączył do nas. Stamtąd razem pospieszyliśmy już do szkoły.

Banderowcy z Horynki, którzy szeroką tyralierą podążali w kierunku wschodnim, po drodze natknęli się na placówkę, którą dowodził Franciszek Mytkowski. Tam wywiązała się najbardziej zacięta walka, która trwała do samego rana.

Komendant Mytkowski dowodził placówką, która broniła dostępu do szkoły od południa. Miał tam sprawną obsługę karabinu maszynowego i pluton dobrze wyszkolonych strzelców. Jego głównym zadaniem było nie dopuszczenie napastników w pobliże szkoły. I jak się później okazało on i jego chłopcy na darmo naboju nie marnowali. Byli dobrze przygotowani.

„Kilka dni wcześniej o mającym nastąpić napadzie uprzedził ich mieszkaniec Wilii Rosjanin Zeńczenko. Wtedy przystąpiono do kopania dodatkowych okopów w dwa rzędy oraz wysunięto placówkę obsadzoną w karabin maszynowy koło zabudowań Wiktora Grządkowskiego na Kolonii”

Obrońcy do rana utrzymywali się w okopach. Strzały ustały o godzinie 7 rano.

Natomiast dowódca placówki AK – Maciej Mysłowski bronił Rybczy od strony Katergurga. Również on na swojej placówce miał dobrze współdziałających akowców, wśród których był też ruski żołnierz Waśka. Znał się dobrze na żołnierskim rzemiośle i strach był mu obcy i wszystkim bojowego ducha dodawał.

W trakcie działań wojennych, w końcu czerwca 1941 r. został ranny w Rybczy, wykurował się i tu już na stałe pozostał. Zadeklarował też udział w samoobronie Rybczy i dobrze się z tego wywiązywał. / z listu Stan. Błażejewskiego/. Był on „prawą ręką” Mysłowskiego / bo i jemu swe ocalenie zawdzięczał/ i był dobrym kompanem w obronie a kiedy można sobie było na to pozwolić to i przy szklance samogonu. Ano – prawdę mówiąc na wszystko

znalazł się odpowiedni czas i odpowiednia pora. Ale w czasie samoobrony był niezastąpionym doradcą i żołnierzem.

„Po walce, o szarówce Ukraińcy zaczęli wycofywać się w stronę wsi Petylkowce, Folwarku, Jackowce, Horynki i Katerburga. Jeszcze wcześniej pozbierali swoich rannych i zabitych „bojców”.

Po wycofaniu się banderowców zaczęliśmy przeliczać następstwa ich nocnego napadu. Przede wszystkim okropny widok przedstawiały pogorzeliska. Napastnicy podpalili 42 budynki, które były pokryte strzechą. Spaliły się doszczętnie. W oborach i stodołach spaliło się sporo dobytku. Po domach pozostały tylko kikuty kominów i resztki niedopalonych domowych sprzętów i naczyń. Dla pogorzalców była to wielka strata. Ich majątek poszedł z dymem.

Natomiast w ludziach na szczęście większych strat nie było. Banderowcy nie odważyli się przystąpić do bezpośredniego starcia z bliska. Z ich strony była to raczej bezładna strzelanina. Zamordowany został jako pierwszy staruszek Piotrowski, który nie chciał wcześniej opuścić swego domu i tam spotkała go okrutna śmierć.

Ponadto znaleziono zabitego w zbożu gospodarza Dabrowskiego. Trudno było jednak ustalić czyja kula dosięgła go tam. Widocznie w ostatniej chwili szukał schronienia w polu. Okazało się zresztą, że w zbożach schroniło się więcej osób, tam przeczekali do rana.

Trzecią ofiarą był Tomasz Grządkowski. Znaleziono go rano, obok jego zabudowań. Był strasznie poparzony i po tygodniu zmarł. Widocznie spał w zabudowaniach, może stodołę a po podpaleniu zdołał wygrzebać się stamtąd i ostatkiem sił ująć z pola ognia.

I trudno się ludziom dziwić – swoje domostwa opuszcza się z ciężkim sercem i do końca ma się tę nadzieję, że się je ocali.

Kolejną ofiarą napadu był mieszkaniec Kolonii Witosowej, który od jakiegoś czasu przebywał w Rybczy. Był mocno pokiereszowany a co gorsze rozrywający się granat oberwał mu rękę. Pocieszaliśmy się tym, że ze strony banderowców musiało być więcej zabitych i rannych. Wskazywały na to liczne ślady krwi.

Na ogół mieszkańcy Rybczy na czas schronili się w dobrze strzeżonej szkole a uzbrojeni obrońcy w murowanych domach i w przygotowanych okopach.

Napad ten wywołał jednak wielką trwogę. Wielu mieszkańców chciało natychmiast Rybczę opuścić i przenieść się do Krzemieńca. Najbardziej molestowali ci, którym spłonęły zabudowania i którzy ponieśli największe straty w oborach. Niektórzy stracili niemal cały swój dobytek. Ponadto do wyjazdu szykowali się biedniejsi gospodarze. Oni oprócz własnego żywota nie mieli już nic do stracenia.

Na szczęście do większego opuszczenia Rybczy nie doszło. Dowódca samoobrony Franciszek Mytkowski przemówił do zgromadzonych Rybczan i przekonał ich, że nadal zdolni są do skutecznej obrony przed banderowcami.

Zebrała się jednak mała grupa bardziej poszkodowanych i zdecydowanych. Przygotowali kilka wozów i załadowali na nie to, co jeszcze im pozostało i wyjechali do Krzemieńca. Parę dni później jeszcze kilka rodzin postanowiło Rybczę opuścić. Zorganizowali niewielki tabor i wyruszyli w drogę. Ale młodzi Rybczanie postanowili temu wyjazdowi zapobiec.

Okrężną drogą dotarli do gór koło Folwarku i tam przycupnęli. Po jakimś czasie, kiedy zza wzgórza wyłoniły się wozy uciekinierów, chłopcy ot tak na postrach trochę sobie postrzelali. Uchodzący gospodarze pomyśleli, że to banderowcy zaszli im drogę i niewiele myśląc w popłochu zawrócili do Rybczy. Przemyślany fortel udał się.

Lato tego roku było pogodne. Zboże na polach szybko dojrzewało i aż prosiło się o sierp i kosę. Bez chleba trudno byłoby mówić o przetrwaniu a chleb mieliśmy jeszcze w polu i czas najwyższy było pomyśleć o zbiorach. Tylko, że do żniw wypadło nam iść z karabinami na plecach. W każdej chwili musieliśmy być przygotowani do odparcia ataku banderowców, których kilka zdarzyło się w biały dzień.

Banderowcy chcąc podejść bliżej do żniwiarzy przezornie chowali się za bydło pasące się na ścierniskach albo za kopki zboża. Aby się przed nimi jakoś ubezpieczyć, zawsze jeden ze żniwiarzy zostawał na warcie i bacznie obserwował pobliski teren. W razie czego dawał sygnał, chwytałyśmy za karabiny i skutecznie odstraszałyśmy napastników.

W pobliżu wsi czuliśmy się zawsze bezpieczniej. Natomiast było gorzej jeśli czyjeś pole leżało daleko za wsią. Ale zboże trzeba było zebrać i chleb na zimę przygotować.

Władysław Dobrowolski miał kawałek pola aż za Katerburgiem. Dobrał sobie kilku uzbrojonych żniwiarzy i wybrali się tam we dwa wozy. Około południa, podczas spożywania posiłku znienacka napadli ich banderowcy. Wywiązała się obustronna strzelanina, podczas której bardzo ciężko ranny został gospodarz Śliwński. Żniwiarze zamiast zboża zdążyli ułożyć na wozie konającego kolegę i ostrzeliwując się napastnikom ogarnięci paniką powrócili do Rybczy. Dla mieszkańców był to dodatkowy cios i poważne ostrzeżenie.

Jakoś zaraz po żniwach, kończy swą długą opowieść Stach Sekuła, rodzice moi zdecydowali pozostawić powstałe po napadzie okropne pogorzelisko i resztki nadpalonego naszego dobytku i wynieść się do Krzemieńca. Załadowałem na wóz parę worków świeżo wymłóconego zboża i trochę innej żywności, zabrałem rodziców i siostrę Zofię i pożegnaliśmy Rybczę na zawsze.”

„Wszystkich nas nie wybili”
Józef Kozubski

Czas przetrwania

Mieszkańcy Rybczyomal do końca lipca 1943 roku chodzili do kościoła w Katerburgu.

Niebezpiecznie już było na drogach, ale szli bo tam w głównym ołtarzu mieli swoją „Pięć”, którą otaczali szczególnym nabożeństwem. Szli, aby wysłuchać kazania, które każdej niedzieli, do coraz mniej licznych parafian wygłaszał ks. Kanonik Dominik Wyrzykowski. On od niepamiętnych lat sprawował tu czynność proboszcza. Z tą świątynią i z nimi związał się od lat swojej młodości. Jak pamiętali najstarsi parafianie – On był tu zawsze.

Znał tu wszystkich. Chrzczył ich i imiona nadawał. Potem przygotowywał do spowiedzi i do komunii św. Uczył jak należy żyć po bożemu. Szli do niego parami aby dać na zapowiedzi i prosić Go o udzielenie sakramentu małżeństwa. Przemawiał do nich na wszystkich uroczystościach kościelnych i państwowych za lata niepodległości. Przez wszystkie Boże Narodzenia, przez wszystkie Zmartwychwstania, Zielone Świątki i Wniebowstąpienia był ich ukochanym duszpasterzem, doradcą, opiekunem i pocieszycielem, ich księdzem Proboszczem.

Ale przyszedł zły czas. Los okazał się nader okrutny, trudno Mu było to wprost pojąć. Czyżby Bóg tak chciał?

Był już bardzo zmęczony, sterany troskami ostatnich lat i dramatycznymi wypadkami ostatnich miesięcy i tygodni. Wiedział już, że trzeba stąd uchodzić. To kazał uczynić tej resztce jego wiernych.

Dla niego i dla nich nadszedł czas rozstania z tą parafią i z tą świątynią; dzień smutku a początek dalekiej, nieznanej Mu jeszcze, czekającej Go wędrówki. Ciężko Mu było na duszy. Był tu tyle lat. Żal Mu było opuszczać tę swoją parafię. Kończył odprawiać msze św., pobłogosławił tych, co do końca wierni Mu byli, w zakrystii pomodlił się jeszcze. Potem wziął stulę, w głąb kieszeni sutanny wsunął swój oprawny w skórę brewiarz. Ale wrócił jeszcze przed ołtarz. Dolał oleju do wiecznego kaganka aby tlił się jak najdłużej. Po czym zdjął „Pięć” i przycisnął ją mocno do piersi -- w oku poczuł łzę – tej świętej figury nie wolno mu było pozostawić na pastwę losu. Rzucił jeszcze okiem wkoło, po świątkach, twarz Mu zadrgała – upadł na kolana. Jeszcze tego samego popołudnia spakował rzeczy niezbędne do kapłańskich posług i wyjechał wozem do Krzemieńca, gdzie znalazł miejsce przy kościele św. Michała.

Przez pewien czas do Rybczy jeszcze przyjeżdżał i tu na podwórku Wawrzyńca Niwińskiego odprawiał mszę polską. Ale droga była niebezpieczna. W drodze z Krzemieńca musiał przejeżdżać przez wieś Folwarki z której polskie rodziny w obawie przed banderowcami już w maju tego roku przeniosły się do Krzemieńca.

Dowództwo samoobrony Rybczy zagroziło mieszkającym tam Ukraińcom spalenie ich wsi, gdyby z ich przyczyny cokolwiek złego przytrafiło się księdzu lub innemu Polakowi.

Nadchodziła jesień. Wojna nabierała nowego biegu. Pewne wiadomości ze świata dochodziły do nas wciąż z Krzemieńca – wspomina Janek Mytkowski. Wiedzieliśmy już o postępującej klęsce Niemiec. Wiedzieliśmy też, że wraz z Armią Czerwoną szło utworzone w Sowietach Polskie Wojsko. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wyzwolenie jest już tylko kwestią czasu. Pozostał nam czas przetrwania. Ale zanim co pomimo ciągłej trwogi przed banderowcami trzeba było zebrać jeszcze z pól kartofle i buraki i zaopatrzyć się na nadchodzącą zimę.

W czasie napadu na Rybczę – opowiada Janek, ponieśliśmy duże straty. Banderowcy spalili naszą stodołę i oborę. Dom na szczęście ocalał, był bowiem pokryty dachówką. U Sekuły też było pogorzelisko, ich spalili doszczętnie. Toteż stryjek Stanisław Sekuła załadował na wóz trochę żywności, zabrał rodziców i siostrę Zofię i wyjechał do Krzemieńca.

Moja mama również namawiała ojca abyśmy wyjechali razem z nimi. Ale ojciec kategorycznie odmówił. Powiedział, że mieszkańców Rybczy nie pozostawi w potrzebie. Za ich los czuł się do końca bardzo odpowiedzialny. Mieszkaliśmy na kolonii, która była czymś w rodzaju ulicy powstałej w wyniku parcelacji w 1936 roku, odległej o jeden kilometr od szkoły.

Tam gdzie wcześniej stała stodoła i obora było straszne pogorzelisko. Po zniwach zboże i słomę trzeba było składać na podwórku. Od tej pory spaliśmy w szkole ale cały dzień przebywaliśmy w domu, gdzie mieliśmy jeszcze krowy i konie a te trzeba było doglądać i obrządzać. Wcześniej mieliśmy jeszcze młodą klacz ale w czasie napadu zabrali ją banderowcy a świnie i drób spłonęły w oborze.

Życie nasze płynęło w trudzie dnia i niepewności jutra. Wszyscy byli już kompletnie wyczerpani. Stałe czuwanie w dzień i w nocy, wieczny strach przed napadem, dokuczał najsilniej. Czuwający obrońcy nie mieli ani jednej spokojnej nocy. Banderowcy pojawiali się z różnych stron, wiele razy próbowali nas zastraszyć i wtargnąć do wsi. Również za dnia zdarzały się mniejsze potyczki i wymiana strzałów.

Pewną pomoc dostaliśmy znów od Niemców. Dostarczyli nam jeszcze więcej broni ale na komendanta obrony przysłali swego człowieka – „folksdojcz” Szrama, który wybrał kilku młodych chłopaków i zorganizował posterunek miejscowej, polskiej policji. Podobne posterunki powstały w tym czasie również w innych miejscowościach. Polacy to zaakceptowali, ponieważ było to przede wszystkim powiększenie broni w polskich rękach. Dla odróżnienia się od członków samoobrony młodzi policjanci nosili białe-czerwone opaski.

Pod zimę, kiedy front znacznie się przybliżył Szram dostał od Niemców rozkaz, ażeby zebrał broń i powrócił z nią do Krzemieńca. Rybczanom szkoda było tę broń utracić toteż zorganizowali na drodze zasadzkę – chcieli bowiem tę broń odebrać. Szram jednak coś przewąchał. Wprawdzie załadował broń na furmankę, wziął do ochrony kilku chłopaków ale zaledwie wyjechał za wioskę, zaraz powrócił z powrotem. Niemcy nie doczekawszy się Szrama, na drugi

dzień przyjechali samochodem i broń tę zabrali. Bali się pozostawić ją Rybczanom i nie bez racji. Front był coraz bliżej.

Przeminęła jesień i nadeszła wczesna i śnieżna zima. Nadchodziły święta Bożego Narodzenia. Biały mróz wchodził na szyby, malował liście i kwiaty. Za oknami świszczła zawierucha.

Wieczorami schodzili się sąsiedzi i przy nagrzanym piecach długo gawędzili. Mama piekła smaczne podplomyki z razowego ciasta i gotowała pierogi. W izbie pachniało czosnkiem, cebula, smalcem i serem. Robiło się ciepłej i weselej. Opowiadano sobie różne ciekawe historyjki, wspomniano przedwojenne lata, śpiewano piosenki. Starsi przyglądali i przeczyszczali broń, podliczali amunicję. Chłopaki pędzili samogon i rozglądali się za dziewczynami. Dziewczyny robiły swetry, szaliki i rękawiczki. Wszystkim chciało się żyć normalnie, spokojnie, bez obaw, po ludzku.

Ale kolęda roku 1943-44 nie była wesoła. Wszyscy odczuwali tragiczną wiosnę i lato tego roku. Opłatek dowieziono z Krzemieńca – „Oby Bóg dał spokojnego życia doczekać” – życzone sobie. Ale zanim co prawdziwa, wołyńska zima dawała się mocno we znaki. Ostry zamróz zaglądał do naszych domów. Koniecznie należało rozejrzeć się za opalem.

Jakoś pod koniec stycznia 1944 r. /trudno to już dokładnie ustalić/ Rybczanie przygotowali kilka sań i wybrali się po drzewo. W okolicy Krzemieńca było kilka hektarów lasu należącego do dawnego majątku Liceum Krzemienieckiego. Tabor wyruszył z samego rana. Droga była dobra, śnieg był twardy, zbity. Na każdym saniach jechało po dwóch uzbrojonych gospodarzy. Tęgi mróz dawał się im mocno we znaki. Dla rozgrzewki ćmili papierosy i z cicha gawędzili.

Okolo godziny dziesiątej widzieli przed sobą czarną smugę lasu. Pospieszali, popędzali konie. Las był już tuż, tuż. Już mieli zboczyć na leśną polanę ale nie mogli już doń dojechać i zabrać się do cięcia drzewa, bowiem na horyzoncie dostrzegli jakiś duży, nierozpoznany oddział. Nie wróżyło im to nic dobrego. Nie było czasu do stracenia, trzeba im było od razu zawracać z powrotem. Niestety, nie zdążyli wypełnić sań drzewem ale szybko znaleźli się znów w Rybczy.

Właśnie tego poranka – opowiada Janek Mytkowski razem z moim bratem wybraliśmy się do naszego obejścia po słomę potrzebna do oporządzenia inwentarza. Wlazłem na stertę i nagle zobaczyłem, że na drodze ciągnącej się od Detylkowa i Wilii posuwa się jakiś duży tabor. Cała ta wataha kierowała się w stronę Katerburga. Szybko uwinęliśmy się i pobiegliśmy zawiadomić ojca. We wsi zrobił się ruch. W szkole zawyła syrena alarmowa. Mieszkańcy futorów zabierali co mogli i w pośpiechu opuszczali swoje domostwa. Obrońcy w mig rozlokowali się na swoich placówkach i szykowali się na przyjście „gości”. Wszyscy stanęli w pogotowiu. Gromadzili się w centrum wsi, w szkole i w dwóch murowanych budynkach. Tu było bezpieczniej.

Powoli zaczął zapadać zmrok. Mieszkańcy pomimo mrozu wylegli na dwór,

Z wielkim niepokojem oczekiwali ewentualnego napadu banderowców. Na skraju wsi od strony Katerburga zgromadzili się najlepsi strzelcy i komenda obrony – Mytkowski, Mysłowski, Niwiński. Było już około czwartej, ściemniało się coraz bardziej. Ktoś nie wytrzymał nerwowo i padł pierwszy strzał. Potem krótką serią puścił Rosjanin Waśka obsługujący talerzowy erkaem. Wtedy, od strony Katerburga dało się słyszeć głośnie wołanie – „nie strilaj. Po czemu strilajesz do żołdatów sowieckiej armii . my Partizany!”

W chwili potem, zza wzgórze, w świetle księżyca ukazało się dwóch jeźdźców z przytroczonym do siodła luzakiem. Z daleka wymachiwali białą flagą. Podjechali przwie pod samą wieś, zatrzymali się około stu pięćdziesięciu metrów od nas. Rozpoczęły się „dohawory”. My ruska partyzantka – wołali, nam trzeba przejechać przez waszą wieś! A skąd możemy mieć pewność, kto wy jesteście – odkrzyknęliśmy. Przyślijcie swoich delegatów – to pogadamy, odpowiedzieli przybysze.

Ja pójde do nich – powiedział Jan Dąbrowski, tylko uważajcie chłopcy, gdyby chcieli mnie porwać to strzelajcie do nich celnie a w razie czego, to i do mnie, byle mnie tylko żywcem nie wzięli. I poszedł do nich sam jeden. Spotkał się z nimi oko w oko. Jego odwaga, być może zaimponowała im ale chcieli dobić targu.

Pogadali, pogadali, naradzili się. Potem razem z Dąbrowskim przybyli na skraj wsi i zatrzymali się przed nami. Byli w ruskich mundurach. My ruska partyzantka – mówili, musimy sobie podać ręce. Słyszeliśmy, że na was napadają bandy ukraińskie. Razem będziemy się przed nimi bronić. Wpuście nas do wsi, dajcie nam wody i karmę dla koni. Zaczęły się obopólne nagabywania i rozmowy. Jest nas spory oddział – twierdzili przybysze ale nie macie się czego bać. My ruskie, nic wam nie grozi. Jutro pojedziemy sobie dalej.

Przybysze mówili jednak znanym nam tutejszym dialektem i to ich zdradzało. Nie ufaliśmy im od początku, czuliśmy intuicyjnie. Że nie są ruskimi partyzantami. Mieliliśmy się na baczności. Janek Niwiński obszedł dokoła. Obejrzał ich konie, ubiór i uzdy. Przyjrzał się ich twarzom. Zdawało mu się, że już gdzieś ich widział. Może we młynie w Wanżutowie albo w Wiśniowcu. Może na targu w Katerburgu? Ich twarze wydawały się jakieś takie swojskie, tutejsze.

A może ich jednak przepuścimy? Wyrwało się któremuś z gospodarzy. Nie wiesz co mówisz, nie poznałeś kto oni są – zaoponował Niwiński. Chyba, że po moim trupie – zawołał chwytając za broń. Tak my wejdziemy siłą! Nas mnogo! – rzucili pogrózkę.

W tym momencie Franciszek Jaroszewski dowodzący placówką przy szkole puścił serię z automatu. Tak, co wy! My przyszli ugodzić się z wami. Pozwólcie nam tylko przenocować u was. Mróz wielki a my pomarzli – mówili już grzeczniej przybysze.

Zaproponowaliśmy im spotkanie na dzień następny. Przyjdźcie w dzień,

jutro rano! Na tym stanęło i tak żeśmy się rozeszli. Ale przez całą noc spanie już nikogo nie brało. Wszyscy czuwali, wartowali przy szkole i na placówkach. Z niepokojem oczekiwaliśmy poranka i wyznaczonej im godziny ponownego spotkania. Jednak nikt z „ruskich partyzantów” już się nie pojawił. Gdzie się oni podzieli, na razie nie wiedzieliśmy. Mieszkańcy futorów bali się jeszcze wracać do swoich domów.

Jak się później okazało był to spory oddział banderowców. Noc spędzili w naszych futorach, nie dalej jak kilometr od nas. Nie odważyli się jednak brać nas siłą. Jak widać zbytnią odwagą nie grzeszyli i bali się stawać z nami do otwartej walki. Dzięki twardej postawie i zimnej krwi obrońców i tym razem Rybcza ocalała.

Ale banderowcy rządni polskiej krwi postanowili znaleźć dla siebie łatwiejszy cel i wczesnym rankiem wyruszyli w drogę. Obserwator na wieży dostrzegł jak ich tabor omijał Rybczę od południa. Pojechali w kierunku Horynki i Woli Rycerskiej – podążali do Wiśniowca. Wiedzieli, że tam, za wysokimi murami starego klasztoru ukrywały się liczne polskie rodziny, które ściągnęły na zimę, uchodząc z okolicznych wsi i futorów z całym swoim dobytkiem/ Banderowcy widzieli tam łatwą zdobycz i wiele ofiar. Postanowili ich napaść a właściwie zdobyć ich podstępem. Walki wręcz unikali.

Minęło wiele czasu – kontynuował Janek swą długą, dramatyczna opowieść. Nie wiem – tydzień czy może więcej? Nie pamiętam dokładnie ale była to niedziela. Wszyscy byliśmy w domu. Mama robiła coś w kuchni, ojciec ubierał się świątecznie, szykował się do wyjścia na jakąś naradę a ja z bratem ganialiśmy się po podwórku.

Naraz z sąsiedniej ulicy, z kierunku Katerburga usłyszeliśmy jakiś straszny krzyk i głośny lament. Ojciec wyjrzał przez okno, chwycił 10-cio strzałowy automat, który miał po bracie Stasiu i pognął na przelaj przez pole do sąsiadów.

Zebrała się już tam grupka Rybczan a wśród nich stały dwie córki pana Stefańskiego, które mieszkały w Wiśniowcu. Przybyły stamtąd ze swoimi dziećmi. Były okropnie zdesperowane. Spazmatycznie szlochając opowiadały Rybczanom co owej nocy wydarzyło się w kościele w Wiśniowcu. Ocalały dlatego, bo jakby coś przeczuwając mimo ostrego mrozu nie poszły wtedy na noc do kościoła lecz ukryły się z dziećmi w grobowcach na cmentarzu.

Ci fałszywi sowieccy partyzanci, którym nie udało się zdobyć Rybczy przybyli do Wiśniowca. Był to jakiś upowski oddział uchodzący przed nacierającą już Armią Czerwoną na teren Wołynia.

2 lutego 1944 roku Sowietci zajęli Łuck. Banderowcom grunt palił się już pod nogami. Uchodząc, mordowali pozostałych jeszcze na Wołyniu Polaków.

Otwórzcie bramę! Nie bójcie się, od nas wam nic nie grozi. My sowiecka partyzantka – wołali banderowcy przybywszy do bram klasztoru w Wiśniowcu. Będziemy razem z wami i razem będziemy się bronić przed ukraińskimi bandami. Otwórzcie bramę!

Polacy niestety uwierzyli w te ich zmyślane gadki. Otworzyli bramy i wpuścili ich na teren kościoła. Co się tam potem działo, trudno sobie nawet wyobrazić. Banderowcy w okrutny sposób wymordowali wszystkich, którzy tam się schronili. Kobiety wiąźali drutem kolczastym i wrzucali do studni, dzieci wbijali na sztachety. Zostali tam zamordowani też dwaj Karmelici.

Te dwie kobiety ukryte wtedy na cmentarzu widziały to wszystko po odejściu banderowców. One ocalały ale bały się jeszcze wychodzić w ukrycia. Czekały aż zacznie padać śnieg, który zatrze ich ślady.

Około tygodnia przesiedziały jeszcze w grobowcach. Potem wyruszyły z dziećmi do Rybczy, gdzie spodziewały się znaleźć przytulisko i ochronę. Droga była dość daleka i śnieżna. Przerażeni, zrozpaczeni i głodni dobrnęli ostatkiem sił. Rybczanie zaopiekowali się nimi.

/1. Wł. Siemaszko „Zbrodnie nacjonalistów ukr.” 2. Szeroką relację podaje W. Romanowski w „Kainowych Dniach”. 3. Patrz mapka pow. Krzemienieckiego./

W takich to dramatycznych okolicznościach minął styczeń i luty. Zbliżał się front sowiecko-niemiecki ale Polacy w Rybczy byli odcięci od świata. Nic jeszcze nie wiedzieli i o niczym nie słyszeli.

Gdzieś pod koniec lutego pojawiły się tam wojska sowieckie. „Wyzwoliła nas Armia Radziecka – mówi dalej Janek i co by tu nie mówić poczuliśmy się trochę pewniej. Władze sowieckie od razu zaczęły ścigać banderowców, którzy od tej pory znów musieli kryć się po lasach i nawet wydawało się, że już o Lachach zapomnieli.

21 marca 44 roku wyzwolono Krzemieniec. Wtedy przyjechał do Rybczy starszy Ukrainiec na koniu i przywiózł „prykaz” aby wszyscy mieszkańcy Rybczy od 20 do 50 lat stawili się do dyspozycji władz rejonu w Deterkach /mapka/. Rybczanie nauczeni doświadczeniem życiowym nie chcieli uwierzyć temu gońcowi i „pryказowi”. Było to tak jakoś nagle, zaraz po przejściu frontu, że trudno było w to uwierzyć. Zachodziła obawa, że banderowcy mogli to upozorować i chcieli najpierw mężczyzn wyciągnąć w pole u tam bezbronnych wymordować a później zrobić to samo z kobietami i dziećmi w Rybczy.

Aby się upewnić, że to nie był podstęp obaj dowódcy samoobrony Mytkowski i Mysłowski zaraz następnego dnia pojechali do Krzemieńca do wojskowego komisarza, po dodatkowe informacje. Dowiedzieli się, że wiadomość jest prawdziwa.

Wszyscy mieszkańcy wsi zebrali się na placu przed szkołą. Mężczyźni podlegający mobilizacji w otoczeniu żon, matek i dzieci stali w środku. Ciężko im było rozstawać się. Żyli tu wśród napastujących wieś band ukraińskich ale Bóg dał, że się obronili. A tu raptem mobilizacja. A tu raptem mobilizacja. Obrońcom wsi trza było ruszać w nieznane, a wieś i swoich bliskich zostawić na pastwę losu. Kto ich teraz będzie bronił? Ludzie biorący udział w pożegnalnym spotkaniu płakali.

Sołtys otworzył zebranie.

Z tych co mieli pozostać polecił wybrać zarząd wsi. I wybrano tych samych, którzy do tej pory stali na czele samoobrony – Marcina Mysłowskiego – sołtysa – i Franciszka Mytkowskiego.. Na zakończenie sołtys powiedział „Nie płaczcie żony, nie płaczcie matki, nie płaczcie dzieci. Jeden tylko Bóg wie kto z nas wolności doczeka i przeżyje. Czy ten co idzie na wojnę, czy ten co we własnym domu zostanie”.

Następnego dnia tj. 23 III 1944 r. wszyscy mężczyźni podlegający do służby wojskowej w myśl tego mobilizacyjnego zarządzenia udali się do Dederkał oddalonych od Rybczy 30 km. Tam po zarejestrowaniu się i zbadaniu przez Komisję Poborową udali się do miejscowego kościoła parafialnego.

W intencji poborowych została odprawiona msza św. Przez ówczesnego proboszcza księdza Józefa Kuczyńskiego, późniejszego skazańca przez sądy ZSRR za utrwalanie tam wiary katolickiej i organizowanie samoobrony. / Wład. Romanowski „Kainowe dni” str. 82. „Samoobronę w Dederkach zorganizował i dowodził nią ks. otr. Józef Kuczyński. Na ogólną liczbę 1200 katolików straty parafii wyniosły kilkaset osób. W księdze zgonów zanotowano 200 osób zamordowanych w tym 50 dzieci”/.

„W czasie mszy św. Zostaliśmy pokrzepieni Chlebem Eucharystycznym i ciepłym słowem przez księdza proboszcza. Następnego dnia ruszyliśmy w drogę. Najpierw zostaliśmy skoszarowani w jakiejś wsi koło Jampola, już na terenie ZSRR. Po kilku dniach bodajże 10 IV 44 r. zostaliśmy załadowani do wagonów i odtransportowani do m. Sumy, gdzie mieścił się punkt zborny Polskich Sił Zbrojnych. Tam każdy z poborowych, stosownie do swoich predyspozycji otrzymał przydział do jednostki i wyruszył na front” /z relacji Janka Pileckiego/.

Stanisław Micewski poborowy ze wsi Folwarki wspomina „Na punkcie zbornym w Sumach spotkałem syna osadnika wojskowego, który urzekł mnie swoją życzliwością i posłużył mi dobrą radą. Gdy mu się zwierzyłem, że myślę pójść do szkoły oficerów politycznych, on rzekł – Radzę panu nie chodź pan tam. Oni będą pana uczyć marksizmu i leninizmu a to do niczego dobrego nie prowadzi.

Dziś jestem szczęśliwy, że go tam spotkałem i usłuchałem. Poszedłem na front jako zwykły żołnierz”.

„ Rybczy prawie wszystkich mężczyzn – oddaje znów głos Jankowi Mytkowskiemu, zdolnych do służby wojskowej a także kilka naszych dziewcząt zmobilizowano do polskiego wojska. We wsi pozostali już tylko starcy, kobiety i dzieci oraz podrastająca młodzież. Nasi obrońcy, członkowie AR i samoobrony zostali żołnierzami i poszli na front. Jedyłą pociechą było to, że ojciec mój i sołtys Marcin Mysłowski oraz Piotr Niwiński nie poszli do wojska. „Rejon” w Dederkałach wyznaczył ich na wojskową władzę. Oni nadal mieli opiekować się pozostałymi w Rybczy mieszkańcami, pilnować porządku i wypełniać polecenia nowej władzy.

W jakiś czas potem, przed świętami Wielkanocnymi, akurat w Wielki Tydzień wszyscy trzej zostali wezwani do „Rejonu”. Trudno wiedzieć ale dzisiaj sędzę, że był to podstęp Ukraińców. Wiemy, że powracali stamtąd w Wielki Piątek. Ale chyba coś przeczuwali, bo nie pojechali najkrótszą drogą przez Katerburg lecz wybrali trasę nieco dłuższą przez Wilię. Jednak również i tam czekała na nich zasadzka. Daremnie na nich czekaliśmy. Daremnie też sowieccy żołnierze szukali ich przez dwa dni. Zresztą, czy ich rzeczywiście szukali tego też trudno wiedzieć. Żołnierze z poszukiwań wrócili pijani. Wreszcie ktoś przyniósł informację, że tego dnia widziano ich we wsi Wilia. Wszyscy trzej zginęli tam śmiercią męczeńską, straszną. Mówiono, że wszyscy trzej zostali ukrzyżowani. A był to Wielki Piątek. Ciała ofiar nigdy nie zostały zabrane z miejsca kaźni, nie było na to sposobu”.

I tak kończy Janek swą smutną opowieść - „Pierwsze Wielkanocne święta po wyzwoleniu musieliśmy spędzić w wielkiej żałobie i płaczu. Szczególnie ja rozpacziałem Wciąż miałem przed oczami obraz z dnia ich nieszczęsnego wyjazdu do Dederkał i wzajemne machanie rękami na pożegnanie. Stałem wtedy za naszym domem i przyglądałem się jak szykowali najpierw wóz do wyjazdu a potem jak odjeżdżali. Nie sądziłem, że było to pożegnanie na zawsze. Po tej strasnej tragedii ciągle jeszcze wyglądałem taty, wychodziłem za dom i patrzyłem w kierunku Wilii. Ale nadaremnie. Czekałem cały rok aż do następnej wiosny 1945 roku. Ciągle zdawało mi się, że oni jeszcze wrócą i długo nie mogłem w to uwierzyć, że ja już nie mam Ojca”.

Dziś aż trudno uwierzyć, że Rybcza, ta niewielka, wołyńska wieś naprawdę przetrwała pełen nieszczęść i rozpaczny okres wojny. Głównie ostatnie dwa lata w okresie samoobrony były szczególnie trudne i niebezpieczne. Aby te lata przetrwać Rybczanie musieli wykazać się wielką siłą woli i hartem ducha. Ciężko im było ale Bóg dał, że przetrwali.

9 maja 1945 roku zakończyła się wojna. Ale właśnie wtedy przyszedł na nich czas jeszcze jednej trudnej próby. Z ciężkim sercem musieli podjąć decyzję opuszczenia na zawsze swoich domów i ziemię swoich przodków, na której się urodzili, rośli i wychowywali swoje dzieci. Ze swoich gniazd odlecieli jak ptaki ale tam pozostawili swoje serca.

17 maja wynieśli się najpierw do Krzemieńca. Tam się wszyscy „skrzyknęli” i razem ze swoim księdzem Dominikiem Wyrzykowskim wsiedli do pociągu i pociągnęli na zachód, na Ziemię Odzyskaną.

Większe skupiska Rybczan znajdują się w Mąkoszycach woj. opolskie – we wsiach Jerzmanowice i Czernikowce koło Złotoryi woj. Legnica, w Szczecinku i jego okolicy a poszczególne rodziny rozsiane są w różnych miejscowościach w Polsce, gdzie rzucił ich łaskawy los.

Wszakże najwięcej Rybczan wraz z ks. Wyrzykowskim osiedliło się w Mąkoszycach. Ksiądz objął tam parafię i nadal był proboszczem. A przywiezioną ze sobą figurę M.B. Bolesnej „Pietę” postawił w głównym ołtarzu kościoła św. Piotra i Pawła. Co roku w dniu 15 IX wypada święto M.B.

Bolesnej. Zawsze był to dzień odpustowy. Tak było w Katerburgu i tak wprowadził ks. kanonik w Mąkoszycach, kiedy objął tam probostwo. Jednak stała się Jemu wielka krzywda. W 1962 roku po 50 latach kapłaństwa nie wiedzieć czemu wyrugowano go z tej parafii. Po trudach swego życia 19 XII 1967 roku zmarł w Michalicach.

Dawni Jego parafianie chcieli Go mieć u siebie. Pochowali Go na miejscowym cmentarzu w Mąkoszycach a w prezbiterium kościoła św. Piotra i Pawła, ku Jego czci wmurowano ufundowaną przez parafian pamiątkową tablicę.

Ale los Rybczanom nie sprzyjał do końca. Nie wiedzieć dlaczego nowy ksiądz przestawił „Pięć” do bocznego ołtarza, w mało widocznym miejscu. Na zwróconą uwagę Rybczan obecny ks. proboszcz miał rzekomo odpowiedzieć, że nikt nie będzie mu dyktował co ma robić.

Jest to przykry incydent i Rybczan to bardzo boli. Każda rzecz pochodząca z rodzinnych stron jest im droga a „Pięć” traktują jak cenną relikwię. Tym bardziej, że do tej Matki Boskiej Bolesnej uciekali się zawsze o pomoc i obronę. Jej to w codziennej modlitwie, która rozbrzmiewała co wieczór w szkole zawdzięczają swoje ocalenie. „Kto tego nie przeżył, ten nigdy tego pojąć nie zdoła. Taka jest niezaprzeczalna prawda” /z listu Janka Pileckiego/.

Tyle byłoby słów o Rybczy i jej mieszkańcach i o samoobronie przed banderowcami. Ale zanim zamkniemy ten rozdział chciałbym jeszcze chwilę zastanowić się jacyś to byli ci dawni parafianie ks. kanonika Dominika Wyrzykowskiego – ludzie ze świata, którego już nie ma. Warto o nich choćby jednym słowem wspomnieć, bo przecież wśród nich było wielu bardziej znanych i cenionych obywateli, którzy szczególnie, godnie zapisali się w historii gminy i powiatu, którzy wyróżniali się w pracy zawodowej i społecznej, pełnili zaszczytne funkcje piastowali godne stanowiska, wywierali korzystny wpływ na kształtowanie się spraw bieżących, prowadzili ożywioną działalność kulturalną i nadawali ton w życiu towarzyskim.

Oto tylko niektóre nazwiska warte zapamiętania : Horodeccy, Czepielewscy, Kurzejowie, Kucenczowie, Skibniewscy, Teligowie, Kowacy, Różańscy, Osostowicze, Wnękowie, no i wielu innych. W pamięci naszej pozostanie też Ksawery Sierakowski kierownik szkoły w Rybczy oraz nauczycielka Stanisława Horodecka i Zofia Sarzecka. A jakże nie wspomnieć jeszcze ostatniego wójta Katerburga Jana Rudnickiego oraz jego żonę i córki, które przeżyły dramatyczne lata na Syberii. No i ta szara, osadnicza brać: Fudalewscy, Morsowie, Rybiałkowie i ci inni pomniejsi, którzy jako najbardziej niepewni do sowieckiej władzy 10 lutego 1940 roku w bydłych wagonach wyruszyli na syberyjskie szlaki. Ich losy warte są osobnego opracowania. Ich losy godne są naszej pamięci.

Opuszczali swe strony rodzinne,
 Wąwozami, drogami polnymi
 Użalały się smukłe dziewanny
 Nad ich losem tułaczym, nad nimi.
 Unosili ze sobą wspomnienia,
 Tamten błękit i zaśpiew kresowy.
 Zostawili spalone chaty
 Kościół stary i dwór modrzewiowy.
 /strofy nieznanego autora EB./

„Miejsce gdzie się człowiek rodzi, matka wychowuje, gdzie tkwią jego korzenie, staje się na zawsze własnością jego serca a tym bliższą, gdy zmuszony jest żyć z dala od niego” / ze wspomnień Kresowianki/

Śladami Przeszłości

Rozproszyli się Krzemieńczanie po Polsce i po szerokim świecie. Od czasu wojny wymienili wiele kalendarzy. Odchowali swoje dzieci, wnuki im porosły a twarze przygasły i głowy posiwiały ale jeszcze krzepcy, jeszcze młodzi na duchu i zawsze chętni do rozmów i do osobistych zwierzeń.

I ci ze stolicy powiatu, których przodkowie spoczywają „tam gdzie Ikwa płynie” i ci z pomniejszych miasteczek, wsi i osiedli stopniowo odnajdują się, wygrzebują z szuflad stare fotografie, przeglądają zapiski i dokumenty. I chociaż być może nie myślą już o powrocie tam, gdzie spędzili swoje dzieciństwo i swoją młodość ale czynią to jednak z tęsknoty za straconym, rodzinnym zakątkiem, za znanymi sobie ścieżkami i drogami. /Rozdział ten opracowano na podstawie szeregu fragmentów z listów Przyjaciół i Koleżanek autora./

I cóż im dzisiaj pozostało? Tylko wspomnienia, fotografie, dokumenty i listy. Ale są to listy, które pisane w przyływie natchnienia i głębokiego sentymentu same w sobie stają się prawdziwą literaturą.

Oto dla przykładu pozwolę sobie przytoczyć jeden z tych listów, pisany przez byłego wice-starostę Krzemieńca Jerzego Osostowicza, do pierwszego po odzyskaniu niepodległości wójta Katerbutga Kazimierza Kurzeja. A jest to zaiste list jakich już dzisiaj nikt nie pisze, list pełen serdeczności, życzliwości w nawet wzruszającej liryki i poezji – „Drogi Panie Kazimierzu! Warszawa dnia 16 marca 1966r.

Jest sobotni wieczór i przyszła mi ochota napisać do Pana list. List, który będzie jakby dalszym ciągiem rozmowy naszej w Żabieńcu sprzed kilku tygodni, gdy po wielu latach niewidzenia się naszego, wraz z mą żoną Państwa odwiedziliśmy.

Żałuję bardzo, że dopiero teraz zdecydowałem się na odwiedzin w Żabieńcu, choć to tak niedaleko i nietrudno tam dotrzeć. Nie wybrałem się wcześniej nie dlatego by Pan i jego byt mnie nie interesował, lub bym nie widział nic ciekawego w takiej wizycie.

Wprost przeciwnie – bardzo cenię sobie ludzi dawniej mi znajomych, ludzi z którymi w takim czy innym okresie życia danym mi było współpracować.

Wiem jednak, że byłem zawsze nieco odmienny a nawet bardzo odmiennym od innych, że osoba moja nie budziła specjalnego zainteresowania u innych, o ile tego zainteresowania nie nakazywały po prostu stosunki współpracy czy współżycia. Dlatego wydaje mi się zawsze, że niewielu ludzi moja osoba interesować może i nie szukam, czy też nie odnawiam kontaktów, choćby mi na nich zależało.

Powiedziałem już jednak, że żałuję, że tak długo zwlekałem z odwiedzeniem Pana. Żałuję, bo gdyby znalazłem się u Państwa, gdy zobaczyłbym Pana, gdy bezpośrednie zetknięcie wskrzesiło w umyśle zatarty nieco w pamięci Pański wygląd, Pański charakter, Pańską zawsze dzielność i odwagę oraz zmysł pracowitości i tworzenia, to wróciłaby mi pamięć wielu rzeczy i spraw i wspomnień, które czas, ten Czas nieubłaganie płynący, jakby już nieważnymi, zbyt odległymi do dnia dzisiejszego uczynił.

Gdy mówił Pan o drogach, które gromadzkim, zbiorowym wysiłkiem budowaliśmy, o szkołach wznoszonych po wsiach lokalnym wysiłkiem i zespolonej inicjatywy, o domach ludowych, czy innych publicznych dobrze służących obiektach wówczas, a także przez dni następne wszystko to stawało mi na nowo w pamięci i wyłaniał się z jej zakątków obraz tego dziwnego, jak na owe czasy krzemienieckiego powiatu, który tchnął zawsze pełnym życiem, zadziwiał nieraz innych swą inicjatywą społeczną i tyłu wartościowych ludzi na ówczesne czasy a zarazem i na teraźniejsze – wydał.

Spotkanie z p. Julianem Horodeckim te same wrażenia mi dało. On zawsze przed laty uśmiechnięty i dobry, takim samym i teraz pozostał. Pan z nim tworzyliście przez szereg lat wówczas jakąś uzupełniającą się bardzo parę działaczy, w tym samym stopniu realistów jak i idealistów, jeśli chceć tym mianem określić ludzi zawsze gotowych do działania i współ pracowania w społecznej i państwowej potrzebie.

Jakże żałuję, że zastałem Pana nie w zdrowiu czerstwym, jakie Panu zawsze dopisywało ale złożonego na łóżku długą i poważną chorobą. Niezmiernie i serdecznie Panu współczuję Panie Kazimierzu w tej trudnej sytuacji, gdy Pan tak czynny człowiek zmuszony jest do zupełnej bezczynności. Ale chyba się mylę, mówiąc o zupełnej bezczynności, bo i maluje Pan nadal chyba od czasu do czasu i poza tym myśli Pan wiele. A myśli, myśli to też twory, to też dzieła ludzkie, dzieła człowieka. Myśli są nieuchwytnie, niematerialne, rodzą się i jakby znikają bezpowrotnie i bez śladu a jednak one są energią całkiem realną i zdefiniowaną. Myśli są energią, która przenika w innych, wsiąka w całą przyrodę i w sposób nam bliżej jeszcze nieznanym działa na inne energie, zapładnia inne działania.

Na pewno myśli Pan dużo, nie mając możliwości działać. Gdyby te myśli Pan sam, czy ktoś inny zapisywał – ileż ciekawych niezmiernie obrazów by się z nich wyłoniło!

Dobrze, że Pan maluje, gdybyż obok tworów plastycznych jakieś twory literackie Pan wydać spróbował?

Sądzę, że nadchodzącą wiosną a potem w lecie stan Pańskiego zdrowia będzie się znacznie poprawiał. Czy pamięta Pan panią Różę Dailly, która parę razy przyjeżdżała do Krzemieńca i powiatu a nawet ja ją tam obwoziłem i różne rzeczy pokazywałem? Ona w ostatnich latach była kilkakrotnie w Polsce i widziałem się z nią. Przybywała na zaproszenie Ministerstwa Kultury. Szkoda, że nie zanosì się na jej przyjazd w tym roku, gdyż zawiózłbym ją do Pana i według tego co mi sama powiedziała, mogłaby w podobnym jak Pańskie cierpieniu dużo pomóc albo nawet uleczyć zupełnie, jak to zrobiła z innymi.

Myślę, że Pan sam cierpienie z pomocą lekarzy naszych jednak też wkrótce pokona. Życzę tego Panu najgoręcej. Ot i rozpisałem się dzięki temu, że nikogo w domu akurat nie ma i mam nastrój. Będzie miał Pan trochę lektury. Kończąc serdecznie Pana pozdrawiam i przesyłam ucałowanie rączek dla Małżonki.

Jerzy Osostowicz”

Po okresie minionego pół wieku zaledwie możemy się pozbierać a jednak zbieramy się autentycznie. Po dwie, po trzy, po kilka i kilkanaście osób, od nowa poznajemy się. I wracamy myślami do naszych rodzinnych stron i do naszych młodzieńczych lat.

Ze szczególnym sentymentem czynią to Białoźórczanie. Piszą listy, wspomnienia, odwiedzają się wzajemnie, opowiadają swoje dzieje. Listy pełne głębokich wzruszeń, sercem i łzami pisane, nadsyłają moje dawne, szkolne koleżanki.

„Już 47 lat mija, gdy gnani niepokojem o życie opuszczaliśmy Białoźórkę. Ale jakże często, gdy tylko mam chwilę wytchnienia przymykam oczy i zaraz widzę moje rodzinne strony. Chodzę po polach zasłanych łanami zbóż, przetykanych makami i chabrami i tak to przeżywam, jakbym naprawdę tam była” / z listu Danusi Siniarskiej 1991 rok z Biłgoraja./

„Białoźórkę darzyłam zawsze wielką miłością, odważyłam się nawet porównywać ją do różnych, dużych miast na świecie, które poznałam w swoich wojennych i powojennych tułacznych latach. Ale w tym porównaniu Białoźórka zawsze zwyciężała. Dla mnie miała ten niespotykany i niezapomniany urok. I trzeba było ażeby upłynęło tyle lat aby przekonać się, że tęsknota ludzka odgrywa tak wielką rolę. Dziś na samo wspomnienie o Białoźórcie – płacze mi się.” / z listu Hali Kawa z Toronto z 1990 r./

„Tam w Białoźórcie pozostała częśćka mojego życia i bardzo często powracam myślą właśnie tam. Tam przecież urodziłam się, tam spędziłam swoje najpiękniejsze dzieciństwo, tam chodziłam do szkoły i do kościoła św. Rocha w którym byłam ochrzczona i w którym przystępowałam do I komunii świętej. Tam należałam do kościelnego chóru, który prowadził organista Simiński, do Koła Młodzieży Wiejskiej i do kółka teatralnego, które organizowała pani Kapitanowa z KOP-u. Tam pochowałam swoją mamusię.

Po 17 września 1939 roku przyszedł na nas czas grozy.

Od zaprzyjaźnionego z nami Ukraińca ojciec otrzymał informację ażeby stamtąd jak najprędzej wyjechać, ponieważ z Polakami będzie źle. Wyjechalśmy do Hucisk Wielkich. Zamieszkaliśmy na kolonii, pod lasem u mojej babci.

Nastaly dla nas ciężkie czasy. W lutym 1940 roku pojechał pierwszy transport na Sybir. A potem jeszcze drugi i trzeci. Nas jakimś cudem to ominęło. W marcu 1941 roku osiodłałam swojego siwka i pojechałam na przełaj przez pola aby jeszcze raz zobaczyć swój rodzinny dom, naszą osadę „Weteranówkę” i choć z daleka spojrzeć na Białozórkę. Ale nic tam nie zastałam. Z naszego domu nie pozostało ani śladu. W naszym sadzie zostały wycięte wszystkie drzewa i wszystko zostało zaorane.

Do dzisiejszego dnia mam w swojej pamięci ten smutny, pustynny widok. Z tego wszystkiego, co tam na osadzie po nas pozostało, zobaczyłam kompletną ruinę. Z ciężkim sercem powróciłam do Hucisk.” /z listu Danusi Siniarskiej 1991 rok z Biłgoraja/.

„Pisałeś abym kiedy w lecie wpadła do Ciebie. Za zaproszenie dziękuję ale mam krowę, parę kurek, więc jestem uwiązana w domu. Latem trzeba krowę paść i siano na zimę zbierać. Takie to moje całe życie i nigdzie wyjechać nie mogę. Emerytura mała, krowę muszę chować. A ja nie bardzo dobrze się czuję. Nogi, ręce mnie boją, leczę się domowym sposobem, lekarzy bardzo się boję. Jak już krowy nie będę miała, to postaram się wyjazd do sanatorium załatwić. Tylko nie wiem, czy to już nie będzie za późno.

Rodzice moi umarli jakoś zaraz po wojnie. Tu, do nowego życia nie bardzo umieli się przyzwyczaić, zawsze wspominali Białozórkę i kilka lat potem odszedł brat Janek i rok później Bolko. Wspominam często stryjka Władysława Wolskiego. On zawsze mówił – „Jak ja ci umrę to już pozostaniesz sama, jat ta sierota”. I tak się też w końcu stało. Stryjka pochowano w zeszłym roku.

Dziś kiedy powstaje ta nowa Polska, my sponiewierani wojną, życiem i chorobami, też będziemy powoli odchodzić.” / z listu Marysi Wolskiej z Jeleniej Góry/.

„Pisziesz o AK, dotychczas bardzo czułego miejsca w moim sercu. Otóż przysięgę składałam 18 kwietnia 1943 roku na ręce Piotrka Węglińskiego, który ze swoją mamą mieszkał wtedy w naszym domu. I wypowiedziałam takie oto słowa „W obliczu Boga Wszechmogącego i najświętszej Marii Panny, Królowej Polski, kładę ręce na ten krzyż święty, znak męki i zbawienia”. Otóż jak wiesz przysięgałam na ten sam krzyż i tę samą Ewangelię przed którą i Ty przysięgałeś. I miałam wtedy, jak i Ty 16 lat. Polskę kochałam całą swoją młodą duszą. Do dziś pamiętam ten dzień. Było to rano, zdążyłam jeszcze na mszę świętą. Gorąco modliłam się o naszą Ojczyznę, deklarowałam Jej swoje życie.

Otrzymałam pseudonim „Aneta”. Potem jako łączniczka, na polecenie Piotrka zaprzysiężałam innych Polaków, którzy nie mogli pokazywać się w naszym domu.

A w Białozórce byli wtedy tylko starsi panowie i taka młodzież jak my, co to dopiero z dzieci wyrosła. Młodzież starsza została wywieziona na Sybir i do lagrów a potem reszta na roboty do Niemiec.

Nie wiem ile osób liczyła nasza placówka AK w Białozórce, wiem natomiast, że wszyscy kochaliśmy Ojczyznę i byliśmy gotowi ponieść dla niej największe ofiary. Wstępując do Armii Krajowej chcieliśmy to udowodnić. Czekaliśmy na jakąś akcję, na jakiś zryw. Tymczasem przez te pierwsze trzy miesiące nic się tam właściwie nie działo. No i przyszedł ten tragiczny dzień 1 sierpnia 1943 roku. Na pewno więcej opowiedziałby nasz dowódca „Gołąb” por. Wacek Pozichowski i Mela Kozielska ale przecież właśnie oni owej nocy zostali zamordowani. U Meli byłem w przededniu. Przy mnie przyszła łączniczka ze Zbaraża. W sadzie, za domem przekazała mi paczkę z biuletynami AK. Zjawiała się wtedy Tania Nikoluk –Ukraińska, nasza serdeczna koleżanka. Przy Tani nie mogłyśmy z łączniczką wiele rozmawiać. Mela schowała paczkę z biuletynami a my z Tanią wróciłyśmy do Białoleki. Meli już więcej żywej nie zobaczyłam. Banderowcy zamordowali też jej rodziców. Jej brat Polek ps. „Zięba” zdążył uciec przez okno. W ciemnościach nocy ukrył się na drzewie, był świadkiem tej rodzinnej tragedii.

Parę dni później banderowcy zamordowali też Tanię i jej synka, za to, że to dziecko miała z Polakiem i z Polakami przyjaźniła się a nawet chodziła do kościoła.

U Pazichowskich byłam w końcu czerwca. Jeszcze wtedy widziałam ich wszystkich zdrowych i całych. Miałam polecenie odprowadzenia tam Olszewską i Anuszczańską. Ich mężowie Oficerowie WP zostali aresztowani przez Sowieców..

Owej tragicznej nocy, po zamordowaniu Kozubskich banderowcy udali się do futuru Pazichowskich. Ich rodzina składała się z 12 osób. W czasie pogromu pod ciałami zabitych cudem ocalała matka por. „Gołębia”, jego siostra Regina, żona Maria i 2 letnie ich dziecko. Reginę ostatni raz widziałam w drodze z Koszłak do Zbaraża. Pan Medaliński opatrywał jej ranę postrzałową na nodze.

Po tej strasznej nocy na ogół wszyscy Polacy opuścili Białozórkę. Dużą grupą przejeżdżaliśmy przez wieś i przez Rynek. Gdyby Ukraińcy chcieli, to mogliby nas wtedy powystrzelać jak kaczki. Dziś myślę, że choć nasza młoda i nieliczna komórka AK w Białozórce nie zdziałała nic szczególnego, to przecież nasz zapał, nasze umiłowanie Ojczyzny, chęć do działania i do wielkich poświęceń godne są zapamiętania.” / Józef Turowski „Pożoga walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK” PWN w Warszawie 1990. Poza Krzemieńcem komórki AK zorganizowane zostały w Dederkach, Rybczy, Białozórce i Szumsku/

„Piszę ten list do Ciebie w Michałowie k/Białegostoku. Przyjechałam tu z synem Tomkiem aby odwiedzić ciotkę, już staruszkę, najmłodszą siostrę mojej Mamy. Jej mąż Paweł Roman był dowódcą strażnicy KOP-u w Brzezynie. W lecie 1939 roku poszedł na wojnę i już nie wrócił.

Ona 17 września tego roku przed wstępującymi Sowietami ledwo z życiem uszła. Potem razem z żoną plutonowego Durawy ukrywały się w u Strzeszkowskich. Pan Strzeszkowski był chrzestnym ojcem mojej Mamy.

Pamiętam ogród babci. Był oddzielony od słomianego wału okalającego sad i pasiekę Strzeszkowskich polną drogą biegnącą w kierunku Łanowiec. Idąc tą drogą przechodziło się koło Łysej Góry, która wiosną i latem była usiana tak pięknymi kwiatami, jakich już nigdy potem nie widziałam.

Tu w Michołowie czytano cioci twoją książkę o Białozórce. Nie masz pojęcia z jakim zainteresowaniem słucha, płacze i wypytuje o wszystko.

Przepraszam Cię za to beżładne i chaotyczne pisanie. Za bardzo się rozpisalam ale zrobiło mi się tak jakoś...tak jakoś na duszy, że nie mogłam sobie odmówić aby się przed Tobą nie wypowiedzieć z tego, co mi tak bardzo na sercu leżało.

A za Żydów Natalię Krauze i jej męża, oraz za nauczyciela Walkusza zawsze się modlę. Nie wiem tylko, czy jeszcze za żywych czy może już za umarłych.

Straszne to były czasy. Módlmy się aby się już nigdy nie powtórzyły. Niech nasze dzieci i wnuki nie zaznają tego co my i niech nie tęsknią za rodzinnymi stronami.”

„Mundku! Tak bardzo chciałabym chociaż jeszcze jeden jedyny raz zobaczyć Białozórkę. Pójść pod górkę do naszego kościółka św. Rocha a potem dalej w kierunku Weteranówki. Tam na rozdrożu stał pomnik – Krzyż Legionistów a obok drogi mieszkali osadnicy. Tak wielką mam ochotę pójść na cegielnię do cioci Jarzębskiej i przejść się ścieżką ponad jarem, który ciągnął się wzdłuż działek Górniaków, Prostacków, Paciorków i Kołodziejskich. Chciałabym spojrzeć jeszcze raz na wieś Sofiówkę i dworek Onuszczakowej i na ten stary park odbijający się w ciemnych wodach zalewu. Tak bardzo chciałabym”. /z listu Danusi Siniarskiej./

I oto, to gorące pragnienie ujrzenia jeszcze raz Białozórki ziściło się! W maju 1990 roku dwie nasze szkolne koleżanki – Lodzia Domańska i Danusia Busz otrzymały zaproszenie na wyjazd do Krzemieńca. Na to tylko czekały. Na drugi dzień po zwiedzeniu Krzemieńca, już o godz. 5 rano wsiadły do autobusu i znalazły się „Na mojej drodze”.

„Po kilku kilometrach wjechałyśmy na drogę, której polny charakter przypominał przedwojenne czasy – wspomina Lodzia. Droga miejscami była utwardzona żużlem ale wyboje były takie, że bałam się o resztkę moich zębów. Autobus toczył się po nierównościach, podskakiwał, trząśł się, ciągnął za sobą tumany czarnego kurzu.

Jechałyśmy przez Rybcze, Katerburg, Podhajce, Borszczówkę, Borsuki i Napadówkę. Rybcza jako wieś już nie istnieje. Pozostało po niej tylko parę budynków. W jednym z nich zamieszkuje ukraińska rodzina, przesiedlona z Hrubieszowa. Dawny budynek szkolny, będący twierdzą w czasie samoobrony Rybczy został rozebrany a wysoka skarpa w tym miejscu jakby obniżyła się.

Czasem po drodze trafiała się jakaś porośnięta chwastami ruina, jakieś resztki zabudowań, jakieś samotnie stojące drzewo

W Katerburgu gmina jeszcze stała ale budynek był bardzo opuszczony a rosnący kiedyś obok gminy park jodłowy wycięty – ani jednego drzewka nie zostało. Stała tam jedynie jakaś budka z gazetami. I to wszystko.

Wszystko to skłaniało mnie do wspomnień i refleksji. Przypomniałam sobie mój pierwszy wyjazd do Krzemieńca wiosną 1939 roku. Jechałyśmy obie z Danką Siniarską na następny egzamin do Liceum Krzemienieckiego. Wiozła nas wtedy moja Mama, naszym wozem i końmi. Właśnie pomiędzy Rybczą a Katerburgiem spotkałyśmy wóz jadący z przeciwnej strony, którym jechała na wakacje Mela Kozubska, ucząca się już drugi rok w Liceum. Z radością powitałyśmy się. Dziś już nie pamiętam czy ją jeszcze kiedyś potem widziałam.

Owego roku jesienią wypadła wojna. W lutym 1940 roku moją całą rodzinę wywieziono na Ural a Melę i jej rodziców w lecie 1943 roku zamordowali banderowcy.

A to spotkanie na zawsze utkwiło mi w pamięci. Wtedy wszystko było dla nas takie jakieś niecodzienne. Byłyśmy młode i jeszcze pełne dobrych nadziei.

Jadąc dalej z dużym zainteresowaniem spoglądałam przez okno autobusu na mijane po drodze wioski. W każdym widziałyśmy po jednym sklepie i prawie w każdej stał jakiś biały pomnik żołnierza lub kobiety z dzieckiem, które postawiono ofiarom wojny. W Borsukach zdołałyśmy nawet odczytać napis „Ku upamiętnienia ofiar nacjonalizmu ukraińskiego”.

Ludzi po drodze przybywało i do Łanowiec dojechałyśmy w tłoku. Łanowce nie sprawiły na mnie dobrego wrażenia. Zresztą i przed wojną było to mizerne, żydowskie miasteczko, z niewielką ilością zamieszkałych tam Polaków. Dworzec autobusowy mieścił się naprzeciw stacji kolejowej, która od naszych czasów wcale nie zmieniła się. Jest tylko bardzo zaniedbana i wydała mi się jakby trochę mniejsza.

Oryszkowce ominęliśmy i drogą okrężną zawadziliśmy o Jankowce i Szuszkowce. Byłam zauroczona piękną rzeźbą terenu. W jarach, w dolinach leżała jeszcze mgła. Zdawało mi się, że ten krajobraz od dawna znam, nie wiedziałam tylko czy to jest rzeczywistość, czy może tylko śnię.

W Szuszkowcach tak jak przed wojną wzdłuż wiejskiej drogi, na błotnistych rozlewiskach pływały kaczki. Wiejskie domy, nawet dość porządne stały ukryte w gęstwach sadów. Strzech słomianych już nie widać. Doprowadzono elektryczność, na dachach liczne anteny telewizyjne. Po osadach wojskowych – Piłsudczance i Belinówce ani śladu. Starte z powierzchni ziemi.

W pewnej chwili Danusia przerwała moje milczące zadumanie. Okazało się, że jesteśmy już na rynku w Białozórce. Wysiadłam jakaś oszołomiona i zdeorientowana. Rynku nie poznałam. Wszystkie żydowskie domy tworzące kiedyś kształtny czworokąt wyburzono. Po środku zrobiono trawnik a po bokach postawiono trzy „leniny” – dom kultury, kooperatywę i selradę.

Danusia była bardziej chyba przytomna ode mnie ale stwarzała jakiś element strachu – Prędeż, prędeż, nie zatrzymuj się, nerwowo mnie poganiała.

Pociągnęła mnie wąską uliczką w dół do rynku, w stronę dawnej gminy, która stała tak jak dawniej w otoczeniu brzoź. Po drugiej stronie stał ten sam drewniany budynek poczty. Tylko już oczywiście bez czerwonej skrzynki z orzełkiem i trąbką. No i był taki jakiś mizerny i trochę pochylony ku ziemi ale przecież ten sam.

Zatrzymałyśmy się na rozdrożu. Oczyma wyobraźni szukałyśmy parku i skrytego tam, wśród gęstych drzew pałacu hrabiów Brzostowskich. Wypatrywałyśmy resztek kościoła parafialnego, rozebranego z nakazu cara w 1888 roku. Ale nic tam nie pozostało, ani pałacu, ani resztek świątyni, ani starego parku.

Dzień był piękny, majowy a nam tak jakoś ciężko było na duszy. Żal nam było owej przeszłości i tych nie istniejących już zabytków kultury. Ileż historii przewaliło się tu, ileż ludzkich losów poszło w zapomnienie.

Ale nie było czasu do rozważań, godziny miałyśmy policzone. Poszłyśmy więc wzdłuż potoku. W miejscu, gdzie dawniej urządzano festyny utworzył się dość spory staw. Po drugiej stronie, na skarpie zostało trochę gruzu po żydowskich domkach i dzikie chaszczce. Była tam kiedyś uliczka przy której mieszkała Danusia Siniarska. Ale i ta uliczka gdzieś się zagubiła. Pozostał po niej tylko nie uczęszczany wąwóz. Idąc dalej doszłyśmy do starego, drewnianego mostku.

17 września 1939 roku zginął na nim osadnik Marian Pawlicki, który był wtedy na naszym patrolu i nie chciał ustąpić z drogi sowieckiemu zwiadowi. /W.K. Cygan „Kresy w ogniu – wojna polsko-sowiecka 1939 r” Warszawa 1990. „Dalej na południe o godz. 4.45 oddziały II KK z 6 armii po walce zajęły Białozórke i posuwały się w kierunku zachodnim. We wsi Mołotków wraz z grupą żołnierzy, którzy bronili strażnicy KOP-u do ostatniego naboju, poległ kpr. Szydełko i w rejonie tej miejscowości nieznany z nazwiska porucznik z komp. Kpt. Przybylskiego. W Białozórce zginął osadnik Marian Pawlicki.”/

Za mostkiem, przy drodze do szkoły było kiedyś dużo domów. Mieszkała tam moja chrzestna Agata Medolińska i Sześciakowie. Rosły tam bardzo wysokie topole, na których było masę gniazd. Zawsze podziwialiśmy odwagę ukraińskich wyrostków, którzy wracając ze szkoły włączili na sam czubek tych drzew i wybierali z gniazd wronie jaja a nawet nieopierzone wronięta.

Weszłyśmy na drugi mostek. Był dziurawy jak zawsze. A pod nim rzeczka brudna, zarośnięta i prawie zawałona gałęziami i chwastami.

Po dawnym młynie Tyszkiewiczów ani śladu. W trójkącie dróg pozostało tylko małe wzniesienie zarośnięte pokrzywami i topianami.

Podążyłyśmy pod górę, ku kościołowi św. Rocha. Ale nie było tego dawnego wejścia na wysoką skarpe, gdzie był spory plac przed kościołem a i cała góra jakoś bardzo się zmniejszyła. A na górze pustka.

Ani kościoła, ani starego cmentarznego muru ani jednego drzewa, które tam kiedyś ponad grobami szumiały. Wszystko zrównane z ziemią. Tam gdzie był cmentarz walają się resztki starych pomników, rosną krzaki. Na tym tragicznym pustkowiu wśród kilku porozrzucanych bezładnie kamiennych płyt pasą się krowy. Po naszym ukochanym kościółku i po wspinałym grobowcu w którym spoczywały szczątki hrabiów Krasickich pozostały tylko zapadliny.

Trudno było zorientować się, gdzie były groby kolejnych panów – właścicieli Białozórki – Brzostowskich, Osieckich, Jałowieckich i Mogielnickich. Trudno było doszukać się alei obok której była mogiła tych, co w 1863 roku „poszli w bój bez broni” i grobu owianego już legendą żołnierza króla Jana III protoplastę rodu Strzeszkowskich, który mając 105 lat z królem pod Wiedeń poszedł „a dorwawszy jednego pogana za łeb go uchwycił i wąsy mu oberwał” I odtąd na wsze czasy a ku swej chwale zwał się – Stuz-Strzeszkowski-Oderwas.

Nie znalazłam też grobu mojej babci Anny Brandtowej. Wszystko tam jakoś wyrównało się i porosło trawą. A jednak nie wiedzieć czemu smutne resztki polskości w Białozórce jakimś cudem ostały się.

Pozostał samotny cokół szczątki pomnika, który stał przed kościołem. Był to podobno pomnik założyciela cmentarza i kaplicy cmentarnej. Na jednej stronie tego cokołu pozostał jeszcze wyryty w kamieniu napis „Złożone zwłoki Katarzyny z Płykiskiej Kendzierskiej zgasłej 19 lipieca 1839 r. Przechodniu złóż jej modły.”

Mimo woli uklękłyśmy i zmówiłyśmy pacierz. Danusia wciąż przytomniejsza i przezorniejsza ode mnie wyjęła świece, postawiła ją na małym wzgóreczku i zapaliła.

Ku pamięci tych wszystkich, którzy śpią snem wiecznym – powiedziała. Stałyśmy tam jeszcze przez chwilę, miętosiłyśmy w dłoniach mokre od łez chusteczki i obie wzbraniałyśmy się od płaczu.

Polną drogą, poniżej cmentarznego rumowiska jechała wozem konnym jakaś para wieśniaków i z zaciekawieniem spoglądała w naszą stronę. Obie poruszyłyśmy się. Czas nam było iść dalej. Danusia wyrwała mnie z odrętwienia i pociągnęła za sobą. Ale obie wciąż milczałyśmy, obie przeżywałyśmy to samo.

Poszłyśmy drogą na Nizy. Po lewej stronie, na skarpie rosły bzy. Wprawdzie zdziczały ale właśnie zakwitły i tak jak dawniej na fioletowo, na majowo. I wtedy uświadomiłam sobie, że jaśmin, czeremcha i bez nigdzie tak nie pachną jak właśnie tam – na Wołyniu.

Po prawo, wzdłuż dawnego traktu biegnącego do strażnicy KOP-u ciągnęły się jakieś słupy telefoniczne. Zawsze słyszało się tam jakieś szумы i dziwne granie. Teraz przy drodze pozostało kilka wysokich topoli oraz kępka drzew i krzaków na terenie działek Niziolka i Porębskiego. Po obu stronach rosła ładnie pszenica a trochę dalej, na polu Turczynskiego niekończący się łan kukurydzy. Przed nami rozciągał się kraj płaski, równinny, przestronny.

Jak długo i szeroko, jak okiem sięgnąć wiatr kołysał zielonym morzem zbóż, hen aż po sam horyzont, gdzie na prawo od Koszlak ciemniała smuga lasu. Nieco w lewo, chyba nad Zbruczem widać było kępy drzew przysłaniające zabudowania Białozórki. To całe rozległe pole przed nami, to nasza dawna Weteranówka – osada wojskowa naszych ojców.

Poszliśmy doliną, pomiędzy polami Turczńskiego i Furgały. Potem podreptałyśmy jakąś miedzą w kierunku Gąsiorowskiego. I raptem mocno zabiło mi serce, bo oto przed nami ukazała się droga, która kiedyś dwa razy dziennie przemierzałyśmy – nasza polna droga do szkoły.

Stałam tam do głębi wzruszona. Zastawiałam się czy pójść tą znajomą mi drogą i dojść do wytęsknionego miejsca, które opuściliśmy w listopadzie 1939 roku. Tam w maju każdego roku pod moim oknem kwitły wiśnie i jabłonki. Tam wiosną każdego roku, o wczesnym brzasku mój tata szedł boso z pługiem w pole. Zawsze za nim dreptało stado wron.. Z ciepłej, świeżo wyoranej skiby wybierały robaki. A wysoko ponad polami zawsze rozlegał się skowronkowy śpiew.

Stałam tam zapatrzona i zamyślona. Rozkoszowałam się tą wielką ciszą i zapachem rosnącego zboża. Wahałam się iść tam, czy nie iść. I nie poszłam. Do miejsca mojego urodzenia nie dotarłam. Poszłam posłusznie za Danusią. Poprowadziła mnie do źródelka koło Górniaków. Na poboczach drogi trawa była jeszcze mokra od rosy. Zdjęłyśmy buty i poszłyśmy dalej na bosaka. Wokoło nas ani śladu życia, tylko pola, pola i pola.

Po godzinie doszłyśmy na wzgórze. Stąd, po drugiej stronie jaru widać było Sofijówkę a na dole źródelko, którego szukałyśmy. Wyływał tu wąski strumyk. Niżej wsi poszerzał się. Pojawiały się jakieś rozlewiska. Pływały na nich kaczki i gęsi. Z góry widać było bogatą rzeźbę skarpy i resztki dawnego parku Knollów.

W oddaleniu na północnym horyzoncie, na Łysej Górze wśród zieleni drzew wyłoniły się białe mury cerkwi i trzy baniaste kopuły. Puściliśmy się na przełaj przez łąkę. Powróciłyśmy na teren cmentarza. Obie byłyśmy bardzo zmordowane. Usiadłyśmy na bezimiennym grobowym kamieniu. Danusia wyjęła z torby jakieś kanapki. Potem wzięła słoik i nabrała do niego trochę cmentarnej ziemi. To na groby moich rodziców zawiozę, powiedziała.

Wzięłam i ja małą grudkę ziemi i zawinęłam ją w chusteczkę. Było już nieco z południa. Czas nam było wracać na rynek. O godz. 15 miałyśmy powrotny autobus do Krzemieńca.

Na przystanku nie było jeszcze nikogo. Było jeszcze trochę czasu. Weszłyśmy do sklepu. Ludzi wewnątrz mało. Danusia bardziej praktyczna weszła do części przemysłowej. Ja kupiłam jakieś drobiazgi spożywcze i nie widząc nic lepszego wybrałam dla mojej rodzinki tylko kilka par majtek. Na schodach przed sklepem siedziała baba z ziarnkami dyni. Kupiłam ich szklanekę i zabrałam ze sobą. Przed odjazdem zdążyłyśmy zrobić jeszcze kilka zdjęć.

Autobus był pełen ludzi. Przyjechał chyba z Płycki. Pojechałyśmy w dół,

obok poczty i gminy a potem w kierunku Mołotkowa. Po obu stronach drogi pustki, żadnych śladów i zabudowań po osadzie wojskowej „Orle Gniazdo”. Nie widać ani stojącego tam kiedyś dużego budynku strażnicy ani dwóch wielkich topoli, które tam za naszej pamięci rosły.

Mołotkowa wypatrywałam z niecierpliwością. Zobaczyłam go w kępie drzew. Na wzgórzu, za rzeką Łysogórka widać było mały posesiłek – kilka chat otulonych słupami dymów. Kiedyś było to już po sowieckiej stronie. Tu u mojego dziadka spędziłam tyle miłych chwil. Stąd też 10 lutego 1940 roku zabrano nas na Ural. Ale jednak wciąż to był mój rodzinny, ukochany Mołotków. Ze łzą w oku i z biciem serca wyglądałam z okna autobusu. Tu urodziła się moja mama.

Do historii przeszło już spotkanie 9 letniej Marysi Brandt, późniejszej żony osadnika wojskowego Stanisława Domańskiego z Weteranówki z pierwszym polskim żołnierzem z Mołotkowa w 1918 roku. Wpadła ci ona do swej babuni Petronelli Tałałajowej z okrzykiem – Widziałam we wsi polskiego żołnierza! A babunia jak to babunia rzuciła ku Marysi pytanie – A czy ty się z nim przywitała i w rękę go pocałowała?

Mołotków pozostawał za kępą drzew. Uleciały też gdzieś moje myśli. Chyba go już więcej nie zobaczę – pomyślałam. Minęliśmy jeszcze skrzyżowanie z drogowskazem do Ośnik i Teofipola i już wszystko było za nami.

Danusia przeżywała to w inny sposób, rozgadała się z jakimś przygodnym pasażerem. Mnie wystarczała moja wewnętrzna cisza i rozmyślanie.

Po dwóch dniach spędzonych jeszcze na zwiedzaniu Krzemieńca, Wisniowca i Poczajowa przez Zbaraż, Tarnopol i Lwów powróciliśmy do Polski. Ale wciąż byłam jeszcze myślami tam i wciąż jakaś smętna. Po powrocie do domu przywiezioną z Białozórki grudkę ziemi położyłam uroczyście na stole. Mama popatrzyła na mnie a potem na tę grudkę i nic nie mówiąc ostrożnie dotknęła ją drżącymi palcami i położyła ją na dłoni. Z tą odrobiną ziemi podeszła do okna, oparła się o występujący parapet, pochyliła głowę i cicho płakała.

A ja, choć tam byłam, to jednak czegoś mi było brak. Nie odczuwałam pełnej satysfakcji z pobytu w Białozórce i na Weteranówce. Nie odwiedziłam miejsca mego urodzenia do którego tęskniłam i wciąż tęsknię.

Opuściłam je pewnego, mglistego, deszczowego dnia listopadowego prowadząc na łańcuchu pozostawioną nam krowę. Ponieważ rodzice obawiali się, że chłopcy mogą odebrać nam naszą ostatnią żywicielkę, poszłam polami, omijając Białozórkę oraz Mołotków, jako, że dom dziadka stał na drugim końcu wsi.

Reszta rodziny pojechała drogą, na wozie załadowanym naszym dobytkiem. Zabraliśmy tylko tyle ile zdołaliśmy załadować. W naszym domu mieszkała już jakaś ukraińska rodzina i podczas pakowania się, pilnie patrzyła nam na ręce.

Idąc wtedy samotnie polami, cała mokra i zabłocona nie przypuszczałam, że już nigdy nie zobaczę swego domu i swych ulubionych miejsc w jego otoczeniu. W moich snach jakże często widzę kraj swego dzieciństwa. Nigdy tego obrazu nie zapomnę i jestem przekonana, że duch mój po śmierci, nim trafi do miejsca przeznaczenia, przeleci nad Weteranówką i przysiądzie na chwilę w miejscu moich rodzin” /ze wspomnień Łodzi Domańskiej/.

„O czemuż Panie, Boże mój
nie dasz pełnego ukojenia!”

Miły i cierpliwy Czytelniku! Odłóż na chwilę to czytanie, zrób sobie herbatę, usiądź wygodnie podumaj i zastanów się razem ze mną.

Cóż można tu jeszcze dodać?. Czy wypada, czy trzeba tu jeszcze coś dodać – mnie skromnemu autorowi – sprawcy Niedokończonego Pamiętnika, który zebrał trochę nad nim popracował i w pewnym uporządkowaniu przelał na papier wspomnienia swych Przyjaciół. Chyba tylko jeszcze to, że przekazuję je nie gwoli rozpamiętywania doznanych wojennych cierpień Wołyniaków, nie w celu rozdrapywania jeszcze nie całkiem zagojonych ran i żalu po utraconej krzemienieckiej ziemi,

Nie jest też moim celem rozbudzanie waśni i rozjątrzenie sporów z sąsiadującym z nami ukraińskim narodem. Wręcz przeciwnie!. Czas na pewno goi rany! Dla naszych wnuków będzie to już tylko bardzo odległa historia. Potrzeby jest nam świat pełen wiary, nadziei i miłości, takiej zwyczajnej ludzkiej życzliwości. Podanie sobie rąk, oddanie sobie szacunku i „ukłonu pokoju”. Aby z przeszłości, która jest już za nami wspólnie czerpać naukę, aby budować nasze nowe dziś i nasze wspólne jutro. A więc to już wszystko. Koniec mego pisania, odkładam pióro.....

A jeśli kiedy..... pisał Juliusz Słowacki
A jeśli kiedy w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem
A miasto dzwoni nad szmerym potokiem.
Jeśli tam będziesz duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała włączona
To nie zapomnij tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty.
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną
Byłem ja niegdyś, jak Zośka dzieciną.

A życie toczy się dalej
Pół wieku później – Listy

Od autora na zakończenie –

No i cóż jeszcze od „autora”. Powiem „na razie tyle”. Myślę wszakże, że obrany tytuł „Niedokończony Pamiętnik” jest słusznie obrany. Mam jeszcze chęć dopisać ten wiersz z „mojej szuflady”. No i „na razie” EB.

Matka Boska z Wołynia

Tyś nie w ryngrafach ani w złocie
 I bez turkusów i korony
 Tyś tak pobladła jak poświata,
 Którą mróz krzesze w tle księżycy.
 Chodzisz ubrana w ciemne szaty,
 Czerwoną krajką przepasana
 Tylko na rękach po pierścieniach
 Ukrywasz rany, jak stygmaty,
 Z których gdy kropla krwi popłynie
 Cud się dopełnia.
 Modlisz się często z wygnańcami
 Chociaż stęskniona w białej chuście
 Stoją Twe kufry spakowane,
 A tam – w Ojczyźnie
 Kościół pusty.
 /Krzysztof Kołtyn z Chełma/

Kochany Kolego Edmundzie

Przemyśl 5.01.1192 r.

Przepraszam, że dopiero dzisiaj dziękuję za przysłane mi książki. Szczególnie 2-gi tom ma dla mnie olbrzymią wartość. Jest to najpiękniejsza lektura. Pisałeś tak szczerze, po prostu, to co myślałeś i co dyktowało Ci Twoje serce. Opisałeś w niej swoje, nasze szkolne lata. Zawarłeś w niej swoją tęsknotę i miłość do stron rodzinnych. Opisałeś dokładnie naszą osadę w okresie przedwojennym. Doceniłeś pracę naszych Rodziców. Dzięki ich pracy osada nasza była piękna. Wiele zieleni, kwiatów, drzew owocowych.

Choć nie pozostał żaden ślad naszej tam bytności, to jednak w sercach naszych jest miejsce na Weteranówkę.

Kochany! Tęsknimy, wspominamy. Swoje przeżycia przelewamy na papier. Opisałeś wreszcie tragedie Polaków zamordowanych przez Ukraińców. Dzięki Tobie, Teresie Borowiec, Danusi Busz- Kucharskiej, Stasiowi Karczemnemu, Teofilowi Kotodziejowi i wielu, wielu innym nasze wnuki będą mieli jakie takie wyobrażenie o rodzinnej naszej miejscowości.

Edmundzie wypada mi w tym naszym Nowym Roku życzyć Ci dużo zdrowia i napisania choć jeszcze jednej książki.. Teraz pójdzie Ci łatwiej. Trochę materiału masz, trochę pozbierasz. Staś Karczemny byłby w tym pomógł. Mogła by to być praca zbiorowa. Warto by opisać dzieje osadników u schyłku ich życia, aż do miejsca ich wiecznego spoczynku i uzupełnić

fotografiami.

Pomyśl nad tym! Zostaje już czasu coraz mniej. Od naszego spotkania w Warszawie w 1989 r. minęło zaledwie kilka lat a już tyłu od nas odeszło. Nie żyje Edzio Kuta, który nas wszystkich gościł wtedy i Jego Mama Pani Marta. Nie żyje Wł. Wolski, nasz senior z Białozórki, wszystko pamiętający, który tyle przekazał wiadomości do prac z Weteranówce. Nie żyje Twój brat Zbyszek i Julek Niziołek, mój brat Julek i Stefan Węgrzyn i mąż Danusi Busz.

Z żalem wielkim wspominamy tych, co odeszli od nas. Ot takie było nasze życie. Twego brata zapytywałem w liście o wiele moich koleżanek, których los jest mi nieznany. Może Tobie są znane losy Ireny Miller, Oli Szusćiek. Może coś o Parasi Szymczuk – Ukraince. Była to moja koleżanka z lat szkolnych. Czy to prawda, że należała do bandy ukraińskiej?. Co się później stało?.

Pisał do nas Wolski, że u nich i w domu Maksyma Hańciuka odbywały się narady, że Parasia, Frosunka i córka Hańczuka należały do Org. Ukr., że ojciec Parasi uczestniczył w morderstwie rodzin polskich u Koculskich.

Czy to wszystko prawda?

Byłeś w Biatrzirce najdłużej i może coś Ci więcej wiadomo na ten temat? Trudno mi w to uwierzyć

Po naszym wyjeździe w domu naszym zamieszkał Wolski z rodziną i jakaś Kociubycha z wnuczką. Czy to nie babcia Hryčka Swynerczyka? Czy znałeś ich?

Na tym kończę – pozdrawiamy Cię serdecznie.

Janka Gładysz

Panie Edmundzie!

Rzeszów 21.02.1992 r.

Serdecznie dziękuję za przesyłkę książek i dodatków o które właśnie chciałam prosić /ksero mapy ale aż tyle?/

A więc bawimy się dalej. Książki są wspaniałe, pełne humoru mimo wszystko. O ile można, to proszę o jeszcze 4 kompl. Ale już później, w maju, bo muszę zapłacić światło, gaz i to do końca roku, bo zapominam i płacę karę. Mam emeryturę i rentę inwalidzką. Tę ostatnią zaledwie od paru lat a trzeba było dużo dzieciom pomagać. Zawsze były kłopoty. Zdrowie kiepskie, póki widzę a zagraża mi ślepotą, to czytam książki. Chodzić mi o kulach trudno. Odbija się wszystko. Wszystko – to moje wspaniałe, bogate w przygody życie.

Przyjechały Danusia i Hela Siniarskie. Bardzo podobne do p. Jarzębskiej i do Wandy. Natomiast ja do nikogo, bo aktualnie jestem starsza od moich rodziców w 1939 r. o całe 28 lat.

Te wspomnienia o Rybczy i okolicach czytałam, jeśli można proszę o odbitkę ksero.

Pani Gašiorowska mówiła, że wiele ludzi ją odwiedzało z konspiracji we Lwowie.

Białozórczanie zawsze się wyróżniali inteligencją i obyciem, choć nieraz tylko parę klas zdołali zaliczyć. Ja już chyba najstarsza z naszego pokolenia. Proszę wybaczyć bo zaczynam już nudzić.

Ale, ale pokręciliśmy z tymi książkami zdrowo ale żebyśmy tylko takie zmartwienia mieli. To wyszedł nawet nie zły ubaw. Ale jak pisałam mają je dzieci, mają wnuki. Jeden komplet wysłałam do Bielawy do Gieni Sudoł z którą na Syberii za polskość w więzieniu siedziałam, w imieniny, to przez pamięć dla niej.

Książki już przeczytałam, są wspaniałe i tematycznie dobrane. Pieniążki na kryptę wpłacę ale w przyszłym miesiącu, bo na ten już limit wyczerpałam. Chyba nie będzie za późno, bo krypta stoi a książki uciekną.

Z Gieni Tomczak-Barabasz, z którą byłam w Batalionie Roboczym i razem pod Lenino widziałam się 9 XII 91 r. w Warszawie. Pasujemy do siebie. To ona na tym zdjęciu ze mną na str. 305. Pożyczyłyśmy sobie mundury a ja nawet czapkę na tę uroczystość od oficerów Riazania.

O czym pisać jeszcze? Zima, siedzę, trochę choruję, robię robótki i czekam wiosny. Książki – jedyna to rozrywka.. Aha, znowu wyjdzie nie tak z pieniążkami. To znaczy, że mam dać Polkowi Kozielskiemu 200 tys. A ja już wysłałam. Wobec tego wyrównam w lutym a Pan mi wyrówna książkami. Dobrze? Aha, a żadne te czekoladki dla wnuków – zapomniałam! Przepraszam za ten bałagan, może Pan sobie pośpiewać – ach te baby! Ale się nie gniewać.

Życzę dobrego zdrowia, jakiego i dla takich jak ja bab potrzeba i nie tylko.

Maria Górniak-Kozimor Cześć!

Sz. Panie Bosakowski

10 maj 1991 r. Józefów

Bardzo przepraszam, że dopiero teraz odzywam się do Pana. Ale mieliśmy w rodzinie trochę kłopotów i komplikacji. Dziękuję serdecznie za list i książkę. Jestem niezmiernie wdzięczna Panu za wykorzystanie pamiętnika mojego męża /Stanisława Sekuły EB./, bo wiem, że pozostanie po Nim i po Jego przeżyciach jakiś ślad, i po ziemi w stronach Jego ojczystych, które tak kochał i żył tymi wspomnieniami. A co najważniejsze dla pamięci mojego męża, to, że utrwalona już będzie w literaturze samoobrona wsi Rybcze. Mały to może ale też krwawy akt w dziejach naszej wschodniej ziemi.

Nie znamy się osobiście ale mam dla Pana wiele szacunku i uznania za tę wielką pracę, jaką Pan wkłada w publikacje o losach Polaków ze Wschodu.

Przez męża strony te i te historie stały mi się bliższe. Ja jestem Warszawianką i twierdzę, że bardzo dużo Polaków ze środka Polski nie ma pojęcia, albo mało bardzo wie na ten temat.

Nie wiem czy wyszła już ta seria „Wschodnie losy Polaków”. Syn nie miał czasu szukać po księgarniach. Może Pan uprzejmie posłuży nam tą informacją.

Jeszcze raz serdecznie dziękuję i pozdrawiam

Celina Sekuła

Szanowny Panie

Częstochowa 17 I 92 r.

Już tak dawno chciałam do Pana napisać aby podziękować Panu za pomoc w sprawie poświadczenia do uprawnień kombatanckich po mężu. Niestety do tej pory nie otrzymałam w tej sprawie ze Światowego Zw. Czł. AK odpowiedzi. Czekam niecierpliwie.

Danusia Kwietniowa przysłała mi odpis protokołu insp. AK w Zbarażu w sprawie zamordowania mego męża Waclawa / „Gołębia”/ i jego rodziny przez banderowców w 1943 r. a to też z Pana pomocą – dziękuję! Jednocześnie mam prośbę do Pana o nadesłanie mi odpisu p. Józefa Piątkowskiego, który był kolegą mego Męża. O ten adres proszą mnie koledzy z którymi kończyli szkołę oficerską w Komorowie, a z którymi utrzymuję kontakty.

Cieszę się bardzo, że będziemy mogli się spotkać w Zamościu, gdy będziemy uczestniczyć w uroczystości poświęcenia Krypty ku czci ofiar wojny z Wołynia.

Przepraszam, że zwracam się do Pana w tych sprawach ale doprawdy nie mam do kogo się zwrócić. Strasznie mi przykro, że nie poznałam osobiście Pana brata Zbyszka. Niestety pojechałam do Kalisza z moim synem w miesiąc po Jego śmierci. Ale byłam na grobie Jego z Panią Wandą i Jego córką.

Kończę i pozdrawiam.

M. Pozichowska

Szanowny Panie

Łódź 22 10 91 r.

Witam Pana bardzo serdecznie. Nazywam się Maria Wierzbicka. Jestem siostrzenicą Piotra Węglińskiego rodem z Białozórki. Piotr zmarł 8.1 90 r.

W czasie ostatniej bytności w Poznaniu od żony Piotra – Ireny otrzymałam Pana adres i pozwalając na skreślenie tych kilku słów, proszę mi powiedzieć gdzie można nabyć książkę, którą Pan był uprzejmy wydać przed laty. Książkę o ziemi mych dziadków i rodziców i po części i mojej, bo tam zdążyłam się jeszcze urodzić. Chciałabym zrobić prezent mojej Mamusi Zofii siostrze Piotra. Moja Mamusia ciągle wraca do stron swego dzieciństwa i młodości, Chciałabym choć w ten sposób jeszcze na moment zatrzymać czas, ludzi i obrazy, które odchodzą w przeszłość.

Czekając na odpowiedź, łączę ukłony.

Maria Wierzbicka

Drogi Panie Edmundzie

Łódź 16 11 91 r.

Mam wielką nadzieję, że wybaczy mi Pan ten zwrot ale to ja właśnie jestem tą dziecina w pieluszkach, którą Pan raczył tak dokładnie zapamiętać /co za radość/.

Był to rok 1940 lato, ja urodziłam się 6.II 1940 r.. Obraz zachowany w Pana pamięci jest zgodny z prawdą. Istotnie moja Mamusia była bardzo zasmucona /że też i to Pan zapamiętał!/ Jej życie osobiste nie było kolorowe.

Przede wszystkim bardzo serdecznie dziękuję za długi list. Czytałyśmy go z Mamą kilka razy. Zwlekałam z odpowiedzią, bowiem czekałam na przyjazd Mamy – mieszka w Tomaszowie Maz. – 55 km od Łodzi. Chciałam tę korespondencję Jej przekazać. Była bardzo zadowolona. Ona ciągle uśmiecha się do tamtych lat swego szczęśliwego dzieciństwa i radosnej młodości. W 1939 r. kiedy weszli Sowieci moja babcia Węglińska była już wdową. Dziaduś zmarł w 1937 r. Podobno był wielce szanowanym człowiekiem. Babcia opowiadała, że gdy zmarł to nawet Żydki przysłali wieniec. Był to wymowny gest i zapewne poważanie jakim dziadkowie cieszyli się w okolicy.

Na Sybir nie zostaliśmy wywiezieni. Babcia została uprzedzona o wywózce. Uciekłyśmy do Białozórki, do Straszekowskich. To były straszne przeżycia, które przez tyle powojennych lat trzeba było ukrywać. Ale to wszystko dokładnie zostało zakodowane w moim organizmie. Jestem na rencie II grupy. Byłam bardzo chorowita, wiele przeżyłam. Moja Babcia zmarła kilka lat temu. A Kołodziej w artykule „Białozórka” wspomina Czerwickich. Znam ich losy. Martyna Czerwicka – żona Ludwika /osadnika wojskowego/ była spokrewniona z moją Babcją Węglińską. Mieli czterech synów i córkę. Byli wywiezieni na Sybir. Hela, Józek, Julek i Piotr mieszkają w Anglii, natomiast Edward służył w LWP. Po wojnie zamieszkał w Tomaszowie Maz. Dokąd ściągnął swoją matkę ze swoimi dziećmi.

Żona Edwarda i ojciec zginęli na Syberii.

Ot tak w telegraficznym skrócie. Medolińscy mieszkają w Poznaniu. Ja historie Białozórki znam tylko z opowiadań. Więcej na ten temat może opowiedzieć moja Mamusia. Jeśli Pan pozwoli mam propozycję – proszę przyjąć zaproszenie do Łodzi. Przyjedzie Mamusia i w trakcie rozmowy wiele fragmentów łatwiej ułoży się w całość. Przesyłamy serdeczne pozdrowienia

Maria i Mama

Drogi Panie Edmundzie!

Łódź 29 12 91 r

Bardzo ale to bardzo dziękuję za grzeczność i miłą niespodziankę. Fantastyczny prezent na Nowy Rok! Książki otrzymałam wczoraj. Cieszymy się obie z Mamą. Mama od Wigilii przebywa w Łodzi i pozostanie jeszcze dni kilka.

Żałujemy bardzo, że nasze spotkanie trochę oddaliło się ale mam nadzieję, że rychło nastąpi. Po lekturze będzie tematów co niemiara a radość niewymierna. Bardzo proszę przyjechać.

Życzę pomyślnego załatwienia wszystkich spraw, dużo zdrowia i sił witalnych na wszystkie przeciwności.

Szczęść Boże na Nowy Rok

Maria Wierzbicka

PS. Niech żyje Białozórka

Drogi Mundku!

Tomaszów Maz. 8 I 92 r

/list od Zosi mamy Marii. W./

Wybacz, że tak bezpośrednio zwracam się do Ciebie. Raz, że jesteś z Białozórki a po drugie zdaje mi się, że będziemy sobie jeszcze bliżsi. Cieszę się z książek. Czytając byłam bardzo wzruszona z opisu naszego miasteczka i życia tam. Te wszystkie miejsca i nazwiska takie mi bliskie. Tam przeżyłam najpiękniejsze lata u najlepszych rodziców, mimo, że nie było takich wygód jak obecnie.

W moim czasie młodości było dużo – Puziakowscy, Pruksezi, Czerniccy, Ostromęccy, Styzalki, Szrelfele, no i Kaziu Niwiński /mieliśmy się pobrać ale nie wyszło/.

W lecie robiliśmy majówki, herbatki, potańcówki a w ziemie kuligi – ile było uciechy i śmiechu.

Najlepsze bale były w KOP-ie. Bliziotko mieszkaliśmy – dużo znajomych wojskowych.

4 lutego 39 r. wyszłam za mąż a we wrześniu wybuchła wojna i skończyło się wszystko. Wywózki, strach, w 1941 znów Niemcy a potem banderowcy w 43 roku. Ucieczka – nowi ludzie, nowe wegetacje. Brat Piotr odszedł od nas. Na pogrzebie było sporo znajomych – Genia i Włodek Sieńczaki, Nusia Medelińska,, Romek Centkiewicz z żoną i jego matka już staruszka.

Już dość Ci nabiadoliłam. Pamiętam Cię Mundziu u Strzeszkowskich, miałeś takie smutne oczy, byłeś taki zagubiony, robiłeś sweter z grubej wełny. Jak się spotkamy to sobie opowiemy dużo przeżyć. Daj znać, kiedy przyjedziesz. Zасыłam masę serdecznych pozdrowień.

Zosia Wierzbicka

Czekam!

Drogi Panie Edmundzie !

Sandy USA 27 stycznia 1992 r.

Dawno już oczywiście otrzymałem Pana miły list z 9-go grudnia ale do tej pory nie miałam możliwości odpisania. List Pana sprawił mi naprawdę ogromną przyjemność i b. się cieszę, że ta pani dała Panu mój adres. Dziękuję za kartkę z życzeniami świątecznymi i proszę w zamian przyjąć, choć przeszło o miesiąc spóźnione moje serdeczne życzenia na ten rok 1992. Zdrowia, zdrowia i przede wszystkim zdrowia, bo wiem a na pewno i Pan też, że to najważniejsze w naszym wieku. Dziękuję za załączniki.

Opowiadanie Adolfa Kołodzieja o księdzu Jatocho, jak i też artykuł „Białozórka” zainteresowały mnie bardzo i wzruszyły. Kościół oczywiście pamiętam, lecz historia jego nie była mi znana. Poza nazwiskiem gen. Januszejtisa nie natknęłam się na inne znane mi. Z Jurkiem i Markiem synami generała uczyłam się w liceum. Jurek mieszka w Londynie. Korespondowałam z nim jakiś czas i nie wiem właściwie czemu przestaliśmy do siebie pisać. Marka też spotkałam w Anglii, gdzie mieszkałam po wojnie osiem lat. Ożenił się z jedną z naszych młodszych koleżanek Jasią Szwarcówną.

W „Białozórce” wśród nazwisk polskich ziemian i dawnej szlachty kresowej natknęłam się na nazwisko Knoll. Był ze mną w tej samej klasie chłopiec o tym nazwisku. Ciekawam, czy to z tej rodziny. Spotkałam go potem w 2-im Korpusie. Jeśli mowa o osadnikach w Białozórce to ich mało znałam. W końcu byłam młodą uczennicą, która przyjeżdżała do domu tylko na wakacje, resztę roku zamieszkując w Krzemieńcu, w internacie licealnym.

Pamiętam pp. Ślizaków, których syna i córkę spotkałam „u Andersa”.

No i w Mołotkowie mieszkał mój kolega szkolny Józek Stebelski, który mimo tego, że w gimnazjum był bardzo przeciętnym uczniem, po wojnie dochrapał się stopnia generała PRL i nawet dowodził oddziałami polskimi w Czechosłowacji w 1968 r. Zmarł dość młodo – pochowany na Powązkach.

Powtarzam, znałam tylko ludzi najbliższych w pracy mego ojca, który był sekretarzem gminy przez ostatnie trzy lata przed wojną. Pracował tam na przykład młody człowiek Władek Frydrych, z którym przetańczyłam nie jeden bal w KOP-ie i nie jedną zwykłą zabawę w Straży Pożarnej w Białozórce. Siedział on w Kozielsku z moim Tatusiem ale udało mu się uciec i spotkałam go w wojsku. Opowiadał mi dużo o ostatnich miesiącach życia mego ojca.

Tatus gdyby żył pamiętałby wszystkich z całej okolicy. Nie tylko na skutek swej pracy ale i dlatego, że lubił ludzi i interesował się nimi. Znał nawet każdego Żyda w miasteczku i każdego chłopca. A jego wszyscy lubili i obdarzali szacunkiem. Kiedy „zagiął” a nas z matką wyrzucono z mieszkania gminnego zamieszkałyśmy u jakiejś starej Żydówki, która nie chciała przyjąć od nas pieniędzy a kobiety Ukrainki przynosiły nam nocami żywność.

Wywieziono nas w kwietniu, między innymi z rodziną białozórskiego wójta Berezowskiego. Nie wiem czy udało im się wrócić z Kazachstanu, bo wyjechał stamtąd wcześniej na roboty, na kolei pod Karagandą a potem dostałam się do wojska.

W Białozórce mieszkał też jeszcze jeden z mych kolegów licealnych Leon Dowkaluk syn popa. „Chodził” długo jak to się w narzeczu uczniowskim nazywało z moją kuzynką i w zamęcie wojny pobrali się we Lwowie. Ona będąc w ciąży wyjechała w 41-szym do Ameryki gdzie miała ojca a on zginął bez śladu.

No i widzi Pan! Rozbudził Pan we mnie wspomnienia i od razu rozpisałam się o dawnych czasach. A chciałam przede wszystkim powiedzieć Panu, że czytałam Jego książkę „Na mojej drodze”. Dostałam ją od przyjaciółki Janki Sułkowskiej-Głaskań z Toronto. Mówi, że pisała do Pana nie dawno. Książkę tę przeczytałam z zainteresowaniem. Choć i tam nie znalazłam znanych mi nazwisk. Ale miejsca – miejsca tak drogie i dobrze zapamiętane, jak wszystko co działo się w tych okolicach w czasie wojny.

Przyznaję ze wstydem, że z artykułu „Białozórka” po raz pierwszy poznałam trochę bogatą historię tego miasteczka i okolic. Ciekawe są dzieje młodszego pokolenia białozórskiego podczas ostatniej wojny. Obserwuję dzieje nas wszystkich. Dowiaduję się, że wielu z tych młodych znalazło się w Korpusie, że jedna Pani uczęszczała nawet na uniwersytet w Bejrucie /Maria Kołodziej EB/ gdzie i ja studiowałam. Nigdy się jednak z nikim z Białozórki nie spotkałam, może dlatego, że poszukiwałam tylko Krzemieńczan.

Nie znałam też nikogo z tych, których wymienia Pan w liście. A szkoda, bo tak jak i Pan byli to ludzie wielce wartościowi. Teraz za późno na poznawanie kogokolwiek, bo wielu już odchodzi na zawsze a dla pozostałych podróżowanie już za ciężkie.

Od 62-go roku, kiedy odwiedziłam Polskę po raz pierwszy po wojnie, jeździłam tam dość często. Za każdym razem starałam się być na jednym zebraniu byłych wychowanków Liceum Krzemienieckiego w Warszawie. O Białozórczanach i ich spotkaniach dowiaduję się dopiero od Pana. Szkoda, że ze względu na zdrowie a raczej jego brak nie będę mogła jeszcze choćby raz wybrać się do mej Ojczyzny. Tylko do której? Bo dla mnie Ojczyzną był przede wszystkim utracony Wołyń z Krzemieńcem. W tych dniach właśnie dostałam z Toronto film-wideo robiony niedawno w Krzemieńcu. Oglądałam go kilka razy pod rząd i nie jedna łezka a wiele ich uрониłam. Doszłam jednak do wniosku, że nasz Krzemieniec istnieje już tylko w naszych sercach i w pamięci.

Tą smutną myślą zakończę już chyba nieprzyzwoicie długi list. Trafił Pan w mojej osobie na gadułę straszliwą. Pewno zmęczyłam Pana już czytaniem, szczególnie, że pismo podobno mam dość nieczytelne. /A co ja mam powiedzieć. EB./

Jeszcze raz dziękuję za miłą niespodziankę, którą był Pana list. Załączam bardzo, bardzo serdeczne pozdrowienia.

Irena Łaniewska

PS. Świetny pomysł z tą Kryptą w Zamościu. Kto to zainicjował?

Szanowny Panie!

Poznań 6.4 92

Dziękuję serdecznie za życzenia świąteczne oraz za przysłanie mi formularzy w sprawie Krypty. Dostałem je też od Danusi. Zaraz wysłałem je dalej moim zainteresowanym. Jest mi b. przykro, że nie będę mogła przyjechać na poświęcenie Krypty Stan mojego zdrowia nie pozwala na to. Zdaję sobie sprawę, że teraz to będzie grób i pomnik moich najbliższych ale niestety pojechać nie mogę. Proponowała mi Danusia Siniarska żeby przyjechała do niej jeden dzień wcześniej i na drugi dzień pojechałybyśmy do Zamościa. Gdyby to była odległość do stu kilometrów, to bym się jeszcze zdecydowała pojechać ale tyle kilometrów jest o wiele za dużo.

Danusia pamięta mnie jeszcze z Białozórki i z Tarnopola gdzie razem mieszkaliśmy w jednym pokoju ze trzy tygodnie ale muszę dodać, że to już nie jest ta Helenka, którą Ona pamięta z 1943 roku.

Teraz to już jest ta matka trojga dzieci i babcia sześciorga wnucząt a to jest już dość spora różnica. A te przeżycia, które niby poszły w zapomnienie, z tego życiorysu wymazać się nie da.

Pisze Pan, że ze względu na stan zdrowia też nie jest pewny czy pojedzie do Zamościa na to poświęcenie Krypty. Ja mam jedną wielką prośbę.

Na pewno będą robione tam zdjęcia. Może Pan a może ktoś z Białozórczan, ja bym bardzo prosiła o jedno zdjęcie z tej Krypty. Byłaby to dla mnie b. cenna pamiątka. Nie wiem, czy to od nas ktoś pojedzie, jest za daleko i za duży koszt. Trzeba by wybrać się na trzy dni i prosto z dworca załatwić z noclegiem a to już mówi samo za siebie.

Książki już dawno przeczytane i muszę przyznać, że ma Pan dar pisania. Czy nie pisze Pan następnej o Wołyniu?. Czytałam i litowałam się, że takie jeszcze małe dzieci w czasie wojny błąkały się bez rodziców, wśród obcych ale życzliwych ludzi. Ale roześmiałam się w głos jak opisywał Pan Strzeszkowską. To było dobre! Teraz te książki czyta moja kuzynka i jej znajoma. Gdyby Pan jeszcze coś napisał to polecam się łaskawej pamięci.

Z dnia na dzień czekam na list od brata Tadka z Toronto, Nie wiem czy przyjedzie, tak bardzo chciałabym – jeszcze rozważają. Kończę i z okazji nadchodzących świąt Wielkanocnych życzę dużo zdrowia, samych pogodnych dni i wszystkiego najlepszego dla całej Pana rodziny.

H. Kulczycka.

Mundziu!

Rzeszów 7 IV 92 r.

Daruj, że trochę zwlekałam z odpowiedzią na Twój list ale w końcu zmobilizowałam się i donoszę o wszystkim co ostatnio u nas się wydarzyło.

Otóż 4 bm. Była w Rz-wie Danusia Siniarska ze swoimi siostrami Aliną i Eweliną. Gościł nas wszystkich Polek Kozubski. Danusia złożyła nam „meldunek” z postępu prac przy wykonywaniu tablic do Krypty. Obecnie jest już w chromowaniu 17 tablic i będą do zabrania do 15-go kwietnia. Koszt tablic wyniósł 7.189 tys. zł. Ja dałam Danusi kwotę z zebranych składek. Dotychczas zebrała ponad 12 mln. zł. 5 osób wpłaciło po 1 mln. zł. Wszystkim i Tobie składam serdeczne dzięki. Wpłaciłam również 1.3 mln. zł. na wyposażenie i urządzenie krypty.

Mamy zamiar z Polkiem i Danusią wybrać się do Zamościa, żeby zorientować się i zaawansowaniu prac w krypcie. Nasi Wołyniacy b. pozytywnie odnieśli się do apelu i prawie wszyscy, których miałam adresy włączyli się aktywnie do składek.

Duże uznanie mam dla Miecia Kawy. Do niego zwróciłam się z prośbą aby na swoim terenie przeprowadził akcję składek i muszę przyznać, że zrobił to b. rzetelnie. Wszystkich zdołał przekonać do udziału w akcji. Nadesłał mi wykaz osób wpłacających i przekaz na pieniądze. Oczekuję jeszcze składki od Janki Gozurowskiej i Ireny Turczyńskiej. W uroczystości otwarcia i poświęcenia krypty zapowiada swój udział dużo osób. Między innymi wybiera się do Zamościa Adolf K. z żoną.

27 V g. 14 przylecą z Schelfiewe samolotem. Gdybyś mógł ich odebrać z lotniska byłabym Ci b. wdzięczna i im będzie przyjemnie, że ktoś się nimi zajmie. Wprawdzie Adolf jest obrotny ale niech zna naszą gościnność. A zawsze miło witać naszych rodaków.

Może i Ty przyjedziesz razem z nimi do Rzeszowa a stąd razem pojechalibyśmy samochodem do Zamościa. Zapraszamy serdecznie. Byłby czas na nasze rozmowy. Zapraszamy z Ziutą

Przeczytałam Twoje opracowanie o Rybczy – dziękuję za maszynopis. Łączę serdeczne pozdrowienia i liczę, że dasz znać o sobie w niedługim czasie. Z okazji świąt Wielkiej Nocy życzymy zdrowych, pogodnych i pełnych relaksu dni świątecznych.

Danka

PS. Zdrowie i siły coraz słabsze, trzeba się oszczędzać!

Drogi Mundziu

Rzeszów 30. 3 1992 r.

Dziękuję za tak obszerny list oraz przepiękną kartkę z życzeniami świątecznymi. Nareszcie dorwałam Twój „Niedokończony Pamiętnik” o obronie Rybczy. Podoba mi się zwłaszcza sam środek /rozdział 3/ i z relacji Danusi i Łodzi. Wala Siniarska przysłała mi 2 wiersze. Są takie dziecinne z lat 1945-46 ale chwytające za serce. „Wschodnich losów” mam 2 kompl.. Jeden posłałam bratu!?! do Szczecina, a drugi rozpowszechniam /wypożyczam/ członkom Tow. Miłoś. Lwowa. Wszystkim się podoba. Niektórzy z nich czytali Twój „Niedokończony Pamiętnik” i naszą „Kronikę” Białozorską. Tak im się utrwaliła, że gdy zapisują się na czasopisma to zamiast mego nazwiska wpisują – Białozórka.

Pani Eliza Wójtowicz przysłała mi trochę szpargałów krzemienieckich. Były w nich różne wydruki z gazet, wiersze i opowiadania o Krzemieńcu i Krzemienchanach. B. ciekawe wspomnienia p. Filipiny Astrofi /Stebnickiej/ z USA.

Wywieziona 13 04 1940 r. z Północnego Kazachstanu znalazła się wśród Polaków z okolic Sławuty.

Z Tow. Miłoś. Lwowa przygotowujemy paczki żywnościowe dla Polaków mieszkających na Ukrainie. Udało mi się załatwić 10 mln. zł. Od przedsiębiorstwa budowlanego w którym badałam bilans. Myślę, że na 80 paczek wystarczy. Włączyli się w to przedsięwzięcie zrzeszeni rzemieślnicy i bezimienni. Zapewniają transport i pomoc pieniężną. Żeby ich tylko Ukraińcy nie obrabowali, bo zaraz za granicą napadają na polskie transporty.

W „Gazecie Lwowskiej” z 29 lutego br. Jest artykuł o „Okopach Świętej Trójcy” w którym podają, że przy końcu października 1682 ukończona została warownia, którą nazwano Okop św. Trójcy, komendantem mianowany Michał Brandt, pułkownik orkolazjerów. Może to przodek mamy Łodzi Domańskiej?. Muszę wysłać jej tę gazetę.

Kończę, serdecznie Cię pozdrawiam. Życzę smacznego jajka

Teresa z Mamą

Drogi Edmundzie

Gdańsk 17.03.92 r.

Dziękuję za list i za informacje. W najbliższym czasie wyślę „cegiełkę” na kryptę w wysok. 100.000 zł. Bo dziś za 20.000 zł nic już kupić nie można. Widzę, że cieszysz się z załatwienia w końcu emerytury zupełnie jak ja w swoim czasie. Dziś żałuję tych dawnych dni pełnych trosk i różnego typu zajęć dnia.

Wszystko minęło! Chociaż nie! Ja wierzę w reinkarnację – dusza nie umiera. Moja dobra dusza jeśli nie wstąpi w jakieś inne ludzkie ciało, to będzie sobie w powietrzu fruwać i naprowadzać ludzi na dobrą drogę. Dziś napisałam list do Danusi Busz, do mojej kuzynki w Szczecinie, co córki mojego wujka Janka Kozubskiego, który był nauczycielem. Został wywieziony w 1944 r. do łagru w Sowietach i tam zmarł w 1948 r. Chciałabym aby on też był umieszczony na tablicy w krypcie w Zamościu. Pytałeś o nasze nazwisko. Jedni piszemy się Puzichowscy a drudzy Pozichowscy. Otóż zależy to od tego jak organista przy chrzcie zapisał.

Mój ojciec był Puzichowski a jego brat Pozichowski – rodzony ale młodszy. Cieszę się, że i Regina Pozichowska włączyła się do tej fundacji. Ich rodzina doznała szczególnie wielkiej tragedii i straty.

U nas na wybrzeżu sypał śnieg i był mróz, ochłodziło się. Mam nadzieję, że za parę dni ociepli się - bardzo lubię wiosnę. Martwię się bo choruje moja córka. Nigdy nie marzyłam żeby dzieci były ładne ale żeby były zdrowe. A moja córka, wyobraź sobie ma już 48 lat! Nie do wiary?

W tym miesiącu minęła 3 rocznica śmierci mojej siostry Julii, z którą chodziłam w Białozórce do jednej klasy. Była kobietą ładną, ambitną, lubiła się b. ładnie ubierać. Ale cóż przyszedł dzień i trzeba jej było wszystko zostawić i zabrać się w zaświaty. Taka jest kolej życia! Ciężkie to nasze życie ale mówimy „Kocham cię życie!”.

Irena „Wesołego Alleluja”.

Drogi Kolego Edmundzie

Pokrzywnik 5.IV 1992 r.

Serdecznie dziękuję za życzenia świąteczne. Zapytywałeś jak się czuję na emeryturze. Słabo, ale co robić? Takie jest życie człowieka -raz gorzej, raz lepiej. Mogłam sobie kiedyś polepszyć ale poświęciłam się synom a teraz narzekam. Taki to już mój charakter, że za dziećmi bym w ogień poszła!

Syn Boguś dostał mieszkanie, ładne i ładnie to dziś kosztuje – 32 miliony. Musiał wziąć pożyczkę i dopłacić do dawnego wkładu. Może Bóg da, że jeden rok przetrwają. Opłata za mieszkanie i pożyczka będzie wynosiła 4 miliony miesięcznie. Jest stolarzem, ma trochę maszyn, może po pracy trochę dorobi.

Rozpisałam się o synu a może cię to znudzi czytać. Ale jak się przed kimś wyżalę to mi lżej. Ja, dużo choruję, ręce i nogi bardzo bolą. Od 1961 /jak mnie mąż zostawił/ chorowałam na grypę, nie mogłam się wyleczyć, syny chodzili do szkoły. Miałam krowę i świnię i musiałam zrobić, grypy nie wyleczyłam, została na stałe chrypka. Mam do czynienia z krtanią – wyleczyć nie można.

Święta blisko – trzeba brać się za pranie, sprzątanie a synowa pracuje w Jeleniej Górze. Pomahu sobie porobię. Mam tylko kurczaki i parę kurek. Niewiele tego ale coś mam.

U nas jeszcze zimno – śnieg i deszcze. W Telewizji zapowiadają, że święta mają być ciepłe.

Wybacz Mundziu, że tak rozpisałam się o swojej biedzie, jak będziesz miał wolną chwilę to przeczytasz. Da Bóg może pożyjemy, doczekamy lepszych czasów. A chciałabym jeszcze doczekać się czegoś lepszego, pomimo, że mam już tyle lat.

Kończę, zasylam moc serdecznych pozdrowień dla wszystkich znajomych i życzę wesołych Świąt Wielkanocnych oraz smacznego, święconego jajka.

Cześć!

Maria

Szanowny Panie!

Wrocław 20.VII 91 r.

Na wstępie mojego listu chciałbym przeprosić Szanownego Pana oraz za zawracanie głowy a przede wszystkim muszę się przedstawić. Nazywam się Jan Pilecki i jestem dawnym mieszkańcem wsi Rybczy o której Pan tak pięknie napisał w „Niedokończonym Pamiętniku”. Obecnie mieszkam we Wrocławiu i jestem emerytem.

Będąc z rewizytą u siostry śp. Staszka Sekuły, która mieszka w Opolu, miałem możliwość zapoznać się z Pańskim dziełem.

Muszę przyznać, że byłem mile zaskoczony a jednocześnie pełen podziwu i życzliwości dla Pana. Tyle troski i poświęcenia się w tej właśnie sprawie. Czytając pamiętnik ożyły we mnie wspomnienia z 20 letniego mego tam życia lub dalszych lat, jak i tych trzydziestych. Pomimo niektórych nieścisłości i braków, w moim pojęciu dobrze się stało, że ta książka o Rybczy została napisana. Jest to ślad zmagania ludności polskiej na tych rubieżach RP. Ale chciałbym też poczynić kilka uwag i co nieco Panu dopomóc w rekonstrukcji tej pracy o co Pan prosi.

Długo rozmyślałem nad tym. Co to koledze dowiedzieć odnośnie różnego rodzaju wspomnień przedwojennych; z życia szkoły, młodzieży, kontaktów międzyludzkich itp. Proszę mi odpisać a może spróbuję?

Pozdrawiam Pana, wdzięczny Rybczanin

Jan Pilecki.

Szanowny Kolego Edmundzie!

Wrocław 15 XII 91 r.

Chcę Panu serdecznie podziękować za miły list, który zastałem po powrocie ze Szczecina, gdzie przebywałem w odwiedzinach u syna. Mówiąc prawdę nie spodziewałem się odpowiedzi, gdyż myślałem, że będę potraktowany jak intruz a moje uwagi to będą jak przysłowiowa musztarda po obiedzie.

Dobrze, że nosi się Pan z zamiarem uzupełnienia „Niedokończonego Pamiętnika”. Bardzo chętnie udzielię wyczerpujących a znanych mi wiadomości na interesujące Pana pytania.

Plan Rybczy, który mi Pan na ksero nadesłał, to miałbym parę drobnych uwag dot. zabudowań i placówek wartowniczych. I to w osobnym opracowaniu załączam. Nie jestem pewny czy sprostą zadaniu, jeśli nie, to i tak za wszystko b. przepraszam.

Kończąc serdecznie i gorąco pozdrawiam Pana i Pańską rodzinę, pozostając zawsze życzliwy i do usług chętny.

Jan Pilecki

Drogi Kolego Edmundzie

28.XII 91 r.

Odnoszę wrażenie, że nasze listy rozminęły się w drodze. Spieszę zakomunikować o mojej wielkiej radości jaką jest przysłana mi przez Pana książka. Brak mi słów aby wyrazić Panu moją wdzięczność za poniesiony trud odbicia na ksero i poniesione koszty materialne.

Niech Pan Bóg nie skąpi swoich łask aby Panu nigdy nie brakło ani zdrowia, chęci i zapału do tych szlachetnych poczynań.

Podziękuję może po staropolsku „Szczęść Boże!” Panu! Proponowany rewanż – kwiaty na grobie Leo Wyrzykowskiego – wypełnię z najwyższą przyjemnością przy najbliższej okazji.

Muszę Panu zakomunikować, że z ks. kanonikiem byłem do najmłodszych lat związany. Najpierw jako ministrant. A później w czasie okupacji zastępowałem organistę. Z ks. kanonikiem jeździłem też na pogrzeby i śpiewałem w kościele na tzw. egzekwiach za dusze zmarłych.

Do Mąkoszyc jeżdżę dwa razy do roku, bo w tamtym kościele jest statua „Piety”, która stała kiedyś w głównym ołtarzu w Katerburgu. Z Rybczy żadnych zdjęć nie posiadam, bo po napadzie banderowców w 1943 r. zostałem tylko w tym co miałem na sobie a reszta wszystko poszło z dymem.

Kończąc pozdrawiam serdecznie Kolegę i pozostaje zawsze ten sam

Jan - Czuwaj!

Drogi Kolego!

Wrocław 26.II 92 r.

Milszego i bardziej wymarzonego „gwiazdora” nie mogłeś chyba wymyślić. Tym prezentem była paczka z książkami, za którą z całego serca Ci dziękuję.

Po powrocie do Szczecina, gdzie spędziłem święta, zastałem w domu taką niespodziankę. Jestem zachwycony i aż chce się z radości krzyknąć „Brawo Kolego!”. Moja żona jest dość wybredna w doborze literatury ale te książki jak pochwyliła to nie oddała aż przeczytała a ja dopiero skończyłem II tom ten o Białozórce.

Dostarczę Ci jeszcze trochę wiadomości do „Niedokończonego Pamiętnika”. Może Ci jeszcze potrzebne będą. Należność za książki „Wschodnie losy Polaków” wysłałem przekazem pocztowym. Przepraszam, że późno ale tak się stało. W opisach szukałem też źródła informacji u byłych Rybczan i trochę się opałem na mojej kručzej pamięci.

A mam jeszcze taką propozycję, która zawsze wychodzi od starszego a ja nim jestem. A więc o ile nie pogniewasz się to proponuję abyśmy przeszli na per Ty – Dobrze?

Tradycyjnego brudzia wypijemy na odległość.

Cześć! Janek

Szanowny Kolego!

6.04.1992 r.

Serdecznie dziękuję za list i życzenia świąteczne. Myślałem, że już dawno jesteś na emeryturze, a z Twego listu wynika, że dopiero teraz starasz się o to.

Ja już co prawda 8 lat. Ma to dobre i złe strony. Dobrze jest, tak jak jest. Cieszę się, że już niedaleko wiosna. Mam astmę, jak jest zima, to chłodne powietrze sprzyja nasileniu się tej choroby.

Myślmy już o świętach. Jedziemy znów do syna do Szczecina. Życzę Tobie zdrowych i spokojnych świąt.

Cześć!

Janek z rodziną.

/brakuje jednej kartki – str. 217, 218/

The Polish Library
Kong Street London 46 DRF Libruner:
obr Rolz Jagodziński.

Szanowny Panie

12. 12 1991 r.

Ostatnie miesiące a właściwie całe półrocze miałem niezwykle pracowite – konferencje i kongres międzynarodowy, wyjazdy za granice itp. Dlatego jestem spóźniony z moim podziękowaniem i potwierdzeniem otrzymania do zbiorów Biblioteki Polskiej w Londynie Pana wspomnień „Na mojej drodze”. Przekazała go w Pana imieniu Pańska synowa Grażyna Bosakowska.

Sam jestem wołyniakiem, krzemieńczanem, ale w latach wojny wywieziony na wschód przebywałem poza stronami rodzinnymi i tym ciekawsze są dla mnie Pana wspomnienia. Są też bardzo ważnym świadectwem w każdej skali ludzkiej, rodowej, narodowej, źródłem do poznania losów ludzkich, polskich na tamtej ziemi i zapisem świadka naoczego co tam się działo w latach wojny.

Ten obraz próbują nasi antagoniści sfalszować i zniekształcić i takie świadectwa, autentyczne i prawdziwe będą temu skutecznie zapobiegać. Są też przyczynkiem historycznym do dziejów minionego okresu poszerzonym dla każdego, kto się nim zajmuje. Również dla mnie, bo z jednej strony piszę o tej ziemi /vide „Biesiady Krzemienieckie”/ a z drugiej przygotowuję cykl artykułów o stosunkach polsko-ukraińskich, zwłaszcza od wybuchu wojny w oparciu o publikacje ukraińskie, zwykle tendencyjne. Które należy prostować i im odpowiednio przeciwdziałać.

Z reguły nie są nam przyjazne.. Okres tamten ukazuje wykrzywiony, oskarżając Polaków o wszelkie możliwe grzechy, siebie natomiast wybielając i wygładzając swoje postępowanie. Potrzebne są więc tego rodzaju głosy „Świadków historii” w tym wypadku szczególnie interesujących także badacza socjologa i dziejopisarza życia na Kresach. Znajdę tu wiele cennego materiału.

Gratuluje nagrody konkursowej pt. „Wschodnie losy Polaków” i myślę, że dobrze będzie jeśli Pana wspomnienia ukażą się drukiem w większym nakładzie. Cieszę się w każdym razie, że trafiły do naszej Biblioteki i będą tu dostępne osobom zainteresowanym Kresami.

Najlepsze pozdrowienia i życzenia serdeczne przesyłam z wyrazami poważania.

Dr Z. Jagodziński - Kierownik Biblioteki.

J. Gładkeri 123 Indian Toronto

25. III 91 r.

Szanowny Panie Edmundzie!

List Pana z 25 XI 90 otrzymałam 4 XII. Przyszedł w czasie gdy ja byłam ogromnie zaabsorbowana sprzedażą mojego domu w Toronto. Ucieszyłam się Pana listem bo znalazłam Pana siostrę a także Pana i jego książki. Które niedawno po raz drugi przeczytałam. Są to niezwykle dzieje chłopca, można by zrobić z nich ciekawy film.

Nareszcie, to niemal cud, że można o tych sprawach teraz w Polsce pisać a nawet były prezydent Jaruzelski wręczał nagrody. Wiele się zmieniło w ciągu ostatnich 10 lat.

Czy ma Pan dość materiałów o losach tych, którzy byli aresztowani i wywiezieni do Rosji Sowieckiej? Tu za granicą wyszło sporo książek nieznanych jeszcze w Polsce. Np. „Sprawiedliwość Sowiecka” wyd. w 43 czy w 44 r. wbrew zakazowi aliantów, opartych o wspomnienia żołnierzy junaków. Inna dotyczy dzieci ze szkół na uchodźstwie. Jest też „Isfakan – miasto polskich dzieci” red. jest Irena Beaupre-Stankiewicz córka burmistrza m. Krzemieńca. A także książka pt. „W 40-tym nas matko na Sybir wywieźli” wspomnienia o osadnikach wojsk. z Polesia.

Z Polski od Tola Kołkiewskiego dostałam teraz „Na nieludzkiej ziemi”. Myślę, że Pan głównie zajmuje się osadnikami wojskowymi. Znałam dwóch braci – wychowanków Liceum Krzemienieckiego – synowie osadnika spod Wiśniowca – Zygmunt i Bronek Rymel. Pierwszy zamordowany przez Ukraińców koło Kowla. /Dałkowski opowie jego dzieje/, Bronek aresztowany w Dubnie w tej samej sprawie co ja – udział w Zw. Walki Zbrojnej /chyba 23 marca 1940 r./ Został skazany na śmierć. Siedział nade mną, porozumiewaliśmy się stukaniem. Prawdopodobnie zginął w czerwcu 1941 r. gdy NKWD wymordowało pozostałych więźniów w Dubnie.

Wacek Powchowski „Gołąb”, którego wraz z rodziną zamordowali banderowcy w Białozórce, był moim kolegą. Wspomina Pan jego rodzinę w swej książce.

Napisałam „Moje zbliżenie z bolszewikami” we wrześniu 1939 r. aż do chwili mego wyjazdu z Rosji z Armią Andersa. Teraz muszę przygotować spotkanie Krzemieńczan w czerwcu. Może będzie Pana siostra Nusia? Moja siostra z Dąbrowy Górniczej pisała mi, że poznała Łodźkę Domańską-Niedzielską pochodzącą z Białozórki. Czy to ta z Pana książki? Zdaje się też Sybiraczka.

Wesołego Alleluja i Smacznego Jajka Panu i wszystkim Krzemieńczanom życzy

Janka

Drogi Panie Edmundzie

Drawsko 1.IV 91

Micewski Stanisław.

Zapewne się Pan nie zdziwi listem nieznanego sobie rodaka ale bliskiego sobie sercem krajana zamieszkania i zainteresowanym tym samym tematem.

Urodzony jestem w Folwarkach, tam skończyłem 4 klasy a 7 klasę w Krzemieńcu. W Rybczy bywaliśmy u wujków Karola Sączkowskiego i Sochackiego od niedawna tam zamieszkałych. W Katerburgu na odpuszcie Przemienienia Pańskiego.

Pański list i pamiętnik śp. St. Sekuły - odbite na ksero przysłali mi krewni z Mąkoszyc, którzy ze strony matki są kuzynami płk emeryt. Janka Niwińskiego z Warszawy /dawnej z Rybczy/. W Mąkoszycach mieszkają jego siostry – Jadwiga i Helena. Odbitki Pana listu na ksero dostałem od Genowefy Przepiółka. Siostry Niwińskiego zobowiązały się posłać Panu adres jego..

Mam 71 lat, jestem emerytem. Choruję na serce, prawe oko nie widzi, ręce drżą przy pisaniu. Spodziewam się listu z Czaplinka, skąd może będę miał adresy byłych mieszkańców Rybczy.

Szczęść Boże. Napisz Pan chociaż w skrócie o sobie i swych wojennych losach.

Stanisław Micewski

Drogi Panie Edmundzie!

2.06.1991 r.

Jestem b. wdzięczny za nadesłane wspomnienia. Sprawił Pan radość dla mnie i dla mojej rodziny. Wszyscy to czytali. Ale w „Niedokończonym Pamiętniku” nie wspomina Pan o manifestacji antywojennej w 1939 r. w Rybczy i dużego krzyża, który poświęcił ks. Wyrzykowski. Niemcy w r. 1941 rozstrzelali tam 3-ch mężczyzn z Rybczy. A w moim wierszu jest błąd – Kuropatnicki, powinno być – Konopacki. Chciałbym Pana bliżej poznać i o pewne rzeczy zapytać. Czy uczęszczał Pan do szkoły w Krzemieńcu?

O Domanince słyszeliśmy – ukazywała się tam Matka Boska, czy może było inaczej?

Wydaje Pan książkę, czy pewne rzeczy nie wykreślono, jak Pan sobie radzi z cenzurą? Niestety nasi sojusznicy tak skutecznie nas rozproszyli, że po pół wieku ledwie możemy się pozbierać.

Stanisław Machnicki z Białozórki gdy Pana list otrzymałem już nie żył, miał 80 lat. Rozpoznałem Pana na zdjęciu, po tej strzałce. Posyłam Panu też swoje z żoną i z synami.

Życzę Panu dużo zdrowia i pomyślnego, owocnego życia – jest Pan w Polsce potrzebny. I czekam na Pana książki.

Szczęść Boże.

Stanisław Mic.

Drogi Kolego!

Drawsko 7.4. 92.

Dziękuję za książki, przepraszam, że tak późno ale byłem zajęty swoją pracą, którą na niedzielę palmową zakończę – będzie 50 stron.

Pańska książka jest wspaniała – 3 już przeczytana. A co słyszeć u Pana? Książki czytają też synowie, wnuczki, sąsiedzi i ziomkowie. Na tym kończę – Szczęść Boże i „Wesołego Alleluja” !

Stanisław Micewski

Drogi Edmundzie

Toronto 4.3. 92 r.

Serdecznie dziękuję za książki. Szły 2 miesiące. Dostałem je dopiero 17.II. Trzy już przeczytałem. Wciąż mam w pamięci te nasze biedne sierotki - z dyzenterii i tyfusu i świerzby zmarły. Tylko po nich piszczele pozostały.

W tych latach dla Polski nigdzie bezpiecznego miejsca nie było. Ukraińcy na Wołyniu tyle polskiej ludności wymordowali. A tu w Kanadzie na nas Polaków oszczerstwa rzucają, że to Polacy ich mordowali. Ukraińców jest dużo w rządzie ukraińskim, to się mądrzą i są faworyzowani.

Bardzo ubolewamy, że nasze wschodnie ziemie tak się im lekko dostały. Adam się pociesza, że nasze pokolenia jeszcze kiedyś się o to upomną

Mundziu przepraszam, że się o tym rozpisałam ale zadra na nowo rozdrapana. Nie wiem czy wiesz coś o Rózi Czepiel. Ostatni raz widziałam się z Nią w Palestynie w 43 r. Później ktoś mi mówił, że była w Anglii. Wanda, Jadzia i Polek Jarzębscy są w Chicago a pp. Jarzębscy już dawno nie żyją. Irena Musialik jest w Buffalo. Byliśmy raz u nich i oni u nas.

Żyła wtedy jeszcze moja Mama i Pani Musialikowa też.

Była to przemiłe spotkanie i wiele radości. Obydwie Mamy nagadać się nie mogły, musieliśmy pozostać jeden dzień dłużej.

W tym roku jest zjazd weteranów w Polsce. Znajomi mnie namawiają jechać. Ale mam ciocię w New Jorku. Dzieliliśmy jedne losy na wygnaniu. Ciocia jest już po 80-e, choruje więc u niej powinniśmy spędzić wakacje. Nie wiadomo jak długo P. Bóg pozwoli jeszcze cieszyć się życiem.

Zimą mieliśmy prawdziwą – śniegi i mrozy. Mieszkamy od Toronto tylko 100 km na północ ale jest duża różnica w temperaturze. Jesteśmy wdzięczni za książki. Kończąc ściskamy Cię mocno, życzę zdrowia i dobrego samopoczucia z nadchodzącą wiosną. No i wesołych Świąt Wielkanocnych.

Helena z Adamem

Edmundzie!

28.09.1990 r.

Myślę, że zdajesz sobie sprawę z tego, że Twój list jest dla mnie wielką niespodzianką. Tak, jestem właściwą adresatką i tą samą Basią, którą poznałeś prawie 50 lat temu w Białozórce. Aż dziwne, że o mnie pamiętałeś.

Nie piszesz od kogo masz mój adres ale myślę, że tego dowiem się osobiście. Chętnie spotkam się z Tobą i powspominamy. Będzie to dla mnie bardzo interesujące i niespodziewana przygoda. Nie chcę być źle zrozumiana ale byś się nie rozczarował, chyba, że jesteś przygotowany na to, że spotkasz starszą panią, która nie bardzo będzie podobna do małej Basi. Nie wiem też czy dostarczę Ci jakichś ciekawszych wiadomości do Twoich książek? W każdym razie podaję Ci Nr swojego telefonu i wyłącznie dla Ciebie 635-95-93. Proszę zadzwoń i wtedy jakoś umówimy się.

W domu jestem rano i wieczorem. W dzień często przychodzę bo u mnie nie grzeją kaloryfery i jest bardzo zimno.

Na tym kończę, bo skoro mamy się spotkać to po co tyle pisać. Tym bardziej, że ja na pewno nie mam literackich zdolności i nie lubię pisać listów.

Do zobaczenia

Basia.

Kochany Mundku!

Biłgoraj

Dziękuję za list! Jesteśmy szczęśliwe, że mogliśmy Was wszystkich gościć u siebie – chociaż to była państwowa świetlica. Przepraszamy za wszystkie niedociągnięcia a było ich sporo – nie wszystko udało się.

Chciałam Wam, wam wszystkim Białozórczanom powiedzieć dużo ale niestety nie mogłam, dusiło mnie coś za mostkiem i te moje nieszczęsne serce.

Trzeba było wszystkich przedstawić, jakoś zapoznać ze sobą, to było nie do przeprowadzenia. Wasze dzieci nawet nie zapoznały się ze wszystkimi. Mundek! Musimy spotkać się jeszcze raz – zrobimy tym razem to spotkanie z myślą o naszych dzieciach i wnukach, niech oni wiedzą o sobie, niech się zapoznają, niech stanowią jedną, wspólną rodzinę Białozórczan, niech pamiętają o swoich korzeniach.

Masz racje Mundziu, czuję się źle, ręka jeszcze w gipsie, ciśnienie skaczące i serce, te głupie moje serce. Strasznie mi szkoda, że to już po naszej uroczystości.

Wysyłam Ci „Zamojską Rotundę” /mieliśmy rozdać wszystkim przy obiedzie i zapomnieliśmy oraz Wołyniacy w Zamościu/.

Wysyłam też do Reni Poziechowskiej, Marysi Pozielskiej, Hali Kulczyckiej /Lewickiej/, do Rzeszowa i Stacha Gubanek. Namawiam wszystkich do pisania wspomnień. Dostałam z Warszawy z AK zaproszenie na zjazd, który odbędzie się w Hrubieszowie we wrześniu ale legitymacji nie otrzymałam. Zobaczą może pojedziemy. Co Ty na to?. Przyjedziesz do mnie i razem dalej – dobrze? Całuję, do zobaczenia Kochany Kolego.

Pozdrów swoje dzieci i zadzwoń do Rzeszowa

2.VI 92 r

Zamojska Rotunda w Maju 1992 r.

Cześć Ci i chwała
Zamojska Rotundo,
Jak Matka Bolesna
tulisz wokół siebie
prochy polskich synów.

 Żałobnym wieńcem
 cementowych krzyży
 dajesz świadectwo
 historii, kaźni, bólu.

 Pół wieku gromadzisz pomordowanych.

Teraz przyjechałaś
do krwią przesiąkniętej celi
imiona Polaków
poległych na wschodzie.
Przyjechałaś urnę tamtej ziemi
zbrukanej krwią niewinnych.

 Rotundo – Pomniku drogi

Żywym i martwym,
 święte twoje cele.
 Uświęcone krwią męczeńską
 i łzami rodzin.
 Nie jesteśmy tu sami
 Całe rzesze niewidzialnych
 naszych najbliższych są dzisiaj tu,
 wśród nas. Z nami.
 Przyszli z Chrystusem
 w orszaku aniołów,
 odczytać swoje imiona
 wyryte naszym sercem.
 Powiększyli grono
 w tym wielkim ceglany grobowcu
 Stare wierzby od dziś,
 szumią jeszcze żałośnie uroczystą Rekwiją
 A wschodni – przyjazny wiatr
 zawsze będzie im śpiewał
 „Dobry Jezu o nasz Panie
 daj im wieczne spoczywanie”.

Alfreda Magdziak

30 maja 1992 r.

Drogi Mundziu!

Rzeszów dn. 19 06 1992 r

W przeddzień otrzymania Twego listu wysłałam pani Elizie Wójtowicz
 krótki opis uroczystości poświęcenia Krypty, jej wystroju oraz wspomniałam o
 naszym spotkaniu. Napisałam również o tym iż poza tablicami z parafii
 Białozórka innych pod herbem krzemienieckim nie było /choć w rogu jakaś
 tablica wisiała. Tylko trudno było się doczytać o jaką parafię chodzi/.

W krypcie jest półmrok a tablice są zbyt błyszczące i nie bardzo da się
 odczytać napisy zwłaszcza te umieszczone u góry. Może przy zmianie
 oświetlenia /obecnie jest prowizoryczne/ i zmatowieniu powierzchni tablic
 okażą się bardziej czytelne.

Napisałam też, że wskazane byłoby umieszczenie tam tablicy z nazwiskami
 zamordowanych profesorów krzemienieckich. Wysłałam również zdjęcie
 naszych tablic i wiersz o „Rotundzie Zamojskiej”. Więcej nie wypada mi na ten
 temat pisać. Danka Burzówna była u nas i czytała Twój list.

Orzekliśmy, iż najlepsze sprawozdanie do „Życia Krzemienieckiego”
 wyjdzie spod Twojej ręki. Masz talent i wprawę, bo już nie jeden artykuł tego
 rodzaju napisałeś.

Dobrze, że mamy tę swoją Kryptę a w niej miejsce gdzie krewni i znajomi będą mogli złożyć kwiaty, zapalić znicze i pomodlić się za swoich najbliższych o których nie zawsze wiadomo gdzie spoczywają ich prochy.

Zawdzięczamy to pani Teresie Radziszewskiej no i naszym 3-om siostronom Siniarskim, które włożyły trudu i pracy w organizację tego przedsięwzięcia, nie mówiąc już o poniesionych kosztach związanych z przyjęciem gości.

Tak się złożyło, że na spotkaniu siedziałam obok Reginy Pozichowskiej. Okazała się bardzo rzeczowa i sympatyczna. Trochę się na Ciebie boczy, za to co o niej napisałeś w swojej książce. Choć ja tam nic złego na jej temat nie doczytałam. Może jest zbyt przeczulona. Prosiła żeby w jej imieniu przeprosić Jasię Sypnarowską za list, który wcześniej do niej napisała. Twierdzi, że Jasi w ogóle nie pamięta. /Może to i prawda/.

Bardzo sympatyczne wrażenie wywarła na mnie żona Wacka Pozichowskiego a w ogóle wszyscy uczestnicy poza....., który jednak ma „pewne odchylenia od normy” byli sympatyczni i tacy rodzinni. Tym razem zdominowali nas Białozórczanie. Osadnicy – Weteranowczanie - trochę „.....”?

Ale dobrze jest jak piszesz, że co jakiś czas spotykamy się i tworzymy swoją rodzinę. To się liczy. Z uroczystości zamojskiej zdałam sprawozdanie w TML pokazując uczestnikom zdjęcia tam wykonane. Mam ich około 20-tu. Gdyby Cię interesowały to mogę zrobić odbitki i Ci przesłać.

W czasie spotkania wspominałam Ci, iż ostatnio czytałam wspomnienia stryjecznego brata naszego prezesa TML p. Opałki. Był synem osadnika z Napadówki /położonej między Łanowcami i Borsukami/. Mieszkali nad samym Horyniem.

Również w TML kupiłam książkę E. Prusa pt. „Bleff XX wieku” wydaną w Londynie. Autor wspomina w niej o śmierci księdza Kotwickiego. Myślę, że Adolek Ci ją przyśle.

Kończąc przesyłam pozdrowienia i uściski dla Ciebie, Zdzicha Rozuma i Stacha Karczewskiego /szkoda, że nie było go wśród nas/.

Teresa z

PS. Otrzymałam od p. Elizy zawiadomienie o zjeździe absolwentów Liceum Krzemienieckiego w dniu 2 sierpnia br. w Warszawie.

Edmund Bosakowski
00-862 Warszawa
ul. Grzybowska 30/410

Do Centrum Dokumentacji Archiwum Wschodniego Kresy
Wschodnie pod okupacją – pamiętnik 39-45.

Informacje dot. „Niedokończonego Pamiętnika” przekazuję w rozdz. „Od autora”. Rzeczą tę przekazuję w trzecim opracowaniu wiąże się to z napływem wciąż dodatkowych informacji i uwag od moich korespondentów.

Po pierwszym i drugim opracowaniu pozwoliłem sobie zrobić na ksero 10 egz., które rozesłałem głównie do b. mieszk. Rybczy. Wszelkie relacje – te duże i te mniejsze przekazuję oczywiście w dużym opracowaniu własnym z racji uporządkowania i uszeregowania materiału nadając im jednolitą formę o lepszej czytelności.

Moim marzeniem byłoby aby znaleźli się jeszcze inni, którzy by zajęli się opisaniem Wiśniowca, Poczajowa, Szumska, Łanowic, Derlerkał i Wyszogródka. Leży mi na sercu powiat krzemieniecki. Ludzie odchodzą i wszystko ginie w niepamięci.

Sam po mojej Białozórce wziętem się za rzecz o Rybczy i ku zadowoleniu Rybczan i mojej satysfakcji po raz trzeci opracowuję i z miłymi pozdrowieniami przekazuję Szanownej Redakcji Archiwum Wschodniego.

Edmund Bosakowski Warszawa 26 IV 1992 rok

PS Miałem już zakończyć tę rzecz, już „odłożyłem pióro” ale po zastanowieniu się a mając jeszcze trochę czasu – małą część listów skierowanych bezpośrednio do mnie postanowiłem dołączyć do tej pracy jako uzupełnienie.

I aczkolwiek przepisuję je już bez żadnej korekty bo nic teraz dodać i nic ująć nie trzeba – to jak sam oceniam są one same w sobie doskonałą lekturą zawierającą wiele ciekawego materiału, zresztą wcale nie banalnie podanego a ponad to przyznać trzeba, że i są całkiem, całkiem dobre.

Piszą je dojrzały ludzie, którym od czasu wojny przybyło po 50 lat. Mojej córce Renacie powiedziałem „listów tych nigdy wyrzucić nie wolno”. I myślę, że warto byłoby jeszcze dobrać się do nich i posiedzieć nad nimi, choćby rok i coś sensownego zmontować. Tyle tam autentycznych zwierzeń i osobistych refleksji. Czasem z łezką w oku czytałem je. A więc przekazuję i tę małą część 16 listów w „nieskażonej formie” do wglądu Szanownej Redakcji Archiwum Wschodniego.

Edmund Bosakowski

15 lipca 1992 r.



Transport pomordowanych kobiet i dziewcząt z Tomaszowa Lub., przez bandę UFA, w lesie pod Lubyczą Królewską, w czerwcu 1941 roku

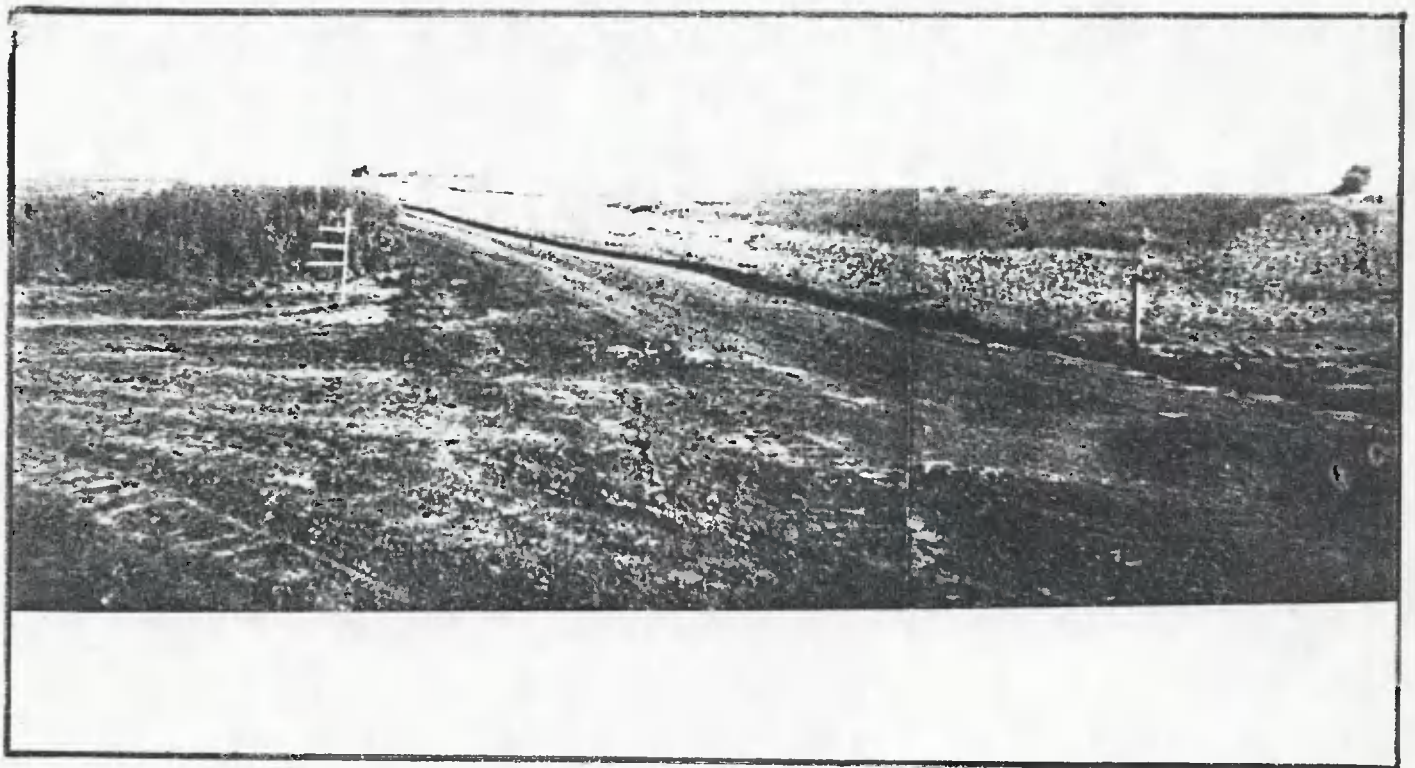


A jeżeli kiedyś ...

Jeżeli kiedyś w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja krewa płynie,
Gdzie góry moje śpią w mroku,
A miasto zwierni nad szmerem potokiem.

Jeśli tam błądził kiedyś mój ślad
Błądził z promienia do ciała wrócić.
To nie zapomnij tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty.
Bo tam, gdzie krewa śpi w mroku
Byłem ja niegdyś, jak kocha, opiekuna...

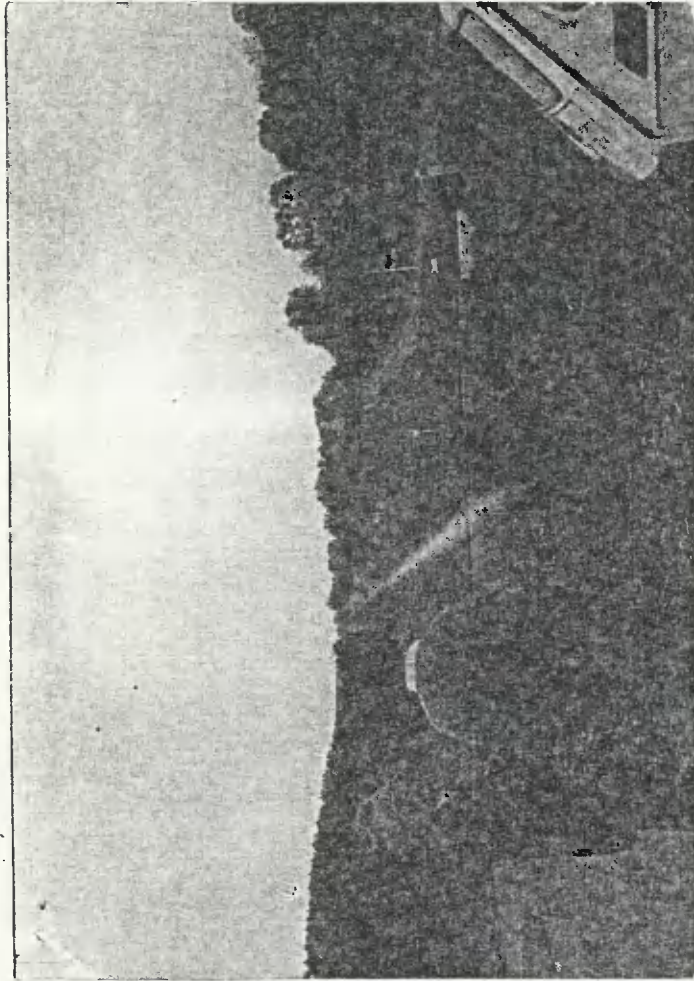
Juliusz Florkowski



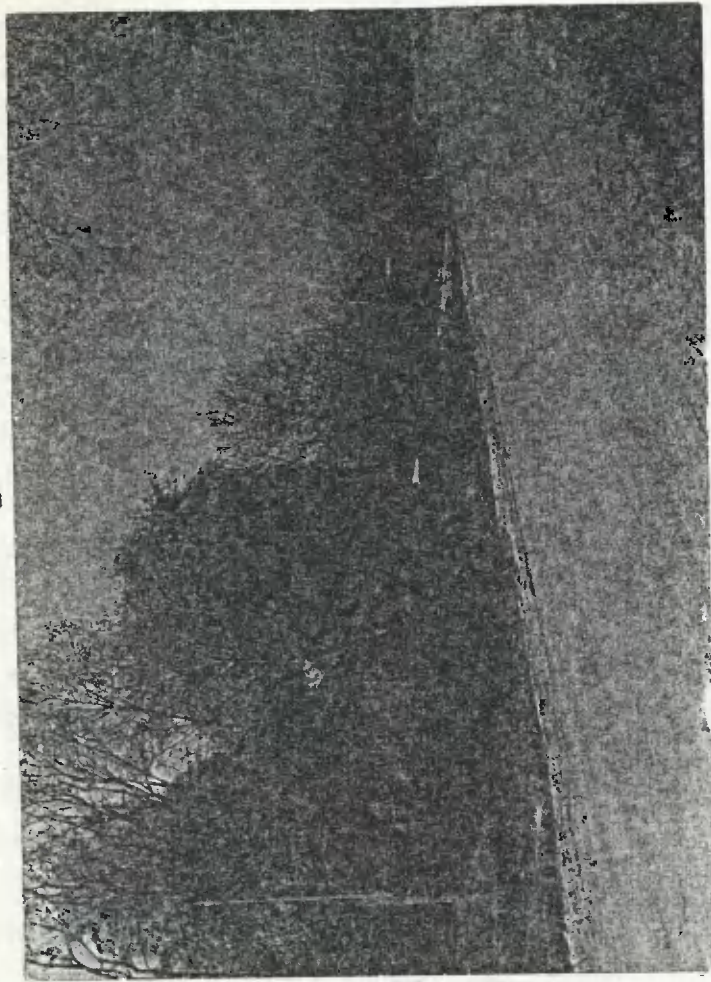
Droga z Weteranówki do Białozórki, 1990 rok.

- tu były kiedyś ślady osadników walców,
- z 1940 r. wywiezionych na Sybir

1



3



2



1. W tym miejscu stał kiedyś nasz dom - opowiada
Wiktor Dąbrowski

2. Mój Boże - tylko tyle pozostało z naszego
cmentarzyka w Rybczy.

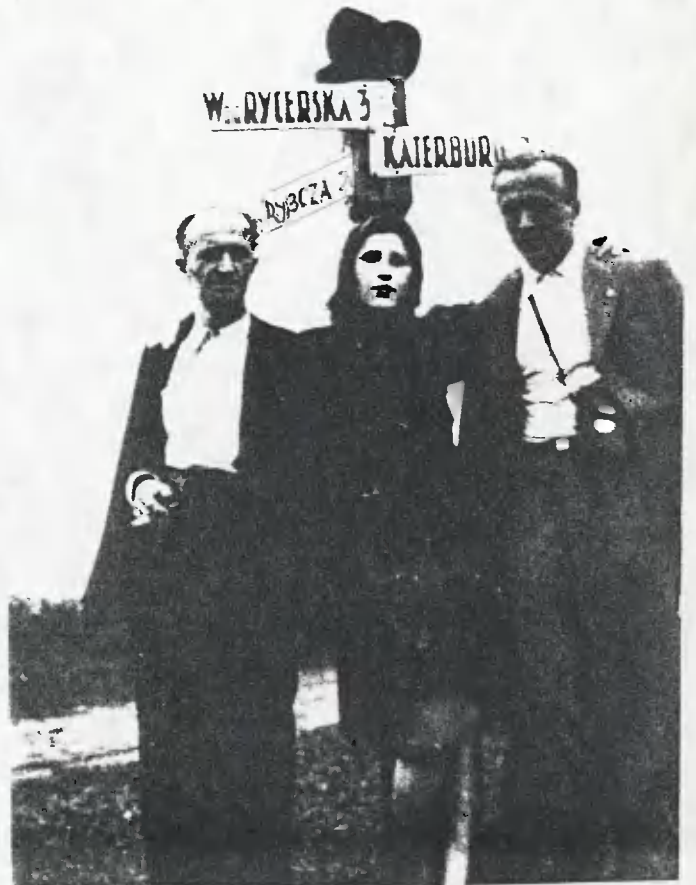
3. Jakimś cudem uchowała się wśród zarośli
stara chałupa - resztki z naszej Rybczy.

(rok 1990 17)

me de [illegible] Wiktor Dąbrowski E.B.



Kobiety - niemiecki - Ukraiński
 spoza Katerburga - luty 1960.
 - zdjęcie wykonane 4 dni po
 byłego wzięcia. Ksi. Kumejka.

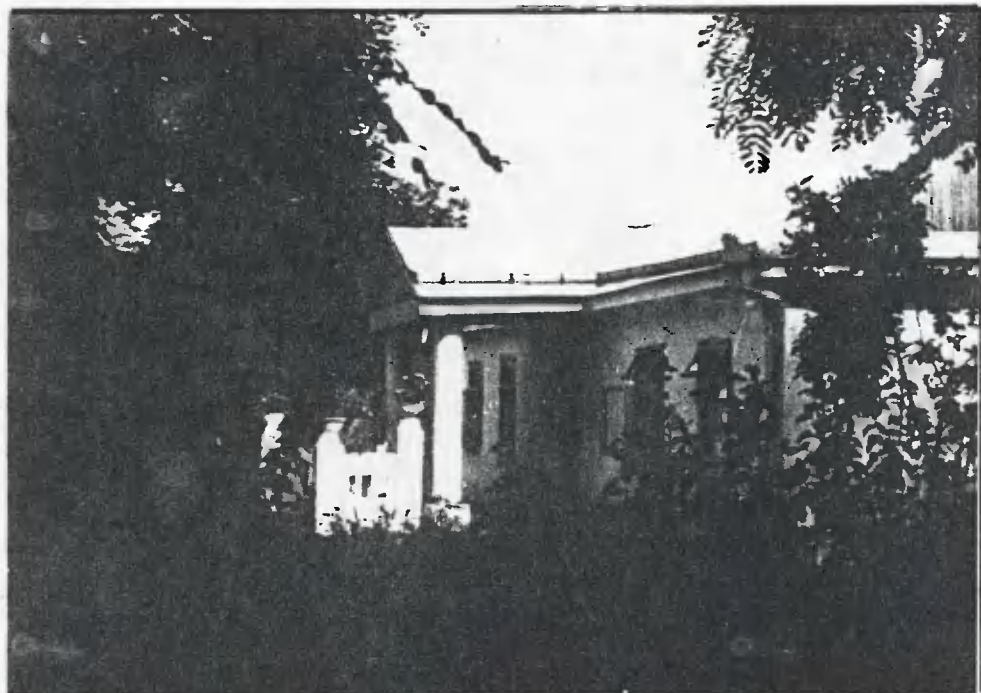


od lew. kpt. 5 str. Telska jego córka Łopie
 i ich kuzyn - Komec lat 30.



uzupełnił się przed grupą w Katerburgu

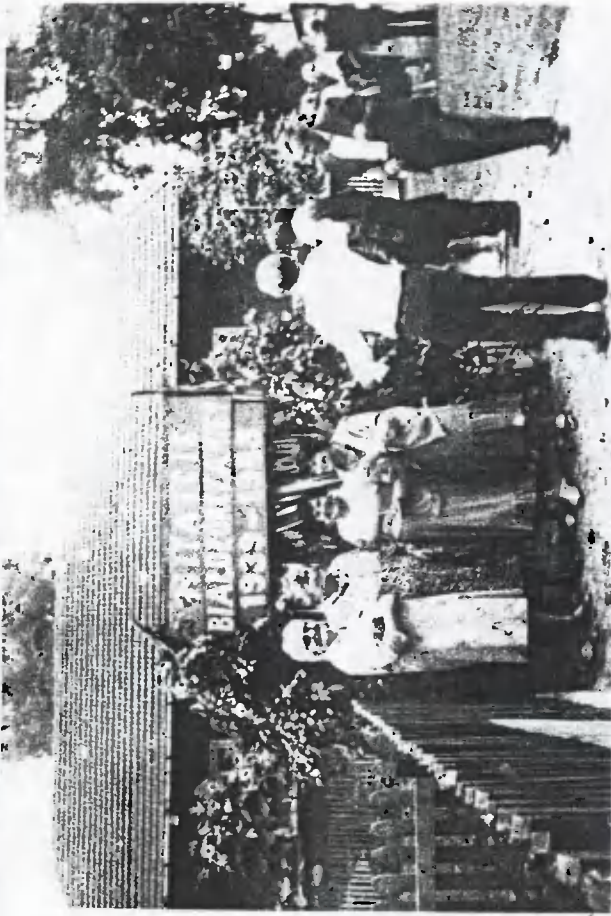
Do grupy Edl. Borsko i żona
 i ich siostry w grupie Borsko i żona



Dworek osadnika wojskowego w Woli Rycerskiej kpt.
Stefana Teligi - prezesa Związku Osadników Wojskowych.



Nauczycielka i dzieci szkolne przed szkołą
w Katerburgu - rok 1936.



...Tyle minęło lat... 1939-1985
(15-18-VIII-1985r)



Spotkanie Bietozórczan u Edzia Kutły w Zaczarniu



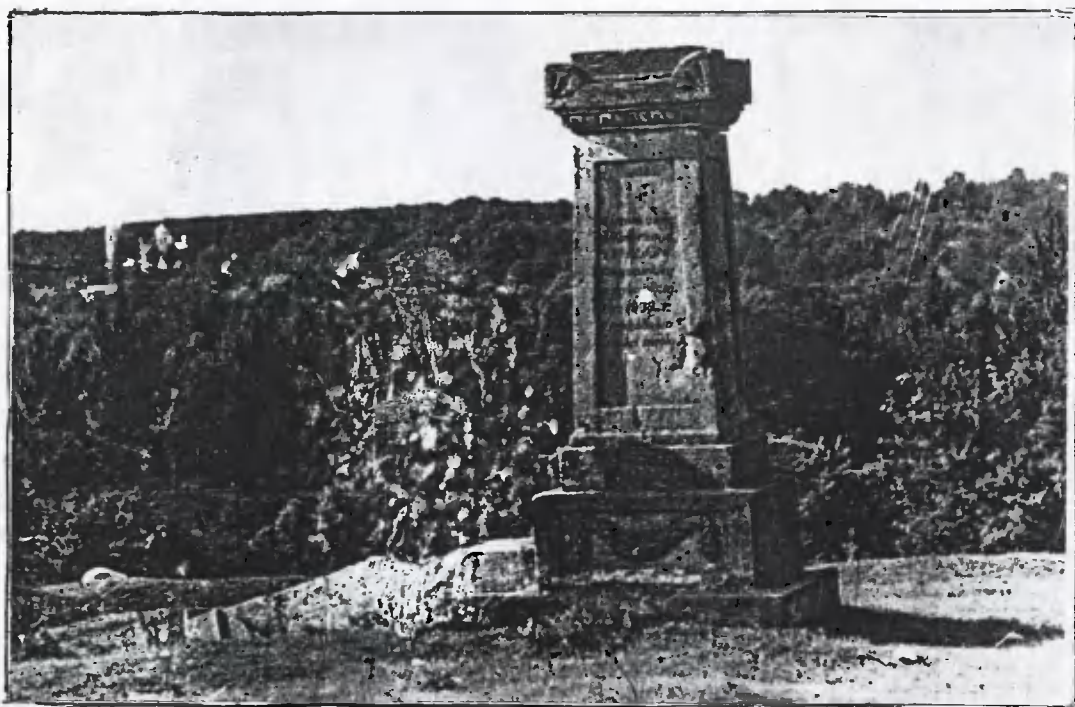
(Ar. z "~~...~~ z pracy" "Mł mójj chwałce" - E. Boszkowski
(młsyn napis - kłeso)

Po deserze Mietek Kawa obchodzi stoły z butelką przywiezionego przez siebie „Napoleona”, a najmłodszy z uczestników spotkania - syn Genowefy Paciorek - zobowiązuje się o tym, niebывałym spotkaniu opowiedzieć kiedyś swoim wnukom...

Jeszcze ostatnie grupowe zdjęcia, ostatnie rozmowy, pocałunki i wymiana adresów. Jeszcze podziękowanie gospodarzom za poniesione przez nich trudy, i ogólne, serdeczne - im - „Bóg zapłać"! Jeszcze Weronika szykuje każdemu na drogę smakowity prowiant i o godz. 17 - komu w drogę, temu czas...

A Edzio - pożegnawszy gości - utartym zwyczajem radio na szyję założył, 6 krów - które przez 2 dni w oborze ryczały - na pastwisko wyprowadził i ostatnie wiadomości z szerokiego świata, w ciszy i w spokoju mógł wysłuchać. A zbudowane przez nas, prowizoryczne zadaszanie, służyło jeszcze Edziowi do najbliższej, większej wichury...

I tak oto kończy się historia Weteranówki... Z naszej dawnej osady, która w wyniku II wojny sw. - w ostatecznym rozrachunku - pozostała na terenie Związku Radzieckiego, nie ujrzysz dzisiaj ani śladu...



Smutne resztki polskości w Białozórcie. Szczątki pomnika, który stał na cmentarzu przed kościołem. Napis na cokole: "Złożone zwłoki Katarzyny z zgasłej dn. 19 jul.1039. Przechodniu złóż jej modły". Podobno był to pomnik założyciela /ki/ cmentarza i kaplicy cmentarnej. W głębi po lewej widać cerkiew.



Zdjęcie wykonane w okolicy Czernikowa w 1945 roku przed domem, w którym mieszały rodziny Górniaków, Kliszewskich i Warchałowskich.

Od lewej stoi Władzio Górniak, siedzi p. Górniakowa i stoi Halina Kliszewska /urodzona na Sybirze/. Za nimi od lewej: Staszek, Bronia i Janis Górniakowie. W ostatnim rzędzie w środku stoi Janek Kliszewski obok niego Adela Warchałowska /w sukience w kropki/, Irena Kliszewska, Stefan Warchałowski, Mils Kliszewska i p. Warchałowska, przed nim stoi syn Czeaiaw. W środku przed Adela Warchałowska stoi p. Warchałowska.



Trzeci polskie wistobku me Sybeni - 1940 r.
 pozostałe Dzietki - ze Pm Tabony
 karto Świeretowskie



2 lew. →
 w 1940 r.
 2 pr. →
 przy grobie →
 9 stycznia 1941 r.



Na miejscu programu kobiet z Tomaszowa
 iul - pamiarok mnogich puz karmokowcow puz
 kutycku kwi 4 kca - wkw ncz 1944.v.



z puzer kwarjue kach kcz - maw kca Hch
 z k morkowcow, wkw ncz i - k w. kkw kkw ncz -
 maw kca kkw kkw ncz i - k w. kkw kkw ncz

(w tytułach po niemiecku z Białostocka - przed konsekwencjami) E.B.

Nr 64.

BEZWEIFELUNG

Auf polnische Flüchtlinge aus Ostpreußen.

Herr Basakowski Edmund
geb. 16. März 1924 in Majdan, Bezirk Tomaszów

ehelicher Vollerbengemahls
während in Białostocka, Bezirk Suwałki
beruf Landwirt am 2. August 1943 aus Białostocka
nach Tarnopol mit folgenden Familienmitglieder

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.

Die obigen Angaben wurden durch das ... auf Grund folgender Urkunden
Geburtschein auszug Nr. 181 v. 18. II. 1939, ausgestellt durch röm.-kat. Pfarramt in Krasnobro

Basak Władysław - Bestätigung z. 203/H3 v. 5. VIII. 1943 ausgestellt durch Bürgermeister
der Stadt im Tomaszów Lub.
Przykorska Stefania - Pohnisch. Ausweis Nr. 1147/1097 v. 15. V. 1905 ausgestellt durch Woiwodschaft
Polizei, Kommando in Luck.

Gültig bis 1. August 1944

Tarnopol den 9. August 1943



R. G. O.

Polnisches Hilfskomitee in Tarnopol

Polski Komitet Opiekunów

Tarnopol

Unterschrift

Edmund Basakowski

Ausgestellt auf Grund der Ermächtigung der
J. Abt. Bevoll. erungswesen u. Fürsorge, Abt. Innere
Verwaltung, des Gouverneurs des Distrikts
Galizien, 22. Jan. IV. 732-51 vom 1. Juli 1943.

Vorsitzender:

...

Jurajewski



Poświęcenie figury Matki Boskiej w Białozórce. 1937 rok.



Miejsce spoczynku księdza Dominika Wyrzykowskiego.

Mgkossyca - woj. opolskie -



(zdjęcie zrobione 4 przedtem zamordowania Mela?)

Danusia Siniarska (w środku) oraz zamordowane przez uopwców w 1943 roku: Tania Nikoluk (z lewej) i Mela Kozubska (z prawej).



Resztki cmentarza w Białozórce. 1990 rok.

AKT NADAWCZY.

Pewiałowy Komitet Nadawczy w *Arżemienie*
po myśli art. 1 i 11 Ustawy z dnia 17 grudnia 1920 roku, O nadaniu
ziemi żołnierzom W. P. (Dz. Ust. Rz. Pol. z 1921 r. Nr. 4 poz. 18),
§. 16 Rozporządzenia Prezesa Głównego Urzędu Ziemskiego oraz
Ministrów: Rolnictwa i Dóbr Państwowych i Spraw Wojskowych,
wydanego w porozumieniu z Ministrami Skarbu i Spraw Wewnętrz-
nych, z dnia 21 marca 1921 roku (Dz. Ust. Rzeczypospolitej Polskiej
Nr. 31 poz. 192 z roku 1921) w przedmiocie wykonania pomienio-
nej Ustawy, oraz na podstawie swego orzeczenia z dnia 16
miesiąca *lutego* roku 1926 Nr. 1 i protokołu od-
dania w posiadanie, sporządzonego w dn. 18, miesiącu *sierpnia*
roku 1926 Nr. 606

NADAJE BEZPŁATNIE.

na własność: *Boschowskiemu Stanisławowi* z mająt-
ku *Białozórka*, położonego w gminie *Białozórka*
w powiecie *Arżemienie*, w województwie *Hołyńskim*,
stanowiącego własność Skarbu Państwa Rzeczypospolitej Polskiej
i zapisanego w Księdze Hipotecznej Sędu Okręgowego w
Lucek pod Nr. 5224, działkę ziemi, oznaczoną na planie
wymienionego majątku *Białozórka* № 55 zatwierdzonym

przez Powiatowy Komitet Nadawczy w *Arzemiencu* uchwa-
łą z dn. *12 kwietnia* 1923 r. Nr. *8* o ogólnym obszarze we-
dle tego planu, *9* ha słownie *dziewięć* ~~~~~
ha *1378* m², w granicach na powyższym planie uwidocznionych.

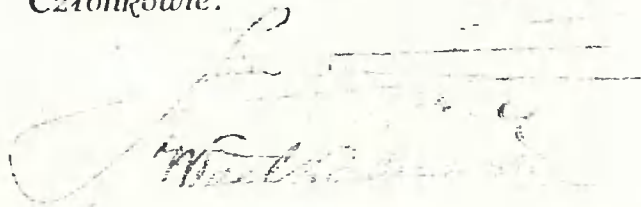
Nabywca obowiązany będzie do bezwzględnego przestrzegania
przepisów art. 6 i art. 10 powołanej ustawy z dn. 17 grudnia 1920 r.,
a to pod rygorem skutków w tych artykułach wyszczególnionych.

Niniejszy akt nadawczy stanowi dla *Proszakowskiego*
Stanisława tytuł własności, a Powiatowy Komitet Nadawczy
w *Arzemiencu* zezwala imieniem Skarbu Państwa
Rzeczypospolitej Polskiej, by na jednostronny wniosek *Proszakowskiego*
Stanisława - przepisano na jego rzecz tytuł własności działki
wyżej wymienionej w Hipotece, przy równoczesnem wpisaniu do
Działu III. wykazu hipotecznego ograniczeń wypływających z art. 6
i 10 Ustawy z dnia 17 grudnia 1920 r. (Dz. Ust. Rz. Pol.
Nr. 4 poz. 18 2i).

Wobec tego, iż ustanowione w art. 6 Ustawy z dnia 17 grudi-
ca 1920 r. ograniczenia W. P. zostały przez *Proszakowskiego Stanisława*
dotychczas wpisane także i do Działu III. wykazu hipotecznego

Przewodniczący
Powiatowego Komitetu Nadawczego.

Członkowie:



Szkie osady wojskowej
Woli Rycerskiej

wyk. w 9 saktu

z ojii Telligi

Do pracy Edmunda
Bosakowski, pt.
1. "Wielko-konformny
pomietnik"

Marsone

do Kmemińca przez Folwarki

Fudalerski

Nyskowie

Czerwińscy

Czerwińskie

Kacperscy

Rybiakowie

Hayrowe

Łowia kowce

Mejbenowie

Romiszynowie

Głotkowie

DOM
LUDOWY



DZIAŁKA
SZKOLNA

do Hamynki

do Rybicy i Katerburga

Witosowo

DZIAŁKA
St. Telligi

Dzielkowie

Wilkowic

Zwierowski

Dontorowie

Weselscy

do Kusztina



Posoczejski

Ptaszynski

Lispański

Bruch

Pamięci Księdza Kanonika
Dominika Wyrzykowskiego
w imieniu parafian
pracę tę poświęcam

Edmund Bożakowski 1890 r.



II/1251/2KW

© ARCHIWUM WSCHODNIE

EDMUND BOSAKOWSKI

NIEDOKOŃCZONY PAMIETNIK



Zwienienie budowy domu Ludwiga i Wally
Rycerskiej - os. wojkow. - pow. Kolski - lata 30.
(vide str. 21) (zdjęcie z arch. Zofii Tellegi)

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDZIAŁ

~~Redakcja techniczna~~

~~Andrzej Miękina~~



Warszawa, Grudzień 1990

Nakład 10 egz.

Jest to kilka ksero robitek z pierwszej wersji opracowanego "Księstwa Wołyńskiego" - EB.



Katerburg)
Zabawa sylwestrowa w sali gminy.
Lata 30-te.



Katerburg l. 30.
Kpt. Tadeusz Różański
Dow. Zw. Rezerwistów.



Urzednicy przed gminą w Katerburgu.
1937 rok.



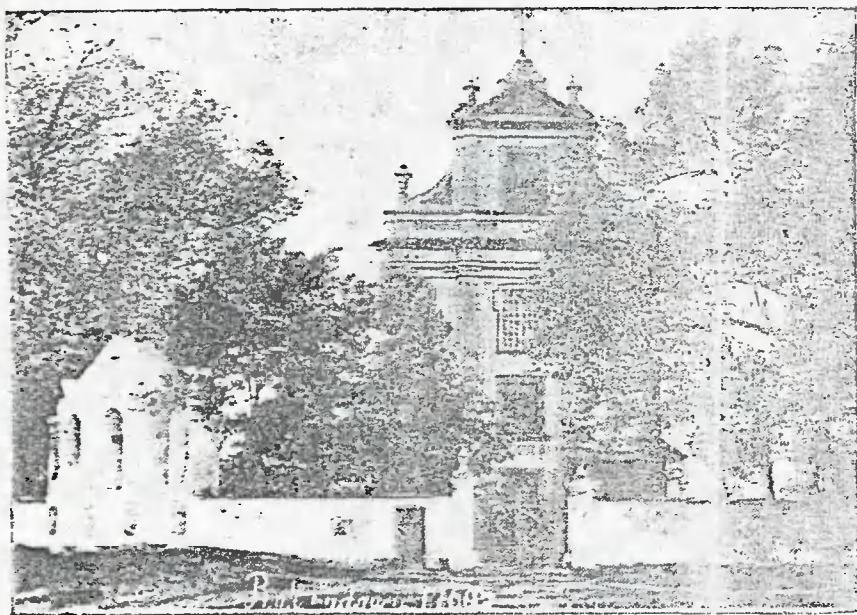
Busko-Zdrój, 1944 r.
Od lewej: Jan Rudnicki,
Kazimierz Kurzej, Julian
Horodecki - w latach wojennych
sekretarz Rady Państwa.



Kościół rym/kat w Szamotku
po najniezwyklej.



Kościół w Kadenburgu - spoliwany
przez nazistów w okresie okupacji
w 1943 r.



Dawniej kościół katolicki, obecnie
cerkiew prawosł. w Wyszogrodzie
reprod. z "Żywie Knievia wiekiego" 1935 r.

Do
prez. Prof. Borsoko
w sprawie
rekonstrukcji
ce...

(kartka - mieszywojs - kuro - do pracy E. Boszkowskiego "Nie mojej chacie"
(z kole "Akt Medyczny") (1986 rok)

Zostawił ojciec posesję gospodarstwa, matka spakowała w worki cały ich dobytek i pełni wielkich nadziei, przeżegnali się i wyruszyli na tę nową drogę życia - na wojnę - do Białoziórki ...



rodzina osadnika Czarnikowa przed wyjazdem.



Klasa IV - w sali lekcyjnej - Białoziórka - 1945

Na samodzielnym rynku w Białymostku. Wydawała się być...
Fierwszy na koniu Aleksander Jordanski, śródny w rządzie, Józef Burz. Oddz. „Krakusy”...

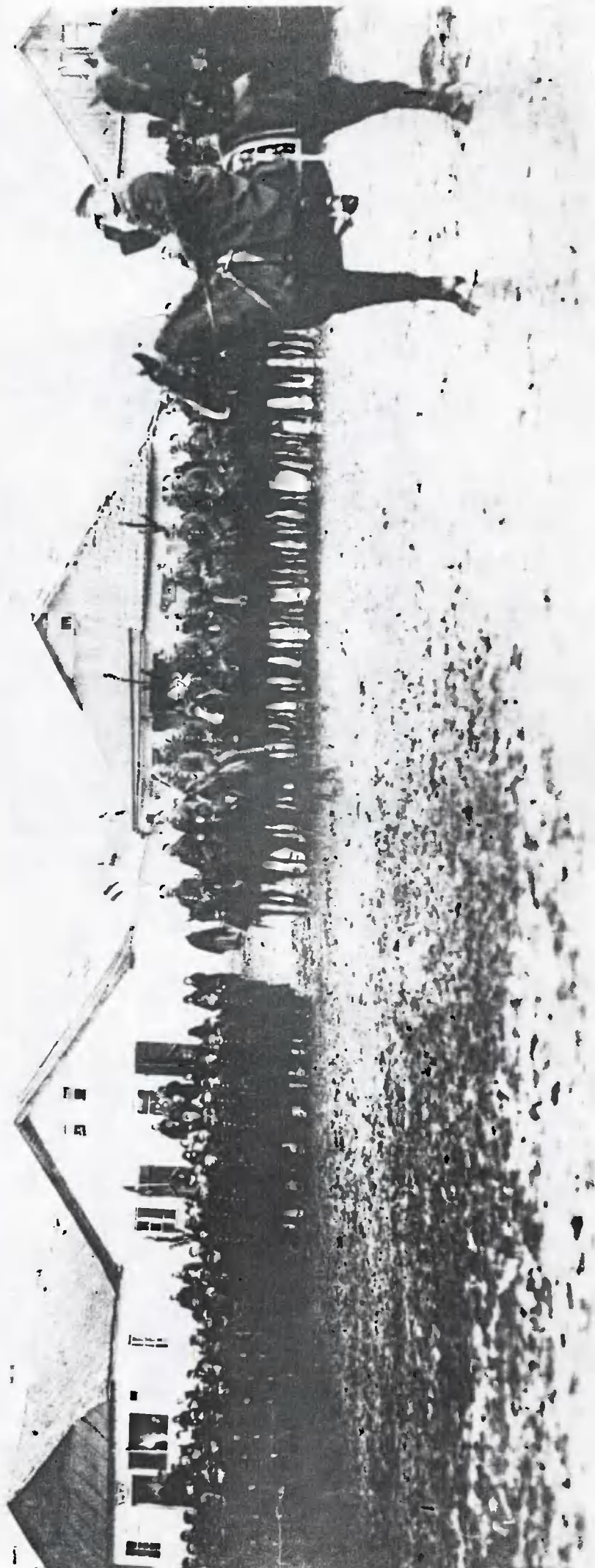




Foto H. Poddębski.

1148. Krzemieniec. Widok ogólny.
Vue générale. — General view. — Allgemeine Ansicht



Foto H. Poddębski.

1150. Krzemieniec. Rynek.
Marché. — Market-place. — Marktplatz.



Dawny Krzemieniec. (Stary sztych)

(z arch. Izemy Krasnej!) (Ed. Borakovich)



*uczelnicy i profesor przed unikalnym gmachem Banku (bud. przed otwarcieniem
lat 30 (?) & Koberbuszki*

SPIS TREŚCI

OD AUTORA	5
I. WSPOMNIENIE Z KRZEMIENIECKIEJ ZIEMI ...	7
II. WIOSNA 1943 ROKU	13
III. NIEDOKOŃCZONY PAMIĘTNIK	23
IV. CZAS PRZETRWANIA	45
V. ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI	65

Vi Listy



H. Hermensdorfer - s. Tyński pióro -

Zamość, dnia 21.06.1981 r.

11/1251/2KW

© ARCHIWUM WSCHOŁNY

ZAMOŚĆ - Ratusz - Rynek Wielki 13
Tel. 68-02
Telex 0642494

Nasz znak:
S. 3365/7-91

Pani

TERESA RADZIUSZEWSKA

ul. Mikołaja Reja 15/9

22 - 400 ZAMOŚĆ

W odpowiedzi na Pani wniosek w sprawie upamiętnienia pomordowanych na Wołyniu uprzejmie informuję, że ustaten Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Zamościu są następujące:

Fakt upamiętnienia wszystkich ofiar pomordowanych jest bezsporny, w związku z tym ustaliliśmy, że jedną z cel na zamojskiej Rotundzie należałoby przekształcić w "CELE OFIAR POLSKICH NA WSCHODZIE".

Ponieważ wszystkie dotychczas zagospodarowano mają już swoich "patronów" jedynym wyjściem jest zaadaptowanie sali, która służyła dotychczas za magazynek.

W związku z tym prosimy o bezpośredni kontakt Komitetu, który Pani reprezentuje z panią mgr inż. Zofią Ryń - przewodniczką Oddziału Zieloni Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaninowej, Remontów i Terenów Zielonych zlokalizowanym przy ul. Partyzantów 4 w celu omówienia omówienia wszystkich spraw związanych z adaptacją sali.

Z poważaniem

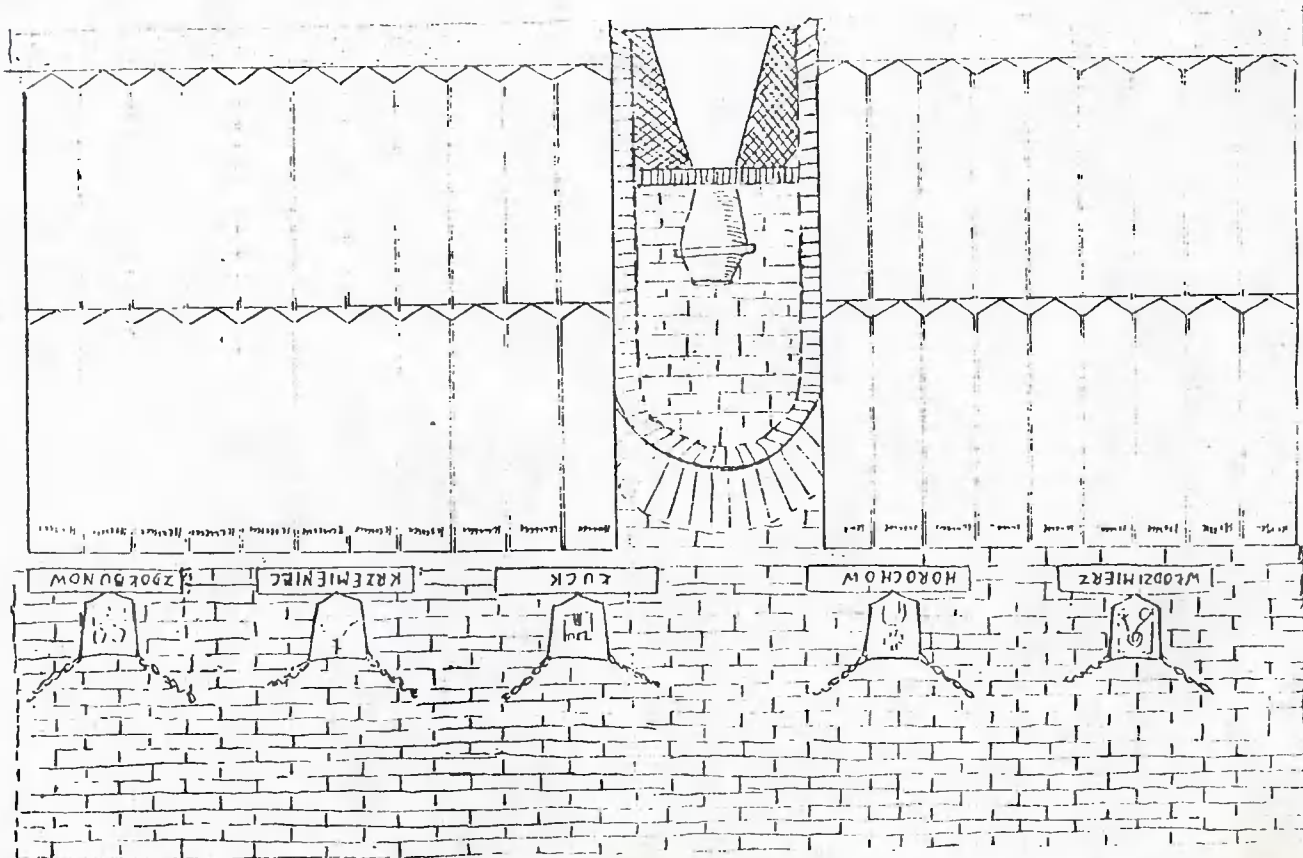
Przewodniczący

Miejskiego Komitetu Ochrony
Pamięci Walk i Męczeństwa
w Zamościu

MARCIN ZAMOYSKI

Do wiadomości:
KOMITET O/Zieloni
w Zamościu

ŚCIANA BOCZNA (Wołyńskiej Krypty)



231

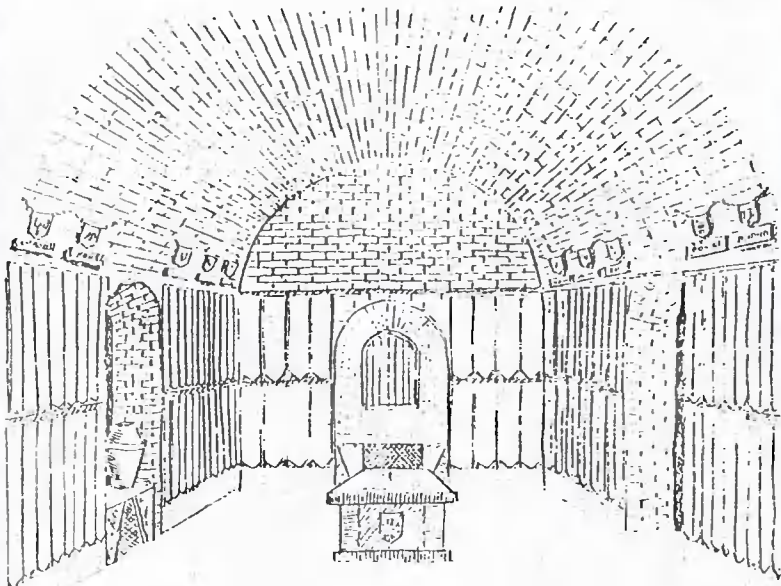
Poświęcenie krypty w Zamościu

Od pewnego czasu przygotowywana jest przez Komitet Upamiętnienia Pomordowanych Polaków na Wschodzie w latach 1939/44 uroczystość związana z poświęceniem Krypty na zamojskiej Rotundzie. Jej poświęcenie nastąpi w dniu 30 maja 1992 r.

W programie na ten dzień zaplanowano Mszę św. o godz. 10⁰⁰ rano

zaplanowano umieszczenie tablic ze 129 parafii wołyńskiej krainy, uwieczniających nazwiska pomordowanych, nazwę parafii, wykaz miejscowości wchodzących w skład parafii, daty śmierci i liczba pomordowanych... Cytaty z Pisma św. i modlitwy uzupełniają napis.

Krypta upamiętnia w sposób szczególny poległych żołnierzy



WOŁYŃSKA KRYPTA (rzut ogólny)

na dziedzińcu Rotundy z udziałem kompanii wojska i orkiestr wojskowych. W trakcie modłów odbędzie się ceremonia otwarcia i poświęcenia Krypty oraz wygłoszona zostanie okolicznościowa homilia. Po przywitaniu obecnych, nastąpi przerwa na posiłek. Na godz. 14⁰⁰ zaplanowano spotkanie w siedzibie Polskiej Orkiestry Włościańskiej im. Karola Namysłowskiego, przy ul. Partyzantów 2. Później mieć będą spotkania w gronie znajomych z Wołynia i tzw. "popołudnie poetyckie", a także koncert orkiestry włościańskiej, który zakończy uroczystość. Będą ponadto zorganizowane kiermasze książek i czasopism. Całość jest koordynowana przez Komitet na czele z p. Teresą Radziszewską.

Krypta Wołyńska w Rotundzie zamojskiej upamiętnia ofiary NKWD, Gestapo i UPA, rozstrzelanych masowo podczas okupacji właśnie w Rotundzie zamojskiej. W centralnym punkcie Krypty stanie sarkofag z urną ziemi z Wołynia. Pod sklepieniem umiejscowione zostaną tarcze z herbami wszystkich powiatów wołyńskiej ziemi. Poniżej

KOPu i osadników wołyńskich, którzy już od 17 września ginęli w obronie ukochanych Kresów Wschodnich...

Następnie ofiary wywózek w głąb Rosji ludności polskiej tej ziemi, gdzie na skutek wycieńczenia długą podróżą o chłodzie i głodzie lub ciężkiej pracy w kopalniach, nad wyrębem lasów czy w kołchozach - ginęli na rozległych połaciach Syberii w dziesiątkach tysięcy...

Żołnierzy internowanych w Rosji a potem w zdraziecki sposób zastrzelonych w tył głowy w różnych znanych i nieznanach Katyniach...

Ofiary prześladowań Gestapo, rozstrzelanych na miejscu lub odsyłanych do obozów koncentracyjnych lub komór gazowych...

W końcu szczególnie bolesne ofiary band ukraińskich i porachunków sąsiedzkich...

Pamięć o tych wszystkich ofiarach niech budzi współczucie u żyjących, ale i postanowienie, że nigdy więcej nie powtórzą się te niegodne człowieka i chrześcijanina uczynki, które nawet z kamieni wyciskają łzy.

A.K.

Ku pamięci...

... wszystkich Wołyńiaków, którzy w okresie wojny padli z ręki NKWD, niemieckiego gestapo i ukraińskich rizinów spod znaku UPA i innych grup bandyckich ugrupowań, urządzona zostanie w pomieszczenia Rotundy w Zamościu — specjalna krypta.

Zrobiono już pierwsze kroki, wznosząc krzyże i pomnik ku pamięci pomordowanych w parafii kisielińskiej w 1943 r. na Wołyniu. W Rotundzie upamiętnieni zostaną wszyscy Polacy z 129 parafii

szawie w 1990 r. Jest ona poświęcona walkom 27 Wołyńskiej Dywizji AK, która była najdłużej w polu, ciągłych walkach w mach „Burzy”. O tych mordach dzisiaj często ci, co uszli, zbierają się w Warszawie, publikują swoje wspomnienia, chcą trzeci przed zapomnieniem tych, którzy tam zostali na zawsze. Czasem, ktoś o tym coś napisze. Czasem spotkam w Warszawie i go dawnego przyjaciela z lat szesnastych — Edmunda Bos



Stanisław Gubernat z córką Krystyną. Nad mogiłą na cmentarzu parafii św. Rocha w Białozórcze — modlą się za wszystkich Polaków którzy tam zostali

wołyńskich, których zamordowano nie tylko dlatego, że byli Polakami. Na wystrój krypty składać się będzie: sarkofag z urną ziemi z Wołynia. Pod sklepieniem utrwalone zostaną polskie nazwy powiatów z herbami; poniżej umieszczone będą pamiątkowe tablice w formie tarcz dla wszystkich parafii. Zaplanowano wyrób owych tablic o wymiarach 26 cm x 10 cm — z kolorowych metali. Podana zostanie nazwa parafii, wykaz zamordowanych, ich data śmierci, z uwzględnieniem miejscowości, z której pochodzili. Zależnie od miejsca na tablicy, będzie można dawać cytaty z Pisma Św., i krótkie modlitwy.

O tych mordach mówią kartki książki Józefa Turowskiego „Pożoga”, która ukazała się dzięki jego zabiegom i pomocy Państwowego Wydawnictwa Naukowego w War-

Bosakowskiego — wówczas owa w sercu wszystko to, co należało do owych dawnych lat... Czasem ktoś tam pojedzie na Wołyń i uratowanym od zagłady grobów uklęknie w modlitewnej zadumie, czcąc pamięć tych, którzy w kulturę łacińską utrwali

Tablice z napisami przygotujemy wszyscy we własnym zakresie: grupy, ewen. osoby indywidualne. Wszelkich informacji udziela: Włodzimierz Dęba, Lublin 20-601, ul. Balladyny 128, oraz: Teresa Radziszewska, Zamość 22-404, ul. M. Reja 1 m 9, tel. 24-95. Numer konta, które należy przekazywać ofiarom: oszczędnościowo-rozliczeniowy PKO, Zamość, Nr 95 36852-170-4. Właściciel konta: Teresa Radziszewska.

Adolf Kolo



Foto A. Kolo

Spotkanie po 52 latach na Okęciu w Warszawie. Od lewej: Edmund Bosakowski i autor

PAMIĘCI TYCH KTÓRZY WYWIEZIENI NA SYBERIE ZGINELI
Z NEDZY I GŁODU NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

✓ 1.	Andrzejewski
✓ 2.	Andrzejewski	Ryszard
✓ 3.	Andrzejewska	Anna
✓ 4.	Domańska	Ludwika
✓ 5.	Jordański	Aleksander
✓ 6.	Kawa	Kazimierz
✓ 7.	Kawa	Kunegudnda
✓ 10.	Kawa	Janina
✓ 11.	Kawa	Paweł
✓ 10.	Kołodziej	Stefania - niemowlę
✓ 11.	Kostecka	Zofia
✓ 12.	Kostecki	Roman
✓ 13.	Kostecki	Tedeusz - niemowlę
✓ 14.	Młotek	Józef
✓ 15.	Pacierek	Stanisław
✓ 16.	Paciorek	Pelagia
✓ 17.	Pawlicki	Edward
✓ 18.	Pawlicki	Marian
✓ 19.	Pawlicka	Jadwiga
✓ 20.	Pikuszewski
✓ 21.	Pikuszewski	Bronisław
✓ 22.	Porębski	Kazimierz
✓ 23.	Porębski	Władysław
✓ 24.	Porębska
✓ 25.	Porębska	Maria
✓ 26.	Prostak	Janina
✓ 27.	Stanowski	Stefan
✓ 28.	Stochlińska	Honorata
✓ 29.	Sudoł	Michał
✓ 30.	Sudoł	Genowefa
✓ 31.	Szot	Władysław
✓ 32.	Gruszczyński
✓ 33.	Hajduk	Maria
✓ 34.	Kasprzyński	Aleksander
✓ 35.	Kniejówna
✓ 36.	Łozińska
✓ 37.	Oleś
✓ 38.	Sluzalek

c. d.

- ✓ 39 Sudecka
- ✓ 40 Worobowa
- ✓ 41 Rudkowska Amelka l. 70
- ✓ 42 Rudkowski Erymunt 5 mies.
w. me Syberii
- ✓ 43 Głogowska Magdalena
- ✓ 44 Głogowski Antoni

Straceni w ZSSR

- ✓ 1 Janowski Jęmy por.
- ✓ 2 Kozłowski Witold
- ✓ 3 Kozubski Jan
- ✓ 4 Kuznetsov Karol kpt.
- ✓ 5 Puzichowski Michal
- ✓ 6 Waksmeński Stanisław

11/1251/2KW

ZAKRĘDZANI PRZEZ NIEMIECÓW W 1943r. W BIAŁOZÓRCE

✓ 1.	ks. Kotwicki	Jan	- były proboszcz parafii Białozórka
✓ 2.	Kozłowska	Maria	
✓ 3.	Kozubski	Narcyz	
✓ 4.	Kozubska	Helena	
✓ 5.	Kozubska	Emilia	- łącznik AK ps. "Mewa"
✓ 6.	ks. Hajewski	Wacław	- były proboszcz parafii Białozórka
✓ 7.	Hazewka	
✓ 8.	Kiziszek	Nichaj	
✓ 9.	Pozichowski	Wacław	- D-ca Oddz. AK ps. "Łoźeb"
✓ 10.	Pozichowski	Norbert	
✓ 11.	Pozichowska	Hieronima	
✓ 12.	Pozichowska	Jadwiga	
✓ 13.	Pozichowski	Ryszard	
✓ 14.	Pozichowska	Maria	- nieowig
✓ 15.	Pozichowski	Bernard	
✓ 16.	Pozichowski	Hieronim	
✓ 17.	Nienińska	
✓ 18.	Nieniński	Władysław	
✓ 19.	Nienińska	Jadwiga	
✓ 20.	Taraszkiewicz	Nisiuta	- lekarz
✓ 21.	Taraszkiewicz	
✓ 22.	Taraszkiewicz	Janeczka	
✓ 23.	Tyszkiewicz	Antoni	
✓ 24.	Tyszkiewicz	Maria	
✓ 25.	Tyszkiewicz	Bolesław	
✓ 26.	Poliska	Helena	- żona Władysława
✓ 27.	Poliska	Jadwiga	- córka Władysława
✓ 28.	Polbiowska	
✓ 29.	Juchkiewiczowie	rodzina	
✓ 30.	Berezowski	- wójt gminy Białozórka
✓ 31.	Berezowska	Irena	- córka

ZEMBLI W DREWNI OKOLICZNO CIACH

1.	Baran	Zygmunt	- obóz w Rewiezu
2.	Andrzejewski	Wacław	- wrzesień 1943r.
3.	Pawlicki	Marian	- " "
4.	Tarnawski	Ignacy	- " "
5.	Nieniński	Marian	- w Bionczach
6.	Panięciowo ojca Stanisława Bytki zmarłego w Białozórce		- córka Józefa

ZAMORDOWANI PRZEZ HITLEROWCOŃ W 1943 r. W MOŁOTKOWIE

- 1. Godlewska
 - 2. Lewiecki Narcyz
 - 3. Lewiecki Stanisław
 - 4. Lewandowska Maria
 - 5. Mondzelewska Justyna
 - 6. Mondzelewska Jadwiga
 - 7. Mondzelewska Helena
 - 8. Mondzelewska Filipina
 - 9. Popławski Feliks
 - 10. Romaszewski Jan
 - 11. Stebelska Ludwika
 - 12. Stebelski Władysław
 - 13. Stebelski Kazimierz
 - 14. Szymański Henryk
 - 15. Tendaj Wiktoria
 - 16. Tendaj Janina
 - 17. Teodorowicz Mikołaj
 - 18. Witwicki Walenty
 - 19. Witwicka Rozalia
 - 20. Witwicki Ryszard
 - 21. Witwicki
 - 22. Wyszńska Franciszka
 - 23. Zdaniewicz Paweł
 - 24. Zdaniewicz Maria

ZAMORDOWANI PRZEZ BANDY UPA W 1943r. W MOŁOTKOWIE

- ✓ 1. Rypniewska Maria
- ✓ 2. Rypniewski Jan
- ✓ 3. Teodorowicz Maria
- ✓ 4. Wojnowski Wacław
- ✓ 5. Rodzina Romaszewskich i Zdaniewiczow osób 11
- ✓ 6. Brandt Halina
- ✓ 7. Brandt Grażyna
- ✓ 8. Tałałaj Piotr

II/1251/2KW

ZAMOJSKA ROTUNDA W MAJU 1992r

Cześć ci i cłwała -
Zamojska Rotundo.
Jak Matka Bolesna
tulisz w okół siebie
prochy polskich synów.

Żałobnym wieńcem
cementowych krzyży
dajesz świadectwo-
historii,każni,bólu.

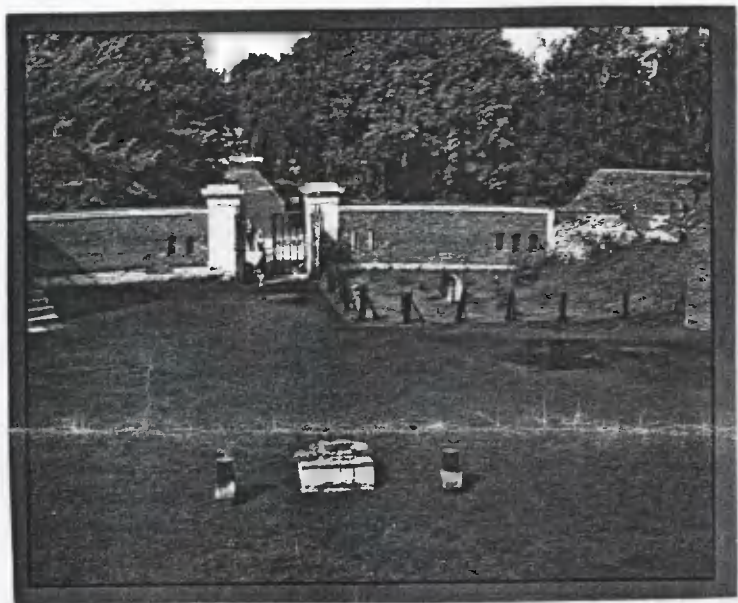
Pół wieku gromadzisz pomordowanych.

Teraz przyjęłaś
do krwią przesiąkłej celi
imiona Polaków
poległych na wschodzie.
Przyjęłaś urnę tamtej ziemi
zbrukanej krwią niewinnych.

Rotundo - Pomniku drogi
Żywym - i zmarłym,
święte twoje cele.
Uświęcone krwią męczeńską
i łzami rodzin.

Nie jesteśmy tu sami -
Całe rzesze niewidzialnych
naszych najbliższych są dzisiaj tu,
Wśród nas. Z nami.
Przy s zli z Chrystusem
w orszaku aniołów,
odczytać swoje imiona,
wryte naszym sercem.

Powiększyli grono
W tym wielkim ceglany grobowcu.
Stare wierzby od dziś,
szumią jeszcze żałośniej uroczystą Rekwiją.
A wschodni - przyjazny wiatr
Zawsze będzie im śpiewał
"Dobry Jezu a nasz Panie
daj im wieczne spoczywanie"



Alfreda Magdziak

30 maja 1992r.

237

Pamięci Wołyniaków



Na zamojskiej Rotundzie uroczystie otwarto celę poświęconą Polakom zamordowanym na Wołyniu. Odbył się apel poległych i uroczysta msza. Dokonano poświęcenia celi, tablic z nazwiskami pomordowanych i ziemi z miejsc zbrodni.

Na uroczystość tę zorganizowaną przez Komitet Upamiętnienia Pomordowanych Polaków na Wschodzie przybyły rodziny ofiar UPA z całego kraju oraz Francji, Anglii i Kanady.

(m)

Fot. M. Jawor

Wołyniacy w Zamościu

„Przyjechałem aż spod Wrocławia” – mówi starszy pan – „Bo to niezwykła uroczystość. Na chociażby takie zadośćuczynienie krzywd czekałem 49 lat...”. „Przeżyłem dzisiaj jeszcze raz te tragiczne chwile, ale to dobrze, o tym trzeba pamiętać, to jest obowiązek nas wszystkich” – dodaje przez łzy szczerą siwa kobieta

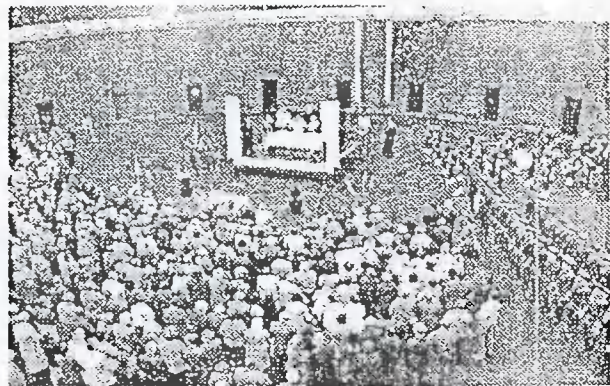
Odsłonięcie w zamojskiej Rotundzie krypty poświęconej pamięci około 68 tysięcy Polaków pomordowanych przez gestapo, NKWD, a przede wszystkim przez ukraińskich nacjonalistów, jest jednym z pierwszych kroków wiodących do wyjaśnienia tej okrutnej prawdy. 30 maja 1992 roku w pochmurny, sobotni poranek, do Rotundy przybyło ponad 500 osób. Przyjechali tu z różnych stron kraju a także z Anglii, Kanady i Francji. Wśród nich wielu Wołyniaków, bezpośrednich świadków tamtych tragicznych wydarzeń, ich rodziny i przyjaciele.

Pani Radziszewska była przed dwoma laty w ubiegłym roku na Ukrainie. „Zabrałam stamtąd szczątki moich rodziców. Miejscu ich pochowania szukałam przez Czerwony Krzyż w Moskwie. Sprawę przekazano do Kijowa, a następnie do władz terenowych. Miejsce to odnalazłam. Pomogłam je odszukać nasz dawny śledek, Ukraińcy. Barzo serdecznie mnie witali, płakali razem ze mną i mówili: „Co to się wtedy porobiło? Zylłmy przecież w zgodzie, czy musiało dojść do takiej tragedii?” Zaprosiłam ich później do Polski i byli tu u mnie w Zamościu.

Należeli do takich miejsc zbiorowych mordów i gwałtów uczone Wo-

konania tego obowiązku podjął się pan Sławosław Włodzimierz Dębski, który od lat zbierał dokumentację i gromadził materiały dotyczące nie tylko zbrodni wołyńskiej, ale w ogóle obecności Polaków w tamtych stronach. Jest on autorem obszernej, unikalnej monografii zatytułowanej „Wołyniacy w parafii Kisielin”, opisującej życie ponad 2 tysięcy Polaków mieszkających tam w latach 1920-1943. Sprzymierzeńców dla swojej działalności znalazł w Zamo-

grymki zdecydowali się urządzić kryptę w zamojskiej Rotundzie. 30 maja krypta została odsłonięta i poświęcona. Podczas przyjacielskiego spotkania przybyłych do Zamościa Wołyniaków, które odbyło się po oficjalnych uroczystościach w Rotundzie, obecni stwierdzili, że trzeba utworzyć ogólnopolskie stowarzyszenie w celu kontynuowania działalności zmierzającej do odkrycia pełnej prawdy o zyciu Wołyniaków i wołyńskiej tragedii.



Żyje tu bowiem wielu Wołyniaków, uczestników samoobrony i żołnierzy 27 Dywizji Wołyńskiej AK. Zorganizowali oni w dniach od 10 do 13 lipca 1991 roku (w 48 rocznicę masakry w tamtejszym kościele) pielgrzymkę do Kisielina, w której wzięli udział niegdysiejsi mieszkańcy Kisielina i okolicznych miejscowości – rozrzućeni obecnie po całej Polsce.

„Dyskutowaliśmy o postawieniu w tym miejscu pomnika lub co najmniej krzyża. Później okazało się, że miejscowe władze ukraińskie uprzywilejowały teren i postawiły obelisk upamiętniający tragedię Polaków. Doszliśmy do wniosku, że w Zamościu również powinno znaleźć się miejsce, gdzie rodziny pomordowanych na Wołyniu mogłyby czcić pamięć swolch najbliższych” – wspomina pani Teresa Radziszewska. Wtedy właśnie uczestnicy piel-

„Były to tragiczne chwile, ale my nie chcemy wzbudzać żadnych wrogich uczuć do narodu ukraińskiego, z którym zacieśniłyśmy obecnie stosunki i nawiązujemy współpracę. Nie chodzi też o ściganie sprawców. Chodzi o określenie rozmiarów tej zbrodni, dopóki żyją jej świadkowie o oddanie części pomordowanym. Skoro stać nas było na ostateczne wyjaśnienie i rozliczenie sprawy katyńskiej jeszcze z rządem radzieckim, to dla dobra rozwoju stosunków z Ukrainą spróbujmy w podobny sposób wyjaśnić sprawę Wołynia.” – mówili uczestnicy spotkania.

Trzeba to uczynić w imię godności narodowej i prawdy historycznej. Bez przeczenia na takich wartościach chcemy budować porozumienie i przyjaźń z naszymi sąsiadami zza Bugu.

Krzyszyna SMYK

Fot. Iwona BURDZANOWSKA

11/1251/2kw



Fot. Leokadia Somerska

W związku z reportażem nadanym w dniu 2 listopada br. w programie II TV w którym kłosa z wojny wództwa gorzowskiego przedstawia opinię na temat „odwetowego mordowania Ukraińców przez Polaków”, palenia ich wsi, krzywd doznanych przez Ukraińców (Lemków) po przesiedleniu ich na Zachodnie Ziemie Odzyskane”, a także w związku z treścią artykułu Piotra Golika z „Gazety Lubuskiej” — Magazyn nr 255 pt. „Rozrachunki polsko-ukraińskie” — muszę — jako jeden z ocalałych nielicznych świadków zbrodni ludobójstwa, dokonanej przez bandę UPA na kresowej ludności polskiej w 1943 r. — zadać poniższe pytania:

● Dlaczego nie zbieracie materiałów prawdziwych i konkretnych z tych wydarzeń od pozostałych przy życiu Po-

(seminarium — naukowe) w Krzemieniu.

Aleksander Fedosiuk w 1939/40 r. został zesłany przez bolszewików na Sybir za nacjonalistyczne wystąpienia ukraińskie w Zbarażu, a podając się za Polaka wrócił z Syberii po porozumieniu Rosji z gen. Sikorskim. Za to odplacił Polakom, gdy 2.8.1943 r. jako przywódca bandy UPA napadł i wymordował całą moją rodzinę.

Nie dano nam wówczas szans, ani czasu (3 godziny) na wyjazd do centralnej Polski, podczas gdy za krzywdę uważa się wysiedlenie Lemków. Za cóż był w 1943 r. odwet Ukraińców wobec Polaków? Z rodzina sąsiada — Ukraińca żyliśmy przez wiele lat w zgodzie, bywaliśmy u siebie, ojciec mój pomagał im, młodzi wieczorami razem grali

rodzinie nikt nie ocalał, a samą bandę Ukraińców zrabował i zabijał. To są fakty! Panowie Redaktorzy! Nie głoszcie demagogii i „teoretycznych uprzedzeń”. Tak mówią Ukraińcy „Język etnograficzny i „Kłoty”, a czarnociem wołyński użył krwią pomordowanych Polaków, żyjących tam z dziada pradziada. Nie mają oni mogli ani krzywd. Nikt o nich nie wie, a świat zapomni.

Co zawiniło nasze pokolenie Ukraincom? Jak można mówić o im o wiele? Nikt z mojej rodziny ani znajomych nie zamordował Ukrainca, ani nie zrabował JEGO MIENIA, a nie Ukrainiec w programie TV uważa wszystkich, że „do były odwety” i „nam wybaczać! Co mają mi wybaczać — to że żyję, że mnie nie zabili, że pozabawili wszystkiego? Komu winny leży się choćby moralne zadośćuczynienie?

Ukraińcy w okresie XX-lecia nie dwojennego (do 1939 r.) w Polsce mieli w szkołach lekcje własnego języka ukraińskiego, religię prawosławną we własnym języku, własne seminarium duchowne, cerkwie i majątki.

Z kogo składali się bandyci UPA — z chłopów ukraińskich, pracujących w dzień, a w nocy mordujących w ukrytych sposobami Polaków i rabujących ich mienie. Zaraza ta szła od pomorza — zachodniej Polski. Mój mąż Bolesław Owczarczak (poznaniak) jako oficer WP po zakończeniu w 1943 r. wojny był w Bieszczadach i jako jeden z plutonu ocalał, kiedy do wracając go patrolu Ukraińcy strzelali z niego jak do kaczek. Nie będą tego komendować, ale uważam, że żadne państwo nie chce mieć na swoim terenie zorganizowanych band, takich jakie działają w Bieszczadach.

Wiem też z własnej pracy, iż przesiedleni z Bieszczad Lemkowie mieszkali na Odzyskanych Ziemiach Zachodnich w lepszych warunkach ekonomicznych niż osiedleni tam repatrianci z wschodu i osiedleńcy z Polski centralnej. Lemkowie otrzymywali gospodarską pomoc, w tym ziemię, zwolnienia od podatków i dostaw obowiązkowych oraz kredyt bankowy w formie częściowej (70 proc.) dotacji. Kiedy w latach 1950/60 uczestniczyłam w komisji finansowej dla zbadania wrenie sposobu wykorzystania kredytów bankowych przez przesiedleńców z Bieszczad (na terenie dawnego powiatu glogowskiego) — okazało się, że większość Lemków kredyty i zyski z zbiorów zbóż kapitalizowała, lub kupowała motocykle, telewizory itp. budynki gospodarcze stały się ruinami.

Faworyzowani przez rząd Polski Lemkowie przesiedleni z Bieszczad w/g redaktorów TV i „Gazety Lubuskiej” — ofiarami! A kto mordował Polaków i żołnierzy polskich — zorganizowane grupy ukraińskie! I dziś one się domagają „przynajmniej moralnego zadośćuczynienia”? Za co?

Nigdy przez te 47 lat nie pisałam tym wiedząc, że i tak najolśnieszony nikt mi nie zwróci i krzywdę nie naprawi, ale wobec coraz częstszych głośnień przez środki masowego przekazu i prasę o odwetowych krwawych zamachach Polaków i Ukraińców, wspaniałomyślnego przebaczenia Polakom — dając świadectwo prawdziwe, nie są, nie dajcie i tym razem sfałszować historię, a z Polaków — robić zbrodniarzy narodu ukraińskiego.

REGINA OW CZAR CZAK
Zielona Góra

OD REDAKCJI: Publikując list w naszej Czynelnicy zdajemy sobie sprawę z gorczy i bólu jakie krowymną w formułowaniu powziętych opinii. Trudno się jednak nam zgodzić tak daleko idącymi uogólnieniami o opinie narodu ukraińskiego i jego sunku do Polaków.

Moim zdaniem

Nie dajcie fałszować historii

GAZETA LUBUSKA

z 26.11.90

nr 254

laków, a pozwalacie na fałszywe przedstawianie i propagowanie niezgodnych z prawdą bandyckich działań tj. napadów i morderstw, dokonanych przez Ukraińców na kresowej ludności polskiej w 1943 r.?

● Komu i czemu służą ogólnikowe i niezgodne z prawdą wypowiedzi w TV i prasie na temat rozrachunków polsko-ukraińskich, zapominające o zbrodni ludobójstwa dokonanej wcześniej tj. w 1943 r. na kresowej ludności polskiej przez ukraińskich nacjonalistów?

● Z jakich dokumentów wynikają rzekome krzywdy Lemków przesiedleńców na Zachodnie Ziemie Odzyskane?

Jatry to rany skrzywdzonych Polaków, którym zabito najbliższych i zrabowano dorobek życia pokoleń, ale przede wszystkim oklamuje się młode pokolenie. Ono nie zna faktów z okresu wojny na terenach dawnych kresów wschodnich Polski, więc nie wie, że w lipcu 1941 r., po ucieczce armii radzieckiej ze „wschodnich ziem” przedwojennej Polski wkroczyli tam Niemcy. Ukraińcy, którzy na Wołyniu i Podolu stanowią większość, współpracowali z Niemcami i utworzyli urzędy oraz milicję, która Niemcy uzbroili, a bronił te Ukraińcy użyli m.in. w 1943 r. do mordowania Polaków. Ukraińcy typowali i wywozili Polaków na roboty do Niemiec, ściągali podatki i kontrybucje dla Niemców.

Latem 1943 r. Ukraińcy rozlepił na słupach ogłoszeniowych i murach oświadczenia — odezwy do Polaków o tym, że „Ukraina będzie w granicach etnograficznych” i zaczęli te granice tworzyć, mordując nocami Bogu ducha winnych Polaków. Zbrodnię ludobójstwa ludności polskiej rozpoczęły nacjonalistyczne bandy UPA (Banderowcy) od pojedynczych rodzin polskich, zamieszkałych na futarach i osiedlach oddalonych od większych skupisk tj. miast. Ja wraz z 9-osobową rodziną mieszkalam do 2.8.1943 r. na futorkę po dziadku Pozichowskim w gminie Białozórka pow. Krzemieniec, woj. Wołyn. Futor nasz leżał nad samą granicą polsko-radziecką, istniejąca do 17.9.1939. W sąsiedztwie mieszkał Ukraińiec z rodziny — Fedosiuk. Ich syn — Aleksander Fedosiuk — był kolegą szkolnym mojego starszego brata Waclawa i razem ukończyli w 1935/36 r. państwową szkołę średnią

na instrumentach (gitara, skrzypce). Pamiętam, iż 1.8.1943 r. (była to niedziela) był u nas Aleksander Fedosiuk i w rozmowie mój brat Waclaw powiadał, że czasy są niespokojne i choć my nikomu nic złego nie zrobiliśmy — to gdyby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo — Aleksander nas uprzedzi, to wy jedziemy. On potwierdził to, a o 2-cj w nocy pod pretekstem rewizji i podszwajac się pod Rosjan — rozstrzelali moją rodzinę.

Zginęli wówczas moi najbliżsi: ojciec Norbert Pozichowski, brat Waclaw Pozichowski (przedwojenny oficer AK-owiec — pseud. „Golab”), siostra Weronika — lat 22, siostra Jadwiga, lat 20, brat Ryszard, lat 14 oraz matka Waclawa — miała 5 dni (zastrzeżono ją w kołyse).

Ocalała moja matka i ja ranna w głowę i nogi oraz żona Waclawa — Maria Pozichowska z 2-letnim synkiem Rysiem. Rankiem 2.8.1943 r. cudem do fartuśmy do odległych o 11 km Koszłak (w dawnej Galićji, gdzie był posterunek niemiecki), a tam Niemcy i Polski Komitet Opieki nad Uchodźcami zaopiekowali się nami. Kilku Polaków pojechało na futor, lecz tam już nikt nie żył, a uciekającą z mieszkania moją siostrę Jadwigę bandyci zabili strzałami z tyłu i spalili.

Nikt z Polaków nie mścił się i nie palił wsi ukraińskich ani gospodarstwa naszego sąsiada Fedosiuka — jak to usiłował wzmówić telewizjom Ukrainiec, występujący w programie TV II w dniu 2.11.1990 r. Moja rodzina nie była odosobnionym przypadkiem i w tę samą noc ci sami bandyci wcześniej wymordowali na odległym o 2 km osiedlu rodzinę Kozubskich, zabijając Narcyza, Helenę i Emilię. Uratował się najmłodszy syn Apolinary, który uciekł przez okno, schronił się na drzewie i słyszał krzyki męczonych przed śmiercią rodziców. Rankiem 2.8.1943 r. część Polaków zamieszkałych w miasteczku Białozórka uciekła przez pola do Koszłak, lecz bardzo wielu banderowcy nie wypuścili i wymordowali w miasteczku.

Matką moją i mną zaopiekował się stryjeczny brat Hieronim Pozichowski, który zabrał nas do Brzeżan. Pracowałam w majątku na wsi, lecz w końcu listopada 1943 r. reno wyjechał do pracy i więcej go nie zobaczyliśmy ani żywego, ani jego ciała. Został przez bandę ukraińską zakatowany w łożach kolejowych na śmierć. Z wielu

OD AUTORA

Z wielką estymą i głębokim wzruszeniem, które na samo wspomnienie o bliskiej mi kresowiackiej ziemi chwyta w serce i tęży z ościu nyciska, zabieram się do opisu zdarzeń które już historię zranych i do opisu losów żyjących tam niegdys Polaków.

Być może wiąże się to głównie z moją tęsknotą za młodym czasem i za krajem, gdzie w tragicznych latach II wojny światowej wypadł czas mego dorostania.

Nie będzie to li tylko opisem moich własnych wojennych doznań, a raczej opracowany przeze mnie mój zbiór wspomnień moich przeczudła kresowiaków.

W okresie ostatnich kilku lat napotkałem mego sekretarza i zbierało się od nich mnóstwo historii, pełnych głębokich i szczerych zwierzeń, szczerzonych relacji olotyrogłych rodzinnych wydarzeń, a także wiele faktów wziętych z ich

życia na Kresach Wschodnich oraz sporo zdjęć
i dokumentów uzupełniających owe wspomnienia.

Z tych listów, relacji i epistoły wybratem co
ważniejsze, a zwłaszcza te, które razem dają
bogaty obraz, stanowiący ciekawą historię od-
tworzenia atmosfery przeszłych czasów.

W mojej ręce dostał się też pamiętnik Ste-
fana Sekuły, jednego z bohaterkich obroń-
ców Rybicy, w której akurat „sta mojej
drodze”, wiodącej z Białobroda do Kniebiałca.

Pamiętnik ten stał się źródłem inspiracji do
napisania tej pracy i stanowił byknie zasad-
niczy krom tych opowieści.

Wszakże nie naruszysz sobie rygorystycznego prawa
do opisanie samoobrony Rybicy przed na-
padem ułanów ukraińskich w październiku
w 1943 roku. Na Stefan Sekuła jeszcze kilka lat
temu był u mnie i czytał mi pierwsze strony
swojego pamiętnika. Kilka miesięcy potem
odszedł „na drugą stronę”. Nie zdążył dokoń-
czyć swojego pamiętnika i tak się jakiś potoczy-
ło, że opisanie samoobrony Rybicy do tej pory
mi zostało dopełnione.

Pragnam przez to zrekła te niedokończony rękopis
i podjąć je jakoś logicznie porządek

Jeśli zdawał się tu jakiś niedociągnięcie, nie-
ścisłości, pomyłki, czy też pierwsze przesłanienie,
-proszę o wybaczenie.

Tyle to już niedługo lat, omdleć pod wieku.
Po tak długim czasie zdawanie że trudno jest
dokładnie odstawić tym bardziej, że sele-
cje otrzymane od różnych osób, a dotyczące
tego samego faktu w pierwszych fragmentach były
nieco odmiennie; Czerem nie mamy pewności co
się tam naprawdę stało i już nie da się do-
ciła, czy rzeczywiście tak było.

Nie ma to być jednak prace naukowa, a
tylko obraz tamtych lat, tamtych trocheńskich
dni i miesięcy. A że zdaję sobie sprawę, że
nie w pełni sprostałem podjętemu zadaniu,
wzrostem zastępczym, fibroplastem myśl: „Tro-
chętem co mogłem, niechaj kto może zrobi lepiej”.

Całosej pracowni na podstawie selekcji, pa-
miątków i wspomnień stworzyłem Sekulę,
w której Szebroński, Januszowski, Januszowski,
Chyżowski, Tadłowski, Gnychowski, Alro-
stawa Szeffela, Henryk Kucy, Zofia Telugi,
Januszowski, Lechowski, Domoski,
a także kilku innych osób.

1990 - .

Warszawa Kwiecień - 1992 roku.

B. Borowski

„ Od lat jakie długich i trudnych,
wciąż ta sama me sercu troska,
że gdzieś tam zostały trzy ziemie:
Wileńska, Wołyńska i Lwowska”
- Biesiada Kremieniecka - Toronto 1988 r.

POD GÓRĄ KRÓLOWEJ BONY

Jakkolwiek tymż przeswiadczenie iż re-
same tu wspomnienie najbliższe będą tym
Polakom, którzy na Kresach Wschodnich kie-
dyś zamieszkiwali, to przecież mam też per-
ną nadzieję, że to moje pismo trafi również do
młodszego czytelnika, który na Kresach nigdy nie
był, a Wołyni z me jedynie z literatury.

Tak potoczyły się nasze losy, że przez wiele
lat o różnorodnych dramatycznych losach Kreso-
wianów oraz o historii wołyńskich miast, wsi
i osiedli nie należało ani mówić, ani pisać.

Stąd też zdarza się, że często słyszymy, że
komuś Luck mylnie kojarzą się z Łuckiem,
a Kremieniec z Kamieńcem. Młodym wspom-
nienia Rodziców wydają się być już legendą,
wszystko wraz z upływem czasu ucho-
dzi
„ za pomnienie”.

Spróbuję przeto pokrótce wspomnieć o historii
Kremienieckiej ziemi, bowiem, jak zauważył J. J.
Kraszewski: „Chciałbym tylko zastanowić się nad
swój krajem, a znalazłbym w nim tysiąc
włoszów, tysiąc pomników, tysiąc godnych
zastanowienia przedmiotów.”

Wertyjaż więc poślednie karty ksiąg starych i tych
herbów nam nowych, i wymotyżę z nich zdanie
ciekawość dotyczące włochockich miasterek, i teraz
przejdę do właściwego tematu, chociażby to
drobniejsi przekazał miłemu czytelnikowi.

Oto Kremieniec, stacja naszego powiatu.
Jejo niekiedy pisano wrekato uszytkkch.
Stanowisko Szerepański „Zszytach Włoszowych” 1888
(str 21) tak pisze: „Urok tego miasteczka stanowi
niepowtarzalny, bajkowy klimat, gdzie o usko-
obie słobca odrywają się sygnaturki, bez prze-
skłócić się w miazgę olwanów i śpiew ludki i dż-
cych wżozarów i pole, a powietrze napędzają
charakterystyczny zapach torfu, niekierka
smoły i masyżę się z kombinów przedłmnej
architektury”... Ktoś i may rozumowania
w Kremieniu wspomina: „Pamiętam że dwo-
ki smotane bujnym ogrodami, małe go-
mecki,

dachy z gontu, albo z kartonowej dachówki, ściany białe
 łone wapnem z dodatkami lazuru, oświetlone korony
 drzwi wspięte się pod dach, komaty "zielone jęsy i
 rozpadliny". A jakie by tu nie wspomnieć o słyn-
 nym niegdys' Szeum Kremieniieckim, zwanym daw-
 niej Atenami Holyoskimi? I ten wspaniały kościół
 Heabry fundacji ks. Józefa Kstianickiego z 1731r.
 wraz z kompleksem jezuitskich gmachów, wspaniałe
 cechy stylu barokowego, śmiertelny wśród zieleni białe
 dostojny mur i stanowił dominantę architek-
 tonomiczną miasta". (...) Dawna jest też historia
 Kremiencza. "Już w X. w. zamek na Górze Bony na-
 leżał do księstw ruskich, w 1539r. starostwo
 Kremieniieckie otrzymała królowa Bana z ob-
 łąkami zwiększenia obronności i utrzymania za-
 tężenia, co przyczyniło się do rozwoju miasta. Przez
 całe wieki Kremiencza stał na straży wschodnich
 granic, jako mocna warownia. Dowód na to
 ma, że: "Świątelnia Stanisława Sheydala
 miasteczko Kremiencza, miejsce urodzenia Jakuba
 Stowackiego, ze słynnym ruskim zespolem obier-
 niennego budownictwa z XVII. wieku, zostało uzna-
 ne za rezerwat architektoniczno-remontowy".
 "18 km na północny-wschód od Kremiencza
 leży Katorburg, miasteczko 1000 mieszkańców ma jece.

Zatowzone w końcu XVIII wieku przez Józefa Platona, kasztelana Arcońskiego, nazwane tak na cześć jego żony Katarzyny z Sobiejskich, w XIX wieku obszar przesłany Ożarówskich. Kościół z lat 1854-77 fundacji hr. Cecylii Ożarówskiej wystawiono w miejscu poprzedniego drewnianego z roku 1700 fundacji Platona. Cerkiew przprostokątna. Z przodu paron stygmie. Zoskale nieliczne kolonie osadników wojskowych. Katerburg leży w okolicy bezleśnej, lasy sosny w dośi z maciej odleżeni od miasteczka. Na północ od Vetylkowic, w dośi i Cecyliówki sosny lasy wylęganie łobowite (oleb, grab, brzoze i jesion) o powierzchni 90 ha, zaś na północny-wschód dośi duży las łobowity o powierzchni 1820 ha rosnie między Matnijontkami i Okutnami.

W sąsiedztwie Rybacz (Rybca) przysiółek szlachecki. 5 km na północ ukraińska wieś Włkie Druce, sławne dobra starostwa Kramienińskiego z cerkwią drewnianą z r. 1797, odnowioną w r. 1866. Kilka kilometrów na zachód indolte nekst w dośi, dalej w południowej do Horyni.

12 km na wschód z Katerburga - Zehajce, w Zehajkach Wielkich ładny pałac empirony, zbudowany przez Bobrow w początkach XIX w. potem własność hr. Potockiego. Obszar dobrane do parcelowania między osadnikami wojskowych. Tu cerkiew

obronnie ma z r. 1705 odnowiona w 1864 r. Obok Zehajce
Mete, gdzie na wysokiej górze stał niegdyś zamek Bo-
hatyninów, otoczony rowem i wałem. Tronem z Boha-
dyninów Jaromalinśka w miejscu tego zamku fundo-
wata w r. 1636 klasztor Bazylianów, po kasacie
zamieniony na monaster prawosławny. W wieku
XIX obna przesłał na hr. Potockich⁴

„W roku 1738 dn. 4 lutego Śwobrydzio w X. Lile-
wskiej nadeł w desmorganym przywilejem wsie Bor-
szwickę, Borek² i Selszce Kondytku - wszystko
w powiecie Kremenieckim potwione - na nieczystą
własność kuchmistrowi swojemu, panu Piotrowi Mysz-
cicowi, którego w przywileju tym Myszk³ nazyna”.

Widwidnec Stary & Nowy, miasteczko nad Hory-
niem, 20. km na północnie od Kremenieca. Jest stary
kościół, widwidneczkich, do których należał do 1704 r.
kościół św. Michała Jankowemu był przez księcia
Jeremiego w r. 1645. Początkowo, gdy widwidnec
należał do widwidneczkich, na miejscu patłacu stał
zamek obronny, a po upadnięciu roku przeszedł
do rosyjskiej Armii, który w 1781 r. podjęmo-
wał król Szwecji August III i Wielki książę
Pawieł, w pięknie wówczas umocnionym pałacu, ze
słynną galerią obrazów oraz przedwiońcem, klat-
ką schodową i salą balową, z doświadczeniem kafelek
do starych zachowały się ruiny tego pałacu. ↳ Delf.¹⁴

w niedolekij odległości - na 8-wschód od Krasniewa - liżym, Sumsk.
Nadto Ciekawą wzmiankę o Sumsku z najdłuższym w pracy
Fellksa Komarowa pt. „Święci w dziejach Korony Polskiej”:

„Od roku 1850 ustano dakturbsze włożenie umiarkowanych
mężczynek po przewrotnych monastyrach. Ksiądz
Micerionowi pozwolano zamieszkać w mieście Sumsku
pod opieką bogobojnej żony marszałka powiatowego,
pauł Ludwiki Mżyńskiej. Należało tam do
niego dozor nad budową nowo wznoszonego przez niego
kościółka w Sumsku. Po zgromie swej opiekunki w 1854 r.
wypadło mu mieszkac w podanej chacie, iżyc tylko
z opatrności Borkiej i Teski sąsiednich obywateli -
żon, ale przynajmniej go nie opiekowano i nowych prze-
śladowań nie przyderano. (...) Żyjącym na wygna-
niu mężczyznom poprzedniego przesledowania popr-
szył się los po roku 1863. Nie przykładał marszałka Mży-
ńskiego systemu w ręk Rosji ze wdzięk i powstania
i jego majątek skonfiskowano; nie mógł tedy ks.
Micerion korzystać z jego podległości, lecz musiał
od 1867 r. szukać sobie mieszkania. Siedział przez
19 lat w Sumsku w „pokoju”, tj. nie mając osobnej
izby, tylko kąt w wspólnej izbie. Borek mu do-

¹⁾ Ilustrowany przewodnik po Wołyniu. ok. M. Orłowa. Lwów 1929 r.

²⁾ Borek - dzisiejsze wieś Borki, nie daleko Sumsku i Synberu
potężna, dziedziczna własność Piłnickich

³⁾ Myszko - nazwa pogańska - Mieszko, Mieczysław.

⁴⁾ Encyklopedia Gutenberga

kuwrał pop, a tak chciwy, że odebrał biednemu umięcie
nawet skórę na obuwie i kazał mię uszyć buty dla
siebie¹⁾.

„Na południu lessijskiego powiatu kremenieckiego
położony był ongiś mały gród Wyhoszew, na ruinach
którego powstało terazniejsze miasteczko Wyszogrodok.
Osada miejska zmejdająca się wędzioro w dalsnie,
od wyższego terenu otrzymała nazwę Wyższygród,
Wyżogrodok, w końcu Wyszogrodok. (...) Pierwsza wzmianka
o Wyhoszewie zjewa się w rocznikach pod rokiem
1152. Wtedy to Wołoszmiem krzyżo połicki zajął
miasta ruskie: Buzisk, Tycholm, Szumsk, Wyhoszew
i Gnojnice. (...) W roku 1241 w czasie najezdy tatar-
skiego Wyhoszew ulegał całkowitemu zniszczeniu. (...) Do-
piero w wieku XIV król polski Kazimierz Wielki wy-
słabada Wyhoszew i inne grody wołybskie z jawnym
tatarskiego, przywracając je do państwa polskiego.
Właścicielem Wyhoszewa w wieku XIV są książęta
Zbarazcy, stemowicy bojarzy kmieć Rurykowiczów.
W roku 1482 Wyhoszew, który w tym czasie występuje już
jako Wyszogrodok przedkłada w swe krzyżo Teodora
Zbarazkiego. (...) Aktemi lubelskiej na mocy któ-
rego nastąpiło obywatelne przyłączenie ziem ruskich
do państwa Jagiellońskiego wymienione w szeregu innych
miejsowości Arońskich powiat kremeniecki takie Wyszogrodok”¹⁾

1) Życie Kremenieckie - 1935 r

" 18 km na wschód z Łyszczyńca, na granicy polsko-sowieckiej, u wschodniej, lecz bardziej skrajnej, leży miasteczko Biełżycze 2500 mieszkańców mające, przeważnie przewoźniaków. Restauracja Fr. Rudkowskiego. Dojazd do najbliższej stacji kolejowej w Łanowcach - 12 km. Są to dawne dobra królewskie obejmujące 35 wsi na obszarze 500 km², które w początkach XVIII w. Zygmunt I nadał Barzdom. Po kolei przechodziły na Włóczyńskich, Ogimskich, Brastowskich i wreszcie (po 1863 r. E.B.) Rosjan Deplakowich. Miasteczko posiada pałac, piękną katedrę murewaną, niegdys parafialną, cerkiew drewnianą - z r. 1735 i synagogę. Pod miasteczkiem los historycy o pow. 42 ha: "groby, je rowy, je rowy i brzozy" i historyk stąd miasteczko u pow. krzemienieckim nie sposób nie wspomnieć słynnego Porajowa. "To takie przeważnie wyhodowane" - wspomnienie królewskie.

Franciszek Slemmer w swoim pamiętniku pisze:
"Ze strony Góry Królowej Bory u dnia 20 lipca i pogodny na dalekim horizonie daje się dojrzeć złote kopuły Ławry Ponopurskiej.

Ławra Ponopurska, klasztor benedyktynski z cudownym obrazem Matki Bożej istniejący od średnio-wiecza. Cerkiew stała na górze, a na jej stopkach obok kata i bezobronne są kopuły i celi dla pustak.

1) obr. M. Orłowski - 40 lat.

ników. W cerkwi wtopka Matki Bożej oddana ze
złota, umieszczona w gąbłotce na czerwonej atłaso-
wej podszewce. Historia stopki dotaje się od najazdu
Tatarów. W czasach oblężenia Poczajowa bronice się w klas-
torze ludności i mnisi znaleźli się w skrajnej rozpawie,
bo zabrakło wody. Wtedy jeden z mnichów, nazy-
wany świętym Jowem, wyszedł za mury obronne i go-
rąco modlił się o pomoc. I stał się cud - objawiła się
Jowemu Matka Boża i stopką wskazała gdzie
ma kopać studnię.

Do klasztoru u podziemiach klasztoru wyciekają kro-
pelki wody, która ma moc wody z Lourdes. Można
też wodę otrzymać po złożeniu ofiary. Do stopki na
kolonach ciągną słynny pielgrzymów ze wszech-
stronne, jak i w dniu poprzednim.

Około cerkwi piękna dzwonnica z obrazem Chrystusa
Błogosławionego. Oprawny obraz daje się przy pogodzie
słyszeć na odległości 25 km.

Ten słynny monastyr u Poczajowie ufundowała
żona żydowskiego ziemskiego Tuckiego pod koniec XVI w.

"Druge potome sresnutego ruku prymordie gwał-
towne nasilenie procesów kolonizacyjnych. Jak
gdyby po dlessem wyrestety nowe wsie, osady i
miejscowości (...). Kończyły się wielkie porteny his-
pano-ukraińskich, zchorazkich, Ostrogskich, Zastawskich.

(...) Chtopi z wojenolubie ruskiego przenikli si
na Wołyń i Podole. (...) Przez wiele pokoleń ziemie
ukraińskie stanowiły teren, na którym się walczyło
interesy tatarskie, tureckie, litewskie, polskie i
rosyjskie. Ta bogata krajina była niemiernie
stale zasnuwta dymem pożarów, zkapana we
krwi mieszkańców, wypełniona zbrodniami i kradzieżami
morderstwami, gwałtami, uprowadzaniem i niewol-
czym i porobawionym swego dobytku. (...) 27 sty-
cznia 1596 r. Zygmunt III wydał uniwersał skiero-
wany do szlachty wołyńskiej, informując ją, iż na-
kazał hetmanom, aby ruszyli z wojtkiem przeciw „lu-
dzinom znanym” i postępowali z nimi jak z nie-
przyjaciółmi Korony. (...) Hetman polny Stanisław Jędr-
kiewski starał się na wsparcie szlachty koronnej, (...) ale
nie podino cwał pod Kremenieciem na obywatel-
stwo¹⁾.

Mity Byteluski! Utknęło się tyle tych róż-
nych ciekawostek dotyczących historii powstania
kremienieńskiego, że do zasadniczego tematu mo-
jej pracy wciąż dojść nie mogę. Ale ^{przepraszam} myślę, że
one opowieści warto byłoby ^{przypomnieć} wspomnieć. Wszakie
- było mi było - po drodze do Rybicy ma-
my jeszcze Katerburg.

1) U. Serwyk - „Nie dalekiej ukraińce”.

Była to wciąż miasto, powiniędomodne miasteczko, od niepomistnych czasów zamieszkałe głównie przez Żydów. Stąd też oprócz kościoła i cerkwi, przy bocznej uliczce stała się niewielka, stara bóżnica. Środek tego miasteczka zajmował typowy dla kresowych miasteczek cmentarz kamiennego i żelaznego zabitościwego rynku, obudowanego popodłużnym i różnym kształtów żydowskimi domkami, w których mieszały się ich niedźwiedzi sklepy, pamiętające jeszcze dawne czasy. Jednak jak na potrzeby ówczesnych mieszkańców gubny wszędzie tam kupiec było można - "suwoks, mydło i porcelota"...

Ne przecież była to quina, więc był tam Angol żydowy, Portenerek Polski Państwowy, Straż Późna, poczta, no i jak wszędzie - lekarz i aptekarz.

Raz w tygodniu odbywały się tam targi obłapskie, na które zjeżdżali w gospodarstwie ze wszytkich przynależących do gubny wiosek. Była to miódce spotkanie, handlu, zawziętych targów, a przy tym i w kupów - zwanego do dziś zrywają poręczanki po obłapim targu - co Amarrato słazje do wybitki i często i do wybitki. A słyszata się tam mowy polską, ruską i żydowską.

1 - w tym przypadku ukraińską. (i żydowską).

W „Życiu Kramienińskim” z 1935 roku, zachowała się relacja dotycząca tragicznej wagi zbrodni, ... w wielkim sankcie dnia 13 maja 1935 r. jak skronów kościelnych niósł wieść słowną. Ludzie stali się jakby bezradni, zbierali się grupami, niesmiało i cicho komentując wiadomości.

O godz. 8 w miejscowym kościele parafialnym, w tym katolickim cerkwi prawosławnej oraz synagodze odbyły się nabożeństwa żałobne, na których obecni byli pracownicy gminy, dziecięca szkoła oraz ludność, które zdążyła przybyć. Wskupieniu i urzędzie wystąpił nabożeństwo.

U mejdanego na stawy można było zauważyć 123. Smutna wiadomość obiegła przedko teren gminy. Nie będąc na pracy w polach, wieśniak zdołał do miasteczka, aby się tu dowiedzieć i sprawdzić, czy rzeczywiście śmierć nieubłagalna zebrała ukochanego Wacława.

W dniu 14 maja zaczęły do Katerburga napływać tłumy o organizacje gromad i skład powrzechnych. Przy pomniku Marszałka w Katerburgu zaczęto składać wieńce. Składane je w ciszy i wskupieniu, z wyrazem głębokiego smutku i przez chwilę porzeczono się jakby w modlitwie. W dniu 15 maja w salach gminy odbyło się

zebranie przedstawicieli wszystkich narodów społeczeństwa w Berlinie około 200 osób. Wójcik gruby - Karimierz Kuniej odwoływał Dyktando Prezydenta RP, którego wystrachu nie było. Następnie odwołano hołd zmarłemu Marszałkowi przez obywateli - miastem ciżbę, potem ustalono program wystrachu poqnebowych.

16 maja we wszystkich świątyniach na terenie gminy odbyły się nabożeństwa zielebne. Podniwte kerzenie wystrachu księga przewostawna, podkreślając, że stracono życie i opiekuna, który jednakoś braktował wszystkich bez względu na narodowość i wyznanie i jednakoś kochał.

W dniu 17 maja odbyły się uroczystości zielebne w Katerburgu dla ludności całej gminy. Świątyni Adam ja kiego Katerburg dotychczas nie miał. O godz. 10 rozpoczęły się nabożeństwa w świątyniach wszystkich wyznań religijnych. Nabożeństwo w kościele wystrachu. odprawił ks. Wystrachowski, w cerkwi przewostawnej 8 księży z ks. Kiszczorem, nabożeństwem Katerburga na ciele i wysynagoge - rabim Spector.

Wszystkie świątynie były przepięknie ci który nie mogli dostać się do świątyni strachu obok.

Po nakazie i stronie uformowano pochód, który w skupieniu i porządku przeszedł ulicami miasteczka, ku pomnikowi Józefa Piłsudskiego. Wtem stojącej z około 2500 osób zalegały wszystkie ulice miasteczka. Była to wielka manifestacyjna ludność. Po ustąpieniu się pochodu przed pomnikiem przemówił Starosta Powiatowy p. Czarnecki obronując życie i zasługi tego, który życie poświęcił dla ojczyzny, ponad wszystkie ułody i walności i że dla wszystkich wywołuje. U wielu obecnych zadrżały serca, wszyscy ślubowali wierność Jęz. "Lobator" ...

W tych kilku opisach i relacjach rysuje się nam obraz historii kremenieńskiej ziemi, rozciągającej się spod podnóża Góry Królowej Bony, po przekątnej Flurcji ok 50 km, ku południowi. Szła, na tej drodze, na 12 km. leżała wieś Rybacz. Rybacz na Czełmaku, że zbyt długi i okropny obwód, ciężko tu prowadzić. Ale jakże to mówić o zasadniczym temacie, nie przypominasz historii tych ziem. Jest to wielka polska cotoś, której podzielić nie może. A więc słupowo teraz zapraszam do wsi Rybacz, której i ja oczekuję męgo z serca wdaje.

... „Ta wieś, ta stara szkoła,
a przy niej wielki knyz,
zielone sady i pola,
i stowisze, co śmieci wzięły!...”¹

Rybaranie nie znają swojej historii. Nie wiedzą
jak dawno ich przodkowie przyjeżdżali z tej
strony i skąd ich wiatry przywiodły. Być może
otrzymali tę ziemię z rąk królowej Bony,
a może i jeszcze wcześniej, jako, że już w roku
1344 za Kazimierza Wielkiego nastąpiło włączenie
do Polski ziem przemyskiej, halickiej z Lwowem,
a także ziem kremenickiej²

W pamięci mieszkańców Rybawy i w rękopiśmiennych
historiach zapodziała się też jej pierwotna nazwa.
Wszakże zawsze była to wieś całkowicie polska.
Wyjątek stanowiła tu jedna roślina żyłowska,
która przemieściła się z kłep kolonijny¹ i jak to
dawniej bywało co i w rodzaju wyszynku.

Rybaranie z żyłki się z tej żyłowskiej rośliny.
Zresztą przydatna tam była. W miłym sklepie
zapatrywali się w odnie drobne artykuły potrzebne
tam na codzień, a w oknach wewnątrz mieli
się też gdzie spotkać i porozmawiać.

¹ pisał historyk pierwca tej ziemi - Jan. Micewski
² Józef Kurzowa - Polska część Kresów wschodnich.

Pierwsz wybranie

Ich ~~przebiegiem~~ ^{wybranie} wybranie swoje życie, przystąpił
 osiedlił się w pobliżu Kremienia, smoleńskie wciennie
 góry Kłodzkiej Bory. Tam bowiem były naj-
 bardziej żyzne polskie ziemie, Tam też oprócz
 urodzajnej ziemi, która od początku była sa-
 cja ich była, w niedalekiej odległości było
 trochę starych dorodnych lasów, dających
 budulec i opał oraz te pomniejsze, ale rów-
 nież ważne dobra, jak jagody, maliny i
 grzyby. ~~Właściwie w tym czasie~~ ^{Właściwie w tym czasie} ~~trafiła się~~ ^{trafiła się}
 często wina ziewająca. Wokół było też
 parę stada, a w nich kłębki ryb. Odłowił
 je na swój skromny stół, a przede wszystkim
 na stół pański. Odtąd - być może - od
 tych ryb zdarma przystąpił do ręki naszej
 Rybaczki, która ze względu na swój na Rybaczki
 przemieniona została.

Na przestrzeni wieków wybranie przecho-
 dziło różne, nie raz dramatyczne koleje losów.
 Ale wreszcie pokój żył i msię spokojnie i cicho.
 Zesobność ich - orec moim - było dostateczne,
 ale nie bogate. Długo pracowali na roli,
 uprawiali żyto i ziemniaki, a o innych sła-
 chectwie już chyba dawno zapomnieli. Na co-
 dzień żyli pracą, chlebem i modlitwą. Przej-
 gnęli do tej ziemi i pokochali ją.

Biskup Ignacy Krasicki, któremu były do swego majątku na Rusi nieraz przejeżdżać wypadał, tak powiedział: „Zgola wszystko niezamownie, pusto, gładko - lecz polozimie!“...

Hrabie Maurycy Dziewowski - właściciel Katerburga - swoim i okolichym mieszkańcom kosilem w roku 1788 wzniósł tu nowy, nierówny kościół katolicki, który był ostoją polskości i wiary.

Tęczańskow nie była to wielka parafia. Ot trochę Polaków zamieszkałych w Katerburgu i nieco okolichym polskich ziemian. Trochę rozsypanych po sąsiednich, ukraińskich wioskach polskich gospodarzy, no i ta drobna polska szlachta z przysiółką Rybica, zdawsze wierna temu kościołowi.

Dopiero po 1920 roku parafia w Katerburgu znacznie pomniejszła się. Dotyczyło do niej kilkunastuścian polskich żołnierzy, uczestników zwycięskiej bitwy z bolszewikami. Oni to upamiętnili się o te zolarnie polskie ziemie, które za udział w tym mieście powstania styczniowego, po 1863 roku, zagarnął carski generał Bobrykow, a po nim jego żona szambelana Biermezzow.

I tak na moją powstanej ustępy z dnia 17. VII 1920 roku część zolubłej ziemi na Kresach Rzeczypospolitej

Polskiej w niektórych powiatach Wołyń, Polesie
i Podole oddano na własność żołnierzom Wojska
Polskiego, którzy broniли granic Rzeczypospolitej.

W całym powiecie krzemienieckim, w tym w pobliżu
Kisielowa, Pociejowa, Katerburga, Sumsk
i Biełżyzki po 1920 r. zostały powstanie nowe
osady wiejskie. Osadnicy wywodzili się z róż-
nych formacji wojskowych, ale wszyscy mieli swój
wojenny wkład, który ziemie przez nich upra-
wiano, ich własność uczynił. A pochodzili z róż-
nych stron: z Galicji, z Podola z przed Rzeszowa,
Buska i przed Zamościa, a także ci, którzy
przybyli tu z "kordonu" nakazem władz
sowieckiej wyprawy z okolic Zytomierza,
Jampola, Bazali, Szepietorki i Płoskowa.

W pobliżu Rybicy powstały trzy osady: "Wola
Rycerska", "Witosowo" i najbliższej rzeki "Kater-
burga osada Łany".

Zycie przybyłych tu osadników toczyło się
porządkowo po braku i po głodzie. Ale dumni
byli z własnej siły i wierzyli w lepsze
jutra, które sami mieli zbudować.

A Łany mieli od niego. Zanim na wytwo-
rzonych sił działkach postawili pierwsze zgręby
swoich domów, ziemniaki porządkowo i naprzę-

dce skleconych sztalasach, lub wzgola wyrzutyh wie-
mi ziemiankach. Ale Arandy to byl ten nowy
polski dyktat. Po paru latach pednych znoju,
wyzreceni i niezalowej pracy mocno wrosli w te
ziemie i umocnili katowicką parafie.

Wspolnym wysilkiem budowali szkoly, domy
kulowe, Arandy organizacje, brali czynny udzial
w zyciu społecznym i politycznym, powoli sie tu
promowili, aul gospodarce. W ciągu paru lat
to ciche i nieco senne zycie tych stron znaczenie
odzyskalo sie.

Na szwedzkie wznanie zarlych wate nowo pow-
stala osada „Wola Rycerska”. Pod okiem ma-
jzego tam swoje dzialke prezesa Zwiazku Osad-
nikow Kresowych, kpt. Stefana Telugi rozwinela
sie nader wzorowo. Wzdluz planowo zaprojekto-
wanych osady, liczacych osady z Kremenicem, Ka-
terburkiem oraz Ruselmem i sasiadnig wsie
horynke osadnicy wytyczyli swoje dzialki.

Wprowadzie ich sytuacje ekonomiczne nie byla dob-
ra, ale w ciągu paru lat, wzrostl sumiugych ka-
tem Tandv zbozi i motolyh tu jesore, ale licz-
nych sadlow owocnych i kilku pasiek, wzrosly
sie ich domostwa. Nie byly to co prawda domo-
stwa bogate, ale schludne i przemyslnie usytu-
owane.

Każdy z osobna budował się na swoim i każdy na swoim czuł się panem.

Ale prawdziwym panem był tu kpt. Telska. Jego biały, stylowy dwork, wytłumaczający się z wieloma oknami nadawał osadzie szeregowej kwater.

"Wola Rycerska" rozlokowała się w rozległej dolinie i zdaleka była widoczna.

Stwierdziłem Mławski - były mieszkaniec wsi Folwark - wspomina: ,, Mieszkałem z wsi, na jej terenie należącym do gminy Szpilkos, tuż przy stronie Łęczyckiej Krzemieniec z 45' od wsi. Były tam dwie rodziny polskie i kilka ukraińskich. Pamiętam, że z naszego domu, w odległości może półtora kilometra, widzi było osada Wola Rycerska, która rozbudowywała się i rosła w naszych oczach. Zawsze spoglądaliśmy na nią z zaciekawieniem i byliśmy z niej dumni. ...

W latach trzydziestych przystąpiono do budowy domu Ludowego. Wielka dumna i radość rozpętała osadników, kiedy na stropie zróżnicowanego dachu zamontowano wielką wieżę i biało-czerwoną przepierzywkę. Było to dla nich wielkie święto.

Na uroczystości poświęcenia obiektu, którego dokonał ks. kanonik Dominik Wymykowski, przybył też gen. Marian Żygota - Januszeński, mający też swoją osadniczą działkę w niebyłoby odległych Sztytach.

Po zakonczonym poswieceniu i odprawieniu mszy św. ks Wynykowski i gen M. Żepeta - Januszajtis razem z osadnikami siedli przy zmontowanych z szeregowych desek stółkach, obstawionych sztuco jadalnią i wypiłkiem i uctowali do późnego wieczora.

Wskazano też wtedy wybudowanie 4-ro klasowej szkoły powszechnej. Już jesienią - na zawrasu przygotowanej dziadce - zaczęto zwozić materiały potrzebne do budowy. (vide mapka kolo Rybnik)

Osadnicy nie strachli też od zdemna zamieszkałej tu ludności. Zaprzyjrzeli się z mieszkaniecami Rybnicy oraz bliżej leżącej wsi Horynki, zamieszkałej zarówno przez Polaków, jako też i przez Ukraińców. Bywali u siebie, u siebie pamiętali sobie wzajemnie, niekiedy zapraszali się na różne rodzinne uroczystości. A kilku osadników wzięto sobie za żony rybnicy. Tak też pomiędzy nimi wystronęła się pewna zażyłość, a nawet serdecność. Ich kontakty z ludnością ukraińską układały się całkiem poprawnie. Rec moźna, zgucyły ich dobre szwieckie stosunki...
...,, w Horyncie Włodzimieckiej, w styczniu 1935r. obchodzono uroczystości poświęcenia kaplicy cywilnej /kated. w odnośnej przez Samowogel Powiatowy - i przez miejscowej na ten cel - starej przedwojennej karczmi.

Po nabożeństwie odprawionym przez ks. prob. Sowińskiego wyrykowskiego i po kazaniu, w sali szkolnej odbył się wspólny apłetek, w którym udział wzięli przedstawiciele gminy, organizacji społecznych, osadnictwa i goście z Kremenieca.

Wstępną mowę wygłosił Tomaszem się apłetekiem oraz koleżance polskim i ukraińskimi, znalazł piękny wyraz w przemówieniu inspektora szkolnego p. Robaka, który podkreślił znaczenie coraz większego zdywanie się narodowości polskiej i ukraińskiej. Udział całej wsi, bez różnicy wyznania i narodowości, w przepelnionej sali szkolnej świadczył dobitnie o umiejętności współpracy i współpracy miejscowej ludności¹.

Podczas nabożeństwa, ze przykładem innych miejscowości w pow. kremenieńskim, odnowiło życie mieszkaniowe Rybicy nabrało nowego rozmachu. W latach Amokrestych, kiedy wybranie nabrało wiary w sędze nowe czasy, pomysłeli o lepszym wychoowaniu i wygodzie swoich dzieci, i postanowili wybudować 4 klasowy szkołę powszechną. W szybkim czasie, wysiłkiem wszystkich mieszkańców, w środku wsi stanął piękny, murywany budynek szkolny.

1 "Życie Kremenieńskie" 1935 r.

Od strony południowej górował nad naturalną, wysoką skałą, zalewka czerwieńsi się dach kryty dachówka karbonowa, wyraźnie domisnowet pośród miejskimi zabudowaniem i nawet wydawał się być wyższy, niż był w rzeczywistości. Jego szerokie okna, od północnej strony spoglądały na drogę biegnącą przez miasto z Kremienica do Katerburga.

Od tej pory dzień i wnikł rybaś aż do klasy 5 nie musieli w drodze, ale i nieraz w bardzo złej pogodzie, biegnąc do szkoły w Katerburgu, czy też przemierzać się na stamy do Kremienica.

Kierowniczym szkoły został Ksawery Siemkowski, a w pracy pedagogicznej pomagały mu: Zofia Stanisława Horodecka (Krotko) i Zofia Samiecka z d. Kurejowa, które wraz z mężem Tadeuszem z Horynki do Rybicy przenieśli się, a w 1943 r. (w latach wojny polskiej) ucyta dzień rybaś.

W godzinach wolnych od nauki budynek szkolny od początku służył też nowo powstałym organizacjom. Owa bliższa granicy sowieckiej i ta wieloletnia już świadomość zagrożenia od wschodu, była powodem specjalnego wysiłku wychowawczego w szkole. No i jak wszyscy kresowiacy i wieśniacy - i chyba nie bez racji (!) patriotyzm na Wołyniu był silniejszy, niż w centralnej Polsce!

W Rybory powstało wówczas Katolickie Stowarzyszenie
Młodzieży Żydowskiej i Litewskiej, swoje zebranie odbywał
tu Zwiżek Strzelecki, któremu patronował kpt. Ró-
żanski z Kateduburga - dow. Zm. Kereznitow. Tu też
czasem przybywają znaleźli Oddział Ochotniczej
Straży Pożarnej. Szkoła stała się miejscem spot-
kań towarzyskich, zebrani i różnych uroczystości
w ciągu roku. ^{Tu} Ze swobodą odbywaliśmy przyjeżdżałi
tu często prelegenci Stronnictwa Narodowego z
Kremienice.

W 1936 roku, w celu zlikwidowania rozproszonych
działek należących do jednego właściciela i ut-
worzenia gospodarstwa o zwartej powierzchni, w
Ryborzy przeprowadzono komesację gruntów. Zapro-
jektowano nowe ulice - drogi, przy których, na
wyznaczonych działkach gospodarze stawiali nowe
i już lepsze domostwa. Rybora przestała być
wsią ulicową. Nabrała nowego wyglądu i cha-
rakteru. O mieszkańcach, którzy w wyniku par-
celacji przenieśli się poza teren wiejskiego sku-
piska, mówito się, że: „mieszkają na futonie”.

Ryboranie w ciągu wielu, wielu lat nie opuścili
swojej wsi. Tu rośli i często zemdli się pomysłaj
sokoł, stąd też te często powtarzające się ich niezwi-
ska), stąd też bliżej lub dalej usypcy byli spo-

(wiele mapka Rybory)

kręćmieńsk pomijały sobą i stał też nie bez
racji mówić się, że są jedną wielką, pałką, rodzącą.

I tak, w tym nowym obywatelstwie z pracownikami
wielkie wybranie określał się owego, tragicznego,
1939 roku. Wojna wzięła już na wstępie, ale
wybranie postawowało ten już niemal nieodwo-
talny fakt przyjęcia „z otwartą przyłbicą”. Ale
niezłoty - nie zdawali sobie jeszcze sprawy, jak
w wyniku wojny tragicznie potocz się ich losy.

Dnia 6 sierpnia 1939 r. przypadła 25 rocznica
wyjazdu 1 Kompanii Kadrowej z 1914 roku z Ole-
śniczów w Krakowie. Ku upamiętnieniu tej rocz-
nicy mieszkańcy Rybicy postawili dzień
ten uczcić postawieniem olbrzymiego drewnianego
kryża - pomnika. Oryginalnym staraniem orga-
nizacji Strzelec został wzniesiony w środku wsi,
na wzgórzu, a tuż obok szkoły. Na kryżu umie-
szono napis: „6. VIII. 1914 - 6. VIII. 1939.”

Delegacji z Katerburga przewodniczył Kazimierz
Kunij - pierwszy powojenny wójt gminy, niezapam-
niany społecznik i ojciec Łucy, oraz jego warty-
pca, osadańsk z Lanów, Jan Rudzicki. Przybył
tu też kpt. Stefan Deliga z licznym portem os-
adników wojennych z Kobi Ryerskiej i Witosowa, a
także kpt. Różański z oddziałem 24. Rezerwistów,

Strzelców z Rybory oddolnie sobie honorować i
głos zabrot przybyły z Kremeniechca w towarzysztwie
innych gości wicestarosta Jerzy Osustowicz. Po
jego przemówieniu celebrował zaintonował pieśń:
„Boże ci Polsko!”! Rozpiewali się rybarze, roz-
śpiewali się gromko osadnicy wojskowi, rozśpiewali
się przybyli goście. A orkiestra dęta utęczyła
się i aż pręgi zażytyła śpiewających ludzi. Ale
echo powołało tę melodię daleko - hen!

- (2) A coś było bliski myślowi wojny. Uroczystości
z moim było odkryte, jako manifestacja anty-
wojenna. Dzień był piękny, słoneczny. Miész-
kańcy Rybory zebrawali się tu tłumnie. Uroczystości
(1) poświęcenia tego kryzysu stała się wyrazem ich
głębokiego patriotyzmu. „Nie wiedzieli jeszcze
rybarze, że już niecały miesiąc dłużej ich od-
dania wybuchu wojny, który 17 września dosięgnął
orygi miał na sobie.

I nie przypuszczali, że w niedługim czasie
miejscu to przy kryzys - pomniku zostanie uszy-
wane karmią pomordowanych mieszkańców Rybory
i że w ciężkich latach wojny, tuż przy szkole, a
obok tego kryzysu powstanie spory cmentaryk
epitaf wojny.

A biegu historii nieuchronnie zmierzającej

ku drugiej wojnie światowej nie udało się już zatrzymać.
W następnym tygodniu w Rybczu powołano do
wojska rezerwistów - podoficerów. Lubił i wnieśli
przyjąć pierwsze echo wojny.

Ale dzieła wojenne były jeszcze daleko.
Toteż z pierwszym spokojem odesłano kolej-
nych komunikatów radiowych. Wszakże już na-
stępnym tygodniu ostrości ich optymistyczne na-
skazy. Wojenne nawałnice szybko przesunęły
się z zachodu na wschód. Trudno było przewid-
zieć, co przyniesie każdy następny dzień.

Droga z Kremienicy do Katerburga udośćlił
pierwszą uciekiniera - później tzw. „bixieny”.
Opóźnia Polaków udośćlił także Zydów, którzy
czuli szczególne zagrożenie od Niemców. Czuli
się już nadchodzącą groźną wojny. Jeszcze tylko
nie było wiadomo z której strony nie uderzą.

I stało się! Dla polskiej ludności Wołyń
w całym kraju wschodnich dniach 17 września 1939
był dniem wielkiego rozkośnienia i przegrubienia.

Pierwsze uderzenie wojsk sowieckich przyjęły
strażnice KOP-u wzdłuż całej wschodniej granicy
Polski. Ludność Wołyń przeżyła to bardzo ciężko.

... 77 Był wczesny, szary ranek. Zobaczył nas szereg
motocistów odchodzący od strony wschodniej, z te-

ze strony Rosji - wspomina Regina Porzidkowska z mi-
szkanki futora należącego do Białostok - Było
jeszcze ciemno - myśleliśmy, że to wojsko niemie-
ckie z tej strony śnie. Ojciec wyszedł na dwór,
ale za chwilę - przerażony mocno - powiedział: „Dzi-
ś mówią - to już koniec z nami, to bolszewicy!
Stoję na całym wzroście i nawet słychać jak
klną!”. O godz. 5 rano padł śnieg i całe chma-
ro wojska ruszyła jak szarżora. Sili pola-
nił na zachód - bez żadnych obaw. Najpierw
jednostki marynarskie, następnie ciężkie samo-
chody z wojskiem i armatami, a potem kawa-
leria i piechota. Widać było ich małe kowadła,
a na nich zarosniętych ludzi o wyglądzie tatarów...

Dzień ten - 17 września 1939 roku - stał się z nas re-
lacyjnowi będąc trochę smaczny - zależy gdzie kto
wtedy był i co widział, lub powiedział. Dokładnie-
jsze relacje odnajdziemy w książce W. R. Cygana
pt. „Kresy w ogniu”, a ucytek który cytuję ze str. 86/87
mówi o szkieletach wojennych z pow. kowieńskiego:

... „ Około godz. 4.00 rano oddziały 5 Armii pre-
kroczyły granicę Polski. (...) Posunęły się w trzech kolu-
mnach. Pierwsza pancerna, przeszła granicę pod
Korcem, druga - również pancerna - pod Ostrogiem,
zaś Anecia kawalerijska (z zapasem artylerii pod

Dederkalanii. (...) Nie dał się zaskoczyć baon
KOP „Dederkaly” mjr. Jana Szabłowskiego. W wal-
kach na strażnicy wyróżnili się plut. Adam Po-
rycki i kpr. Dziolko. Niepełne dwie kompa-
nie pod dowództwem por. Mariana Kowalskie-
go (dow. 4 komp) cofnęły się na Poczajów, tocząc
walki z dywersantami, w związku z tym spalono
Podzamcze (...). Kompania z Lanowic na rozkaz
gen. Skuratowicza wycofała się na Borsuki-Kne-
mieniec. Po krótkiej walce w rejonie Borsuk,
skoto godz. 19 kompanie dotarła do Kremeniec (...).
Dalej na południe w godz. 4.45 odjechały TKK
z 6 armii po walce zajęły Białozorkę i posuwa-
ły się w kierunku zachodnim.”

A więc jeszcze raz jesteśmy na terenie Białozor-
ki. ^{Spójnijmy co dzieje się tutaj} ~~Wzrost~~ nie porządku wreszcie ogłoszono w kraju
stos wojenny, który szczególnie obowiązywał
w strefie przygranicznej. W tym czasie osadnicy
w gm. Białozorka wspięli niewielkie linbowo
plecówki KOP-u i razem z żołnierzami chadzili
na nocne patrole. Osadnicy: Tarnowski i
Sygnarowski przytępaliby jakiegoś sowieckiego szpiega.
Nad tym przygranicznym terenem ukazywały się
wysoko w chmurach jakieś wyniędzalone samoloty,
które nie straszyły niczego groźnego.

W nocy z 16 na 17 września lumszy potoki deszczu. Z towarzyszeniem błyskawic i piorunów okropna burza przewalata się z zachodu na wschód. Nadchodził cichy, szary jesienny ranek.

Po północy osadnik Marian Pawlicki przejął od przemokniętych do cna kolegów osadników konną wartę na przedpolach Białoborki.

O świcie usłyszał nadjeżdżających z dala jeźdźców. Zatrzymał się na mostku przy wjeździe do Białoborki i czekał.

- Stój! Kto jeździe? - zawałał widząc wyłonięjącego się z porannej szarówki uzbrojone postacie.

- Brosz szmije! - usłyszał w odpowiedzi.

Ale Pawlicki nie był z tyłu, co tak szybko ruszyć broń. - Stój! - krzyknął ponownie, podnosząc karabin do strzału. ... I chyba nawet nie zauważył, jak to się stało i kiedy został przeszyty kulami z radzieckiego karabinu. Reptem zachwiał się, osunął się z konia i spadł na obronienemu mostek. Widziano go potem, jak leżał pod knakami olskiego bzu, obok domu Ludowego. Była to pierwsza ofiara wojny w Białoborku. Osiemset żonę i osmioro dzieci. ...

Owej nocy na wencie w Szuszkowcach przebywał posterunkowy Ryzykowski i Jęnek Korubski -

ortonek Związku Strzeleckiego. Pierwsze echo wystrzałów dostrzy do nich z kierunku Młotkowie. Tam to właśnie ów już legendarny dowódca strażnicy KOP-u kpr. Szybletko z paroma żołnierzami-rezerwistami 4.P. postanowili do ostatniego naboju bronić honoru żołnierza polskiego.

Żył już trudno onec, jak tam było napowiadali. O tym zdarzeniu było już odmiennych nieco wersji narosta. Ale bezprzeczną prawdą jest to, że ta garstka dzielnych żołnierzy stawiła opór i nie pozwoliła wroś zatrzymać sowiecką nawałę napierającą się przez osadkę Łysogórki pod Młotkowem. Ale niestety - jest to dziś ziemia obca i żaden pomnik tam nie stoi...

Strzelec Jęnek Korubski i posterunkowy Ryżkorski zdyszali i zdemoralizowani przybiegli do Komisariatu w Białej. Byli już tam wszyscy. Komendant Jan Heleń i żołnierze policjanci zastanawiali się co mają zrobić. Ale nie było wiele czasu do namysłu. Od wschodu słychać było już następnej kanonady. Komendant posterunku poprowadził ich na północnie w kierunku Koszłek. Na ich miejscu pod Koszleckim barkiem wposali prosto w ręce sowieckiego kanonopatraku. Doprowadzono ich z powrotem do Białej. Tu

uformowano już większe kolumny i w szeregu innych jeńców poproszono ich w kierunku wsi Szymbenna, a następnie do Szepetówki. Szło całą szerokością jezdnii, byli straszliwie pomęczeni, silnie i w marszu niemiernie spali. Wśród nich byli też Azu. rdz. wyczes „bieżniacy”, czyli uciekinierzy z Polski centralnej, uchodzący przed Niemcami. Wielu wziętych do niewoli żołnierzy polskich było rannych. Po bokach szły eskortujące ich uzbrojeni somienicy żołnierze. Do jeńców nie pozwolono podchodzić, „ale kucaliśmy i m chleb, bułki i owoce”...

Była niedziela. Dzień był pogodny, słoneczny. Na nowym szlaku przez somienickie wsie wojennym szlakiem, przez całą szerokość osady Ketersandauka posuwało się morze somienickiego wojska. Dwie osadnictwa wojskowych z ciekawością zbliżali się, przystawali w pobliżu i przyglądali się tym nowym, dla nich nieznanym ludziom. Stałem i je tam, niektórzy żołnierze usmiechali się do nas, coś w niezbyt znanym nam języku do nas zagadywali, dawali nam drobne monety - kopiejki. - Daleko do Warszawy? - pytali. - Chcieli w gospodarstwie obejrzeć, zatrzymaj-

wali się koto stółmi, nabierali do manierek
rodz. - Idiom na niemieck mówili.

Nasi rodzice stawali w podobaleni. Z niepokojem
wybiegali myślaniami w przyszłość. Młodzi
mesze popłakiwali. My - jeszcze dzieci - nie
zadowoliliśmy sobie w pełni sprawy z grozy wojny.
Było to dla nas coś nowego i ciekawego.

2 { Tego dnia, jak zwykle w każdą niedzielę,
w kościele w Katerburge ksiądz Domusnik wy-
rykowski odprawił mszę św. Po b. gościnnie-
stwie zwrócił się do zebranych parafian: A
teraz zaśpiewamy "Jeszcze Polska nie zginęła",
bo jeśli ostatek nasz w tym kościele możemy
to sobie zaśpiewać..."

1 { Tego poranku ślicznie wojenne nie omi-
nęły też Katerburge. Jakiś arcyleniwy
postrak trafił w dach kościoła. Przez otwór
w dachu rekośnym promieniem słońca się
doniosłe ośmiało. W bożniej namie leżała
kępka zżarniętej, potłuczonej drożdżki.
A po kościele, szerokim echem poniosł
się chwałowy śpiew: "Jeszcze Polska nie
zginęła, póki my żyjemy" ...

Również tego dnia, dla uświetnienia nowej
Tadisy, Ukrainy, a także Tybety wznowili sponta-
nizację bramy tryumfalnej dla przybywających
zdmieniony radzieckich - wstali ich obeliskiem i sołg.

Nadszły polskie goście i napisy, a rozmieszczał
nowe. Zmierzali młotami. Nastąpiły zares
oresztowanie Polaków. Aresztowano też wdzię-
qutny Jona Rudubkiego, który nie przelobyc
jesze innego zlewo, zjawił się jesze do swego kiu-
sa. Ale jakimś cudem udało mu się wyjść
z tej opresji cato. Mięszkariny Kalerburga wy-
bronski też dwóch miejscowych polozientów -
(jedem z nich nazwał się Poloniski). Ze same dylet,
ze ci polozienty nigdy nikogo nie skonyrdzili i
byli dobry dla miészkarinów. W ten sposób nie-
wstąpiłmi wyretowali ich ool internowanie.

Ktośkier radzieckie po zamknięciu tych tere-
nów, z mocy swego prawa, w kwietniu 1941 roku
powróciły do radzieckiego wojska olna rozrutek
młotobieży (1917-1918). Z Ryby zabrano do
wojska 10 osób. Potem z nich nie było już
nie powróciły do swoich rodzin.

Tu wszakże cofniemy się jesze nieco w czasie
i ocaltmy od wspomnienia jesze jednym skrotom,
ale jakże charakterystyczny oberek z życia
osobników wojskowych i ich wojennych losów.

„Wsięspodiel Kne mienca, w gminie Radekwillar, po 1920 r. powstała osada Wola Piśrudzkiego.

Osada nie miała zwartej zabudowy, a to z tego względu, że za mieszkujących jej legjonistów otrzymali po 20 ha pola i każdy budował się na swoim, gdzie mu było wygodniej.

Jedni przyjechali z wioski Podzamose, inni z Podlipkowi, jeszcze inni z Budkami. Trzech z pól połaci wsi pochodzono z okolic Krosowa: Władysław Wodbel z Duplewiska, Władimir Kociuba z Białej i Jakub Kowalski z Prybyszyska.

Wszystkich cechował wielki patriotyzm i miłość do marszałka Piśrudzkiego. Wynieśli go ze sobą wprost, nierzadko osadzając go i mieniem.

Życie osady płynęło w miarę spokojnie.

Stosunki z ziemianami w okolicy (Kruszowice - nie można - były poprawne. W osadzie powstała szkoła, wybudowano zlewnię mleka. Ze światem łączono się drogą do starym Poczajom i Radekwillara. Jak się już nie było zadowolone i spokojnie. Wsięspodiel, że tak szybko odwrócił się od nich kartę historii, a wszelkie plany na przyszłość legły w gruzach.

17 września 1939 r. do osady wkroczyły karne oddziały Armii Czerwonej. Teraz też

we wsi Podzamcze odłączył się więc podarował którego
wytworzone wywołanie ukraińskich wsi spość jezerna
polskich obszarach. Ukraińcy przyjęli to odium:
jedni z radosia, druzi z duży szersz. Jednych
odpół bardzo zmienili się sobi stonach do
Polaków, wzdol których za panowato przygnie-
mie i rozpacz. Ten stan trwał do 10 lutego
1940 roku.

Było pół godziny po północy. Usłyszała
Tomotanie do drzwi i jakiś krzyk. Do wny-
Ana mieszkanie wpała Ukraińcy z emkawa-
ektą. Odcięta jakis nakaz, kazali się ciep-
to ubroci, zbroci posuń, szynose i w cięgu
20 minut przygotować się do dalekiej drogi.

Na samych pod karnojem odtransportowa-
no ich do budynku szkolnego, gdzie zgrupowa-
no wszystkie oddziały osadnicze. Szybko szmer-
seni uszły do stacji kolejowej w Krasnopolu.
Tam, na lewej rampie, zatelefonowano ich do
bydłych meybów, po nich oddano do każdego
wypowu, i pociąg uszły nie wzdol. "...?

W dalekiej, parotygodniowej podróży mieli
jeszcze jeden postój w Kriemieniu. Somierzono
tu osadników z kolsi Rycerskiej, Litorowa,
z osady Łany oraz z innych osad w pow.

¹ z listy Edmunda Wodnika

Wiele rodzin z różnych powiatów powiodło się udać się do domu. Z osady Lany zabrano żonę wdowa Katerburge ze starszą córką Renatą. Matka córki Bessie uchowała się wraz z ojcem na terenie Kne-mienhae i ich synów ocalał.

Tam osadnionym rodzinom udało się uchronić przed wymierzeniem. Trzej bracia zamieszkiwali w zesp. śmiejących do zagrody rodzinny najdalej położonej w kół. Ryerskiej enkamendacji nie dali rady samemu dojechać. Trzój tak serwato, że rodzinie to było odciążte odżiata.

W innej rodzinie było także okropne bi-ole, że nawet enkamendacji nie mieli umiemia na siłę pokonać tych biedaków no same i wywalić na niedługą śmierć. Kilko dzieci w tej rodzinie siedzieli boso i bez ubrań na ciepłym piecu.

Po wkroczeniu Niemców w 1941 roku odma-żono sps Polaków przeznaczonych do kolejnej wywózki. 50% rodzinaków wywieszonych z okolic Rybory miało za żony włośnie ryborańki, a to mogło już być powodem - pretekstem - do wy-mierzenia. Miejscowi ukraińscy urzędnicy znali każdy szczegół w okolicy i oni o tym ekcydowali.

Losy mojej rodziny potoczyły się jednak inaczej. Ojciec mój, legionista i żołnierz z lat 1915-1920 jako radnik wojskowy otrzymał 9 ha ziemi w osadzie Weteranówka gm. Biełżówka pow. Krasnostaw. Osadę tę powrócił na miejscu rozparcelowanego majątku rosyjskiego generała Turatora i jego żonie Ality Janowne.

Mój ojciec już w 1936 roku gospodarkę osadę w skłonił. Wyjechałszy do Sosnowca, gdzie ojciec otrzymał posadzkę na P.K.P. W 1939 roku razem z bratem Zbyskiem pojechaliśmy do Biełżówki na rekawę. Tam zostaliśmy nas wzięła i do rokoszu nie udało nam się już powrócić.

Ja Sosnowiec - po 17 września 1939 r. - przeżyliśmy obaj wiele ciężkich sytuacji i przykrych losów. Już po wejściu Niemców, w październiku 1942 r. mając wówczas 16 lat zostałem przesłany. Po kilku dniach pobytu w więzieniach w Łanowcach i w Krasnostawie dostaliśmy się do obozu pracy przymusowej w Biełżówce. Ale otrzymaliśmy, co się temu okazało, dowiedzieliśmy się już w następnym tygodniu. A jeżeli się nie o mnie tak chodzi, to też w tej sprawie w ogóle jestem zupełnie bezradny.

¹ Losy Polek z Biełżówki opisuję w pracy pt. "O nas mojej drodze", która wydana została w październiku 1991 r. w Łanowie w wydawnictwie "Słupka" w 4 tomych serii pt. "Wschodnie losy Polek".

WIOSNA 1943 ROKU

Wiosna 1943 roku przyszła szybko i zdecydowanie. Ciepłe marcowe słonice i lekkie poranny wiatr robiły swoje. Nie wiadomo kiedy zniknęły resztki brudnego śniegu. Po ostrej i śnieżnej zimy pozostały tylko wspomnienia.

Wiosną cudo się już, widzieli się ją na polach i popod płotami, gdzie niesmiało ukazywała się pierwsza zieleń, gdzie niesmiało i powoli pękaly niebrzmiałe gałęzi na gałęziach drzew. Wiosną wstąpiły już ptaki budzące się obnasku i śpiewające wesoło.

Zapominał się rok dobrego urodzaju, ale miał to być też rok, w którym i dżuma z kosa groźna śmierć już od wiosny miała zbierać ofiary, trzęsienie ziemi.

Widoczne to w powiecie kowieńskim, a szczególnie w lasach koło Białokrynicy, pokozeli się banderowcy. Coraz częściej dochodziły do nas charakterne wieści o napaściach UPA na polskie osiedla i wioski. Wierzącym tymu pozostaw ukazywały się one pędzocno-

na północno-wschodnim kierunku.

Michał Fijałko w książce: „27 Wotyście Ływiec Pięchoty AK” na str 44, podaje: „Ukraińska policja stała się bazą i celem kadrową Stronicy się partyzantów nacjonalistycznej, coraz bardziej jawnie z nią współpracując, aż do marca 1943 r. Kiedy to 4000-5000 policjantów otworze przeszedł do szeregu UPA.

Pierwszą poranką do obozu przeniósł się Biały-Krupały przybiegli do niej młodzi chłopcy. Byli przerażeni, pokorniejsi i brudni. Poproszono ich w polskiej wsi, uprosy obywateli domy polskich gospodarzy. Kiedy zapadła noc napastnicy zaczęli dobiec się do drzwi. Rodzina tych chłopcu była w domu w komplecie. Nie wiadomo było jak się zachować. Niebezpiecznie było pozostać w domu, ale i niebezpiecznie było z niego uciec. Chłopcy zdecydowali się. Jeden z nich wybiegł szybko i skoczył, aż z traskiem rozleciała się sama i rozprysły się szybki. Potem momentalnie wyskoczył do ogrodu. Tamże ze sobą ucyfrował to jego młodszy brat. Pod ostrością nocy przemknęli pomiędzy obrotami. Słyszeć ze sobą strach, ale udało im się

ujść z opresji i waisnąć się do przygotowanej zawieszki
zamoskowanej kryjówki.

W chwili późniejszej schłodem i domy zaczęły za-
cisty się palić. Słychać było krzyki, rozpaczkwe
wzłania i strasy. Stomienie objęty zabudowa-
nia. Chtopcy leżeli bez ruchu na dnie wyko-
panej jamy - przywarli do ziemi. Dżera
wobokielaty schł od palących się zabudowań.
Ale dżera schł przyry dym, a żar ognia omal
że do ciewał do schł kryjówki. W tej wal byłko
soul pozostali jedynym zrynym s'w'adkaus
owej strasznej nocy. Kiedy dom dżerał,
cchaniem wysunęli się z ukrycia i pomknęli w
puste jęzre wiosny pola. Wiernym sankiem
smiertelnie przemierili olatał do naszego
oboru.

W wolełonych od Kniemienia 11 km Tetylkow-
cał, niedaleko Rybory, w mejętku będzym
paol zamyolem niemieckim gospodarstwa ro-
dzina Cepielewskich. ① Ich spokajne prace
Armate tam do marca 1943r. Dzień 19
marca i dżer następne wskazy w pamięci
tych, co te dżer przeżył. Były mełer bre-

① z selecji primo wolał był Cepielewskiej - obłom
Szubickowskiej - Kucenowej.

grame dla rodziny Ciepiewskich.)

16 marca policja ukraińska opuściła polskie posterunki i z bronią i ogień „poszła w las”. We wsiach od razu wzięto wielkie niepokoję, szczególnie przez zamieszkałych tam, nie są to bezbronnymi Polakami. Pamiętnego dnia, w sobotę, Ciepiewski wyszedł kamie po rokiety i po bracie. Gosiła mieć pobyci do pomieszczenia, Rokosna po kolecji zasiedla do Brydca. Grabi - ojciec - Leon Ciepiewski (senior), Jan Kucenka - wódca majątku Detylhowce - i Ciepiewski Leon (junior) z żoną Olyga. Matka po kępieci potoczyła się do Łoska w sąsiednim powiecie, a Teodor Ciepiewski - młodszy brat Leona - obywatel Liceum Knieżnieńkiego z 1939 roku - był w Łosku. Była tam też Ewa Sptara - Neuman - żona starszy w Równem, którego władze sowieckie aresztowały po 20. IX. 1939 r. i od tej pory ślad po nim zaginął. Ona wraz z synem jakimś cudem uwolniła się od wywózki.

W pierwszym momencie ciotka zauważyła ruch w sąsiedzie - jakiesi koczujące się pod oknami postacie. Wszyscy ce strachem zerwali się z miejsca i stwierdzili, że dom jest oboczony. Kucenka

chwył zę słuchawki, ale telefon mi się skłócił.
W tym momencie na oszklony ganek padła
seria pocisków, po czym kilku mężczyzn wtarg-
nęło do mieszkania. Żona Leona (juniorek) ucie-
kła do sypialni, gdzie spała ich siostra i podłamała
ciężarówka Joanna. Bandownicy zebrał wszystkie
dokumenty ze wyjściem gospodyni i Ewy
Sława, które w tym czasie były w kuchni.
Wszystkim pozostającym w pokoju kazali patrzeć się
na podłogę i powstrzymać się od ruchu. Jednym z ban-
dyców wszedł do sypialni i kazał Leonie Czepi-
lewskiemu wyjść z dzieckiem do pokoju, gdzie
leżała już cała rodzina z Jan Kucem. Inny
z napastników, miś wiekić obcy, kazał
jij jechać wzdłuż do sypialni. Zaczęło się
płochowanie mieszkania. Zabrano ukryte
pochłonięte środki, skórną psę
napędzoną do maszyn - obok siebie nadejście
na celownik, Czepilewskiemu zdążyło obrócić się syg-
nał, o wszystkim zapytał. Po pierwszym czasie
poł ganek obok podjednostki wozu, zapnie-
nięte w foliowane komie, zetałowane workami
ze zbożem. Nac było jasne - księżyc w pełni
oświetlał zabudowanie. Bandownicy kazali wszy-
stkim wstąpić i usiedzieć na wozu.

Cała rodzina wysiła przed dom. Nikt jednak nie
chciał wsiadnąć, ~~na wóz~~ - domyślał się, że czeka ich
okropna śmierć. Jedynie Kucenka wykonała pole-
cenie upowców i wóz z nim zaraz objechał. Na
pozostałych domowników posypał się grad kul.
Wszyscy upadli na podłogę. Żona Czepielerskiego
poczuła silne ukłucie w szyję i zobaczyła na
ręku krew. Pobiegła do rypielki do ścianki,
które spokojnie usnęła. Stamtąd słyszała me-
żenie koczujących. Po pewnym czasie znowu wy-
wata na ganek. Leon Czepielerski - senior - i
jego żona leżeli bez oznak życia. Cze-
pielerski - junior - wraz z bratem byli ranni.
Leon zdążył wypowiedzieć do żony prośbę, aby
rozwiózła im sęce. Nagle z ciemności wyrunął
się napatrak w jakimś ciemnym mundurze i
krzyknął: „A sukimsymy jesszo żywut?”
Czepielerskiej przytoczył broni do piersi i na-
ciągnął spust, ale nie sreżście pistolet nie wypa-
lił. Kobieta uciekła wstęp mieszkanie i uk-
ryła się pod łóżkiem. Stamtąd słyszała jessze
jakis strzał. Kiedy zapadła cisza Czepiele-
wska wysumpta się z ukrycia i z nożem w ręku
porwała na ganek. Koszula Tadeusza była
cała czerwona od krwi, z ust płynęła mu krew

Jednak niespodziewanie wstał i przeszedł kilka kroków o własnych siłach. Leon też próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Złamał się i posadził go na podłogę i oparł o ścianę. Tadeusz usiadł również. Skie mógł jednak mówić, aui napić się wody, gdyż jedna z kul przedkładała mu język. Pomiećwi wydarowało się, że obaj bracie nie są bardzo ciężko ranni, możliwie szybko należało zamieścić ich do szpitala w Kremiencu. Gospożka Hanie pobiegła na folwark po konie. Służba zamknięta w jednej z izb odmówiła jednak pomocy - banalno wy zabraniali ~~im~~ służbie wychodzić i udzielać gospożce jakiegokolwiek pomocy. Sąsiadka Ukrainka kazała tajemniczo zabrać konie, ale i on też nie chciał nigdzie jechać. Wóznos Kupiełowska z pomocą gospoży umieściła rannych na wymoszczonym słomy, kocami i poduszkami wozie i obie ruszyły w drogę. Córeczkę porzasterła pod opiekę Ewy. W drodze do szpitala poniedomnie o wszystkim potterem polski niemieckiej w Kremiencu. Aby dłużej rannych odwieźć jeszcze Ewy do szpitala. Między nie było chirurgów i następny ołmie obaj bracie zmarli.

Zdrucnym bratem siał Jan Kucenka, który też jeszcze tej nocy zjawił się w szpitalu. O toż

furmanka, na której on jedną skierował się do wsi
Tetylkowce. Obok przewrotnego cmentarne furmaka
wstrzymał na chwilę konie, spostrzegł bowiem, że następne
wozy pozostały nieco u tyłu. Lucerna wyemitowała
niebezpiecznego kontrolanta. Szybko zerkał z wozu i uk-
rył się w gęstych zaroślach w śród grobli. Słyszał wy-
strzały i widział jak furmanki z Banolewca
w wielkim pośpiechu porzuciły w kierunku wsi.

Rzeka strząsnął się ze strachu i ruszył w kierunku
Jelnorku. Po drodze wstęp do domu zwanego Uk-
solnica, Stefana magazyniera i oddanego pracow-
nika. Ten jednak wprowadził go przed siebie i
zamknął mu przed nosem drzwi swojej chłopy. Gdy
Kucierka doszedł do drzwi, zastał tam jedynie dwie
ofiary mordku i przeważnie ciocię płaczącą głośno.
Wie Jelnorku kazał zaprzęci konie, ukrył ciała
obojczy Repielewskich, zabrali ciocię z dzieckiem i
ruszył do Kremenia. Po paru dniach odbył się
pogrzeb ofiar bestialskiego napadu na dwór
w Tetylkowcach.

One były to jedyną ofiarę. Jeszcze tej samej
nocy z Banolewca zabrano do lasu pracow-
nika starostwa, pana Stefanowskiego, a jego ciało
odnaleziono bez głowy. Banolewcy zabierali ob-
cięte głowy, traktując je jako zdobycze trofeja.

Tężę nocą z 19 na 20 marca Ukraińcy słupki
szkoty u Altymowcach, gdzie przebywało kilku Niemców,
dwa obstręgujące kobiety Polki i Niemca Polak, ma-
nucydł tej szkoty. Mimo niemieckiej obrony ban-
derowcy podpalił budynek, a wszyscy ludzie pozosta-
jący wewnątrz spłonęli żywcem. Dwa dni później zo-
stał zamordowany szefca majątku Cecyniówka, pan
Jasienkiwicz. Ukraińcy zastrzelili go u momentie ku-
dy próbował wyjść na stół z majątku.

Reakcja Niemców na działalność ugrupowań nac-
jonalistów ukraińskich była z początku raczej słaba.
Ich niewielkie, wajtkowe placówki rozmieszczone i pozos-
tające jeszcze u paru miejscach pow. Krasnemiń-
skiego nie stanowiły większej siły. Między się ~~zawzię~~
u maszynijszych, murawnych budynkach, u których
okna zostały mocno okratowane, a słoty do
nich prowadziły po bełdowane obok patzini betono-
we bunkry. Coś się ich posesji były z reguły wy-
skone wysokim murem oraz najbliższu teren
opatnony kilkakrotnie dnem kalosnym roz-
ciągającym na rozstawionych walcu bełdysku kry-
żekach. W tych przygotowanych „fortecach” czuli się
bezpieczni, ale już u tych okresach niechcieli nosa
swoego wychylić poza one fortyfikacje.

Wszakże nie dawali jeszcze za wygraną i chociaż

me wschodnie grunt palił się im już pod nogami
ze wszelkie naruszenie ich panowania, zaczęło
sobie czego pleść. Ich beznamitny stru-
nek do coraz to jeszcze nie nacjonalizmu rekrea-
cyjnego zmienił się de facto wtedy, kiedy od
tej nowej siły zaczęło poczuć się zagrożeni
wtedy też pokazano swoje jasuśtowskie porony
i swoje sposoby wypróżnianych strudkowych oddechów.

Tak stało się 29 kwietnia 1943 roku postę-
pów w Małotowie i w mieście Białobok.

Dzieło się to już w okresie najmniejszego osi-
nania UPA.

Ścisnęło wówczas z kresami i w końcu Niemiec
i ich namiętność straszliwej przyjaźni z niemi-
kolej i Małotowie ludności polskiej i ukra-
ińskiej.

O dokonanej ten obropnej masakrze i spo-
mianę naszymi i dzieł.

... " O epok. I o czas wojny Niemiec straszą
coś nies i zaczęło się straszenie

Partyzantów ukraińskich - bo taka tam była -
ostre słowa się przez 7 go straszą. Ale kiedy
zabito armii Ukrainy zaczęło być
się po domach

¹ Sytuacja ta nieośmielona sobie wersja.

Wtedy Niemcy ruszyli do ataku. Wszystko po
drodze paliли, a ludzi rozstrzelali, lub żywcem
do jezera wrzucali. Ja z bratem i z rodzicami -
wspomina dalej świadek W. W. - w czasie tej strasza-
wnej rzezi byliśmy w domu. W kuchni było tylko
ogień, a nie wiedzieliśmy jeszcze, co to się dzieje.
Wszystko weszły przed dom. Wtedy obok nas
zjawili się dwóch Niemców z rewolwerami w rękach.
Zapytaliśmy ich błęźnie o tożsamość. Mówili, że je-
stemy Polakami i nic nam już nie zrobią.

- A dlaczego nie donosiliście nam, że to jest par-
tyzantka? - odpowiedział Niemiec leżącemu przy drzwiach.
Potem wyszedł z rewolwerem do sypialni i znowu potem
do brata Stanisława. Ojciec ~~był~~ był z nimi w sypialni,
a brat był jeszcze dwie godziny, ale był nieprzytomny.
Ja z Mamą stałyśmy o parę kroków dalej.
Gdy przy drzwiach nastąpiła rzeź, ojciec wbiegł
z krzykiem do kuchni, ale
oburzył momentalnie chwytał mnie ze ręką i od-
prowadził z taką siłą, że poleciałam parę metrów
i aż się przewróciłam. Chwilę później jeszcze
ciężko rannego brata Stanisława. Podniosłam się
i podszłam do niego. Ale wtedy ktoś moją
płoczną znowu ścisnęła kula. To jeden z tych
Niemców strzelał do mnie. Ale mnie z Mamą

pozostalyjmy przy życiu.

Widząc pomorodzonych moich najbliższych i nieco dalej popalone ciała moich sąsiadów - zjed-
nej strony 4 osoby, a z drugiej 1 osoba - byłem skro-
pnie oszołomiona. Nie wtedy do mnie nie docierało,
dawał zobowiązanym, że z piwnicy naszego domu wy-
rzuci czterech partyzantów (ukr. E B) nawet mi wiem,
kiedy oni tam się ukryli. Przedtem ich tam nie
było. Może wtedy, kiedy Niemcy rozprawił się z nami?
Czy to była ukraińska policja, która poszła do UPA,
- mi wiem? Ci co się przed Niemcami ostrzelali,
byli po cywilnemu.

Porę godzin po tej "tragedii", ci co się jeszcze jakoś
montowali, zaczęli znowu uciekać. Niemcy jeszcze raz
poruszyli i dobiegli tych, co jeszcze przy życiu pozos-
tali. Nie chcieli pozostawić ani jednego śladka tej
strasznej pacyfikacji.

Obie z Mamą zdążyłyśmy nieco u pole. Polem
- od pozostałych jakimś cudem niedobitków - do-
miedzieliśmy się, że na jednym polodwórku Niemcy
spędziły kilkanaście godzin i strzelali do nich
z karabinu maszynowego. Był tam straszny
głask, bo nie wszypcy od razu zginęli. Kiedy Niemcy
odeszli, z tej kupy trupów wstała jedna para
mezmińskim Popterska, bo u nich skurset nie
zginęli.

Ona sta mým uiektá s nam to pözniej spowiedale.

Znowu w domnym miejsu Niemcy sprowadli do kuchni około 30 osób, obłali ich benzyną i podpálili.

Byto to prawdziwe piekło! To co się tam obicło, bylo nie do pomyslenia! Rozmalowane i obryzkiete trupy ludki lezaly w Mlotkowie przez kilka dni. Nie bylo nawet komu ich pochowac. Ale są to opowiadania "na gorzco" tych uiektymow, którzy jakimś cudem z tej masakry uratowali się.

Kiedy się nieco uspokoiło (po paru dniach), Polacy z Białobrzek przyjechali tam z drabimieściami i wozami, zabrali ciała swoich bliskich i znajomych i przywieźli na cmentarz w Białobrzec.

Te ludki zginszo tam naprawdy - do porzeczki dalej H. H. - Amokno dosi do kłednie stmirowali. Różnie się ludki ratowali. Zalicz kto się z jakimś miejsu zniejdzwał i w jaki sposób ukrywał się przed niemieckim sprawcaim. Każdy smorej to wliczył, smorej przeżywał swoją tragedię i dlatego każdy może to smorej opisać.

Mówi się, że tego dnia zginszo tam ponad 300 osób. Wszystko jest możliwe...¹

¹ Pomijenne, redueckie indolte podaje liczy 677 osób. To wojnie ku mererim pamiat pomordowanych ten potierimo pomnik z lekim napisem: "Strasna okcie elakomene przez hitlerowcu 29 kwietnia 1943r.

(c.d.H.K) „Zanim po spaleniu Mlotkowskiej obce z Ma-
mą uciekliśmy za „kordon“ tj. za granicę pol. ros.
do 39 r. Tamci mieszkańcy - choć to też byli Ukra-
ińcy - bardzo chętnie i życzliwie nas przyjęli.

Potem powróciliśmy jednak na nasze polskie
tereny i dostrzyżymy do Płytki (gm. Białostocka)
Ale Ukraińcy zaczęli już i tu napadać na pol-
skie włości i mordować je. Pewnej nocy na-
padli na nas. Jeden z napastników uderzył
mnie rewolwerem w plecy, pomiędzy łopatkami, a
tak silnie, że nie mogłem wcale oddychać.

Ale dzięki Bogu pozostawił nas przy życiu,
choć się strasznie poblił. Przez dwa tygodnie mie-
tam sobie poluzki. Potem nocowałyśmy w wyko-
panych i zamaskowanych ziemiankach, albo na
polach. Po tym uszytkim Améródziłymy, że
co uciekliśmy do straconie, to już straciliśmy i
puściliśmy się w świat. Najpierw zamierzaliśmy
do Złazozie, gdzie wtedy mieliśmy sebraty
już więcej ukraińców, takich jak my Polaków

¹ c.d) w Mlotkowskiej sebraty Lanomichęgo - sebrata
677 uienimnych mieszkaniów na wszystkie czasy
wstąpiło się wieś do jednego bolesnego szeregu
serem z Białostocką Chatynią i wstąpiłimi Karteliszami”.

Stamtąd w kilka godzin pod komwojem odtrans-
portowano nas do Tarnopola, skąd Niemcy chcieli
nas wysyłać do jakiegoś obozu. O tym po-
tajemnie poinformowano nas przez Polaka Komitet
Opiekunów - tam wówczas znajdujący - str. RGO i
kiedy z Polakami satował się jak mój. Niektóry
wreszcie pociąg uciekli, a niektórzy już potem ucie-
kali z transportu kolejowego.

P.S. Bardzo proszę nie wymieniać w książce
moją nazwiska, albo podać imię, bo do dziś
jeszcze się boję jakiegokolwiek zemsty. Nie dźwigi
już o mnie, ale o moją rodzinę - koniec swego
dramatycznego epizodu świadek tych zdarzeń. —

BT i tak - jak się już niekto - „Idęca z kosa
epoimie śmierci zbierate, obhite tręjune źmro”...
A w tym czasie miały miejsce śmierci i takie zda-
nienia, co do których do dziś trudno orzec,
kto mój był ich sprawcą.

... „ W 1942 roku, obwołane z wojennej cerkwi pra-
woterny, kierowany na Ukrainie przez metropolitę
Aleksieja Gromackiego, powstała w Lucku, pod
pleszczykiem nadz okupacyjnych Ukrainie cer-
kiew autokefalska, która kierował metro-
polita Polikarp Sikorski (! E.B.).

Cerkwie te nie były do siebie nastawione wrogo, ale też specjalnie nie kochały się i funkcjonowały równocześnie. Metropolita Aleksiej uważał się za podległego patriarchatowi moskiewskiemu, a Polikarp metropolii berlińskiej. 7 maja 1943 r. szik komisarz Koch wezwał do siebie obu metropolitów do Równego, jakoby z celu osiągnięcia między nimi zgody i porozumienia. To wezwanie zostało wysłane przez gebitzkomisarza Müllera. On wysłał po Aleksieja swój samochód z wynajętym szoferem Aleksandrem Michusowiczem.

Koło wyjechał z Kremienicy - a mianowicie: Metropolita Aleksiej ^{Konsultora - protopiercy Fiodor z Jurkiewicz} i sekretarz ^{Metropoli} metropolity Mark Zycharew oraz szofer. Na trzech kilometrach za Smygą samochód został ostrelany. Mark siedzący obok szofera został zabity jedną kulą, która przeszła przez prawe ramię i wyszła przez serce z lewej strony. To słowo jest, że strzelono z góry, z prawej strony - prawdopodobnie z brzoza. Metropolita był zabity kilkoma strzałami, a następnie zadano mu osiem ran kutych nożem. Protodjerej - ojciec Fiodor, był także ^{można} postrzelony i zabity. Ale najbardziej ze wszystkich mężczyźni

szofera. On prawdopodobnie próbował bronić się pistoletem i został dostojnie zamierzony.

Wszystkich zabitych sepalowano. To brano im cenę meczy, zdjęto obuwie i zegarki.

O powyższych zdarzeniach było kilka wersji, a mianowicie: 1) Niemcy nie chcieli mieć za plecami promoskiewskiej, a zatem z natury wrogiej cerkwi, sami wszystko zorganizowali.

2) Metropolita Polikarp dziętał poprzez organizację kancelaryjną ze zgodą władz okupacyjnych.

3) Zabójstwo nikogo zupełnie przypuszczalnie zostało dokonane przez partyzantów somnickich.

Niektórzy sądzą, że najbardziej wiarygodną wydaje się być wersja obywatela, gdyż zgodnie z wersją słuchaną - podaniem ustnym - u jednego z najbliższych i największych zwolenników Polikarpa w Kramieniu widzieliśmy odobraną metropolicie Aleksiejowi: Krzyż i papagajki (i kawałek na tenisowcu) z kości słoniowej, ze złotem i brylantem.

Polikarp i jego przyjęcieli Anarcho podtrzymywali wersję Anecja, pragnąc odwrócić od siebie poszlaki. Niemcy faktycznie nie prowadzili dochodzenia. Władze somnickie odwrócić nic nie umiały - bądź nie chciały - bądź nie mogły.

Pisarz i publicysta A. P. Bielajew (...)

u swych dochozeniach sklamia sie do wersji pierwszej, ale nie odrzuca wersji drugiej¹...

On i tak, jak widziemy z powyższej relacji - nie-
rygodnej osoby - wiele faktów z lat II. wojny światowej
pozostanie nie wyjaśnione do końca. Nawet
tam gdzie istnieją świadkowie zdarzenia, b. często
dochodzi do powstania różnych wersji. W moich
poszukiwaniach, dociekaniach i rozważeniach
pozostają często niezadowolony, jest mi nawet przy-
kro, kiedy otrzymuje i inne kawy ofiar, inne
nazwiska i odmiernie opisy. Co wtedy zrobić?

Ono co - przy zachowaniu pierwszej chronologii
przytępij tym razem do moich osobistych wpo-
mnień. A więc Biełokrynica - grudzień 1942 -
- wiosna 1943. A z całym co, moim zamysłem zej-
rzalem do Encyklopedii Powszech. S. Orjelbrenda:
... „Biełokrynica pow. Kremeńskie posiada zamek książ-
- igit Iwanowski, odnowiony staraniem przez baru-
- kowskiego. Ute dyktar - syn Tygwanita II. Solge
na wojnę przedw Rosji bawit tu”...

Biełokrynica, to odniósł po odzyskaniu
niepodległości Skota Kolusza i Leine prępa
tergia do starożytnego Dzeqm Kremeńskieho.

¹ z relacji pisanej przez podobnego brata siofura
Moskie Tycharene, prethumennowej z jęz. ruskiego
(4 1941 r. F.B)

Bielokrynica - to 12 Pułk Arturów Podolskich?
 Tu w latach 1932-33 sformował się 4. Samo-
 dzielnej Kwaternej Brygady Kawalerii, składający się
 z trzech pułków, w tym z 12. Pułku Art. Podolskich.

Dowódcą Brygady był Lt. Amalers. Pamiętam
 go metrycznie licem z owych lat i z wzrusze-
 niem jeszcze dziś go wspominałem: „Przyjechał
 z Bielokrynicy bywać razem ze swoją córką no-
 szącą długie włosy. Swoje włosy zaszczycał białe,
 które odbywały się w salach gimnastyki Kominternu.”

W latach wojny w dawnych kaszarach i stajniach
 zorganizowano ośrodek pracy przymusowej „Staat-
 liche Landgestüt Bielokrynica”. Dawne
 mieszkanie w budynku kaszarowym, które nieg-
 dyś zajmował Lt. Amalers z rodziną, jest
 komendantem tego obozu Mittler-Niehmiec,

89
34
Kwaterunki w tych koszarach kompania niemieckich Feldsher oraz kompanie niemieckich sanitariuszy. Wśród olbrzymich stajniach mieszkała się ludność 120 tysięcy i kowal tabornych w lutym 1943 r. umieszczono tu dwie stodoły masy, żwanych koników Tarpanów, które się przetrzymały z Polami.

Jak już wspomnieliśmy na koniec poprzedniego rozdziału pod koniec grudnia 1942 roku zna-

1) 12 Pułk Uł. Półk. stał u Białokrynicy od 1921 r. do 1939 r. Obok koszar biegała główna szosa z Łódź - mowa przez Kremieniec - Dubno - Luch do Kowle. Dowódcami Pułku (podaje się wszystkie od początku) byli: płk. H. Kumczan 1918, pułk. J. Tokarski 1919-1920, płk. A. Sauszender 1920, płk. P. Komorowski (gen. Bior) 1920, pułk. M. Kojewski 1920-24, pułk. Z. Redulski 1924-29, ppłk. R. Rupp 1929-34, pułk. dypl. B. Rehowski 1931-36, ppłk. Andriej Kucak 1936-39, przydzielony z 9 Pułku Uł. Metywalskich, jest na liście ofiar Katyńskich - ppłk. dypl. L. Bittner 1943-44, ppłk. A. Bielski 1944, ppłk. L. Fyodorowski - (informacje przekazane z Kolu 12. Pułk. Pol. z Anglii) EB.

każdem się w tym obozie.

Pracowało tam wtedy ok. 40 dźtopców, którzy
na ogół pochodzili z ekologicznych wiosek i w ten
sposób chcieli się przed wyrzkiem na roboty do
ciężkiej pracy parę lekkich jak ja, których wy-
cisnęli - na id siebie - zięćcie.

Każdy z nas miał do codziennej przejażdżki,
do obrobienia po trzy egzemplary. Najwięcej wiodło
dźtopców - Polaków i Ukraińców - był nawet dobry.
W zdrowiu utrzymywali nas nasza młodość, a
surowe, kowbojskie życie było dla nas słabym
zaprzeczeniem wczesnych środowisk.

Jeszcze więcej namyślałem się nam ciepło, do-
mowe pielenie - i mielone, smażone kartki - to
precieź każdy z nas wie, że jest wojna, a
wojna, to nie żarty!

Tak więc, jak wszyscy dźtopcy, o godz. 6
rano, na głośny gongu zrywaliśmy się z legowiska,
świeżym powietrzem wazy słońca, i przelaliśmy do
stejfuć cypisów ponownie na obowiązkach.

Jedzenie z wojkowego - obozowego - kochać zaw-
sze nam smakowało, ponieważ mieliśmy wtedy
apetyty i zawsze było go nam za mało. Altdale
organizujemy przy codziennej suchości pracy do -
przeżyły się wszelkich porcji.

Rano otrzymywaliśmy ciasteczka chleba, kawa oraz plasterki margaryny i marmolady. Obiad to talerz gęstej zupy na kościuśkach, a czasem ziemniaki lub kasza i sos. Na ~~masło~~^{kolację} była już tylko sama czarna kawa. Szczególnie nie było tam w tym zakresie ścisłego dyscypliny, to i miodu i miódle dziurawcy, ale barokij z tyto-
miatyek chłopać (jeśli tylko mogły) sterały się pozostawić coś i kotle z obiedu, choć ich obowiązkiem było resztki jedzenia ~~z obiedu~~ zabrać do łazienek na pokarm dla świni.

Z tego samego kotła pobierali jedzenie zast-
rudnieni tam jako grupowi, czyli pracownicy
magazynu, byli podoficerowie 12 pułku ułanów
Długo ich nazwiska: Wachmistrz Dolka, ułan mistrz
Rozmarinek, Brozowski, Wąsowski, Kapłanek oraz
Woźniak i Żak. Wszyscy oni należeli wówczas
do polskiej organizacji podziemnej. Dowódcą
płocówki AK w Białobrzyszach był były chorąży 12
pułku Władysław Janowski.

Kierownikiem naszego miejsca pracy był Po-
lak Nowak, ale mieszkał: „wprost były wach-
mistrz 12 pułku, ale faktycznie, a niegdyś zabrał”
Od rana do wieczora biegł ze sprzątkami po te-
renie całego obozu, ciągnąc na wszystkich wresz-
cie, był „cholernie” strażnik i wszyscy się go bali.

Do pierwszego czasu i się go bałem. Ale zdany to
się, że zachorowałem; lekarz obozowy przepisał mi
zrobienie mi 3 dni, a zwrócił na niedomaganie
serca napisał mi zaświadczenie o mojej niezdol-
ności do ciężkiej pracy. Kiedy po trzech dniach
choroby zjawiałem się znowu na stajni, bałem się
„starego”. A „stary” wściekł się i wneszedł na
mnie, a zaświadczenie podał. Stałem przed
nim smutny, ze spuszczonego splotu, nie nie
mówiłem i chyba ^{u koby} rozplakałem się.

I co się wtedy w tym oboziku stało. Karol
mi usiąść na desce obok stajni i opowiedzieć
mi swoje losy. Po południu karol mi przy-
mizic' jurę obraca do swego domu na spać.

Był wtedy w domu i podczas spożywania obić.
On spożywał me mnie przez kuchenne okno.

Kiedy już znowem obierno i miałem już od-
jechać z podwórka, przez swoją boks - moja sowa
światka - podał mi ciastka chleba. Aśmizch-
myte się też do mnie jego boks i larynie i
je się do niej uśmiechnętem. A „starego” już
się od tego czasu mi bałem. Pomysłatem
też sobie, że wikt mi jst do końca zły. Zresztą
mistrz pnego dnia „stary” przewidł mnie do trzej-
szej pracy, do tabordu ze furmanki. I już wtedy
me mnie mi krywał...

Zawsze miałem na uwadze słowa „starego”:
„Ty odżykuj Bogu, iż jesteś tutaj, bo mógłś być
„tam”, gdzie naprawdę jest źle..!”

Al! szedł marnie 1943 roku. Widome były
ciepło i ładna. Wszakie nadchodzący czas nie
dobrego nie widać. Żyłbymy tam w cięższej nie-
pewności jutra. Zdecydaliśmy sobie pytanie:-
jak potoczą się wojna? - co będzie dalej się ok-
lej? - czego oczekiwać? - co poczci?

Gdzieś pod koniec marca z naszego obozu
wyjechało dwóch ukraińskich chłopaków do poblis-
kiego lasu po drewno na opał. Pojechali we
dwa wozu, które ciągnęły parolnie, ale silne
mieścickie, tabacowe konie. Pojechali samo-
wózami późnym wieczorem. Ale już bez koni i
bez wozu...

W lesie - na 10 km od obozu - chłopacy zostali
za trzy mały przez konolewców. Szczęśliwie byli
to chłopacy Ukraińcy. Spodziewano im konie i
wozy, a potem kazano im medyci się po
ukraińsku i uczyć nie robić znak krzyża
na sposób przewrotny. Umiejętności ta
niezbyt głębie usatysfakcjonowani. Wierzącym
pyszczono ich i pieszko powrócili do obozu.

W obozie w Białokrynicy nie mieli żadnych
sie, raczej bezpieczeń. Niemieckie straż obozowa
była mała, ale w przyległych lasach stała
kompania niemieckiego rajtków i kompanie
nadzorczych strażników niemieckich.

Pierwszą ochroną dla ^{polaków} w Białokrynicy
stanowiła placówka Armii Krajowej. Pod-
dany broni ukrywane w obozie w podwór-
nym strychu nad stajnią.

Ale w końcu Białokrynicy rozgrywały się
tragedie. Kierownik i nocant widzi było
portenajce się co noc tymi porządki. Bar-
dziej i buldowcy przebywający w okolicz-
nych lasach wciąż dawał sobie znać.
Zdaniem porządku przetrwały polskie worki, osie-
lla i futury.

Wprawdzie nie było na razie żadnego za-
stępowania majster, w którym pracowało. Ale
obawiając się napadu, gdyż słyszeliśmy, że
niektórzy mogli być doborowi opierający się doborowi.

I tak minęły kolejne tygodnie. Koniec
się kłócił 1943 roku. Do dziś zastanawiam
się, kto wtedy obmyślił plan mojej ucieczki
z obozu i kto był tego instygatorem?

Informacja by dostatecznie nieprzewidywalna - byłem
zakochany -

miałem podjąć szarepólną i niebezpieczną decyzję,
i поблизу міста wielu Polaków. Część z nich
przeconvale i mejetku solnym, se cejt i stekudnie
koni, Landgestüt Bielohryba". Badajcie Bro-
zowski przyszedł do mnie z tą propozycją i ^{przetłum} infor-
macją o planie ucieki.

Plan był prosty. W ustalonym dniu nale-
żało niepostrzeżenie wymknąć się z obozu i
przed miarąm dojechać do Rybicy. W tej roli za-
miejszkatej wytopanie przez Polaków miał nie
mnie określić Karbort Potłowski mieszka-
niec Bielohryba. Następnego dnia jego oba-
letnie tym nocem miałem powrócić do Bie-
łohryba.

Decyzję ucieki przyjętem bez większego zasto-
nowania się; nie zdawałem sobie w pełni sprawy,
co by mnie czekało, gdybym po drodze upadł
i trafił przypadkiem na potężnym konwoju.
Kie mowic już o niezwykłości ukraińskiego
paciera, obwinie kiejko postępowaniem się ² ukraińskim
ukraińskim. Kie wiele lepiej wyszedłbym też,
gdybym natknął się na Niemców. Tak i
tak byłoby ze mną marnie...

W dniu ucieki - tak jak codziennie - przywrótem
z Kremenicy robotników dojeżdżających do pracy
i obozie.

Po tem zjedłem śniadanie, przygotowane swoje
manatki, po abrydzstem konie i tak zeszedł mi
do obiadu. W taboarach mi bytem zby i kon-
trolowanuy, przez miatem ustalona i sam jej
depluowatam. Nicieki zaplanowatam między
godziną 13 a 15. O tej porze na ojeń wszycej
jedli obiad, a ja wrosie byh dwoch godem
pomniemem doje do Kremienca.

Na obiad już mi poszedłem. Obietem
szybciej i niepostrezenie wymknąc się z oboru.
Na drogę ubratem się w kurtkę na bawelnu
kozuchu, którą skoda mi było porzucić.
Dzień był zresztą pochmurny - co mi bardziej
sprzyjało, a pod koniec kwietnia było jeszcze
dość słodkawa. Wziąłem pod pachę swoje za-
wieszanko i mi zwracając niowziej uwagi skier-
owatam się do bramy. Średtem wolno, spokoj-
nie - at tak, jak bym okradł się gdzieś przejść -
i mi by z obojętnością, ale bacnie rozplędotem
się na wszystkie strony. Obietem się, aby ktoś
niespodziewanie mi pokrzywał moich planów.

Strażnik przy bramie zwał mnie z codziennych
wyjazdów - rano do Kremienca, a po po-
łudniu do majątku po mleko. I chociaż
urząd był dotąd poza ustalonym harmonogramem

mem zejść mi wychodźcą z obozu, to jednak i tym razem, tak jak zwykle, o nic mi nie pytając przepuścił mnie przez Jurtkę.

Po wyjściu poza teren obozu poczułem pewien lek. Bałem się, aby na drodze do Kremienśca nie spotkać się z kimś okowatym. Poszedłem ścieżką bieżącą nad rowem wykopanym wzdłuż lewego pobocza szosy. Teraz jednak ujrzałem grupowego Żaka, i dlatego z niepewnością, a zmienną do obozu na obiad. ^{Jeśli nie uświadczymy się być} Był to dobry człowiek i dobry Polak. Ostatnią rzeczą, na jego serdeczne zaproszenie, spędziłem u jego ubogim domku, u towarzyszy jego rodziny. Dziś zastanawiam się, dlaczego zadał mi wtedy takie pytanie:

- Co Edmund - wiekasz?

- Tak - odpowiedziałem z cicha, wymuszającę proszę tylko nikomu nie mówić.

Skosztuj mi przyjęcie ręką i nękli - Bynajmniej. Szedłem szybko, drogę zmatem dobrze, obawiając się jednak ewentualnej pogoni. Naszycie wybrałem dobrą porę - pierwsze obiedowe sprzyjała mi.

Po obu stronach drogi przynajmniej już słabnie podroście. Szeroką zieloną i żółtą pokrytą rozległe pola. Do Kremienśca doszedłem szóstym. Potem,

omija jego centrum, skierowane się najkrótszą drogą
w kierunku wyjazdu na Katerburg i Książmówkę.

Po lewej stronie ulicy widno, tem jesze stylowy
gmach Liceum Kniezięmieckiego, w którym w tym
czasie mieścił się ośrodek rekreacji i odpoczynku
dla żołnierzy niemieckich, skierowanych tu z frontu
walc na wschódzie.

Zanim ze miastem, na wstępie drogi, skiero-
waniem się na prawo, na szeroki jęmpolski trakt,
po obu stronach obramowany rowami.

Wskazał Kowalski w „Dziejach Młotowa” (w. m. 1984)
pisze: „Młotów leży na dawnym trakcie lubelsko-
krowosko-walyszkim. Był to droga gruntowa, a
jako trakt portowy dobrze utrzymana. Przechodził
się po niej wojska w czasie wojen i w powstaniach.

Przejeżdżał również tym traktem wędrujący się
z Warszawy w podolskie i walyszkie. Był to też wtedy
wiodł szlak króla Jana Sobieskiego oraz bisku-
pa Ignacego Krasickiego prowadzący do ich dóbr
na Rusi”...

W 1781 r. król Szwecji August po zwycięstwie
w Białymoku zmienił wtedy na nocleg do Białoboku.
A nieco później, w 1791 roku zdołał z wojskiem
skoczyć spod Kaczkowa, Tadysz Kosciuszko i w blisko-
ści Szepietówka zbrojnie przed Rosjemanami stanął.¹

¹ J. J. Krasowski - wspomnienie z Walysze L. S. W. Warszawa 1985

Jeżeli w czasie powstania historycznego ze swym
starym oddziałem ciszejem gen. Józef Dreswicki i
ostatni szedł do mojej rodzinnej Białobrzki.¹
Potem trakt ten sybirski nazwano, jako że
gdzie były kibitki z tymi, co nie chcieli się
niegdy pogodzić z utratą tych ziem.

Szedłem i je tym historycznym już Anketem z
obuszą na ramieniu i małym tobołkiem pod pachą.
Ale nie wyobrazić mi były wtedy te historyczne roz-
ważanie (nie było to wtedy dla mnie istotne, że
nie zdamatem sobie z tego sprawy).

Początek mojej rozprawy nie miała się rozległa od-
cina. Jakże niegdy tylko wyrosły się nie-
młkie wznieśnienia i szerokie dolinki. Tu roz-
począł się przewidywany, solusay kątów.

Chyba to popatrzyłem. Pod niebem niebo tra-
dę przejeżdżało się. Szerokie chmury przewiesi-
ły się i od czasu do czasu przebywały białe,
chylące się już ku zachodowi słońca.

Uśredłem już kawał drogi i byłem już bli-
ski celu, kiedy w pierwszej chwili usłyszałem ze
sobą odgłos bryczki, toczący się po wykostanej
drodze. Mimo to obejrzałem się i widać mi
urozły. Bryczka zbliżała się szybko. Już zdoła
zauważyłem, że się zbliża i niej umiarkowanie

¹ Historie wojskowej L. Radojczuk MOW.

Niemaż i jacy cyntle. Oparmyt mnie lek.
Zachowatem jednak spokój, nawet specjalnie zwol-
nitem kroku, coś poprosiwtem sobie koto bacie,
i tak jakby od niechcenié, ale z ciekawoscié
o takie - co tu nec - i ztrawoz, co chutka ogydotem
sié do tytu. Po obu stronach drogy jacy lu-
skie sadzili kartofle. To mnie trochy utowato -
moqtem byé stpd.

Bryczka z Niemiowus zrómonowate sié jué ze
mny. Na szaszicé brakt u tytu miéjru byt lewoko
szeroki. Dlugé rowem bytem oddolony od nich
o jakies 25 metru. Zamrzytem, ze Niemaż
przygledalsi mi sié zbyit dlym zednterowaniem.
Kawez Bryczka grolformie zetymnata sié, Niemaż
przygledalsi mi sié umaznie i zsiédegynti obok cy-
ntleant o czymś tyro dyskutoweli.

O miéjru mié moqto byé mory. - Tyllko spokój
moze mnie uratowei - pompylotem. I nie zresity
tamogo mié nie pozosteto. Wyc jakgdzby usy-
oly nie sredtem sabie nadal porolnym brakiem
i tez - zdanatoby sié - spakafnie na nich spegledatem.
- Kto kogo przychytny? - zastemowistem sié.

I jak na zowatemé - ku mojej radosci - Bryczka
ruszyta i szybko potowpita sié pod gbrkz. A
jedgy mié cyntle jiszce puz sery obejneli

sie ze mną. Ale co w tym było, - nigdy bym tego nie odgadł! Jednak nieco już ochłoniłem i spokojnie spożyłem ze sobą i szybko bryka. Znowu też sknyte się ze pierwszą górką.

Dochodziłem do Rybicy. Po prawej stronie drogi, znowu nie skrącając, nie porośniętej już zieloną murawą, wysokiej skarpie leżało kilku chłopaków.

- Edmund - chodź no tu! zawołał któryś z niemieckich. - Co tak patysz - nie poznajesz nas? - Przecież to my z Anonim bratem Zbyskiem dojeżdżaliśmy w Białostróżce do jednej klasy!

- Siedzą! - Miałeś szczęście, że to właśnie my jeżdżaliśmy z tyłu Niemcami! Rozpoznałszy cię, więc Niemcom pomógłśmy, i jechał z naszej wot i dlatego cię nie zatrzymali. Tytko po co ci ten kociąg, przecież to już własna, a ty wyjeżdżasz jakbyś wrócił z Syberii!...

- No, coś tak zamieniał? - Siedzą i mów co cię nieśie do naszej wot!

Tym niespodziewanym spotkaniem byłem niezmiernie zaskoczony. Gdyby mi oni - lepiej nie myśleć, co by się stało! Ale widzi Bóg cwał nadle mną!

Byłem zmuszony. Chętnie obok nich przysiedłem. Opowiedział mi, co tu się dzieje i co on tu robi.

Rybica - stara polska wieś - od dawna dawna

zamieszkaone przez zaradkiewiczów tam Polaków - zorganizowane samoobronę i już parę razy odstraszyło ukraińskich napastników. Nawet Niemcy dali im broń do obrony przed banderowcami. I z tym właśnie wziętą się ich wspólna jechała z Kremieniec!

Kiedy trochę odpoczętem i ostrygłem zwrócić, pokazali mi gdzie mieszka gospodarz, u którego zatrzymał się Poczchorowski.

- Chodzi - odprowadz cię - pomiędzy jeźdźcami - paków - to koniec drogi, pojedziemy. Był niekiedy, co mnie sprowadziło do ich wsi. W tym czasie już nikt samopuształ z Kremienia do Rybicy nie odważałby się się.

Na odchodnym powiedział mi ołtarz i rekt:

- Stech jęstem - Stech sekula. Ale dźwicz ci się, że ten mieścis od nas - i tak ci wybrać się do Białozorki! - donuciał jeszcze za mną. Kiedy mnie przypuszczalem, że o mały pół wieku później wypadnie mi się nam jeszcze raz ze Stechem spotkać. Trudno było przewidzieć, jak potoczą się nasze losy...

Poczchorowski i gospodarz czekał na mnie na podwórku. Teraz dał mi coś zjeść, a potem zaprowadził do stodoły na nocleg. Był tam bardzo niespokojny. Ze stodoły - pomiędzy okłami - widać było strąca pole i jakiś lasik ^{potoczny} na hory-

zonie. W nowy stemtgod mogeti pnyjsi konowency. Gospodar pokoroł mi, że wjednym miejscu dierka byta specyjalnie obkrowone. Bez troski moimna byto ją wyżyć i w razie czego umyć w pole. Balem się, ale co mi tam robić? Zagnębatem się w łonę i sam mi wiem kiedy usnętem...

W naszym rankiem coś przegryzłimny, gospodar dał mi jakiś przylup wapka, którą po chłopsku wosmymtem sjękoko na głowę, usadobtem się w tyle obrabimiestego wron, i przignawszy się, obaj z Polchoworkim wysuszylibymy do Bietordbr. Umamimny się, że w drodze będziemy romantoi tylko po ukrańdsku. Ale prawie wcale nie romantolimny - chyba tylko modlitwimny się, aby szczytnie dojechać.

Latome są zarte ludkie łony. Jakiś mi uolem - chyba tylko z boskiej pomocy - udało mi się przeżyć te ciężkie, wojenne lata na Wolyń. Ale ołla Warberte Porchoworkiego los okazał się ^{naprawdę} okrutny. Niepełne trzy miesiące później, on i prawie cała jego rodzina zostali zamordowani przez bietordbrskich upowobw. ¹⁾

Wszakże w tej sprawie apomiesć zatrzymamny się na razie w Rybau, a do Bietordbr powrodbymny jészce w ostiatnym rozdziale. Ania i bym dsi leż miedzi i kogo że wtedy w Rybau mowobtem. ^(poroztata do dsi w mójij pamięci...)

1) Zechowet się protokół spławny w inspektoracie AK w Złoczowiu z dn. 15. VIII. 1943 r. dalywicyj skamety radny Porchoworki

NIEDOKONCZONY PAMIĘTNIK ¹⁾

² W pięknym, słonecznym dniu, w końcu czerwca 1943 r. widziałem moją chorą siostrę ze wsi Boszkowce, do rodzinnego domu w Rybicy. Jechaliśmy polną, dość wyboistą drogą, pomiędzy dojrzałymi już łanami zbóż.

Zbliżało się południe. Słońce stało wysoko i mocno przygrzewało. Jechaliśmy wolno, kamie szły noga za nogą. Miejscami wsi podskakiwała na nierównościach i głośno skrypiła. Chora siostra podskakiwała i od czasu do czasu prosiła o wodę. W podróży towarzyszył nam kuzyn szwagra, masywista kolejarz ze Zdobychowa.

Równi zbliżaliśmy się do głównego traktu. Tu z niepokojem ująłem, że droga z Kremienicy do Szumsk, nie całej niemal długości, w wielkim pośpiechu i zgiełku podzieliły sowieckie wojska.

Byłem bardzo zdziwiony i zaskoczony tym gwałtownym i niespodziewanym wyszykowaniem się Czerwonej Armii.

¹⁾ Rozdział ten opracowano głównie na podstawie pamiętnkowe świadectwa Sekuty i przekazano w formie jego wspomnień.

Nie było bowiem słychać żadnych odgłosów walki. Znalazłem się też w niemałym kłopotcie. Zdaniem chciałem zarekwizować moją furmankę. Na szczęście chora siostra jakas się ubiegła i pozostawili nas w spokoju.

Z wielkim trudem przebrnąłbym pomiędzy potokiem zmiernajęcych na wschód różnorodnych pojazdów. Wśród wyzwick kierownic i furmanków z ledwością przemieszczały się samochody ciężarowe i tabory konne. Miejsca zaś strony się zatoczy. Jechał śmiej pohorem drogi. Przed nami i za nami słońce umycało słońcu Zdumienie.

Pod koniec dotarliśmy do Katerburga. Tu było gęściej, widziałem podwórca jermarków. Wspaniałych uliczkach i na małym rynku stłoczyła się cała masa kędzyców i odrobień wojak somerskich.

Zdumienie przikeli się obok dymitrych kuchni polowych.

Rabito się już szaro. Dzień się kończył. Jakiś cudem wydostałem się z pomiędzy tego nawalu pojazdów i ludzkiej ciżby i wreszcie znalazłem się na drodze prowadzącej do mego domu.

Do przebycia pozostało nam jeszcze około trzech km. Na drugim kilometrze, niedaleko Horyuki, udało nam się kilka czołgów. Z wielkim zjedzeniem, ale i niemałym przemieszczeniem strzeżeniem,

że były to już czągi niemieckie. Znak czarnej sroastyki niost ze sobą coś bardzo groźnego. Wtedy też na jampolskim trakcie, na wysokości Katerburga usłyszeliśmy odgłosy walki. Jak się później okazało walka na seacie pomiędzy Ryborg i Katerburgiem trwała dwie doby. Szosami i traktemi lawina wojsk niemieckich parła na wschód.

Ludność Rybory była przerażona. Obawiano się nasilenia walk na tym terenie. Gromadzono się w bezpiecznych miejscach, uważając na wszelkie powiadki ze strony.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, w Rybory zatrzymali się Niemcy. Wszędzie rozlokowali się ich sztab. Przeprowadzili kilku sowieckich żołnierzy. W wielu domach we wsi robili rewizje w poszukiwaniu broni i radiackich żołnierzy. W zagrodzie Jona Sobrowskiego ujęli grupę mężczyzn. Wszyscy oni byli sąsiadami z jednej ulicy. Niemcy z podwórca nich wybrali pięciu, którzy byli w wojaskowych mundurach, w których jeszcze jesienią 1939 r. powrócili z wojny.

Nie pomogły żadne prośby i tłumaczenie, że są mieszkańcami tej wsi. Nie pomogła też Gertruda Gogolowska, która znata sżyk niemiecki.

Jenčov somieckich a tých píšou Polakovi zapro-
vedli do školy. Byť to čas vojny. Vyšlo
ne ušoh bez spolu vyrok smierci.

Wszystkich przesłanych zaprowadzi na
wzgone, pod tem wielki kryz, na którym
widniety jesne wyryte daty: „6-VIII-1914 - 6-VIII-
-1939“. Nie dowiedzi Niemcy wybronom pos-
tawienie tego kryza, wyslych na wtem let
a tej miejskiej przedrojemnej manifestacji
w sierpniu 1939 roku.

„Same rozstrzelanie odbyło się szybko a bez
szkodliw”. Najpierw zostali zabici Rosjanie
na drugi dzień ^{po odjeździe Niemców} znalezione ich pod skarpe,
nieopodal szkoły. ^{i tymi ich podkomernymi} Tęch píšou
Polakovi znalezione martwych koto tego drugiego
kryza. „Widocznie taka byta wola „niebó”.“
Oto ich imiona: Józef Szubrowski, Kacper
Subiecki, Feliks Jakubowski, Józef Jaroszewski
a Marcin Janowicki.

Le nim odszli na „tamto strone”, stęgnli wjed-
nym szeregu, tak jak na ostatniej wrcie
pomyśleto - po zdmierku - widno - i nie beanoć.
I być może do ostatniej chwili nie dowiedzi
sobie sprawy, że tak łatwo a szybko odcho-
dzi się tam, skąd już niema powrotu...

Pochowano ich na dwu dniach, według obyczajów katolickiego z udziałem ks. domniarskiego wyomykowskiego. "Spoczącej razem, w jednej wspólnej mogile."¹

Ale nie wiedzieliśmy jeszcze, że były to dopiero pierwsze ofiary wojny w Rybcy. Byliśmy pod wrażeniem tej tragedii, ziliśmy w smutek i żalobie. Zastanawialiśmy się nad niepełną, dla nas sytuacją. Mielibyśmy poważne powody do rozmyślań - co prymiesz jutro?

Tak jak poprzednio za Sowietów, ponownie pocuwalibyśmy się zagrożeni. W wielu miastach Kurlandii przeprowadzono ładne arystowanie i egzekucje.

Front przesunął się szybko na wschód. Pozostawionym rozbitym wojennym sprzęt przesorał drogę do Katerburga. Cete srosa, pobocza oraz pobliskie pola zarośnięte były zniszczonymi pojazdami, skrynkami z resztkami amunicji oraz wieloma poległymi żołnierzami i strażnikami i różnorodną poręczą przez nich bronią. Mnie się to już spokojnie przejeżdżało, ale pojedknie w drodze nie mieliśmy się u przemyśleń pola walki. Zajęły się tym dotychczasowe wtekie miejscowe.

¹ Istnieje wersja odmienna.

Na druhý den po přejití fronty slyšels Rybovy
zeleat s puehanie zaneckich zdmieny s zrobieuie
ponyalku na dnoke. Pny pado to ptoime
nesuj polskij mtokeicy.

Que bico poletych, dot bron zornoz s pozostanonez amunicyz wncolihny do sah magst.
Cesto - esto w mjejsce pnykroznych lei, pnytych
pnyz armatnie pockty. A tego wojennygo
dobra byto tyk, ie mozno byto by za pchue
nim niemoty oromat. Ktedy jednok ukht
z nos nie pnykolyrot, ie ze dne latic bron to
bydrie elle nos dnozra od ztoe. Na razie wsty-
etko wncolihny do dolo's s zesyrynetihomy zimie.

Ale niehtony, bardziej pnyzorniejsi z nos, zuej
dujpe bron khtkz, cy jakis udomy karabnik
potezht si' noi' s cichacem choyeli ze parudy.
Potem ukryrot j' po szopach, albo w stodolach
za gantem. T jak si' pozniej skozeto - ktedy ly-
tistomy juz' w melkij potnebie - u jednego za-
pobieplwego gospodane w Rybovy, w kocy stodo-
ly, pod sterty stomy znalst si' nawet calkiem
skozoty s sprenny karab'n maszynowy oraz
dne skrymkt z amunicyz. Na nose seozsice
sporo si' tego dobre po stodolach uchometo.

To pnyjsiu fronty palent s miedkemi pnymykali sie jessore
ortobni zaychicri somicy zdmiene. Tredh zutk. hrej zannych
uknyl'somy w nosuj rot. Pnyvlot sie tez jakis lekko
skozoty kon' telosowy.

Kilka dni po przejściu frontu - wspominał
Stech Sekula - pośredem do Katerburga. Chciał-
tem rozjrzeć się i dowiedzieć, co też w tej nowej sy-
tuacji czas nam robić. I chyba nie przypadkiem
spotkałem tam mego szkolnego koleżę, z którym
się dzieliłem kiedyś w jednej ławce. Ale tym ra-
zem, porusmo że dawniej byliśmy kolegami,
jego stosunek do mnie wyraźnie się zmienił.

Był to Pietrić - Ukraińiec - sym dość wiele
młyna. Wskazywało, że był wiele zapasy nowo-
my nowy wstępy. Przekonywał się, że Niemcy dają
tam "Samostijnyj Ukrainy" i teraz oni, sym. Ukraiń-
nicy będą robić, nie nie "proklati Łachy", jak
przed wojną, i że dopiero teraz dobrze im będzie!

Teraz w najbliższą niedzielę w Katerburgu zro-
tano uroczysty miting. Od samego rana zszu-
dłuch wiorek zjeżdżali się Ukraińcy w swoich brudy-
cyjnych, narodzonych ubiorach. Porusmo repety na
stojach mieli duże, okrągłe "papachy" ozdo-
bione bryzkiem. Starszyzna przybyła me ten
zjazd furmankami, na wyszniętych kolorowy-
mi kilimkami siedzeniach, porobionych z widzą
stony. Stałomierst skierska młodzież ukraiń-
ska me ten raz paradowała konno i pomyśla-
ła edto - niebiertkami flagami i praporami kamul.

Tego dnia na kateburskim rynku zrobito się Atencjo i kolorowo. Na naprzeciu ustanowij Anubanie ustanite się nowo powstane władze. Wygłoszono sreszej mow, w których przedstawiło piękność iż się naschadzających cesar, a już w samostijnej ukraińie, którą obięcywano sobie nereszcie wyskoc.

Wszakie nam Polakom przemowę ich mi być mile. Musieliśmy wysłuchać ich utyskwan na przedrojemne czasy. Wytykali nam to i owo. Szczocho też rozpowiadali się o swojej niedoli ze „Sonięckoj ukraińi“.

Tę miębywałę uroczystość uśmiętkuła jęszce defilem, w której udział wzięły łsane delegacje miorok przez ukraińską komandę banderia. Odspiewano też kilka narodowych ukraińskich pieśni. Uroczystość przerwały gromoty i niezapobiegane, oluża ulow. Nie był to dla nich dobry znak.

Również i my - Polacy z Rybow - Troch, z własnej ciekawości, a przed wszystkim z obowiązku wyruszającego z nakuwu władzy, uczestniczyliśmy w tym dniu. Przed deszczem schroniliśmy się do kościoła. Marysie Wyrombiska powiadomiła nas o aresztowaniu podnos męcy Józefa Gogolkowskiego.

- Podobno ze to - mōmka - ze w czasie przemówiē, czy teŝ podczas odśpiętywania ich hymnu, nie chudł z objęć crapek.

Należało się w tej sprawie czegoś więcej dowiedzieć. Kerem ze Stanisławem Dobrowolskim udalem się do budynku gubernego, gdzie znalazł się dyktatorowy sekretarz ten natknętem się na wspomnianego już "kolegę" Pietę. Reprezentował już nową władzę i z karabinem na ramieniu i z bagażem w ręku stał przed frontem, a już ^{znowy} w dworku "selwala".

Określiłem pytanie o jęrej funkcjonalnego uradka wyrażonej odpowiedzi. Nic mi dowiedzieć хоту się i mielibym już wracać do domu. Ale właśnie wtedy Pietę zatrzymał nas.

- No co - jęreli koniecznie chcieć ego zobaczyć, no to chodźcie! - zwrócił się do nas z tajemniczym uśmiechem i poprowadził nas w stronę małego gubernego pomieszczenia, gdzie miało być robione publiczne uśkiecje. Stronny ten wyskio dnuł i zwrócił się do nas: - Wchodźcie do dworka!

Nie przewidzianem ukryto tego, postępnem pochopnie i wśrodek pierwszuj. Nato miert kolega Dobrowolski zatrzymał się przy futrynie - coś mu się do nie wdziało! Ale "kolega" Pietę silnym pchnięciem i przy pomocy kolby karabinu

"pomógł" nam wejść do tej klatki i momentalnie zatrzasnął ze nasu drzwi. Tego nie spodziewaliśmy się.

Znaleźliśmy się w małym, porbanianym okna areszcie. Jak się okazało, nie byliśmy tam pierwszymi więźniami. Oprócz Józefa Gwałdkowskiego było już tam kilku innych Polaków również aresztowanych. Z woli Pieti pomysłaliśmy grupę aresztowanych.

Trzymano nas tam bez jedzenia i bez picia przez parę dni. Nie dopuszczano do nas naszych współpracowników. Niemcy w tym czasie w Kelerburgu nie było. Pręstychnowie odbywały się znowu w nocy i pręstychnowie nos wytaracie Ukraińcy, a pręstychnowie - nic można - dawali szkolny "koleczy". Nie obeszło się też bez positych ochłani i bez bicia. Ukraińcy domyślali się, że posiadamy ukryty brach i domagali się jej oddanie.

Po paru dniach i nieprzespanych nocach byliśmy okropnie wyczerpani. Czerem, gdy pręstychnowie był bardziej ludzki, pozwolono nam napić się wody. Wypuszczono nas rankiem owego dnia. W.ktor Gonkorski był tak wyczerpany i osłabiony, że nie był w stanie się o własnych siłach i trzeba było sprowadzić go niego furmankę.

Dla Polaków, a pręstychnowie najpierw dla Tydów cros obit się nie bezporozny. ~~W.ktor~~

Pierwszego jesiennego dnia - samą drogę
wspomnienie Stech Sekuta - razem ze
Steinbrennem Dobrosolskim i Jankiem Pl-
leckim przyjeżdżamy na parku usziedło
Kochanowa ~~z~~ Grydkowskiego.

Byliśmy w drodze przed jesienią dołowych
medyc, jakie były przed nami, a jed-
nak wrota nie były nam nie dłużej.

W pierwszej chwili zauważyliśmy wyprzedzić
się znowu w głąb domu cieni korekcyjne
lufy, potem wyskoczyła cienie ukred-
owa z okryciem „rukł i wroch”.

I znowu znalazliśmy się w szkach ukra-
ińskich pacjentów. Pomocnie zam-
knęliśmy nas i proszcie w Katedurze.

Pierwszą drogą obywateli nas uczył się
prezyschowanie. Poolem chciał wymusić
rezonancję o posiadanej przez nas broni.
okre z nas jednak nie wydobył w znowu
nie szczucie po drodze dniach wolebny
do swoich wolebny i obmdu.

I nie jakos nas Katedurze dano spokój.
Bo stał medycyna nas „nie rozwinęliśmy kreski
zgodziliśmy” w Katedurze Niemcy uspokili je.

Zamknęli tam wszystkich Żydów z okolicy oraz rodzinę żydowską, które od wielu lat zamieszkiwały w Rybcy. Było ich 5 osób. Najmłodszy syn tych Żydów przed wojną służył w polskim wojsku. Po wrześniu 1939 roku, po wejściu wojsk radzieckich stał się komunistą o wielkim aktywizmie w „Selradzie”. W czerwcu 1941 roku - przed wejściem Niemców zdecydował się do Związku Radzieckiego.

Żydów umieszczonych w getcie w Katerburgu Niemcy zatrudniali do różnych prac. Z masy żydowskiej zbito granat na rekawach i z topotaniem na nemiennych się eskamotowało do kopania dołków. Kopali dołki na groby dla swoich rodzin i dla siebie. Na wiosnę 1942 roku ^{Niemcy} wyprowadzili ich do jezera koło Katerburga i tam ich wszystkich rozstrzelali...

Z całej żydowskiej społeczności z Katerburga uratował się tylko, 9 letni chłopiec, który niecierpiąc przychodząc do Rybcy po żywność.

Akurat tego dnia kiedy Niemcy Żydów z Katerburga wymordowali, on przyszedł do Rybcy i tak zaczął.

Przedwojną go rybaczem Peterka - Czech z pochodzenia, który po pierwszej wojnie światowej osiadł w Rybcy i tu się ożenił. A z tym Żolkiem

to był nadler ciekawy przypadek. Po wyzwoleniu Łydek ten został ochrzczony, zmienił imię i nazwisko i nawet ożenił się z córką Peterki, gdy ta owdowiała! W 1945 roku wyjechał z rybczycami na zachód. Początkowo mieszkał i prowadził gospodarstwo rolne katedzie Ziębic, a potem zamieszkał we Wrocławiu i pracował jako taksówkarz. Obecnie mieszka w Bielku - Bielcu.

Złoty - otrzymał drogiuś sily ludzkie łasy...

Przebieg zima 1941-42 roku. Nadawali wiosnę, a potem lato. (Toczyła się wojna na wschodzie i na zachodzie. Wszyscy dowódcy Niemcy walczyli na frontach. Niemieckie fabryki i zakłady potrzebowały robotników. Rozpoczęto się wywożenie młodzieży na roboty przymusowe do Niemiec. Kartę wyjeźdu otrzymała też grupa młodzieży z Rybczyc. Niemieckie łasy czekały tych co odjeżdżali w Niemcy i tych co w Rybczycy mieli jeszcze pozostać.

Odkryto się wtedy pojeźdźne spotkanie młodzieży - smutne, ostateczne. Deklamowane wiersze i śpiewano pieśni. I jeszcze raz wszyscy poszli na plac przed szkołą, aby obok uszycającego już krowia Rybcaś długo krzyż pomodlić się i prosić Boga o opiekę i pomoc kości wofny...

Nadzieja życia 1942 roku. Europa do końca wojny była jeszcze daleka i dramatyczna. Na terenie Ukrainy odwróciło się już nowe, wielkie zagrożenie ze strony Ukraińców. Na samotnych futarach, a także w wsiach, gdzie pozostał ludność ukraińskiej mieszkający pojedynczo rodzinnymi polskimi żołnierzami się coraz częstsze napady.

Konkretno ograniczały się tylko do zabijania mi-
nia, a czasem i do silnego pobicia. Ale zdarzały się też morderstwa, których ofiarami padali nie tylko pojedyncze osoby, ale również całe polskie rodziny.

Jedną z mieszkańców wsi Polwarki - leżącej w sąsiedztwie Ryboży - wspomina: „Mieszkałem z rodziną, na małym furance. Pamiętam że była to niebezpieczne. Pośredkiem do Kremieniu na mszę oraz do spowiedzi i komunii się. Po porannej, umy-
wamy obroż, mocno spałem. Banderycy zjawili się pod wieś. Zaskoczyli nas w domu, na wieśkę nie było czasu. Kazał otworzyć sześcian i nasze rzeczy wycpać do naszych worków. Potem musielibyśmy to jeszcze włożyć na nasz wóz z naszymi karami banderacy odjechali. Przedtem postroszyli nas pistoletem, ale nie szczęście zostawili nas żywych...”

1 = listu Stern. Lwowskiego

Zrozumiełobyśmy jednak, że nie mamy już co tam robić i w niedługim czasie wymieriliśmy się do Knie-
mienca, który stał się schroniskiem dla polskich
uchodźców. Z braku mieszkań wiele polskich rodzin
stało się w nawach kościoła oraz na ogrodzo-
nych dziedzińcach. Ludność polska była zartroszo-
na kolejnymi mordami popełnianymi w
pomocie i w całym wólyńskim województwie. Z Amoy
opuszczała swoje domostwa i schroniła się do miast.

Ryboza leżała 12 km na połud/wschód od Kne-
mienca. Zamieszkiwała ją ok. 189 polskich rodzin.
Wszystkie sąsiednie wsie zamieszkiwały Ukraińcy.
Před wojną na obszarach mieszkało wielu osad-
ników wojskowych. Za Sowiec prawie wszystkie
wymierzono na Sybir. Obratowali się jedynie ci, któ-
ry nieco wcześniej wyjechali stąd w niemiece.

Ryboza pozostała jak raz pomiędzy wsiami
ukraińskimi. W 1936 roku na skutek przeprowa-
dzonej kampanji większa część gospodarstw
przenieść się poza obszar wsi, na swoje skama-
sonowane ziemie, czyli na tzw. futory. Z tego też po-
wodu zabudowa wsi była bardzo rozproszona.

Dalsze należy, że budynki gospodarskie były
na ogół drewniane i kryte słomą. W takich to
warunkach zorganizowanie samoobrony Rybozy nie
było sprawą łatwą, ale stało się to koniecznością.

Już od wiosny wiosny 1943 r. wzwyż z coraz to częściej napadami urosła na polskie wie-
dla samoobrona Rybny przybrała charakter stały.
Nie była ona jednak zapieczęta na ostre i gwałt
i w pełni centralnie dowodzona, a rozproszenie gos-
podarstwa powodowało, że była ona z reguły sponta-
nizowana. Ale pomimo wszystko była wystar-
cząca zapora przeciw bandyckim zamienieniom uro-
wisk.

Podobnie okazało się miejscowi podoficerowie.
Na komendantów samoobrony wybrano Franciszka
Mysłowskiego - ps. "Utan" - który przed wojną był
plutonowym 12 pułku utanów w Białokrynicy oraz
Marcina Mysłowskiego - ps. "Sokół" - dowódcę ple-
cisk Armii Krajowej, która w tym czasie powstała
w Rybny. Podoficer Stefan Golebiewski zajęł
się ćwiczeniem i przygotowaniem chłopców do żoł-
nierskiego zajęcia.

W ramach zaplanowanej samoobrony nie
została stworzona kilkunastoma pleciskami
obrony, na które przydzielano po kilku obroń-
ców. Rozstawione pleciska czuwały w nocy.
Stationier i dzień na wieży obserwacyjnej stał
prezydent obserwator, który w przypadku zbliże-
nia się nieprzyjaciela sygnalizował strzela-

stratami, a dyżurny pozostający w szkole, utracił
~~stosy syren alarmowych.~~ Na jej odległość obrony
 biegni na wyznaczone punkty. W tym czasie miesz-
 kownicy wsi i przyległych Jutoru chronili się w szkole,
 które było murywaną i kryte dachówką. Ten ni-
 ebył duży budynek stał się głównym bastionem
 obrony i tu mieściła się jego komenda.

Pamięci obawiano się niepodkiewanego noc-
 nego napadu, więc mieszkańcy Jutoru z reguły
 na każdej noc zabierali konie, krowy i co
 cenniejszy dobytek i chowali się na teren sika-
 ty, względnie do domów murywanych i otocz-
 nych plecówkami obrony. W Rybicy były
 ctery takie punkty, gdzie gospodarze w swoich do-
 mach pozostawali na noc i własną broń po-
 stawiali bronić tam swego życia i majątku.

Jednakże w przypadku bardzo silnego at-
 aku i niemożności odparcia napastników,
 obroncy ze wszystkich pozostających w domach
 mieszkańców mieli wycofać się z punktów
 obrony do szkoły i razem ze wszystkimi bro-
 niami się do ostatecznego walki.

Z różnych znaków paryżskiej polityki po-
 ukrywaną dotąd broń. Spora ilość została
 przeczornie ukryta jeszcze we wrześniu 1939 roku.

Walcato się też bratys po polach, ponieważ w pobliżu
Armię walcę polskich oddziałów z niedźwiedziami
Sowieckimi. Porostemnie ja też uchodzący żołnierze
z placówek KOP-u.

„Przypomniałem sobie też o broni poległych
sowieckich żołnierzy, spoczywających w ich grobach od
sierpnia 1941 roku. Poleganie przed Władkami ni-
emieckimi i przed Ukraińcami niejednolitym po-
broni. Nacami wykopywałimy owe żołnierskie
mogiły. Często natomiast nie udało się zako-
ńczyć tam żołnierzy. Jedną kopaliłimy da-
lej, ponieważ broni były wtedy najrozmaitsze.
Zresztą, ku naszej radości, sporo też tam uz-
biornaliłimy.

Śmierć w czasie grabieży ofiar zamki ka-
sabiłimy były rozbiornane i wnieone do dlaton
w drownych częściach. Zbiornaliłimy jednak wsy-
stko, co nam się wleżało. Wszystko mogło się nam
przydać.

Znajdowane broni były nie mocno zolekasto-
wane i często niekompletne. Na szczyt w Pru-
mieniu mieskał dobry rusznikarz Tadusz
Murza. Z tym problemem udalałimy się do niego.
Tadusz Murza i jego brat Jan stali nam na-
dog i pomoc. Broni ukrywałimy w słomie

na wozach i zawiezli ich do Kremenca.
Czesto dostarczali im broń zleżalą i niekomplet-
ną, a miewali tylko lufy i magazynki. Braku-
jące części dorabiali imy gospodarskim sposobem.
Początkowo musieli imy się tego uczyć.

W bożniej ulicy, niedaleko mieszkania Allury,
w domu Haska Śledzińskiego, po drugiej stronie si-
ni był warsztat stolarski! Tam dorabiali imy
kolby do karabinów.

Wyprzedziłem sprawdzić ich skuteczność i spra-
wność. Wyhodzili imy podstępnie winogranie na
dłoni i stawali imy do obranego celu, lub na
wkręt. Skiełmów nie musieli imy się wtedy oba-
wiać. Kocę nie ujmali się ich na ulicy. Jeszy-
wali się mocno w ufortyfikowanych budynkach i
nosa stamtąd nie wychylali.

Ktem sposób broni znowu nam trochę przybyło,
ale nadal) w cię żę było i sumie tego ze mat. do
~~pełnego uzbrojenia wszystkich dorosłych mieszkańców~~

Ktorejsi niedużi, po mszy św. i kościele w Ka-
teburgu zebrał imy się na przykościelnym placu.
W trakcie rozmów o broni organizacje wspomnieli, iż
swoją część obok cementowego muru zakopał po-
ległego samickiego żołnierza razem z jego gwintówką.
I nawet pokazał nam to miejsce.

Postanowiłem & broni wydobyci, ~~nie~~ Chciałem
się też poprosić tym przed światem kolegami.

Toteż, nie zlekceważę, jeszcze tej niedłutej nocy
zobrotem z domu topał i wybrałem się samot-
nie na cementarz. Mijsze to bez strachu skneralem,
ale przeważnie mówiąc z pierwszym niepakojem zobra-
tem się do tej roboty. Pomyślnie topał dzwo-
nicie na narzuconych kamieniach, ale szorstkiem
możliwe mi było zbyt głęboka i w niedłutej
czynie rzeczywistnie do czegoś się dokapetens.

W śmiechle lalarki, w resztkach zburzonego muru
ukazał się szkielec Edmiera. Wprawdzie ulmo
woli wstary urosty miś me gżora, ale z duszą me
samierim chwytem ze skoczony pas, którym
spasany był ów Edmier i strasznowy miś z zio-
m ostrożnie umiarem jego doresne szorstki.
A sowa jeszcze bardziej mi zabiła, kiedy zobaczy-
łem, że spod niego występuje luźne karbowane.

Ku mej radości zmoherłem deisizicostretory
automat. Był cokiem olewy, nawet luźne
miś spróbowałem. W odkrytym dele zmoherłem też
dwa zapasowe magazynki z amunicją. Spoci-
łem się przy tym jak mysz, ale zdobyć może
było mi bezopieczne - przed kolegami i przed
dowódcą samobrony miśtem się czym podważyć.

Ale przecież nie o przechwałki tu chodziło. Broni
ta skutecznie strzyła nam «ciężką odległością»
samoobrony Rybicy.

W Horyncu miałem znajomego fraktonystę. Był
to Ukraińiec, który pochodził z ca „Korolom” i
nie wątpię to było przyznaniem do tego, że sprzy-
jał Polakom. Spotkałem go przypadkowo w Krumieju.
Przyznał mi się, że posiada dwa dobre ruskie ka-
sabony i trochę amunicji. Starę w tenże zgodził
się nam to sprzedać.

Horynka od Rybicy była oddalona o około
5 km. Aby powrócić w ten sposób przed nocą, nale-
żało wybrać się tam znowu po południu. Pojechali-
śmy tam w trzech - z Piotrkim Wyszewskim i z Tu-
oleusem Mierzą.

Transakcja w Horyncu załatwiliśmy szybko. Za-
kupiliśmy broń i amunicję załatwiliśmy me wrz i
wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Obawiliśmy się jednak zasadzek. Na drodze znaj-
dowały się ukraińskie furtony i ten groziło nam nie-
bezpieczeństwo. Poście monitorujemy nie udało się znowu
dalej, które przybyliśmy. Teraz za bramą ma-
jątku skierowaliśmy w kierunku Janowic. Na
drugim kilometrze - zaledwie odnajdaliśmy strażnic-
nie - spostrzeżliśmy że nam się szybko zadaje fur-
(mankę).

Nasze komie były słabe. Wynajęliśmy je od mieszkańca Mchotörki, który zestrojy rodzinę ochronił się w naszej wsi. Natomiast idąc dalej nas Ukraincy mieli lepsze komie i zaczęli nas szybko doprzedzi. Wreszcie nie zanoszto się. Nie mieliśmy szans uciec. Dodatkowo nie lepiej Pederzon Murzie i powrotem go któregoś powró- mian dalej sięchali. Natomiast ja i Wysomirski nie postawiliśmy zsunęliśmy się znowu, chybkiem odbiegliśmy kilkanaście metrów od drogi i przywrócić się ze resztką zapasów.

Na porostawny zbliżaliśmy się już do strażniczek. Nie zwracając uwagi na to, że kilka kul z mego zdobytogo automatu. Nie strasznie to poruszkowało. Widać było, że wystraszyli się, rept- wanie wytkoczyli z furmanki i kryjąc się za nią, ze- wędzili w kierunku Kuselima. Tak więc dobrze, że mieliśmy ze sobą broni, czego naprostawny nie prze- widywali. Widać strach ich obliczył.

My z przyczynami jeszcze dopędzić Pederka Murza i już razem, bogactwo zakupionego wtornie broni, szczęśliwie porównaliśmy do Rybozy.

Wszakże do pełnego uzbrojenie obrotów Rybozy nadal brakowało nam broni i amunicji. Tę- rownie różnego typu karabinów ledwo mogła

występować do sepcie kriticznych stakow
u PA. Wzksza czic tej broni, ktore przeziele
dlugo i ziem nie nadawate sie juz do udytku.

Totez czigle zdoberywie broni i amunicji bylo
nasza codzienny troska. W tym celu wykonywaly
istny wszelkie nasze kontakty i mozhnosci.

Pomolto oddzielnym problemem byly nasze stowunki z
okiemcami. A chodzilo nam o to, aby w tym czasie
miec tylko jednego bezpotredno zapreziejego
nam wroga. Nalezalo nie byc z nimi w zjedzie
i nie popasc w jakis niepotrebny konflikt.

Sprawy tej zajete sie rybnicka Gertrude Ing-
elkowska, wdowa po bogatym gospodarzu. Pochodila
z Torunia, doskonale znala jezyk niemiecki,
a ze do tego byla dosc ładna, to i latwiej jej po-
szlo nawiązac kontakt z okiemcami. Zreszta,
juz od pierwszego czasu cieszyła sie u nich powazaniem
i zaufaniem. Przez to mieszkaniom Rybicy w wielu
sprawach mogła pomóc i pomagala. W swoim ma-
jtku zatrudnila troche mlodziezy z Rybicy i przez to
uratowala kilkomecie osob przed wymizaniem na
przymusowe roboty do okiemiec. Zdozyla sie tez, ze
krowy, ktore byly wyznaczone od gospodarzy na
kontygent, zostawiate w swoim majtku. Bylo to
porozumie ze zrodly Niemcow. Krowa byla u niej, a

sięgnęmus Wielkocymy samy są do Rybory przyjeżdżi.¹⁾
Otrzymałszy od nich 12 krótkich karabinów fran-
cuskich i do każdego po 20 szt. amunicji. Broń ta
niezależnie oczywiście ofiarnie przekazanej i chociaż
pozornie stronić od używania wartościowej oraz wyznaczyć
dotychczas. Do tego zadania wyznaczony został sier-
żant Stefan Gęłbicki. Stąd też już po wojnie
Szwajczer on uważał się za dowódcę samobrony Ryb-
ory. Wyprawa jeszcze doświadczył, że w latach 50 sierżant
Gęłbicki mieszkaniec na Ziemiach Łęczyńskich
został aresztowany przez Annyl Bezpieczeństwa i os-
karżony o współpracę z Niemcami. O sprawie po
prezidenturze i rozminęła się w drodze-zaoludniwo go.

Użytkownik przez nas w ten sposób broń była też pa-
rowaniem dla posiadanej już przez nas ilości.
I tej wydobyci = Szwajcarskich magazyn, z których
skrytek, a także kupowanej od samych Niemców.
Ze jednym karabinem otrzymał im kilka sztuk, a
ze każdego sztuk amunicji pleśniany jeździec.

I tak - wspomniane Stach Sekute - nasze życie
toczyło się wówczas nie możliwe w wojennym trybie.
Cotygodniowo nocami obrasany naszymi swoich placów-
kach i obszarach linii pozycji, które nocami
rozjeżdżały między. W sąsiednich wioskach gwałtownie
półkole odzyskały, które jeszcze pozostały pomiędzy

1) cyfry str. 74-75

- wielkomocnyj

Alparay kontynuował okupę, czerpnęły mocy. Co-
skierowanie niedokładny fragmente miasta o kolejnych
opisach upowszechnia napadów.

~~Wiosna~~ 24 marca 1943 r. we wsi Szprkoby ^{to są} w gminie
Bereże zamordowano 10 osób.

Przed świątami wielkomocnyj - u Wielki kwiatki - nie
koloni Zakora w gm. Uharok wymordowano 93 osoby.
Z tego wielkiego pogromu zdołał jedynie uciec Marek
Sobronalski z trzema synami oraz Albin Jastrubski.

15 maja we wsi Szprkoby zamordowano
Macieja i Franciszka Zachów. Pozostali Polacy z Arno-
98 opuścili swoje domostwa i ukryli się w Kramieniu.

We wsi Sosnówka mieszkali gospodarz Kwiaty, Kucha-
rski. Okazując się benedyktem przeniósł się z rodziną
do Rybczy i zamieszkał u teściów. Kilka dni później
jego żona Solomea Komiernie dziecię pojedzie do Sos-
nówki, aby zabrać coś jeszcze z domu oraz pozostawio-
ną tam krowę. Kucharz sam nie chciał jechać i
stanowczo odmówił tej żonie. Ona jednak wzięła ze
sobą 9-letniego syna, ze pomocnikiem Ukrainiec Iwan,
który pomagał im w gospodarstwie i w trochę po-
jechał. Iwan był pierwszy, iż jemu nie nie groził.
Tymczasem wkrótce z nich do Rybczy nie powrócił.

Już po wkroczeniu Armii Czerwonej w 1944 roku, Siostra
Kucharz - Janku - pojechała tam z sowieckim ka-
ptanem.

Od sławnych szpieców domniemyta się, że jej matka
była wdmus w Sosnowice. Kiedy przywrócić krowę do
krowy i mieć już odjeżdżać, wtedy niepodkreślane po-
jętli się honoraraj. Zebrał całą rodzinę i wyprawa-
dził w pole. Truonoś nie dowodzi, że jeszcze pomaga
Polakom. Kerasi mu wykopać długi doł, nad któ-
rym ich wszystkie rozstrzelali i w tym dole ich sercem
pochowali.

Stenistew Stefanski, przebywający u Rybany, wybrał się
w daleką drogę, do swoich cerek do Komienice. Z Rybany
wyjechał, ale do Komienice nie dojechał. Jakiś mu tej
drodze ma swój grób.

W gm. Jedorkały zostali wymarodowani mieszkańcy
wsi Michałowki. Jedną z nich Ludwikę Gajewską -
wchodzącą samopus, zamarodowano w drodze z Michałowki
do Szymonowa.

Wiosną 1943 roku zbierała ^(a nawet żelaz) ~~dużo~~ ^{politycznych} ofiar.
W tej sytuacji Mała mieszkaniec Rybany stała się po-
niekształ Polką, którym udało się uciec z życiem chro-
niła się pod skrywką naszej samobrony, gotowej
w każdej chwili do odparcia ataku banderowców.

Oni między innymi jak duża siła dysponujemy i
gotnie rozlokowaliśmy swoje punkty obrony. Róż-
nymi sposobami próbowali wymieścić się wrogom o
naszej przygotowanej samobronie. Podkowali też
zmarodzić naszą czynność.

Od dłuższego czasu na drodze z 401 Kycerskiej do
Zeredy, około pierwszej i nowej dykacji było przej-
ście Jurmentów. Pewnej nocy komendant litwo-
wski wyszedł osobiście zwiad, aby sprawdzić, kto
tam tak sobie jeździ.

W 401 Kycerskiej (wiele plan) po obu stronach drogi
były zabudowania osadników wyznaczonych na Sybir.
Znajdowało się stajenisko za stodołą klasa. W jego zabu-
dowaniach przez jakiś czas zamieszkiwali Alkretnicy i
inne tego jego stajenki nie zostały odbrane. Pe-
wnie było około godziny. Znowu na drodze zatrzy-
mali Jurmentów. Zmienność światła było jakoby
spłoszone konie ruszyły z kopie golopem. W pobliżu
zabudowań - ziem - Fudalerskiego wykonywało z niej orbi-
sich mężczyzn. Pobiegłszy za nimi. Następnie
chociażby wymiennie strażów. Jednego konwojowa-
ca ruszył i w pobliżu zarysowej studni. Jego od-
prowadził do dowódcy. Schwytem okazał się
Alkretnicą, mieszkał w Jarhosce.

Pewnego razu zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Na
jakieś dwa miesiące przed największym napadem -
opowiada Janek Pilecki - odminione do północy per-
wtem warty na koniach wrt od strony Kremenca.
W środku nocy wstąpił hukot wozu zbliżającego się
w naszym kierunku od strony wrt. Widząc szybko

zblizyday sie do mnie woz, konykunty, stoj! Kto
jeszcze!? Woz toczył się jednym kołem. Miałem
pietra i chyba ce trudna wypelitem w tamtyj stronie
dne rary. Woz przystanęł, a wystęły zaalarmowały
mnie. Zbiegła się wtedy ludźi wraz dardoleq. Przy za-
chowaniu wszelkiej ostrozności doszli do niezna-
nego pojazdu. Woz był zaprzężony w parę koni i
ale był bez woźnicy. Wolem koń od niego wystręły
został brępiący, a padające zetymel woz.

Sprewa byte-groweł mdyge-alle nos zermypca
i srecej nie rozgłaszcena. Jak to się stało, że woz
bez woźnicy przez ntkoego nie zauważony przeje-
chał przez cety wieś, Amelno byto sobie wyobrzezi?
Abjint docemij warta portewione od strony Kelenburga
pnyosyle. Ale droge przez wieś ciegnyta się przesła
Klametri? I wikt tego nie słyszal? Jak to się
mozta staci samu zachodestkomy w glos? W kazdym
bydki razie doszłstomy do wnidku, że konolenoway
chacit wybadaci neszaj cufnosc, ktoryz od tego
nam zastupstomy, warty wzomoculstomy. Ja-
daponiede Janek Frlacki - w nępnole dostalen woz
ocalyty koń zostal przydalcem jednemu z gos-
podaruy, ktoryz był gubnem, cy też Kosutkiem,
a wotowany, ktoryz tej nocy zastal w nępnole
dostelk ponędnay nęganę i dostatkare woty.

Na początku lipca 1943 r. - opowiedział mi o swoim doświadczeniu - coś mnie podkusiło, aby wybrać się do Katerburga. W tym czasie był tam Niemcy i z tego powodu nie wziętem ze sobą żadnej broni. Kiedy uszedłem już dobry kilometr drogą i znalazłem się na wzgórzu, chyba od ruchomo obejmującym się i wtedy zdołałem.

Zobaczyłem, że dom Wiktora Gnydkowskiego, znajdujący się zaraz za naszym zabudowaniem i stał w płomieniach. Nie miałem myśli o ucieczce w kierunku wsł. Kiedy usłyszałem odgłos wystrzałów karabinowych. I w tym momencie od strony wsł doleciały do mnie jakieś skrzyki i wotnie. Syrena alarmowa wygrała już do pomocy. Nie było wątpliwości, że banderowcy napadli na Jutor. Z wsł wybiegli uzbrojeni obornicy i szeroką tyralinę podjęli w kierunku palących się zabudowań Wiktora Gnydkowskiego. Po biegu ze minut. Wkrótce dotarłem do tyraliny. Dopiero do nos sym naszego sąsiada Maruszkiewna. Był mocno zziębnięty; w biegu opowiedział, że kiedy usłyszał strzelanie, skurzył się i padł na ziemię. Był przekonany, że zamordowano moją rodzinę.

Zesłaliśmy tam od strony sąsiada. Na moim podwórku i w moim domu było całkowicie ciemno. Baliśmy się tam wejść, obawialiśmy się zaskoczenia. Nie mogliśmy się jednak zbyt długo ociągać. Stał ten Wiktorski

dość mi owsy pirtolet. Rozjeczliwym się w koto i ostro-
nie z duszą ostroinością, weszliwny na podwórko. Ale tu
niedel ponowata obra. Nie było żadnych śladów na-
partusków, ale nie było też i domowników. Na
mesie wotemnie nikt nie odpowiedział. W domu było
pusto. Po bieglitnym wstrony detsuch zabudowań.
Ale nie widzi tam było żywej duszy. Wszyscy miesz-
kańcy gdzieś uszli. Niekto na ośro i ukrył się w zbo-
żach. Bandersowcy w drodze niedościgniętej tyralierę
wycopali się w kierunku Kuselma.

My szliśmy dalej. Zapydaliwny do epustoszonych
domostw. Pod murów doszliwny do dopalającej
się zaprawy Rybiatku (wiele mapka) Spadła
spalonego domu wyruszyły się dwie śmiesznie skopane
i wybruszone postacie. Były to: Rybiatkone i jej cór-
ka Emelka. Były przemudne. Gdy dostępną zbliżie-
żych się banderowców zdążyły wrócić do ogrodu i
ukryły się w małym loszku. Wskazywały potem jak
palił się ten dom. Później wybiegły z dalszego loszku
i aż do naszego przysięcia przesiedliły w osmolonej
piwnicy, pod zgrzeszaniem spalonego domu.

Dziśki Boyu napad ten nie przyniósł ofiar w brzo-
żemnym ochronę były stwały wysokie dołnenerzice
zboże, które osternieły uciekających z zabudowań
Polaków. W zbożu ukryte się też moje osobne. Zosta-
ły spalone tylko dwie domy: Guelkowskaka i Rybiatku.

Grubstomy jednak, że to są jedynie wstępne zaprzety
do silnie zorganizowanego napadu. Musielibyśmy
się do tego przygotować, przebrać i rozstawić nasze
siły w punkcie zasadniczych punktach naszej wsi i
wzmocnić naszą siłę, a szczególnie w noc.

Ale zanim miało to nastąpić, mieszkańcy nie
skierowaliśmy spadło nagle wst. W lipcu 1943 roku w Rybicy
wybuchła silna epidemia tyfusu. Nie było lekarstw,
środków opatrunkowych i higienicznych. A przede wszystkim
brak było służby lekarsko-sesternej. To wszystko
utrudniało walkę z gwałtownie rozszerzającą się epide-
mią. Szpital w Knebischnie nie był w stanie udzielić
nam większej pomocy. Do szpitala przyjęto zaledwie
kilka chorych osób. Kilku dniem później chorych przeby-
wających w szkole bez lekarstwa i opieki medycznej
w krótkim czasie zmarło. Zmarłych pochowano na
cmentarzu, który powstał nieopodal szkoły.
Pochowani zmarłych na cmentarzu parafialnym
w Knebischnie było już ^{zbyt} nieliczne. Wsi o
epidemię, o wielkim obrotach Rybicy, szeroko
echem rozszedła się po powiecie.

Tymczasem do Rybicy docierały słabe echa
kolejnych Argetanów ludu ziemskich na Wotywnie
Polek. Do Rybicy przybył ktoś to nowi uciek-
niemy z pobliskich okolic. Przywoził najprawdopodobniej
Argetane miżi. Śmierci szczególnie w lipcu tego roku
zbieżne swoje obrotu zniszczenia.

Któregoś lipcowego dnia w Ryboży pojawił się nekromu nie znany człowiek, imieniem Bolester. Był strasznie pokrwawiony, obdarty i brudny. Opowiadał straszną historię swojej rodziny i swojej wsi. Pewnego poranka Bolesterowi stręchło ich wsi. Zmieszkałym tam Polakom kazali zebrać swoje rzeczy na drabimieście wozu, gromadnie spuścić wsi i udać się tam, gdzie się im podoba.

Ale kiedy znaleźli się na srobie, zostali otoczeni przez uzbrojonych Ukraińców, którzy nakazali skierować wozu na polną drogę, prowadzącą w kierunku palarny w lesie. Polacy przeczuli, że coś ich tam czeka. Zaczęli płakać i lamentować. Co się dzieło potem na lesnej palarni trudno opisać. Polacy bruli się jak mogli, walczyli z Ukraińcami tym, co kto miał pod ręką. Bolester był tam z żoną i dwójką dzieci. Nie wzięli całego swego dobytku, lecz nie o niego walczyli - bruli swego życia.

Ale siły były nierówne. A kobiety i dzieci biegały tylko o życie. Ten los, mimo szereptnych wysiłków był przesądzony. Bolester w trakcie zmagania z jednym z napastników, chępienie bruli rodzinny i rzeczy walke wystrębał napastnikowi oko. Co się potem

wydawało, co stało się z jego osobą i z innymi
Polakami nie miał pojęcia. Słyszał tylko ekro-
pny krzyk i lament. A wkrótce straszne pobo-
żostko, rucił się do nieba. Sam nie wiedział
jakim cudem wypadł z lasu. Po jakimś czasie
ocknął się i zdołał. Był prawie półprzytomny.
Mieścian i polami dowiekła się do Ryboży.

Nie wiadomo jakimi drogami przybyła
do Ryboży kosałowa rodzinna Gardzińskich
z Domańki, gdzie było znane nie całą
okolicę kaplice z cudownym obrazem Matki
Boskiej. Historyk tych ziem podaje: „Kosmym
środku wsi Domańki, na górze drewnianej
zostawionej, wzniósł się niewielki, lecz kształtne
murowana kaplica, w której w soboty solenne
odprawia się nabożeństwo z listem i pieśni-
mi do Matki Boskiej, w którego obrazie cu-
dowa słynęcej, a pobożni zdalekich nawet
okolic zgromadzić się tutaj w ten dzień zwykli...”

W tej to wsi do domu rodzinnym Gardzińskich
prysła dwóch uzbrojonych Ukraińców. Z lewo-
zrobi ~~rodzinnym~~ ^{Gardzińskich} i zyczą im się odwiedzić tam, że
mają polecenie ^{ich} zebrać. Matką imie Gar.
okolicznej, ich dorosły syn ^{ich} Tysiek i jego żona
Kazim

1) Domańka - dawn. Bercianka - wieś w pow. Kremeniec
parafia Lomowce

Niania, poprosiła Ukraińców o artystyczną
modlitwę przed obrosem ślaski Bostij. Po
czyim wszyscy otworzyli oczy i razem śpiewano
odmianki Złoty Maryi i Pół Trójcy Świętej.

Kiedy powstał z kłosek i był już gotowy
na śmierć, Ukraińcy nie wiedząc dlaczego
kazał Gerardowskiemu zstąpić kamień do
wody i pojechać z nim. Syn Gerardowskiemu
- ^{Kazik} Złoty uprosił - wręcz uprosił - że to on
chce zstąpić oje. Jan poprosił i do...

Kiedy ujechali już ze dwa kilometry i był
w już ze górki, u pobliskiej jakiegoś lasu,
Ukraińcy zleźli z wozu, ^{Kazik} Złoty ^{Kazik} kazał
zwrócić kamień i wrócić do domu. Nie
wiedzieli o co chodzi, ale byli już zmęczonymi
i przycupawili na najgorsze.

Początkowo jechał bardzo powoli, kamień służył
noga ze nogą. Był całkiem spisty i zobist-
niały - miał ze sobą luty karabinek. Ale kie-
dy zauważył że minął górki, odwrócił się,
ale nie widział już nikogo ze sobą. Wtedy
gwałtownie popędził kamień i powrócił do do-
mu. Gerardowskiemu nie zwrócił. Szybko spa-
kowali się i szli tylko znowym ścieżkami
uolali się przez Rybczy do Kremenca.

W Rybicy właśnie wtedy panowała epidemia
tyfusu, toteż mi wolno im było tam długo po-
jechać. Podkarmili i napobili swoje konie,
samś nieco ochłodził zwrócić i opowiedzieli
wybrancom o swym dziwnym ocaleniu. Młotek
Boskiej Łomawoskiej podziękował za jeszcze
jedną cud, który sprawił i wysuszył wola-
szę, nieperną obrożą do Kremenieca.

- Zawsze dziwnie się wyszła Boskie... -

Ale rozporządzenie^(- przykazanie) i PA były bardzo wyso-
stojne nawet do Ukrainców. Niejednokrotnie
sprawdzało mierność i doświadczenia ukraińskiemu nieo-
nieżnawom i „Samostijnej Ukrainie” przez polece-
nie zabrać najlepszą z polskich szwedów.

„Kto dawniej chłopa w chłopa, tak w tak
żył w przyjeździe, wsio samo - Polak, Biełoru-
sin czy Ukrainiec - teraz już sam mi wieściat
czy jego sąsiad, choć lepszy, z wagał trój

Kazimierz Kurzej - przedrojemny wójta ^{mał} gminy
Kolesberg - miał stryjennego brata Adasia
który mieszkał i pracował w Sumsku jako urzędnik.
Do Adasia żonaty był z Czeską - Jedyną z
z domu Holouszek. Jej ojciec miał piekarnię,
albo sklep meblarski.

Ades ukończył gimnazjum w Kremieńcu, należał do „strulca”, był bardzo miłym, słobrym człowiekiem, który - nie można - nie miał żadnych wrogów. Ale jak się okazało - „przykaz” - to „przykaz”...

Przybito do niego trzech, czy też czterech znajomych Ukraińców. Wywołali go z miejscem na krótką sprawę. Chciał się jeszcze ciepłej ubrać, bo na dwonie było chłodno, ale pomieścili mu „Ne Strube”.

Powszym zaprowadzili go pod kościół, powiedzieli mu, że mają „przykaz” zabić go, i nie zalekając „przykaz” wykonali.

Ale wrócił jeszcze do domu Solisja, jego rodzina żadnej kary mu nie wypręśli, na i tak - po sąsiedku^(?) poradziło, aby rodzina zabierała jego ciało i pochowała go.

Postąpił od tego - po prostu - po sąsiedku...

W połud. wschod. części pow. Kremienieckiego, we wsi Hanzulów, zamieszkiwał młynarz Franciszek Szreffel z żoną oraz jego brat Stanisław, również właściciel młyna wodnego.

Franciszek Szreffel znany był na całą okolicę. Z młynka z młoceny w jego młynie we wszystkich sąsiednich wsiach pieczono chleb

z potowano "batuzki". Znamy też był ty
ze swojej zedzierzyszczeni, ale i ze serolecznej we-
sotow. Jego mlym był miejscem spotkan
o kazy o pogodzenie o polityce i gospodare
a także o oktopskich zmagan i subszyach
iartow od których przesly i sam mlynem nie
strouit. Chytnie gospodare do niego jecheli
mlie zboze. Po porrocie bylo o czym poga-
lac i z sasiadami posmieci si. I tak do
nasty pnyj patne by zmielenie zboze me moka.

I tak bylo od lat. Az pnyta wiosna 1943r.
Ktoś w radu pomijstucku zamotowel: "W przedwie-
stnie do dziejow ludzkich, wiosna 43 roku jest
piskne i tepradne. Sady krotkij oblicie i za-
pomie daję bogactwo ^{cyrcow} zbozow. Trame w stoncu
jest utkome do ty mus krotatem mleza, jak
nieko gndardomii". I na przedwienstwo-
te obrye wiosna ^{1943r} która nioste smierc ludzina.

Ty wiosny brat Ukraimec porielstet bra-
ciom Polakom: "Na Wetykdeni Lecikaju
krozju jajcie krasytj buolem"...

Juz wiosna wiosna "Kansutowie" w polwin
Bie tozdrer - zorganizowano upuska plecow-
ka. Jej komandirem" był batuzka kreso-
towka. "Pewnij niedzieli, po nebozienstwie

w miejscowej cerkwi katyńskiej; przemówił do
swoich „wiaruch”, poświęcił im kasy i siekiery,
namawiał ich by szli „zrobić Lechtu”.

Zaprosił je również ze Szreffelem Ukraińce,
mieszkańców Koronowicki, uprzedził młynarza
o groźnym Palakom niebezpieczeństwie.

Szreffel zrozumiał, że nie ma już na co czekać.
Należało im wszystko stamtąd uchodzić.

Następnego dnia bledym ^{Szreffel} systemem (ubrał się
z chłopska, wziął laskę, i przez ukopano nie
zamrażony, cichaczem wymknął się z domu,
zajął ludy i na bosaka porządował skrajem
reki, które obserwowano wzdłuż do jego młyna.
Potem trochę Tykocin, to palarni doszedł do
Lanowic. Tu, na razie, było nieco bezpiecznie.

W najbliższą niedzielę jego żona poprosiła
zaproszenia również z ukraińców, aby za-
wiozł ją swoim wozem na mszę do kościoła
w Lanowcach. Tam spotkała się z mężem, no
i oczywiście do Kamienicy już też nie poro-
ciła! W domu pozostała matka Fron. Szreffela
- Wiktorie - i jego siostra Katalina. Obie
postanowiły tam pozostać. Wiktorie refata
Ukraińcom. - Nigdy im żadnej kasydy nie
zrobiłem - mówiła - nigdy nie śpód mi pojedź!

Natomiast siostra Karolina była tam jełozem.
Czyta leczyła Ukrainców, przy każdej chorobie coś
poradziła, a na przedśmórku pomagała co bieli-
miejszym; sławoła im męko i koso. Sławoła
Szeffel był jej najukochańszym synem. Odkoła
w 1941 roku zebrał po Sowieci, owo za nim wyple-
kiwało. Pstronoła mlynie i chęta na powód
swego Słesie. Nie moęła: pozostawie ^{tepe} wszystko
na zamaromowu i też nie chęta wyjechać
z Wenzutowa, choć jej tak sławoła.

Wymyśl Ukraincy - ko mi wysycaj przeciw był
podli - opowieszczał potem Szeffelowi w jeke
okrutny zporob miejscow kanołowacy za-
mordowali jego matkę i siostrę.

Dzieta się to koto sławoła, na toce pod Mos-
kelowko. Po wymyślonych torturach, obie kobie-
ty kanołowacy zekopali w ziemi i zasypali
kamieniami. "A udzieli w tym brat ich
wteżny mielusk i młoda stryżca".

Do pednie miem tragedii tyrodobny było
zamorowanie w Roztokach brate Szeffelowej
- Reziwierca Samkiego - oraz jego syna Felksa.
A pod Włomowcem zymogł ich kacya - Dodousz
Szeffel, były kironnik sekoty w Okrismach.
W Wenzutowie mišekoty jęsure dwie polskie

rodziny: Pastewskich i Iszucków, które postąpiły się wprost w języku ukraińskim, ale byli to katolicy. Pierwszą nową obcą te rodziny też zostały zamordowane. Ocalała tylko starsza Pastewska, która w czasie napadu w ostatniej chwili uciekła się do chlebowego pieca i dzięki temu ocalała.

Szrefelom udało się wyjechać z Lwowo do Kramieniec. Ich droga prowadziła także przez Rybak. Była to droga wówczas bardzo niebezpieczna, ale drugiej drogi nie było.

Potem Szrefel jechał przez jakiś czas prowadził w Włodzimierze młyn wodny. Dzięki temu od czasu do czasu dostarczał Polakom w Kramieniach mięso i kaszę. Bandyci kilkakrotnie próbowali młyn ten zależyć. Był on jednak dobrze chroniony przez strażników oraz przez miejscowych Polaków. Ale przyszedł czas, gdy o tym zrobiło się bardzo „głośno”. Było to późną jesienią 1943 roku. Wtedy Niemcy i Medziary wywieźli się do Kramieniec. Zaświatła i na froncie wschodnim front polski się już pod naporem. Szrefel zrozumiał, że już o on partiami się stąd wycofać. Wskazał sobie kierunek ucieczki ukraińską.

Polacy ze miejscowości w Włodzimierze i okolicznych wioskach schronili się do murów starego, niemieckiego klasztoru św. Alchanta.

Ala swego ostatniego, strasznego losu, który
tak tam na przełomie zimy 1943/1944 roku czekał,
- jeszcze nawet nie przewidziano. Wszyscy oczekiwali
szybkiego końca wojny. Wiadziemo o powstałej
w Związku Sowieckim Dywizji Sm. P. Kościuski.

- Tam stożko wyżej - tym Polskie bliżej - powie-
dali ludzie. Ale póki co Wojtko Polkié było
jeszcze daleko, w całej okolicy z rok u powołów
wciąż głośno Polacy i groźna burza zbliżała
się do Rybory.

3 sierpnie 1943 roku nastąpił największy,
groźny napad na Ryborz. Działo trudno jest
odstronyci do skutku prebię tego napadu i zre-
lecyonować w szeregu obrony jej mieszkańców.

Dwa główne dowódcy samoobrony już po wej-
ściu Sowieców, w kwietniu 1944 roku zostali podstępnie zamordowani
tym sposobem zamordowani.

Rok później mieszkańcy Rybory, którzy dostrzegli
do końca wojny opuścili wieś i przenieśli się
na Ziemię Łęczycką. Wiele z nich już pomarło,
a ci, co jeszcze żyją, to są to już ludzie starszy, scho-
conymi i frustrowani, zmęczeni życiem. Jakże im
wspominać te czasy? Ah! miłe już przeszłe pa-
mięta, a ponieważ już i nichy pamiętać.
Pamiętają, że jeszcze dziś się tego boją!

Zrodzonych wytków, że strycki opowiadani i z tego co nie
zostało dopowiedziane, o ich obronitownej samoobronie
Anieba zrobić jednolity zapis o tej historii. Ale bezknie
to musi wytknąć obojętne ich zmagani, a może już
tylko legenda...

... Była wtedy jasna, księżycowa noc. Jedna
z takich, jakie bywały tylko w lipcu i sierpniu.
O tej jasnej noc jeszcze bardziej rozświetlił poziom
nieśmiertelny w Katerburgu. Luno poziom widoci było
daleko. Pod polemie nieśmiertelny było katem do roz-
porzecznie napadu na Rybus.

Okolo godz. 23 cała Rybusa została ob-
czona i osłabiona przez wielką silę benolenardu,
sekretnych i głownie z miejscowych pobliskich
układów i wozek.

Okopartuszy podchodzili od razu z marszu opa-
nować całą wio. Ale rybusie nie takę ewentua-
alnosc była dobrze przygotowan. Okolo plec-
nek obrony przygotowan ekopy i rowy. Było
też obojętne bronie i amunicji. Obrony utrudniła
tylko znaczące rozruchanie przednich obrony i każde
wzrostnie mogła być tylko mentalne sily. Ale
pierwsze uolenenie obrony rozlokowan na swoich
pleciskach skutecznie odparł pierwszym equiem.

Wielec jednak przynajmniej sily nepartusków,

stopniowo zaczęli wycofywać się w stronę szkoły. Po chwili sprundkali, co wsupoy mieszkałcy zdo-
tali uniknąć ze swoich domów. Niektórych na-
pad zoster w tożku, w tył bokom śmie. Byli pre-
zeim; zrywali się, zbiegali tylko to, co mieli
przygotowane pod ręką i w popłochu uciekali.

Okie szczytów kamolowoy nie byli też zbyt od-
ważni, nie chcieli ze bardzo ryzykownie swodem ży-
ciem i posuwali się powoli i w bezpiecznej odległości.

Ale kiedy po krótku dochođzili do pierwszych
zabudowań, które wskazywały na przynajmniej
rozszerzonego się pożaru uszyli nie śmiało wst-
i podpalali kolejne zabudowania. Tym razem
była taka wielka, że w odległości było jak ze
dnia. Wielkie kłęby dymu i snopy iskier sko-
rzyły olodatkony scenery do zastraszającej groźnej
sytuacji. Z obu stron rozterkały się karabi-
ny merymore. Okie zmięty traskaty pojedyncze
wystwały karabiny. Mioty się jakis wotamie,
jakis kryks, jakis wotamie w miejscach wybr-
choły granaty. Środkiem wst biegi ludie i
konorili ze sobą seszki usatoromgo oblytku.
Wsupoy uciekali do murwanej szkoły, która
była głównym bastionem obrony i demata bez-
pieczne schronienie.

Wszakże też przez płacówek obrony usytuowanych w murawnych budynkach, i słabnie ufortyfikowanych, utrzymać się na szczytach stromotkach.

Wystąpiły obwieszczenia z automatów i karabinów maszynowych skutecznie odrzuciły napastników.

Przez sytuację podwojone systemy alarmowe które bez przerwy zawiadzały na całym obszarze. Przeróżnie były psy, i zamkniętych, palących się obwarach i okienkach cyfrowo pozostawione tam byłoby i rozprętwienie któreś siwmi zamknięte w kajach. Temu usytuowaniu akompaniowane ostre strzelanie i gwałtownie rozrywające się granaty. Weterani zapewniali to wielkie przeżycie.

Właśnie szereg był mieszkańców i uchodźcy z płacówek obrony, nie czas schronić się w szkołę. W szkolnych salach stracono się wielu mieszkańców. Wszyscy byli skropnie przeżyciem, ale gotowi byli bronić się do upadłego, do ostatniej chwili, do ostatniej kropli krwi. Kto nie miał broni, ten chwycił za narzędzia gospodarskie: widły, topoty, siekiery.

Starsi mężczyźni przygotowywali się do pomocy młodszym obywatelom, którzy czekali przy każdym oknie, a kobiety uspokajały płacące dzieci.

W końcu szkoły, w przygotowanych okapach przy-

oznał się najlepszą strzelą. Naturalną fortyfikację Anorytę wysoka skała dająca możliwość skutecznej obrony w przypadku bezpośredniego ataku od południa. Toż - nie można - skała trudna była do zdobycia. Banderowcy zdawali sobie z tego sprawę i nie posuwali się do atakowania z bliska.

Kiedy po I. wojnie światowej cybranie zdecydował się wybudować nową skałę, ulokował w niej przysiężnik, że w latach II wojny światowej nie byłoby Anorytę obronną i dzięki temu oszczędził ludność Rybicy...

...,, Kilku obrońców dyżurujących na przedzie domu Stausmy (vide plan Rybicy) - wspomina Tadeusz Gudelowski - przebywał w stodole Piótkowskiego. Słysząc strzelanie wybiegłszy na dwór. Banderowcy podchodzili od strony Woli Kycerskiej's Stausmy. Ja z pomocą przyjaciół do domu Stausmy, gdzie stał nasz karabin maszynowy. Szybko wystrzeliliśmy go przed dom. Mieliśmy tym razem - już po pierwszej serii strzałach zaciął się. Próbowaliśmy coś z nim zrobić, ale nie datem rady.

Nieco później. Sam przycisnął się za rogiem domu. Miał przy sobie wystrzelony karabin,

ale oszczędzał naboże. Wieromościach nowy wy-
 petrywał napastuszków.

Ręptem dostreplem, że dom Piótrowskiego pali
 się, Hórosas ojunc nakazał mi z uszkodzonym
 karabimem zmykać w kierunku szkoły. Chwyca-
 łem go obiema rękami, ale był ciężki i by-
 ło mi nieporozumie. Poiręgnętem go więc za sobą
 i wpadłem w jakiś kartofisko. Tam między, na
 sąsiednim polu, rośł dorodny tyton. Polięgnętem
 tam chwytkiem i przywarłem na chwilkę. Obok
 siebie, w zielonej gęstwinie dużych liści ^{tytoniu} dostre-
 płem życie Hórosasy - Antoniego Piótrowskiego.
 Miał on przy sobie spowyny karabim, ale bał
 się chyba bardziej ode mnie. Ni wiele mówiące
 i nie namyślając się wiele, chwyciliśmy razem
 za karabim maszynowy i poiręgnęliśmy go
 przez pole w kierunku szkoły. Tam nawet sły-
 chać było jakiś wystrzał.

Noc była krzyżowa. Wólności było do-
 bra. Na wschodnim skrajem sierrusku stęty szerega-
 mił mi zwrócone jeszcze kaptki zbroje, ole-
 jące możliwość ukrycia się. Półzłobiliśmy się
 w ich cieniu i przywarliśmy bez ruchu do ziemi.

W pierwszej chwili dostrepliliśmy jakiś ciemny
 postacie posuwające się w naszą stronę.

Kęty go ukradliwie i sili szerokie tyrolskie, pomiędzy kopkami zboża. Szerokiem nos nie dostrzeżli. Obserwowaliśmy ich pilnie i mieliśmy ich na „musce”. Ale co zjednym korebsem stać wci przedko kilkunastu Ukraińców. Zechowali się się wiec cicho. Odwrócić się jakiś czas, a zniknęli nam z oczu, i potem ostrzeżenie ruszyliśmy ze ulicy w kierunku szkoły. Ale tam zniechęca powiaty nos straly. Znowu musieliśmy przypaść do ziemi. Wrocy trudno było rozpoznać kto swój, a kto wróg...

„Jakiś pół kilometra na zachód od szkoły, przy drodze na Jutory, w pobliżu murwanego domu Alwinskiego wymieszane są stare strzelanina. Z tej strony przeszedł banderowcy z kłbi i Cecywiórk. Ale obroncy kryjący się w murach domu i przygotowanych okopach, celując strzelaninami nie dopuszczali napastników w pobliże domu. Od strony północnej, po drugiej stronie wsi patrzy się czyjeś zabudowanie. Banderowcy nacierali. Ukryliśmy się w jakichś chaszczach i przeczekaliśmy tam do rana...”

... „Była to letnie, pogodna noc - do południa Stanisław Sekula. Razem z Janem Pelerką i Józefem Kysromińskim byliśmy na warcie koło

mezo domu. Atak z Horynki nastąpił nagle. Byliśmy zaskoczeni. Od poniedziałku pojechał, wraz z Anotem i sekretarzem śmiełkowem, czymś słabszym sygnat o napedie i innym plebunkom.

Benedekowicz odpadł najpierw do stojącego na skrajni futuru domu Piótrowskiego i podpalił go. Nasza grupa wybiegła na drogę. Pucielłowski ten serię strzał, ale zdołał się sobie sprząć, że nie ma wiele to się zdało. Wtedy go drugiej stronie zepaliły się zabudowanie gospodarstwa Janowskiego. Jego dom był murem, kryty czerwonym dachówką i ogień go nie brał. Ale palstwo się stodoła i obora. Nie szczęście wpadł się tam nie czoł i udało się ^{"zszar"} nam wyprześć z niej konie i krowy. Zdołał się sobie sprząć, że będziemy musieli się wycofać i zawiązać się podziwiać już w kierunku szkoły. Skończył się, i ptanie ten dom sławny, a także stojący nieco dalej - między domem i stodołą.

Pobiegłszy w tę stronę i przywrócić się ze Krakowa. Wpalił się zabudowań sławny kręsto się kilka postaci.

- Kto wy? - zewołaniem ptano.

- Słuj! - palstwo w odpowiedzi.

Krócej mnie pytaniem, poizgnaniem ze zpart.

nych strzelców. Jego głównym zadaniem było nie dopuszczenie nepartulców w pobliże szwały. I jak się później okazało, on i jego chłopcy nie darmo nawet nie marmurali. Byli słobnie przygotowani...

" Kilka słów wreszcie o moim następcie na polsku przedstawił doh mieszkaniec Włchi Rosjaniem Zimrenko. Wtedy przytoczono do kopania dodatkowych okopów w okolicy oraz wysunięto pieców obronny i karabin maszynowy jako zabezpieczenia Włchiem Gupkowskiego na Kolonii... obronny do same utrzymali się w okopach. Straty zostały o gólkach i rano.

Natomiast słobnie pleców AK - Mieczysław Strykowski - bronił Rybory od strony Katanburga. Również on na swojej plecówce miał słobnie współpracujących akowców, wśród których był też ruski żołnierz Kasza. Znał się on słobnie na żołnierskim remiośle, i słobnie był mu obcy i wszystkim do jego ducha doświadczył.

W trakcie działań wojennych, w końcu czerwca 1941r. został ranny, w Rybory wykrzował się i tu już na stałe pozostał. Zadeklarował też udział w samobronie Rybory i słobnie się z tego wyraził -
(żywał).

1/2 listu Sten. Błażewskiego

Był „prawy ręką” dyktowskiego (bo i jemu się
wcale nie zawadziło) i był dobrym kompanem
w obromie, a kiedy można sobie było one to poz-
wolić - to i przy szklance samogonu. A na szkl-
-nicę mu rady dać nie mógł. Ano - przewo-
mówię - nie wszystko znalazł się odpowiednio
i odpowiednio pora. Ale w czasie samobromy
był niezostępnym dla siebie i dla innych.

„ Po walce - o szarowce - Aktywny zespół wycofy-
wał się w stronę wsł. Tetylkowce, Fokowce, Janowce,
Honykier i Katerowce. Jeszcze wczesniej pozbięto
szeregi ranionych i zabitych „bojów”.

„ Po wycopaniu się banderowców zaczęto
przebiegi następstwa ich nocnego napadu.
Początkowo wszystkie okropny wiołek spłonęły po-
gonieńskie. Na portulaku podpaliło 42 budyn-
ki, które były pokryte strzechą. Spaliły się
one doszczętnie. W oborach i stadłach spalo-
to się sporo słobytka. Po domach pozostały
tylko kikuty kominów i resztki niedo-
palonych domowych sprzętów i mebli. Dla
pogoneńców było to wielka strata. Ich majątek
poszedł z dymem.

Natomiast w ludziach nie szarowce większych
strat nie było. Banderowcy nie odnieśli się
1. 2 listy St. Błazińskiego.

przystąpił do bezpośredniego sterania z bliska. Z ich strony była to raczej bezładna strzelanina.

Zamordowanemu został jako pierwszą ofiarą Piotrowski, który nie dając większej opuszczył swego domu i tam spotkała go okrutna śmierć.

Ponadto znaleziono w zbożu zabitego gospodarza Dobrowskiego. Trudno było jednak ustalić czyje kule dosięgły go tam. Widocznie w ostatniej chwili szukał schronienia w polu.

Okazało się zresztą, że w zbożach schroniło się więcej osób i tam przekabli do rana.

Trzecią ofiarą był Tomasz Grzelkowski. Znaleziono go rano, obok jego zabudowań. Był strasznie poparany i po tygodniu zmarł.

Widocznie spotkał w zabudowaniach - może stodoła - a po podpaleniu zdołał wygnieść się stamtąd i ostatkiem sił uciec z pola ognia.

I trudno się ludziom dziwić - swoje domostwo opuszczono z ciężkim sercem i do końca nie się do niedługo, że się je ocala.

Kolejną ofiarą napady był mieszkaniec Kolarów Włostowej, który od jakiegoś czasu przebywał w Rybicy. Był mocno pokiereszowany i co gorsze, rozsympiejący się gwałtownie oberwał mu rękę. Powieszono mu się tym, że ze strony

konsekwencje musiały być więcej zadłgane i rażące. Wskazywały na to liczne ślady krwi.

Na sejm mieszkańcy Rybicy nie oszczędzili się w dobre strzeżonej szkole, a uzbrojeni obronili w murawianych domach i w przygotowanych ekopach.

Niepodał ten wyrostek jednak miły strażnik. ~~Wielu mieszkańców~~ Wielu mieszkańców chciało natychmiast Rybicy opuścić i przenieść się do Knieżnia. Najbardziej molestowali ci, którym sponęły zabudowanie i którym powieśli najniebezpieczniejsze straty w obrotach. Niektórym strach miał cały swój dobytek. Ponadto do wyjeżdżały przyjeżdżały się biedniejsi gospodarze. Oni opowiadał własnego żywota nie mieli już nic do stracenia: ...

Na szczyście do większego apasowania Rybicy nie doszło. Dowódcą samoobrony - Franciszek Mlytkowski - przemówił do zgromadzonych Rybaczów i przekonał ich, że nadal zdołali się do skutecznej obrony przed konsekwencjami.

Zebrała się jednak mała grupa bardziej poszkodowanych i zdecydowanych. Przygotowali kilka wozów, załadowali na nie to, co jeszcze im pozostało i wyjechali do Knieżnia.

Pierw otwórz się jeszcze kilka tygodni postępowo Rybicy opuścić. Zorganizowali

niepełki łobor i wyruszyć w drogę. Ale młodszy
wybieranie postanowił temu wyjeźdowi zapobiec.
Okryzmoż drogę doleżał na górze jako Polow-
ków i tam przyuczył. Po jakimś czasie, kiedy
zza wązka wyłoniły się wazy wiekmiernu, do-
py - at tak - na postach trochę sobie postrelebr.

Odchodzący wypadane pomysleli, że to Bonole-
rowy zeszli im drogę i nie wiele myśle-
w popędem zawrócił do Rybory. ^{Przy pomocy} Fortel udebił się.

To też roku było poprzednie. Zbożu na polu
szybko dojrzało i ośi prosto się o sierp i kosę.
Bez chleba Anolno byłoby mścić o przetrwanie,
a chleb mielibyśmy jesnie w polu i nos najwyższy
była pomysłci o zbiorach. Tyłko, że do zniszc
wypadło nam rze z karabimami na plecach.
W każdej chwili musimy być przygotowani
do odparcia ataku Bonolewów, których kilka
złożyło się w białej szkieł.

Bonolewów drugo podejść bliżej do dźwigni
przewornie chomali się za bydlę parze się na
ścieruszkach, albo za kopki zbożu. Aby
się przed nimi jakoś ubezpieczyć, zarsze jodek
ze zniszczenia zostawał na warcie o bezpie-
obserwował pobliski teren. W razie czego
dawał sygnał, chwytaliśmy go karabim i
skutecznie odstrzeliliśmy napastników.

U publicy wsi uważamy się za wroga bezpodatki. Sta-
to miarą było gromy, jeśli czyjeś pole leżało daleko
za wsią. Ale zboże trzeba było zabrać i chleb na siemę,

Kłopotliwy Dobrowolski miał kamień ^{przygotować} pole
złote ze Katerburgiem. Dobrot zabrał kilku
uzbrojonych żołnierzy i wybrał się tam we dwa
wozy. Skończył podróż, podczas spożyciem po-
silkę z niemieckie na paczki z chleba i koniery.
Wymigrał się obustronnie szelentem, podczas
której bardzo ciężko samemu został wyprzedzany
Śląskami. Żołnierze zabrał zboża, zdążył
^{użyć} ~~zabrać~~ na wózie konajęcego koleczka i ostro-
żnie się na pastuszkach, oparł się paucę
powrócił do Rybicy. Dla mieszkańców był
to dodatkowy ciężar i poważne ostrzeżenie.

Jakoś zaraz po zimnach - koniery smę ołtę
opowiesi Stach Sekula - odczekał mały zlecycielowi
pozostawci powstałe po napadzie okropne
pooporelisko i rezultaty nadpalonego naszego
obcytku i wymiesi się do Kremienca. Zato-
clonatem na wóz parę worków śniegu wymłóca-
nego zboża i trochę smęj żywności, zabrał
odzież i siódmy Zofii i Rybicy poizwalszamy
nie dawsz...

„Wszystkich nas nie wybili“!
- Józef Kowalski -

CZAS PRZETRWANIA

Mieszkańcy Rybicy smal do końca lipca 1943 roku chodzili do kościoła w Katerburgu.

Niebezpiecznie już było na drodze, ale szli, bo tam w głównym ołtarzu mieli swój „Pietà“, którą uważali szczególnym mezbierstwem. Szli, aby wysłuchać kazania, które każdej niedzielę, do czasu mniej licznych parafian, wygłaszał ks. kanonik Dominik Wyrzykowski. On od niepamiętnych lat sprawował tu czynności proboszcza. Z tą świątynią i z nim związał się od lat swojej młodości. Jaki pamiętał najstarsi parafianie - On był tu zawsze...

Znał ty wszystkich. Obradził ich i świadoma nadawał. Potem przygotował do spowiedzi i do komuniści ich. Uczył jak należy być po bożemu.

Szli do niego parani, aby dać mu zapowiedzi i prosić go o udzielenie sakramentu mezbierstwa. Prowadził do nich na wszystkich uroczystościach kościelnych i państwowych ze łt niepoobległymi. Przez wszystkie Boże Narodzenia, przez wszystkie

Zmartwychwstania, Zielone Świątki i Umiebowoty-
pienia był ich ukochanym dusz pastorem do-
mowym, opiekunem i pocieszycielem, ich księ-
dzem Proboszczem.

Ale przyrost zły ros. Los okazał się niedo-
stronny - trudny mu było to uprost pozyc'...

- Czyżby Bóg tak chciał?!...

Był już bardzo zmęczony. Sterał brzochem os-
tatek lat i obramowywał wypadkami ostatek
miesiący i tygodni. Wiedział już, że trzeba się od-
uchodzić. To karał uczyć tej reszty jego niewydat.

Dla niego i dla nich niedość ces rozstania z tą
parafią i z tą świątynią; dzień smutku, a porutek
dalekiej, nieznannej mu jesare, czekał jej go wdrobka.

Ciężko mu było na duszy. Był to tydzień lat!
Tutaj mu było sprawa i jego parafi. Korbyst
odprawił mszę św. pabłogostent był, co do końca
wiersz mu był, w sekrecji pomodlił się jesare.

Polem wciąż stół, wstąpił księżom sutenemu wstąpił
swoją sprawą wstąpił broniare. Ale widział jesare
przed sobą. Zolał oleju do nieznajomego kęponka, aby
stał się jak najdłużej.

Po czym zajął "Pielę" i przywrócił ją mocno
do pierwi. Łaskę prawił Tę... Jej świątwej figury
nie wolno mu było pozostawić na postać losu!

Rzecz jasne skiem w kato - po świątym -
 Amoz mu zadrgała - upadł na kolano ...

Jeszcze tego samego popołudnia spakował
 rzeczy niezbędne do kapłenskich potrzeb i wy-
 jechał wozem do Kneviensca, gdzie znalazł
 miejsce przy kościele św. Michała. Przez pewien
 czas do Rybicy jeszcze przyjeżdżał i tu nie pod-
 obnie kamryśca Kłutobskiego odprawił mszę pańską.

Ale droga była niebezpieczna. W drodze z Kne-
 viensca musiał przejechać przez wieś Falworki,
 z której polskie oddziały walczyły przed barok-
 socent już w maju tego roku przedostały się
 do Kneviensca.

Dobrze było samoobrony Rybicy zagrożenia mieska-
 jącym tam Ukraińcom spaleniem ich wsi, gdyżby z ich
 przycupny cokolwiek z tego przytrafiło się księdzu
 lub Samosławowi.

Najbardziej jestem. Najniebezpieczniejsze nowego życia.
 Pewne wiadomości że światło dochodziły do nas wczepi
 z Kneviensca - wspaniałe Janek Mytkowka. Wię-
 dnie łobmy już o postępującej klęsce Niemiec. Wiedzi-
 łyśmy też że wraz z bronią Vernong szła uchronione
 w Sovietach Polshie wojsko. Zdemalszamy sobie sprze-
 ny, że wyzwolenie jest już tylko kwestią czasu
 rozostet nam nos metrowie. Ale centrum co
 pomimo ciężkiej brzozy

przed banolerowca, trzeba było zrobić jessare z pod kartofle i buraki i zapatrzeć się na medhochodzący zimny.

W czasie napadu na Rybny - opowiadają Jank-pomieszczeniowi dwie strony. Banolerowcy spalili naszą stodołę i oborę. Tam na szczybie ocalał. Był bowiem pokryty dachówką. U Sekuły też było poponełsko - sch spalili doszczętnie. Totiz stryjek Stepan Sekula zaledował na wóz tródę Lymosii, zabral wózek i siodła Zofii i wyjechał do Kriemienca.

Moja mama również namawiała ojca, abyśmy wyjechali razem z nim. Ale ojciec kategorycznie odmówił. Powiedział, że mieszkańcom Rybnego nie pozostani w potrzebie. Za ich losy on się do końca bardzo odpowiadał.

Mieszkałszy na kolonii, które była czynna w odrobinę ulicy, powstałej w wyniku parcelacji w 1936 roku, oddalony o jeden kilometr od szkoły.

Tam gdzie wcześniej stała stodoła i obora było strasznie poponełsko. Po zniszczeniu zwoje i stony trzeba było składować na podwórku.

Od tej pory spałszy w szkole, ale cały dzień przebywałszy w domu, gdyż mieliśmy jessare krowy i konie, a te trzeba było doglądać i ob-
czyszczać.

Każdej miłośnicy jeszcze miodły kłosa, ale wra-
sie napadu zabrał je handlarzy, a śmieć i śmieć
zptony w obone.

Zycie nasze płynęło w trudzie dnia i nieper-
nozi jutra. Wszyscy byli już kompletnie wyczerpani.
Stale osuwanie w dzień i w noc, wielki strach przed
napadem okrutnym najstraszliwszym.)

(Czerwony obrony nie miał ani jednej spo-
kojnej nocy. Bandlarzy pojeżdżał z róż-
nych stron, wiele razy przechodził nas zastawia-
jąc wstępnie do wsi. Również za dnia zdarza-
ły się mniejsze porywy i wymiana strachu.)

Pewną pomocą dostaliśmy znowu od księcia.
Dostarczył nam jeszcze więcej broni, ale na ko-
mendanta obrony przysłał swego osobnika - Jaks-
łojera Szrama, który wybrał kilku miodłych
chłopaków i zorganizował posterunek miejscowej
polskiej policji. Podobne posterunki powstały
w tym czasie również w innych miejscowościach.
Polacy to zaakceptowali, ponieważ było to pre-
le wszystkim powiększenie broni i polskich straż.

She odnowienie się od okrutnych samobrony,
miodły polszyciel został białym wronem opaki.

Pod koniec, kiedy front znacznie przybliżył się
Szram dostal od Niemców orkiest, wiele zabrał

broni i powrócił z nią do Knevińca.

Rybczom sikode było że broni stracił. Toteż zorganizowali na drodze zasadkę, chcieli bowiem że broni odebrać.

Szram jednak coś przewzchał. Wprawdzie zaledował broni na furmankę, wziął do osz-
sowy dwóch chłopaków, ale zaledwie wyjechał
ze wioski, zaraz zawrócił z powrotem.

Nie mając nic doświadczenia się Szrama, na drugi
dzień przyjechał samochodem i bronię zabra-
li. Bał się pozostać w rybczom. I nie
bez racji. Front był coraz bliżej...

Przełotyte jesieni i mroźne wiosna i
śnieżna zima. Nadchodziły święta Bożego Na-
rodzenia. Bielą miazg wchodził na szczyty, me-
lował lasy i kwiaty, za oknami białozzółta
zamięta.

Kiehorami schodził się sąsiedzi i przy cza-
sowych piecach otęgo gęzderki. Mema pie-
kła smaczne podłtomyki z rucanego ^{ciężkiego} ~~ciężkiego~~ i
gotowane pierogi. W dzbie pachniało czerwkami,
cebule, smalcem i serem. Robiło się ciepło i
wesoło. Opowiadało sobie różne ciekawe histo-
ryjki, wspominało przedmijające lata, spie-
wano piosenki. Starsi przepędali i przysze-

ozali broni, predstali smertu. Chlopaki pr-
dzili samogon i rozgladali sie za skierowaniami.
Dziwacny soboty swietny, szaliki i szkarinki.
Wszystkim chcielo sie zyc normalnie, spokojnie,
bez obaw - po ludzku.

Ale kiedy roku 1943-44 nie bylo nadziei.
Wszyscy odumiali frakterem wlosny i lato i tego
roku. Opleteli olawiczanom - Kremeniec. "Oby
Bog dal spokojnego zycia olawickim - zyciu sobie

Ale z nami co przewidzia wplywka zima
dawała sie mocno w znieki. Ostro samoz
zaglydali do naszych dozdow. (Sta lere to rozij-
niec sie za opatem.

Jakoi pod koniec stycznia 1944 r. (trudno to
już dokladnie ustalic) wybranie przygotowali
kilku dni i wybrali sie po dnu. Wokolicy Kne-
mienca bylo kilka hektarów lasu nalezacego
do dawnego majtku Liceum Kremenieckiego.

Tabor wprusyl z samego rana. Droga byla
olawa - smieg byl stwardy, zbity. Na kazdych
samoch jedlato po drodze wzbrony gospodarny.
Tęst mowz dawał sie tam mocno w znieki. Dla
rozpuszki imilo pa pionery i zolche gawdzili.

Chceto godziny, chwileci widzieli przed soba cieni-
ny smugz lasu. Pomyśliali - poprzedzali kamie.
Les byl już tuż, tuż. Już mieli zbawic na lesny
poboy.

Ale nie mogli już dalej wjechać i zabrać się do
 cichej strony. Bonim na konwojuie dostarczył jakiegoś
 obywatela, nie rozpoznałem, ale widziałem tam to
 nie dobitnego. Jakby było czołowe do strażnicy. Trzeba
 tam było od razu zwrócić się do powiatu. Niestety,
 nie zdążył wypełnić sobie obowiązków, ale szybko zna-
 leźli się z ^{znajd} ~~powiatem~~ Rybny.

Właśnie tego poranka - opowiada Janek Słyszowski
 razem z moim bratem wybraliśmy się do naszego
 obywatela po słomę potrzebny do oprowadzenia inwentury.

Wkrótce na start i nagle zobaczyłem, że na drodze
 ciągnącej się od Tetyłkonia i widać gozdarę się jakiś
 obywatel tabak. Cóż to waleha kierowała się w stronę
 Kelenburga.

Szybko uświadomiłem sobie i pobieżnym zwrócić
 oświe. Wkrótce zrobił się ruch. Wskazywały się syme
 alarmowa. Mieszkańcy futerka zabierali co mogli
 i w pośpiechu opuszczali swoje domostwa. Obrosły
 w ^{w mię} rozłożeni się na swoich plecakach i szukali
 się na "przyjaciół gośd". Wszyscy stępnęli w pogotowie.

Wymieścił się w centrum, wskazywał i wkrótce
 murawnych budynkach. Tu było bezpieczniej.

Powoli zaczął zapadać zmrok. Mieszkańcy
 ponownie morze wyleżeli na obywatela. Z niekim nie-
 pokojem oczekiwanie ewentualnego napadu kon-
 woyarskiego.

Na skrajni wsi od strony Kalerburga zgromadzi-
li się najlepsi strzelcy i komenda obrony:
Myszkowski, Mysłowski, Nierwiński. Było już około
czwartej, ścieżka się coraz bardziej.

Ktoś nie wytrzymał nerwowo i puścił pierwszy strzał.
Potem krótką serią puścił Kozienka krótką ob-
szarą teleskopową eskeem. Wtedy od strony Kater-
burga dokoła się słyszeć głośnie wotum:

- Nie stralaj! Po czemu stralajesz do żołdatów
sowieckoj armii. - My partizany!

W chwili potem, zwa wycie, w świetle księżycy ukaza-
ło się dwóch żołdatów z przystraszonym do siebie
luzakiem. Z daleka wymechwali białą flegę.

Podjechali prawie pod samą wieś, zatrzymali się
około stu pięćdziesięciu metrów od nas. Rozpoznały
się, doharany!

- My ruska partyzantka! - wotum - nam trzeba
przejechać przez waszą wieś!

- A skąd możemy mieć pewność, kto wy
jesteście! - odkrykujemy.

- Popyślijcie swoich delegatów! - to poradzamy! -
odpowiedzieli przybycie.

Ja pójść do nich. pomiędzy Jan Dobrowski -
tylko uważajcie chłopcy - gdyby chcieli mnie porwać,
to stralajcie do nich celnie, se uważajcie czego, to
i we mnie,

byde mnie tylko żywcem nie wzięli!

I poszedł do nich sam jeodem. Spatkoł się z utrud
oko w oko. Jego oddech - być może - zatrzymał
woda sm. Ale chciał słobci, "tergu".

Pogadali, podumali, uśredzili się. Potem razem
- Dobrowskim przybył nie skąd wst i zatrzymali
się przed nami. Byli w ruskich mundurach.

- My ruskie partyzantka - mówili - musimy ro-
bić podaci rze. Słyszełszyśmy że na was napadają
bandy ukraińskie. Reżem będziemy się przed ukraiń-
kami. Wpuszczcie nas do was, dajcie nam nocleg
i karmy dla koni.

Zaczęły się obopólne negocjacje i rozmowy.

- Jest nas sporo oddział - Amierdzili przybył sze-
ste nie macie się czego bać. My ruskie, wie-
ciecie od was nie grozi. Jutro pojedziemy sobie dalej!

Przybył mówili jednek znanym nam, tutej-
szym dialektem i to ich zdradzało. Kie upi-
stomy sm od początku, oczulimy instancje, że
nie są ruskimi partyzantami. Mielis-
my się nie bacznośi.

Janek ukraiński obrzwał ich obokota. Objezat
ich konie, ubiór i uzoly. Przyjeat się ich straconu.
Zobowato mu się, że już ich gdzieś widział. Może
we wlymie u Wancztonie, albo u Ksiandru?

Może na targu w Katerburgu? Jak Amene wyde-
wały mu się jakieś takie strojki, butelki?

- A może ich jedzątek przepuścimy? - wywróciło się
któreś nusi z gospodarzy.

- Nie wiem co mówisz, nie pamiętam kto owsy!

- zapomniał Matuszko. - Chyba że po naszym trybie!

- zerołat dmytojęce zebrań.

- Tak my wejściemuy się! Nas mnogo! -
mudli poprzyk.

W tym momencie Franciszek Jeroszewski, dwo-
dzycy pleców przy szkole, puścił serię z automatu

- Tak co ty! My przyszli ugadzić się z wami.

Pozwólcie nam tylko przemocować u was. Mroz
niekt, a my pomoszl! - mówili już gwałtowniej
przybył.

To propozycjonalnym im spotkanie na dzień
następny. - Przyjdzie w dzień - jutro rano!

Na tym stanowisku i tak zeszły się wreszcie. Ale
przez całą noc sponie już nikogo nie brzo.

Wszyscy czuwali, wartowali przy szkole i na pleców-
kach. Z niepokojem oczekiwalnym posrenka i

wyznaczonej im godzinny ponownego spotkanie.

Jednak nikt z "ruskich partyzantów" już się
nie pojawił, jakby się ows podzieli, nie wie
nie wiadomości, miesiącodny jutrośw bels
się jeszcze wrzuci do strodz olombu.

Jak się później okazało, był to spory oddział banderowców. Noc spędzili w nieszumnych futarach, nie dalej jak kilometr od nas. Nie odważyli się jednak brnąć nas ślad. Jak widać zbyt długo odważą nie opuszyli. I bali się stawić z nami do otwartej walki. Dźwięki Anaroidę postawie i zimnej krwi obserwów ^{i tym razem} ~~Rybo~~ ocabala.

Ale banderowcy według polskiej krwi postawili znaleźć alle siebie tańszej cel i wreszcie wreszcie wreszcie wyruszyli w drogę. Obserwator nie mógł dostrzec, jak się taboer omijał Ryboz od południa. Pojechali w kierunku Horynki i Woli Rycerskiej - podjechali do Wodnuduca. Wiedzieli, że tam, ze wysokimi murami starego klasztoru ukrywały się nasze polskie oddziały, które ścisnęły ~~tam~~ na zimę, uchodząc z okolicznych wsi i futarów z całym swoim dobytkiem. Banderowcy wiedzieli tam tańszą zolobocz i wiele ofier. Postawili się niepaść, a właśnie zolobocz ich podstępem. Walki wreszcie walczyli...

- Mnożo wiele czasu - kontynuował Janek swą otępszą, obromalyczną opowieść. - Nie wiem - tydzień czy może więcej? Nie pamiętam dokładnie?

Ale była to niedziela. Wsupcy byliśmy w domu. Mamo robiła coś w kuchni, spieć ubierała się

świętecznie, srykował się do wyjścia na jakąś masochę,
a ja z bratem goniliśmy się po podwórku.

Nawet z sąsiedniej ulicy, z kierunku Katerburga,
usłyszełbymy jakiś straszny krzyk i głośny la-
ment. Ojciec wyjechał przez okno, dmuchając 10-ciu
strefowy automat, który miał po bracie Steciu,
i pojechał na przelaj przez pole do sąsiedłów.

Zobowiązałem się już tam grupka rybarzy, a wśród
nich ^{stęży} dwie córki pana Stejskiego, które mieszka-
ły w Hłódniowcu. Przybyły stemtył ze swoim dzie-
ciem. Były skropnie zalesperowane. Spazmatycznie

słuchając opowiadały rybarzom, co owej nocy
wydarzyło się w kościele w Katerbur w Hłódniowcu

Ocalaty dlatego, bo jakby coś przetrwało, mi-
mo ostrego mrozu nie poszły wtedy na noc
do kościoła, lecz ukryły się z dziećmi w grobowcach
na cmenternu.

Ci fałszywi sowieccy partyzanci, którym nie udało
się zdobyć Rybory, przybyli do Hłódniowca. Był to
jakiś upourski oddział, uchodzący przed naciosa-
jącą już Armią Czerwoną, nie teren Wołynia.

2 lutego 1944 roku Sowici zajęli Luck. Bandziurcom
grunt palił się już pod nogami. Uchodząc,
mordowali pozostałych jeńców na Wołyniu Polaków
~~A takich strasznych morderstw historii jeszcze nie~~
zmała.

W takich to dramatycznych okolicznościach minął styczeń i luty. Zbliżył się front sowiecko-niemiecki. Ale Polacy w Ryborze byli odcięci od świata. Niejeszcze nie mieliśmy i o naszym nie słyszeli.

Jakiś pod koniec lutego pojawiły się tam wojska sowieckie. „Wyzwolili nas Armia Radziecka - mówili dalej Jonek - i co by tu nie mówili, powielili nam się trochę perniej. Wtedy radzieckie od razu zaczęły ścinać banderowców, którzy od tej pory znów musieli kryć się po lasach i nawet wydawało się, że już o „Lachach“ zapomnieli.

21 marca 44 roku wyzwolono Kremieniec. Wtedy przyjechał do Ryborzy starszy ukraiński na komisji i przywiózł „przykaz“, aby wszyscy mieszkańcy Ryborzy od 20 do 50 lat stawali się do dyspozycji władz sejmów i Selekckatach (wale mapka)

Ryboranie nie mieliś dotychczas zyciowym nie chcieli umierać razem z „przykazem“: Było to ^{tak} jakos małe, zaraz po przejściu frontu, że trudno było ^{im} w to umierać. Zachodziła obawa, że banderowcy mogli to upozorować i chcieli najpierw między innymi wyciągnąć upole i tam bezbronnym wymordować, a później zrobić to samo z kobietami i dziećmi w Ryborze.

Aby się upewnić, że to nie był podstęp,

obaj dowódcy samoobrony Mytkowski i Słysz-
kowski zaraz następnego dnia pojechali do
Kremiencza do wojskowego komisara po ddatko-
we informacje. Dowiedzieli się, że wiadomości
jest prawdziwa.

Wszyscy mieszkańcy wsi zebrali się na placu
przed szkołą. Mężczyźni podlegający mo-
bilizacji w otoczeniu tam, miłek i skieci sta-
li wśrodku. Ciężko tam było rozstawać się.
Byli tu wśród napastających wsi band ukra-
ińskich, ale Bóg dał, że się obrusili. A
tu raptem mobilizacja. A tu raptem
mobilizacja. O broniom wsi trze było m-
zwać w nieznanie, a wisi i swadch bliskich
zostawić na pastwę losu. Kto ich teraz be-
dnie broni? Ludzie biedny uolniali i spa-
żegnalnym spotkaniem płekali.

Słysz stronił z broni. I tych co mieli
pozostei poleciał wybrać zamyk wsi. I wyb-
orono tych samych, którzy do tej pory stali
na ciele samoobrony: Marcin Słysz-
kowski - Słysz - i Franciszek Mytkowski.
Oni zekombrem słysz powiedział: „Nie
plećcie żony, nie plećcie matki, nie plećcie
dzieci. Jedem tylko Bóg wie kto znas wal-
ności docreka i przeżyje. Czy teno solnie

na wojnę, czy ten co we Wtasnymolomu zostanie?⁴
Następnego dnia tj. 23. III. 1944 r. w sprawie
mężczyźni podlegający do służby wojskowej,
& myśl tego mobilizacyjnego zarządzenie udebi
się do Szolerkat oddalonych od Rybory
o 30 km. Tam - po zarejestrowaniu się, i oba-
slaniu przez Komisję Pokorony - udebi się do miej-
scowego Kościoła parafialnego.

Intencji pokoronych została odprawiana
msza św. przez dwusznego proboszcza księdza
Józefa Kucyńskiego. - podjętego skazania
przez sądy ZSRR ze ustrzeżeniem dem wstany
katolickiej i organizowanie samobrony.¹
... " W czasie mszy św. został słowny pokrepienie
Chlebem Eucharystycznym i ciepłym słowem przez
księdza proboszcza. Następnego dnia uszył-
my w obóz. Najpierw został słowny skoszarowaniu
w jakiś wst jako Jampala, już nie terenie ZSRR.

Po kilku dniach - badejże 10. V. 44 r. - zoste-
ł słowny zaledonowi do uępnów i odtransporto-
rowani do m. Sumy, gdzie mieścił się pun-
kt zbiorczy " Polskich Sił Zbrojnych " ...

1, Wadł. Komemowski - "Katolice Dni" - str 82. Samo-
obrona w Szolerkatich zorganizowana i dowodzona
ks. str. Józef Kucyński. On ogólnie liczył 1200
katolików struty parafii wprawy kilkuset osób.
w knieckie zgonu zamotowane 200 osób zamorob-
kowych w tym 50 dzieci " ...

Tam każdy z poborowych, stosownie do swych
predyspozycji, otrzymał przydział do jednostki
i wyruszył na front¹⁾. Stał tam Mierucki -
poborowy ze wsi Falwarka, wspomniany w
punkcie zbiorowym w Sumach spotkaniem z
osadnikiem wojskowym, który u niego swoje
specjalności i posłużył mi dobrą radą. Gdy mu
się zwierzyłem, że myślę pójść do szkoły oficerskiej
politechnicznej, on rzekł: "Radzę panu - nie chodź
po to. Oni będą panu wyci markizem i
kuratorem, a to do czego dobrego nie prowadzi!"
Dziś jestem szczęśliwy, że go wtedy spotkałem i usly-
chałem. Poszedłem na front jako zwykły żołnierz."
...²⁾ Kopycy przed wszystkim meżozem - oddaje
znowu do Jankowskiej - prawie wszyst-
kich meżozem zolnych do służby wojskowej,
a także kilka męskich dzieci zmobiliro-
wano do polskiego wojska. We wsi pozostali już
tylko starcy, kobiety i dzieci oraz podrosta-
jące młodzież. Nasz obrotowy, członkowie AK i
samoobrony zostali zdmierzani i posłani na front.
Jedyną pociechą było to, że ojciec mój i
siołtyś Marcin Mierucki oraz Piotr Kłopotowski
mię posłali do wojska. "Rejon" w Deolerkatach

¹⁾ z rezerwy Jankowskiej.

wyznaczył ich na większą władzę. Oni nie mieli spiskować się pozostaliemu w Ryboży miész-kercom, pólnowi porządku i wypełnieniu polecenia nowej władzy.

W jakiś czas potem, przed inspektorem Wielkocanym - ałanem w Wielki Tydzień - wszyscy Aniej zostali wzmiankowi do "Rejdu". Trudno wie-
dział, ale dzisiaj sądzę, że był to podstęp Ukra-
jinców. Wiemy, że porucali stamtąd w Wielki
Piątek. Ale chyba coś przewidywali, bo nie po-
jechali najkrótszą drogą przez Katesburg,
lecz wybrali trasę nieco dłuższą przez Włdy.
Jednak odwieź i tam okazało się, że nie zarabka.

Daremnie na nich czekaliśmy. Doremnie
też sornicy zdaniem sukali ich przez dwie dni.
Zresztą, czy ich rzeczywiście sukali, tego też
trudno powiedzieć. ~~Wobec~~ ^{zanim} ~~przyszedł~~ ^{poszukiwań}

Wreszcie ktoś przyniósł informację, że tego
dnia wlokano ich we wsł Włdy. Wszyscy Aniej
zajęli tam śmiecię męczeńską - ^{strasznie} ~~mówiono~~, że

~~podobno~~ wszyscy Aniej zostali ukryci.
A był to Wielki Piątek!... Ciężko sobie nigdy
nie zostały zabrane z miejsca bezu - nie
było na to sposobu...

I tak - kartony Jonek są smutnym opowieści-

pierwsze kilkanaście świąt po wyzwoleniu musiałyśmy spędzić w wielkiej złości i płaciu. Szczęśliwie je rozpaczałem. Ważnym momentem obrazem przed oczami obraz z dnia ich nieszczyśnego wyjazdu do Siedlca i wzajemne machanie rękami na pożegnanie. Stałem wtedy za naszym domem i przyglądałem się jak wyjeżdżali najpierw wóz do wyjazdu, a potem ^{ich} odjeżdżali. Nie sądziłem, że było to pożegnanie na zawsze.

Po tej strasznej tragedii ciężko jeszcze wyjeżdżać z domu - wychodziłem z domu i patrzyłem w kierunku Wilna. Ale nie dostrzegłem... Czekając cały rok, aż do następnej wiosny 1945 roku. Ciężko zdołało mi się, że oni jeszcze wrócą i ~~stępo~~ nie mogłem w to uwierzyć, że "je już nie mam dzieci"...

Żałuję, że trudno uwierzyć, że Rybca, ta dziewczynka, w tym czasie nie przeżyła przetrwania piętem miesiące i rozpaczy okres wojny. Przejście ostatnich dwóch lat w okresie samobrony były szczególnie trudne i niebezpieczne. Aby te lata przetrwać, rybczanie musieli wykazać się wielką siłą woli i hartem ducha. Ciężko nam było, ale Bóg dał - że przetrwali...

9 maja 1945 roku zakonczyła się wojna. Ale właśnie wtedy przyszedł na nich czas jeszcze jednej Amalnej próby. Z ciekawym serdem musieli podjąć decyzję oopuszczenie nie zawrze swatich domów i ziemię swatich przodków, na której się rodzili, rośli i wychowywali swoje dzieci. Ze swatich gwiazd odliczali jak płasko, ale tam pozostawili swoje serce...

17 maja wymieśli się najpierw do Kremieni-
ca. Tam się wszyscy "skryknęli" i razem ze
swatim krzydłem Doruszkim Wymykorzkim wsie-
dli w pociąg i pociągnęli na zachód, na ziemię do-
zyskaną.

Wysokie stopy parka rybaczon znajdują się w Młko-
sycach woj. łódzkiej; we wsioch Jerzmanowice i Czer-
wikowice koło Żelazny i woj. Łódzkiej; w Szarotniku
i jego okolicy, a poszczególne rodziny rozsiene
są w różnych miejscowościach w Polsce, gdzie powstał
ich żelazny las.

Wszakże najmniej rybaczon wraz z ks. Wymykor-
zkim osiedliła się w Młkosycach. Krzyżak objął
tam parafię i nadal był ich proboszczem. A
przywiązany ze sobą figurę M. B. Bolesnej An. i Półki
postawił w głównym ołtarzu kościoła św. Piotra i Pawła.
Co roku w dniu 15. IX. wypadła święta M. B.
Bolesnej!

Zawsze był to dzień odpustowy. Tak było w Ka-
lerburgu i tak wprowadził ks. kanonik wally-
kosyccch., kiedy objął ten probostwo. Jednak
stała się jedna wielka kryzys. W 1962 roku,
po 50 latach kapłaństwa ^{nie wiedząc czemu} wyrzucano go z tej
parafii ~~w Wallykosyccch.~~ Po trudach swego życia
19-XII-1967 roku zmarł w Althaldens.

Dawno jego parafianie skieśli go mieć u
siebie. Pochował go na miejscowym cmenterny
w Wallykosyccch., a w presbiterium kościoła św.
Piotra i Pawła, ku jego celi u mianowano ufundolo-
wany przez parafian pamiątkowy tablicz.

Ale to wybraniem nie spryjał do końca.
Ksi. wiedząc o pewnym nowy kryzys przesterst, Piłt
do bożnego ołtarza, u meto młodocymym mierzni.

Na zwrócony uwaga wyborca, obiecując ks. pro-
boszcz miał nekamo odpowiedzieć, że nikt nie
będzie mu dyktował, co on ma zrobić.

"Jest to pykany incydent i wybrawszy to
bardzo boli." Każde nie podchodzi - rozdziel-
nych stron jest im droga, a "Piłt" traktuje
jako cenny ielski. Tym bardziej, że do tej
młodzi Berkii; Bolesnej nie boli się zawsze o pomoc
i obronę. Jij to i codziennym modlitwie, które
rozbramiewale co niecier w szkole zuchowcają,
(swoje ocalenie...)

- Stwierdziłem Horosłocke i Zofie Sanecka. A jakże
nie wspomnieć ^{jeszcze} ~~ostatniego~~ wójty Katerburga - Jęka
Kudłickiego oraz jego żony i córki, ^{Remoty} które mu-
zyły obrametowane lato na Syberii. No i ta
szara szkodliwa brzo: Fuolalscy, Marsonie,
Kymbiełkowie i cała masa pozostałych, którzy jako
najbardziej niepełni do somechich wódki 10.
lutego 1940 roku w bysłpach wspaniałych wyruszyli
na syberyjskie szlaki. Ich losy warte są osob-
nego opracowanie. Ich losy godne są naszej
pamięci...

„Opuszczali swe strony rodzinne,
Wgromzani, drogami polnymi...
Wędrowali się smutnie dziwnymi,
Choć ich losem tułaczym, nad miarę...”

Wnosili ze sobą wspomnienie,
Tamten błękit - i zaśpiew kresowy.
Zostawiali spalone chaty,
Kobacił stery i olwór modniejący...¹

¹ Stęży nieznanego autorstwa. (E.B.)

„ Miejsce gdzie się człowiek rodzi, miedli, wychowuje, gdzie
tkwią jego korzenie, staje się na zawsze 4 kresnością jego serca
o tym bliższą, gdy zmuszony jest iść zdalek od niego”¹⁾
- ze wspomnień Kresowianki -

ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI ¹⁾

Rozproszyli się Kresowianie po Polsce i po szeroko-
kim świecie. Od czasu wojny wymieniłi wiele kalem-
daray. Oddawali swoje dzieci, nauki im parosty, a
swoje przygasty i słony postawiali, - ale jeszcze kne-
puy, jeszcze młodek na dachach i zawsze chętni do
rozumu i do osobistych zmiereń.

I ci ze stolicy powiaty, których pradkowie spo-
cynają „ tam gdzie tkwią płynie”, i ci z pom-
niejszych miasteczek, wsi i osiedli, stopniowo odnaj-
dują się, wygnanecki z siebie stare fotografie, pu-
gledy zapiski i dokumenty. I chociaż by o mozi-
nie myślał już o powrocie tam, gdzie spędził
swoje dzieciństwo i swoje młodość, ale czynią to
jednak z lekkością ze utraconymi rodzinny
zakochaniem, ze zmemym sobie białokiem i obopem:

¹⁾ Rozdział ten opracowano na podstawie
szeregu fragmentów z listów Przyjaciół i kole-
żanek autora.

Cóż tam dzisiaj pozostało? Tylko wspomnie-
nia, fotografie, dokumenty i listy. Ale są to
listy, które pisane u przychylił natchwieniem i
głębokiego sentymentu same u siebie stają się
przedstawiają literaturą. O to dla przykładu pozwól
sobie przytoczyć to jeden z tych listów, pisany przez
byłego vicekonsula Kresniemba Jeneo Osofofowa, do
pierwszego po odkryciu mi podległemu wójcie Kelenbergo
- Kestmiera Kureje. A jest to zarząd list, jakich już
dzisiaj nikt mi pisze, list pełen serdeczności, zięci-
wości, a nawet wzruszającej muzyki i poezji:

... „Drogi Panie Kestmierze! ^{1966 r.} Wersura 16 marca
Jest zabobny wieść i przypadek, na ochotę napis-
zeć do Pana list. List, który będzie jakby ostat-
nym moim rozmowy naszym u Zebieniu
z przed kilku tygodni, gdy po wielu latach
mówienie się naszego, wraz z moją żoną Karoliną
odwiedził mi.

Zdziwił bardzo, że dopiero teraz zdecydowanie
się me odwiedzi u Zebieniu, choć to lek mi
daleko i nie trudno tam dojechać. Nie wybra-
łem się wreszcie nie dlatego by Pan i jego był
mnie nie interesował, lub bym nie uważał
moje ciekawego u takiej wycie. Wprost
przeciwnie - bardzo cenię sobie ludzi dawniej

mił znanym, ludzi z którymi w takim czy innym okresie życia denem mił byto współpracować.

Kiedy jednak, i bytem zawsze nieco odmienny, a nawet bardzo odmiennym od innych, i osobie mojej mił bardzo specjalnego zainteresowania u innych, o ile tego zainteresowanie mił nakażywały proste stosunki współpracy czy współpracy. Dlatego wydaje mi się zawsze, że mi wielu ludzi moja osoba interesować może i mi sukam, czy też nie odnawianiu kontaktów, choćby mi na nich zależało.

Pomysłkiem jest jednak, że żałuję, że tak długo zdaleka z odmieleniem Pana, żałuję, że gdy znalazłem się u Pana, gdy zobaczyłem Pana, gdy bezpośrednio zetknięcie wskazało mi w umyśle zastygnięte co w pamięci Pański wykład, Pański charakter, Pańską zawsze słabość i zawsze oraz zmysł praconości i troszenia - to widać mił pamięć wielu rzeczy, i spnie, i wspomnień, które czas, ten **czas** nieubłagalnie płynący, jakby już niemiernym, zbył odległym do domu dalszego uderzenia.

Gdy mówił Pan o drogach, które prowadzą, zbiornym wyświeceniem bułoniem,

o szkockach wzmożonych po wszech lokalnym wyrost-
 kiem, i ze społecznej inicjatywy, o słowach ludowych,
 czy innych publicznych dobru służących obiektach-
 wówczas, a także przez dusi następne wszystko to
 starało mi na nowo w pamięci i wytłamał się
 z jej zaobrazd obraz tego dzwonego, jak na owe
 czasy krzemienieckiego powiatu, który wtedy za-
 wsze pełnem życiem, zedkładał miarę innych
 swą inicjatywę społeczną, i były wartościowych
 ludzi na ówczesne czasy, a zarazem i na teraź-
 nijsze - wydat.

Spotkanie z p. Julianem Horodeckim do same wra-
 żenia mi doło. On, zawsze przed laty wimiechnięty
 i dobry - takim samym i teraz pozostał. Pan
 z nim Anonimicznie przez szereg lat wówczas ja-
 kąś usupetniającą się bardzo parędziałową,
 w tym samym stopniu realistów, jak i idealistów,
 jeśli choćby tym miarom określić ludzi zawsze
 gotowych do działania i współdziałania w społecz-
 nej i państwowej potrzebie.

Jakie żałuję, że zastatek Pana mi w zdrowiu
 chwytym, jeżeli Panu zawsze dopisywało - ale
 złożonego na łóżku długą i poważną chorobą.

Niezmiernie i serdecznie Panu współczuję Panie
 Kazimierzu w tej trudnej sytuacji, gdy Pan

tak oznomy człowiek zmuszony jest do zupełnej
bezczynności. Ale chyba się myli, mówiąc o zu-
pełnej bezczynności, bo i maluje Pan nadal
chyba od czasu do czasu i pozostym myśli Pan
niekiedy. A myśli, myśli - to też strony, to też dzie-
ła ludzkie, dzieła człowieka. Myśli są nieuchwytnie,
nie materialne, oddają się i jakby znikają bez-
powrotnie i bez śladu, a jednak one są energią
całkiem realną, choć jeszcze może nie doświ-
czono zbadania i zdefiniowania. Myśli są ener-
gią, która przenika w dymach, w słońcu i w ciele
przyrody i rozprzestrzenia nam bliżej jeszcze nieznaną
działalność na same energie, zapładnia same dzie-
łanie.

Naprawdę myśli Pan dużo, nie mając moż-
ności działać. Gdyby te myśli Pan sam, czy
ktoś inny zapisał - słiz ciemnych niezmiernie
obrazów by się z nich wyłoniło! Dobrze, że Pan
maluje - gdybyś obok Anny plastycznym je-
kimś Anny literackim Pan wydał próbowe?...
Sądzę, że z nadchodzącą wiosną, a potem w le-
cie stem Pańskiego zobrażenia będzie się znaczenie
poprawiać. Czy pamięta Pan pewną Rozę Daily,
która parę razy przyjechała do Kramienia
i powieści, a nawet ja już tam obwoziłem i roz-

ne meory pokazyvali? Ona v ostatných letech
byla niekoľkokrátne v Polse a v Krakove s ňou,
Príbyvate na zaprosenie Ministerstva Kultury.

Sikoda, či mi zamestná na jej prízor v tým
zoku, pody zadržbym ja do Pasa a vedlyg tego
co mi sama spomiedala, moztely u podobnym
jak Panskie cierpiemiu duzo pomoc, alebo navest
uleczyt zapelnie, jak to robite z domym. Mysly,
ze Pam som cie spiemie z pomocg lekary nasych jed-
nak tez vkrdke pakona. Tyas tego Pam jak-
najposiej.

Ja s rozpisatem si dykt temu, ze uskopo v do-
mi akunt niema a mam nastoj. Beho mid
Pam trochg lekary. Kobuc, serdecnie Pasa poz-
chreniam a presytem ucato mania ozrek alla
McDonki. - Jerry Asortort - ...

Po okresie mladonogo pad niaku zalicenie
moiemu si porbiense, a jednak zhrisemuy
si autentynomie. Po dni, po ty, po kilka a
kilkanesie oib a od nova poznujemuy si.

I rozevamy myslant do nasych zalehanych stron
a do nasych mto skientoych lat.

Ze szeregdlumym sentymentem oznis to Bia-
tozboranie. Pisyg listy, wspomnienia, sdnie-

skazują się wzajemnie, opowiadają swoje dzieje.

Listy pełne głębokich wzmuszeń, sercem i łzami przesane, nadsyłały moje dawne szkolne koleżanki.

... „Już 47 lat mijają, gdy opuściłem niepokojem o życie, opuszczając Biatoróżkę. Ale jakie czuło, gdy tylko mam chwilę wytchnienia, pomyślam o niej i zaraz widzę moje rodzinne strony. Chodzę po polach zasianych łanami zboża, pustykanym makami i chlebami - ~~siły makatka~~ ~~które haftowała moja mama~~ - i tak to przesyłam, jakbyś na pewno tam była”¹

... „Biatoróżkę danytam zawsze wielką miłością, odważyłam się nawet porównać ją do swoich służek miast na świecie, które pozostają w strachu wojennych i powojennych latach. Ale w tym porównaniu Biatoróżka zawsze zwyciężyła. She mnie miała ten niespotykany i niezapomniany urok. I trzeba było, żeby upłynęło tyle lat, aby przekonać się, że lekkość i delikatność odgrywa tak wielką rolę. Dostaję się samo wspomnienie o Biatoróżce - płacze mi się”²

... „Tam w Biatoróżce pozostała część mojego życia i bardzo często pojawia się myśl i tęsknota tam. Tam przecież urodziłam się,

¹ z listy do Anny Stwierckij. 1991 rok. z Biatoróżki.

² z listy Helli Kame. z Toronto - 1990 r.

tem przedstawił swoje najpiękniejsze dziełko, tem chodził do szkoły i do katedry w Rodnie, w którym byłam odznaczona i w którym pomyśleliśmy do I. komunii świętej. Tam należało do kościelnego chóru, który prowadził organista Siemiński, do Katedry Młodzieży Wąjskiej i do chóru teatralnego, które zorganizowała pani Kapitanowa z KOT-u. Tam podawałem swoje manuskryty...

... „Po 17 września 1939 roku przyszła na nas czas grozy. Od zaprzyjaciwionego z nam Ukrainca otrzymałem informacje, że należy stamtąd jak najprędzej wyjechać, ponieważ w Polakach „będzie źle”. Wyjechałszy do Huszty Wielkiej. Zamieszkałszy na kolonii, pod lasem, u mojej babci.

Zastępy dla nas ciężkie czasy. W lutym 1940 roku pojechał pierwszy transport na Sybir. A potem jeszcze drugi i trzeci. Nas jednak nie wzięto. W marcu 1941 roku osiedliliśmy się w swoim domu i pojechaliśmy na poloję, przez pola, aby jeszcze raz zobaczyć swój rodzinny dom, naszego osiedla „Weteranów” i choć z daleka spać na Biatozdrku.

Ale nie tam nie zastaliśmy. Z naszego domu nie pozostało ani śladu. W naszym

sadnie zostały wycięte wszystkie drzewa ... i wszystko zostało zezarane.

Do najbliższego dnia mam w swojej pamięci ten smutny, przetymany widok. Z tego wszystkiego, co tam na sadnie ponos pozostało, zachęcałam kompletną cudzą. Z ciężkim sercem porobiłam do "Hutka" ...

...,, Proszę, alym kiedy wlecie wpedić do siebie. Za zaproszenie ślicznie, ale mam krowę, parę kurczek, więc jęstem uwiązana w domu. Latem trzeba krowę poić i siano na zimę zbierać. Także to moje całe życie, że nigdzie wyjechać nie mogę. Fenyntuse mala - krowę muszę chorwać, a ja nie bardzo dobrze się czuję. Może się mnie bała, lecz ja damonym sposobem - lekarny bardzo się boję. Jak już krowy nie będę miała, to postanowim się wyjechać do sanatorium zaleskiego. Tylko nie wiem, czy to już mi będzie rozpoczynać?

Rozbicie mojej umarłej jakos znowu po wojnie. Tu, do nowego życia mi bardzo umieli się przyzwyczaić - zawsze wspominali Białostkę. W kilka lat potem odszedł brat Janek, a z nim podniósł Bałko. Wspominałam o tym siostrzyczce Władysławe Kalskiej. On zawsze mówił: "Jak ja ci umiesz, to już porozumiesz sama, jak ta nierada" ...

¹ z listy siostry Kalskiej z Białej - 1989 r.

I tak się też ukonczyło. Stępkę podwinęłam
w reszty roku.

Dość, kiedy powróciła ta mowa Polska, my
z pamięcią naszą, życiem i chęcią, że
byliśmy powoli odchościli...¹

... „Piszesz o AK, dołychnas bardzo cudłego
miejsca w moim sercu. O to przypadek z katedralem
18 kwietnia 1943 roku, na rze Piotrków Wspania-
liwego, który ze swojej mamy mieszkał wtedy
w naszym domu. I wy pamiędalem te nie oto sto-
wa: „Wobliki Boga wszechmogącego i najświętszej
Maryi Panny, Królowej Polski, kiedy rze na ten
kryzys świąty, znak mykły i zbawienia... O to
jak mierz przypadek na ten sam kryzys i to
samo Ewangelię, przed którą s ty przypadek.
I mi tam wtedy tak, jak i ty - 16 lat. Polka
kochalam całą swoją młodość swoją. To dość pa-
miętam ten dzień. Było to owo - zdziwiałam
jeszcze nie mierz świąty. Języko miedzi tam s
o mierz język - elektonatam jej swojej życia.

Otrzymatem pseudonim „Aneta”. Po te m-
jako Izabela - na polecenie Piotrków zapmy-
szyć tam smych Polka, który nie mogli po-
kazywać się w naszym domu. A w Białymostce
było wtedy tylko trochę panowie i także młodzi

1 z listy Marysi Kalskiej z Jeleniej Góry

jak my - co to dopiero z dziećmi wyjechać. Młodszy
starsze zostali wywiezieni na Sybir i do Kępsów, a
potem reszta na roboty do Niemiec.

Mi młodym służył brat młodszy plebana tk
w Białobrozie; młody natomiast, że wszyscy kochaliśmy
Dziurę i byliśmy gotowi poświęcić dla niej najwięcej
opłaty. Wstępując do Arona Krajowej chcieliśmy być
młodszymi. Czekaliśmy na jakąś okazję, na jakiś
czys. Tymczasem przez te pierwsze trzy miesiące
nie było tam możliwości ucieczki. No i wyszedł
ten tragiczny dzień 1 sierpnia 1943 roku. Naprawdę
więcej opowiadaliśmy nam dowódcę „Golgota” - por.
Krzysztof Potokowski i Mela Kozubka, ale prze-
cież wszyscy oni owej nocy zostali zamordowa-
ni.

U Mela byłam w przeddzień. Przy nim wyszła
Igorowa ze Zborze. Wsadził za dymem prze-
kazał nam paczkę zbiutelynowat tk. Zjawiła
się wtedy Janina Mikoluk - Ukrainka - ma-
sza serdeczna koleżanka. Przy Jani nie mogli-
my z Igorową mieć rozmowy. Mela scho-
wał paczkę z biutelynowat, a my z Janiną
odszliśmy do Białobrozi.

Mela już więcej więcej nie zobaczyłem. Banalno-

1 Jurek Turonki - „Pamięć” - kółko 27 kółkowyj Sympozjii tk
P.H.A. Warszawa 1990. „Pamięć” - kółko Kniemiencem komorki tk zorga-
niwowane zostały w Dębskach, Rybicy, Białobrozie i Szymonówce.

Wcy zamordowali też jej siostrów. Jej brat Polek-
ps. "Ziba" zdążył uciec przez okno. W ciemnościach
nocy ukrył się na dachu - był świadkiem tej
sordidnej tragedii. Parę dni później baro-
nowcy zamordowali też Janę i jej synka - za to,
że to siostra mieta z Polkiem i z Polkiem przy-
jęzmiła się, a nawet chcieli do kościoła.

U Paszkowskich byłam w korbach nocy. Jesz-
ce wtedy w dworku ich wyszła z domu i ca-
tych. Mieliem polecenie odpromienia tam Obre-
wską i Duszową. Ich morderstwo - oficerowie WP.
- zostali aresztowani przez Simitów.

Owej trójce nocy - po zamordowaniu Korub-
skich - baronowcy udeśli się do Jutary Paschow-
skich. Ich rodzina składała się z 12 osób. Wsu-
się poprosi ^{przez ciemność, zabił} ~~moją~~ babcię matkę por. "Je-
gieł", jego siostrę Regine, żonę Marię i
2 letnie ich dzieci. Regine została roz-
strzelana w dworku do Koselak do Zbawienia. Pan
Medelströcki opatrzył jej ranę postawiając na
nodze.

Po tej strasznej nocy nie było usypcy Pola-
cy opuścili Biedrzykę. Duża grupa przejecha-
łaśmy przez wieś i przez Rynek. Gdyby Ukraińcy
chcieli, to mogli by nas wtedy porzucić jak
Kaczkę

Dziś myślałem, że choć nasza metoda i nie była kom-
mórka AK w Białymostku nie zobowiązuje nas do szeregów-
nego, to przecież nasz zespół, nasze umiarkowanie
dyskusyjny, chęć do działania i do wielkich poświęceń,
podobne są zapamiętaniu...

...|| Piszę ten list do Ciebie i Michotonia, k/Bia-
legostoku. Przyjechałem tu z synem Tomkiem, aby od-
mówić ciotce, jej siostrze - najmłodszą siostrę mo-
jej matki. Jej mężem Janek Roman był dowódcą
strzelnicą KOP-u w Białymostku. W lecie 1939 roku
poszedł na wojnę i już nie powrócił. Ona 17 wrześ-
nia tego roku przed wyjazdem do Niemiec led-
wo z życiem uszła. Potem razem z żoną plutono-
wego Durawy ukrywały się u Streszkowskich. Pan
Streszkowski był chorostwym ojcem mojej Matki.

Pamiętam przed babci. Był oddzielony
od Tomianego wsi - okalającego sad i parku
Streszkowskich - pełną drogą bieżącą i kiero-
nką Lanowice. Długo to droga przedwiedziało się
kato Zyrej Gony, które wiosną i latem były
usiadane tak pięknymi kwiatami, jakich już
niegdyś potem nie widziałem.

Tu w Michotonia czytelnicy ^{cioty} krótko o Biał-
ymostku. Nie masz pojęcia z jakim zaintereso-
waniem słucha, płacze i wypytuje o wszystko.

Prepressem Ci za to bezúčelne + chcelo by sa
má, že hovorí sa voprosom, ale zrobilo mi sa
tak jakos ... tak jakos na obzvy, že mi moej-
tam sobie odoburiti, aby sa pred Tobo mi vyp-
pomádeli z tego, čo mi tak huroho na sercu ležalo.

A za Žydov - Natalij Krauze s jej mria - oraz
za naučyciela Holkusa, zvesre sa moaly. Nie
mim bytko, cy jessre za žynoh, cy moze juž za
umortych ...

... Stresne to byty oraz. Múdlny sa, aby sa
juž nikdy mi portoryly. Niech naše dieci s umu-
ki mi zozmaja tego čo my s niech mi tyknia
za rodkynymi stromami ...

... „Munolka! Tak huroho chciat bym chociž
jessre jeden jedyny or zabeayci Biččorke.

Pôjť pod qčorke do našzego kościelka sv. Kachy,
a potom dolej w kiemunku Kelerovicki. Tam na
rozhoru staj pamnik - Kmyž Legionistov, a
obok chaj miestkali orobruy. Tak milky
mam ochot pôjť na ceptniš do ciest Jangb-
skij s prepš sa jcižky ponad jexem, ktorý
cipenyl sa w celty dieltek Qjrmiektov, Prosta-
kov, Pecovkov s Kotovskijov. Chciat bym spoj-
neč jessre or na mies Sofijskys s olmosok
Oruszarakovej, s na tem stery park odletjaj-
cy sa w ciemnych wodach zalewu ...

... Tak huroho chciat bym ... 1 / 1) = vstr David Stivorskij.

To to, to goniec przegięnie ujmenie jezora nad
Białoborską - zdisło się! W maju 1990 roku dwie ma-
se szkolne koleżanki - Ładkie Damańska i Danusia
Bun - otrzymały zaproszenie na wyjazd do Kremen-
ca. Na to tylko czekały, Na dwóch dniach po zmi-
skaniu Kremenca - już o godz 5 rano wsiedły do
auto busu i znalazły się "sta mojej obrodki".

... Po kilku kilometrach wjechały busy na ob-
sz, której polny charakter przypominał przedwojen-
ne czasy - wspomina Ładkie. Dwa międcami
była utwardzone ziemi, ale wykoje były takie,
że białem się o resztkę mostu zebra. Autobus
toczył się po nierównościach, podkakał - Ingot się,
cigęgnął za sobą kłomany ciemnego koloru.

Wjechały busy przez Rybacz, Katerburg, Podhajce,
Borszczówkę, Barsuki i Kapedorkę. Rybacz
jako wieś już nie istnieje. Porostło po niej tyl-
ko pole bełogrodzkie. W jednym z nich zamieszkuje
ukraińska rodzina przesiedlona z Hrubieszowa.
Dawny bełogrodzki szkoła - budynek Anielski
w czasie samobrony Rybacz - został srebrny, a
wysoka skała w tym miejscu jakby obiszyła
się. Czerem przy obrodce Anielski się jakaś po-
rosta chmurność suda, jakies resztki zebra-
łowani, jakies samotnie stojące okno.

1 z relacji Ładkie Damańska z wyjazdu do
Białoborska w 1990 r. wzm. autorem.

W Katerburgu quina jessre stala, ale budynek
był bardzo opuszczoney, a wewnątrz kiedyś obok
quiny park jadtory wyjęty - ani jednego drzewka
nie zostalo. Stale tam jedynie ja koś buolka z garstom.
I to wszystko...

Wszystko to skłoniło mnie do wspomnień i ref-
leksji. Przypomniałem sobie mój pierwszy wyjazd do
Kremieniec wiosną 1939 roku. Jechaliśmy z
Dankej Stwierka na wstępny egzamin do Liceum
Kremienickiego. Widział nas wtedy moja Mama,
w naszym wozem z kochanką. Właśnie pomiędzy Ryb-
czy a Katerburgiem spotkałyśmy wóz jedynej zpre-
stowanej strony, którym jechali na wakacje dlela
Korubka, ucieka się już ówczesny rok w Liceum.

Z radością przybliżyłyśmy się. Długo już nie pa-
miętałem, czy ja jessre kiedyś potem wlokniłem.

Owego roku jesienią wybuchła wojna. W lutym
1940 roku moja cała rodzina wyjechała do Uralu,
a allek i jej rodzina w lecie 1943 roku zamar-
dowali banderowcy.

A to spotkanie na zawsze utkwiło mi w pa-
męci. Wtedy wszystko było dla nas takie jakis
niecodziennie - Byliśmy młodzi i jessre pełne
dobrych nadziei...

Jadąc dalej z drugim zainteresowaniem spog-

Wydaniem przez okna autobusów na miasteczko pod drodze
miast. W każdej widziałem po jednym sklepie i pre-
nie w każdej stał jakiś biały pomnik żołnierza,
lub kobiety z dzieckiem, które postawiono ofiarom
wojny. W Barszce zdatetyśmy nawet odryta-
ci napis: "Ku upamiętnieniu ofiar racjonalizmu ukra-
ińskiego".

Ludzie po drodze przyjeżdżali i do Lwowca doje-
chaliśmy w Atoku. Lwowce nie sprawiły na mnie
dobrego wrażenia. Zresztą i przed wojną było to
niezwykle żydowski miasteczko, z niewielką ilością
zamieszkałych tam Polaków. Troniec autobusowy
mieścił się nieprzekraczalnej kolepnicy, która od
naszych czasów wcale nie zmieniła się. Jest tylko
bardzo zamieszkała i wydatnie widnieją jakby tro-
chę mniejsza.

Oryszkowie omiatającymi i obiegającymi za-
mieszkałymi o Janówce i Suszce. Był tam
zauważalna piękna wieś Leszczyn. W jej okolicy i
dołkach leżała jeszcze wieś. Zdarzało mi się,
że tam kraj ^{od dawna} - mi nie przypominał tylko,
czy to jest rzeczywistość, czy może to tylko sen...

W Suszce tak jak przed wojną - wzdłuż
większej drogi na lotniskach odlewniczych płynęły
koczki. Wiskie słony, nawet dość porządne,

staly ukryte w gestnach sadow. Stredy stomicynych
 juz mi widac. Depromedono elektrycznosc, na
 dluzsich linie anteny telegrafijne. Po osadach
 wojakow - Polakow i Belsowce - aut sladu.
 Sterte z pomierzchni ziemi...

W pierwszej chwili zauwazam przerwy moje mil-
 cze z adresem. Akarato sie, ze jertobny juz ma
 rynku w Bietordce. Wypieltem jakis osrotomidna
 i zolozonientowana. Rynek mi poznadem. Wszystkie
 zydowskie domy - Awonca kiedykolwiek czlowiek-
 mykuzano. Po izraelku zrobiono trawisk, a po
 bokach postawiono Am „leutny“: dom kulturny,
 kooperacyjny i sebrak.

Zauwazam byta kordziej chybca przytomna sole
 mnie, ale strazate jakis element strachu.

- Przedej, przedej - nie zatrzymuj sie! - nerwowo
 mnie popyniecie.

Pociagniete mnie wazke u larku w oblat od ryku,
 w stony darsnej gubry, ktore state tak jak daw-
 niej w obowiazu brdz. Po drugiej stronie stot
 ten sam obowiazu budynak posty. Tylko juz
 oczywiste bez czerwonej skroyki z oratkiem i
 z trzasku. No i byl tak jakis mizerony i traly
 podylony ku ziem, ale przedej ten sam...

Za trzy metry sie na rozdrazu. Oczywiste wyo-

brzoim sukalyimny parku s skrytego tam, wśrodek z-
tych other palace krebow Brzosturkach. Wypatrywają-
my resztek kościoła porfiruowego, srebrnego
z nakazu cara w 1888 roku. Ale nie tam nie po-
zostato: aut palace, aut resztek świątyni, aut sto-
rego parku.

Dzień był piękny, słoneczny, a nam tak ja-
kosi ciężko było na sluzę. Żał nam było owej
prezencji s tych niestwierdzonych już zabytków
kultury. Iż historii przetrwałto się tu, Iż lud-
kich krosów pozostało w zapomnieniu...

Ale nie było czasu do rozmów - godziny mia-
łyśmy palcane. Poszłyśmy więc uzdźwić parku.
W miejscu gdzie sławnej unydeauofestyny, utwo-
rzył się dość spory staw. Po drugiej stronie, na
skarpie, zostato trochę gniaz po żydowskich domkach
s delikatnie chaszere. Była tam kiedyś ulwaka,
przy której mieszkała Dacunia Dimianka. Ale
s ta ulwaka gdzieś się zagubiła. Pozostał po
niej tylko niemożeszony wzgłaz. Tożyc dalej ob-
sitybny do stercy, obrucniwego mostku. W wrześ-
niu 1939 roku zginął na ^{orazelnik} ~~ntm~~ Alarion Parłicki,
który był wtedy na nocnym patrolu s mi chwał
urzędzie z obywateli sowieckim z widoków.¹

¹ W. K. Cygan „Kresy w ogniu - wojna polsko-sowiecka 1939 r.”
str. Warszawa 1990. „ Dalej na północie o godz 4.45

Ze mostkiem, przy drodze do szkoły, było kiedyś
dużo domów. Mieszkali tam moi chrześcijaństwo, Agata
Medalska i Szwajkowie. Rosły tam bardzo wy-
sokie topole, na których było wiele gniazd.

Zawsze podziwialiśmy odmienną strukturę wyrost-
ków, którzy wycięci ze szkoły, wzięli na swój ostatek
tych domów i wybieżeli z gniazdem wronie gęsi, a
nawet nieopiecznioną wronię.

Weszliśmy na drugi mostek. Był dziwny jak
zawsze. A pod nim rzeczka: brudna, zrobotowana i
przez zawałtę gęzi i sokołów. Po dworku
milym Tyżkintów ani śladu. W trójce obry-
pozostato tylko małe wzgórze zrobotowane po-
sadywa i Topianem.

Podziwiliśmy pod górą, ku kościelnemu i Kucha.
Ale mi było tego sławnego miejsca na wysokiej
skarpe, gdzie był znowy plac przed kościołem,
a i cała góra jakos bardzo się zmniejszyła. A
na górze partka... Tu kościół, a u stercy
ementernego muru i jest jednego dnia, które tam
kiedyś ponad grobem stumieły...

c.d. oddziały II KK z 6 armii powłce zajęły Biedobry i
posunęły się u kierunku zachodnim. We wt. Mostków,
kroz zgrup. 2. armii, który frontu strażnicy KOP-u do
ortodoksyjnego nabożu poległ kpt. Szyblek, a u niedzie-
tej mł. porucznik mierzony zmaszka porucznik z kamp.
kpt. Pomyłki. W Biedobry zgrup. przednich
Morion Powschu"...

... Wszystko zdumione z ziemi. Tam gdzie był cmentarz, widać się resztki starych pomników, rosły kraki. Na tym tragicznym pustkowiu, wśród kilku porozrzucanych bezładnie kamiennych płyt, pasz się krowy. Po naszym ukochanym kościółku i powspamiętym grobowcu, w którym spoczywały szeregów chłobów krasskich, pozostały tylko zapadliny. Trudno było zorientować się, gdzie były groby kolejnych panów - właścicieli Bietorzki: Brostowskich, Orskich, Jelenickich i Magielnickich. Trudno było doszukać się alei, obok której była mogiła Łych, co w 1863 roku „poszli w bój bez broni” i grobu oświeconego już legendą żołnierza króla Jana III. - protoplasty rodu Stroszkowskich - który mając 105 lat z królem poszedł wiedeń posredni, a dozwawszy jednego pogana ze sobą go uchwycił i wsey morderował. I od tego na wszystkie czasy - o ku swej chwałi zwał się: Straż - Stroszkowski - Orlowski.

Nie znalazłam też grobu mojej kochanej Anny Brandtowej. Wszystko tam jakos wyburzone i porosło trawą. A jednak - nie wiedzieć czemu - smutne resztki polskości w Bietorzce jakimiś cudem zostały.?! Pozostał samotny cokoł - szeregów pomnika - który stał przed kościołem

Był to podobno pomnik zotrycia cmentarza
i kaplicy cmentarnej. Na jednej stronie tego cokołu
pozostał jeszcze wyryty w kamieniu napis: „Złożone
zwłoki Kataryny z Płykiskiej Rembierskiej zgościej
19 jul. 1839 r. Przedobnie złoż jej modły...”

Mimo woli ukłękłyśmy i zmodwityśmy pacierz
Dawnie więc przytomniejsza i przeczniejsza od
mnie, wyjęła śnieg, postawiła ją na małym wzo-
roczku i zapaliła.

- Ku pamięci tych rozrutek, którymi się śpię smem
nieczym - powiedzcie to. Stałyśmy tam jeszcze przez
chwile, między sobą walczyłyśmy i ^{od (cz)} sobie
obie obroniłyśmy się od płaciu.

Podług drogi, poczniej cmentarnego rumowiska
jechała wozem kamiennym jakas para mészniaków i
z zacięciem spływała u nasza stronę.

^{Obie ponurzyłyśmy się}
(Czas nam było być dalej. Dawnie wytrwałam
z odętnieniem i poigrywałam ze sobą. Ale obie wciąż
niezadowolony - obie przywołujemy to samo.

Poszłyśmy drogą na skrzyż. Po lewej stronie,
na skarpie, ^{roty} były. Wymownie zdziwoty, ale właśnie
zakwitły i tak jak dawniej - na polu - na
mejszo. I wtedy uświadomiłam sobie, że jestem,
czerecha i bez względu tak mi pachną, jak
właśnie tam - na Wotyrii...

Po prawo, rzoliz olawnego broktu biegnącego do strz-
nicy KOP-u cizgnęły się kiedyś stopy telefonowe.
Zawsze słyszano się tam jakiś szumny i dziwne grzenie.

Tenże przy drodze pozostato kilka wysokich topoli
onez kępka olaw i knokot na terenie dziełek ol-
zdelka i Kosobokiego. Po obu stronach rosła kaskne
pszenica, a trody dalej, na polu Turczynskiego
niekoniorecy się tam kukurydzy. Przed nami roz-
ciągał się kraj płaski, równinny, przestronny.
Jak długi i szeroki - jak olciem sięgnąć - wiatr
kolysał zielonym ~~złocim~~ ^{złocim} zbożem, hem aż po sam
horizont, gdzie na prawo od Kosulak ciem-
niata smuga lasu. Niew ktero - chyba nad
zbiorem - wdość było kępy olaw przylgnięte
zakudronnie Bietobreczki. To cote rozległe pole
przed nami - to nasza olawna Heterowidka -
osada wojtkowa naszych ojców.

Posilyśmy dolinę, pomiędzy polem Turczynskiego
i Burzota. Potem podreptelyśmy jakąś miastką
w kierunku Gosiorowskiego. I oplotem mocno zabl-
to mi serce - bo oto przed nami ukazata się dro-
ga, która kiedyś olwa oazy olawnie przemiesz-
lyśmy - nasza polna droga do szkoły.

Statem tam do siebie wzmieszona. Testemamietem
się, czy pójść do znajomą mi drogę, i dalej

do wyjątkowego miejsca, które opuściliśmy w listopadzie 1939 roku. Tam w maju każdego roku pod moim oknem kwitły wiburny i jabłonie. Tam własną każdego roku, o wczesnym brzasku mój tata szedł bosą z płuciem w pole. Zawsze za nim dobiegła stadka wron. Z ciepłej, świeżo wyoranij skiby wybierały sobaki. A wysoko ponad polem zawsze rozlegał się skowronkowy śpiew. Stękał tam zapachomnie i zamysłoma. Rozkoszował się tą miłą ciszą i zapachem rosnącego zboża. Wskazywał się - wszystkim - czy nie tak? ... I nie positem. Do miejsca mego urodzenia nie dojadłem. Po prostu posłyszenie za Danuig. Poprowadziła mnie do źródła jako Górnicków. Nie pokochał przez trawa byt ^{jęszo} smak. Na od rosny. Zdziesiąłomy buty i posłysim dalej na bosaka. Wokół nas był ślad życia - tylko pola, pola i pola.

Po godzinie dościsłomy na wzgórze, stękał, po drugiej stronie jezera, widzi było Sójjörk, a na dole źródło, którego szukaliśmy. Wypływał tu wąski strumień. Bliżej był poszedł się. Pojawiały się jakieś rośliny. Pływały na nich kwiaty i pszczoły. Z góry widzi było bogatą rzekę skarpy i resztki dawnego parku Knollów. W podłożeniu, na ^{potylicznym} wierzchołku, na tej górze wśród cieleni drzew wyłaniały się białe mury cerkwi i trzy kamieńce kopuły.

Powiadaliśmy się na pniej, przez taką powiadaliśmy
na teren cementowa. Obie byłyśmy bardzo zmordowane.
Usiadłyśmy na bardzo miłym grubym kamieniu.
Dawnie wyjęła z torby jakiś kasek. Potem wzięte
stoski i na brzo do niego trochę cementowej ziemi!

- To na groby małych rodziców ^{zawiesz} ~~powiesz~~ ^{zawiesz}.

Wzięłam s ja mały grudek ziemi i zabrakło jej
w chusteczki. Było już nieco z poludnie. Czas nam
było wrócić na rynek. O godz 15 miałyśmy powr-
ót autobus do Kremienca.

Na przystanku nie było jeszcze nikogo. Było jeszcze
trochę czasu. Weszłyśmy do sklepu. Ludzie wczynały
mają. Dawnie - bardziej praktyczne - wzięła do org-
sca przemysłowej. Jakupstam jakiś drobny przedmiot
i nie widząc nic lepszego, wybrałam albo mojej
rodzinki tylko kilka par meştek. Na schodkach
przed sklepem siedziała baba z ziemkami dymu.

Kupłam ich szklankę i zabrakło z sobą. Przed
odjazdem złożyłyśmy sobie jeszcze kilka zębów.

Autobus był pełen ludzi. Przyjechał tylko z Płocki.
Pojechaliśmy w dół, obok portu i przystanku a potem
w kierunku Motokowa. Po obu stronach drogi
punkt - z dymu śladów z zabudowań po stronie
wojskowej "Orle Gniazdo". Nie widzi się stoją-
cego tam kiedyś dużego budynku strażnicy, ani
dróg młokich topeli, które tam za naszymi plecami
dosły...

Młotkoma wypatrywałam z niecierpliwością.
 Zobaczyłam go w kępie drzew. Na wzgórku, za neką
 Łępańską widać było mały posesitek - kilka chat
 otulonych słupami dymów. Kiedyś było to już
 po sowieckiej stronie. Tu u mojego dziadka sprę-
 działam tyle młotych drutów. Spędzi też 10 lutego
 1940 roku zabrano nas na Ural. Ale jednak wciąż
 to był mój ^{rodzajny} młotków. Ze tego roku
 i z bliskim sercem myślałam z okna autobusu. Tu uw-
 adliła się moje mama!

Do historii przeszło już spotkanie 9-letniej Ma-
 rysi Brandt - późniejszej żony pradulka najkochańszego
 Stanisława Samojłowa z Kateranówki - z pieru-
 szym polskim żołnierzem w Młotkowie w 1918 roku.

Wpadła od ona do swej babuni Petronelli Ta-
 tatejowej z okrzykiem: "Widziałam w wsi polskie-
 go żołnierza!" A babunia - jak to babunie -
 rzuciła ku Marysi pytanie: "A czy ty się z nim
 przywitałaś i wiesz go poznać?"

Młotków pozostawał za kępą drzew. Uleciały
 też gdzieś moje myśli. - Chyba go już więcej nie
 zobaczę - pomyślałam. Mógłśmy jeszcze skry-
 ć się z drapowiskiem do Biskup i Teofilowa -
 i już wszystko było za nami...

Banisia przyczekała to wspaniałe - rozpa-

doła się z jakimś przygodnym pasażerem. Długo
mysterowała ^{mija} (wymyślała) ciosa i rozmyślenie.

Po dwóch dniach spędzonych jeszcze na zmiękaniu
Kremieniec, Kholmowa i Poczajna - przez Zboraz,
Tarnopol i Lwów powróciłyśmy do Polki.

Alé wciąż byłam jeszcze myślowo tam i wciąż
jakas smutna. Po powrocie do domu przyniesłam
z Białejorki guzik ziemni potężnym wyciętym
na stole. Mama popatrzyła na mnie, a potem
na ten guzik i nie mi mówiąc, ostrożnie dot-
knęła go obziernym palcem, ~~to~~ potężyła ją
na dłoni, z tego odrobinną ziemni podesała do
okna, oparła się o występujący parapet, pochyl-
ła głowę - i cicho płakała...

^{było} A ja, choć tam byłam, to jednak czegoś mi ^{wciąż}
brak. Nie odzyskuję pełnej satysfakcji z pobytu
w Białejorkie i nie kwateruję. Nie odzyskuję
miejsca mego uradzenia, do którego tęskni-
łam i wciąż tęsknię.

Opisittam je pierwsze męskie, deszczowe
dni listopadowe, prowadząc na Łajewcu po-
zostawioną nam krowę. Ponieważ rokła obawia.
W się, że chłop może odebrać nam naszą
ortędną żywność, poszłam palem, omija-
jąc Białejorkę oraz Młotków, jako, że dom
dziadka stał na obym karton 42.

Reszta rodzinny pojechała drogą, na wozie za-
Tadonowym naszym dobytkiem. Zabrakło tylko
tytu, ale zdołaliśmy zaledwie. W naszym domu
mieszkała już jakaś ukraińska rodzinna i pod-
czas pokonania się, pilnie patrzyła nam na ręce.

Idąc wtedy samotnie polami, cota matka i
zabłocona, nie przypuszczałam, że już nigdy nie
zobaczę swego domu i tych ulubionych miejsc
w jego otoczeniu. W moich snach jakże często wtedy
kraj swego dzieciństwa. Nigdy też obrazu nie
zapomniałam i żalem przekonania, że duch mój po
śmierci, w nim trafi do miejsca przemian, prze-
leci nad Weteranówką i przysiądzie nad chut-
ką w miejscu moich urodzin" ... 1)

„Oczemnie Panie, Boże mój,
nie desz pełnego ukojenia" ! ...

Młoty i ciężki bytelniku! Odłóż me chwile
to czytanie, co do siebie herboty, usiądź wygodnie,
pocłumaj - i zastanów się nad tem ce mną ...

- Coż można tu jeszcze dodać? Czy wypadła, czy
nieha tu jeszcze coś dodać - mnie, skromnemu
autorowi - spręży. Nie dokończony Rozmyślniku,
który zebrał ^{tożby miał nim poprawiał} i pierwszymi wspomnieniami prze-
leci na papier wspomnienia tych bytelników? ...

1 z wspomnieniami Ładzi Domar i tej

Chyba tylko jeszcze to, że przekazy je nie mogli rozpoznać, tymczasem doznanych wzajemnych cierpień Wotyniaków, nie w celu rozdzielenia jeszcze nie całkiem zapożyczonych rąk i żółci po utracanej korekcie niemieckiej ziemi. Nie jest też moim celem rozburzenie wsi i rozjętanie sposób z sąsiedztwem z nami ukrotkami narodem.

Waga przedmiotu! Czas na pewno gotowy!
Dla naszych umków będzie to już tylko bardzo odległa historia. Potrzebny jest nam świąt pięć wian, nadziei i miłości - takiej wy-
czejnej ludzkiej dyspozycji. Podanie sobie sąk, oddanie sobie szacunku i „ukłonu pokoju”.

Aby z przystość, która jest już ze nami, wspólnie cierpieć, naukę, aby budować nasze nowe akty i nasze ^{wspólne} jutro...

A więc to już wszystko! Koniec mego psowie-
wałtadom pismo...

- A jeżeli kiedy... - pisał Juliusz Nowacki -

" - A jeżeli kiedy w tej mojej krotce,
Jaki po dalszych mojej skwa pływie,
Jaki góry moje błękitniejsze mrokiem,
A miasto dżwont nad szmerem patokiem.

... Jest tam bledniejsz duszo mego łona,
Chocby z promieniu do cięte wrota.

To mi se pomniť tej mojej ľaskoty,
ktorej som stal jač ordoonid stety...

...Bo tam, gdzie stwy srebrne pale plynu,
Bydem ja niezdyš, jač doška, običnu..."

II/1251/2kw

© ARCHIWUM WŚCHODNIE

A ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ

PÓŁ WIEKU PÓŹNIEJ

-LISTY-

18
187
235

do i aż jeszcze opł autora? - Pojem: na razie tyle!
Myślę wszakże iż "obrazu tytuł" "Kiedokontrowersyjny Łemig-
Auk" jest słusznym obrazem. Mam jeszcze chęć dopisać
tem wiersz z "mojej szafki". No i na razie". E.B.

MATKA BOSKA Z WOŁYNIA

Tyś nie w rymoprafach - aut w złocie
I bez turkusów i korony
Tyś tak gołoblatła jak poswiate,
którą może knesze z Ma księżycą
Choćdzisz ubrana w ciemne szaty,
czerwoną krawką przepasaną
- tyłko na rękach po pierścieniach
ukrywasz sercu, jak stygmaty,
z których gdy kropla krwi popłynie
- cud się spełnia

Modlisz się często z wygnostkowani
- chociaż słęskwidna,
w białej duszcie.

Stoją Twe kufry spakowane,
- a tam - w ojczyźnie
- kościół pusty ...

(1) Krzysztof Kołthym - z Chelme)

A więc "na razie"
do mnie
Wstę Idęz.
Edmund
Basakowski
VII. 1992
rok

①

Kochany Kolego Edmundzie! Pismysł 5.1.92.
 Przepraszam, że dopiero dzisiaj dęchuję co przysłane mi
 książki. (...) Szczytnie był tam me dla mnie obywatel
 wartości - jest to najpiękniejsza lekтура. Przede wszystkim, po-
 prostu, to co najpiękniejsze i co dyktowane i tłumaczone. Opisales
 u mię swoje - męce - szkolne lata. Zwróciłeś u mię swoje tes-
 kności i miłości do starszych i młodszych. Opisales dobitnie
 męce swoje u okresie przedwojennym. Doceniłeś pracę
 męcych Rodaków. Dzięki ich pracy osada męca była
 piękna. Wiele zielono, kwiatów, glazur i innych rzeczy. Choć
 nie pozostał żaden ślad męcej tam bytności, to jednak
 u sercach męcych jest miejsce na heterodoksy! Ko-
 chany - szkodliwy - wspomniany. Swoje przycię prę-
 kowania na papier. Opisales wreszcie Artykuły Pe-
 łachów z marobnowych przez Ukraińców - Dzięki Polu,
 Terenie Borsowic, Janowi Bur-kuharstaj, Stanisław
 Karwemurcu, Adolfowi Kotwiczowi i wielu, wielu
 innym męce wnikliwy będą mieć jakże wielki wy-
 obrażenie o rodzinnej męcej miłośności!

Edmundzie, wypadek mi u tym samym roku zyci
 co dlań zdrowie i napisanie choć jeszcze jednej książki.
 Teraz pójść do Teatru. Trochę materiałów męce, trochę
 poskarsze. Stał Karwemu by co u tym czasie.
 - Można by to być prace zdrowe i warto by opisać
 dłużej o rodzinach u schyłku ich zycia, aż do mięcej
 ich wielkiego spoczynku i upełnić fotografie,

Pomysl nad tym! Zostaje już coraz coraz mniej
 Od naszego spotkania w Ławarciu w 1895 r. minęło
 zaledwie kilka lat, a już tyś od nas odszedł!
 Nie żyje Eolud Kute, który nas wysyłał gościć
 wtedy z jego matką Anną Morie. Nie żyje Wł. Golek
 nasz senior z Białoboku - wysyłał pamiętniki -
 który tyś już przekazał wiadomości o prośbie w kierunku
 że żyje Dwi Brat Zbych, i Julek Krawiec, mój
 brat Julek i Stefan Kopyn i mój brat Bur
 Zielon wielkim wspomnieniem tyś, coleszt od nas.
 Od siebie było nasze życie. Twoja brata zaprzyjtałem
 w życie o wiele młodszy koleżanki, których las jest mi
 znowy. Mój Tobie są znowy łowy Jemmy Miller, Ols
 Świątek. Mój ci o Porcu Szymonowicz - Ukraińce. Była
 to moja koleżanka z lat ~~1895~~ 1895. Czy to prawda, że
 należała do bandy ukraińskiej? Co się podziwiałeś?
 Przetłóć nas i także i u nich i wolnoś Makyma Kry-
 ciukie adlywały się noraż, że Porcie, Fryszka
 i córka Haimulek należały do Org. ukr., że ojciec
 Porcu uczestniczył w narodowej oddziału Białoboku
 i Kacubok. Czy to wysyłał prośbę?

Byłes' u Białoboku najdłużej i moim ci co wie-
 domo nie ten temat? Trudno mi to uciemnić!

Po naszym wyjeździe u domów naszym zomieszkot Golek
 z rodziną i jakas Kocubok z uszyty, czy to nie
 lubicie Hrycha Szymonowicza? Czy znacie ich?

Nie tym koniec - porozmawiamy ci z wolnoś
 Znowu Golek.

2) Pani Edmund! Kresów 21. II. 92.

Serdecznie dziękuję za przesyłany kwiatek i dołówek, o które właśnie chwiałem prosić (Kresy moje - , ale aż tyle?!
 A wiec bardzo mi się aleś. Kwiatek są wspomnie, pełne
 humoru mimo wszystko. O ile mićmie, to proszę o jesze-
 re 4 kompl., ale już później - 4 moja - bo muszę zapłacić
 ośmiatę, opłać - i to do końca roku - bo zapomniałem i płać
 kurs. Mówi emerytura i centy i walichy. Te ostatnie
 zalicznie już parę lat, a trzeba było dzień przedem par
 mego. Teraz by ty byłoby. Zobacze lepiej, jeżeli wi-
 dzę - o zapłacić mi ślepotę - to cytem kwiatek. Chodzę
 mi o kulech trudno. Odbój się i wytko. Wszystko
 - to moje wspomnie, bogate w przygody życie. Przyje-
 chaty Dąbrowie i wiele Smierwie. Bardzo potrzebne do
 p. Jędrzejki i do Gandy. Wskazuje że do roku, bo
 otrzymałem je stem stensie od moich rodaków w 1929 r.
 o cote 28 lat! Te wspomnienie o byciu i zalicznie cyte-
 tam - jeżeli moim proso o siebie kres. Paul Jędrzejki
 mądre, że wiele ludzi je odniebrze z kompromisywizacji
 Biedziwianie teraz się wydziniali i nie chcą i oby-
 czeń, choć miśoc tylko parę głos zdołali zebrać.
 Je już oblicz najstosownie z naszego pokolenia.
 Proszę wybaczyć - bo zapomniałem już mądre.

Ale, ale - pokredobny z tym kwiatkiem zoboro,
 ale z całym tylko takim zmartwienie miśoc, to
 wycedł nawet miśty ubaw. Ale jak piszom mi-
 ja je ślicz, moją 4 miśoc. Jeden kompl. wyliczom

192

do Biedony do Gierul Sudet, z ktorym na sy deni
za polskosci wemziewis siebielom. Wdrownu to
pruz pamiec' olke mój. Księżki jui puczotom
za wspomnie i tematywie obowu. Piemijkt me
krypte uptece, ale wpryszim miericu, bo no ten m.
już kimsi wycerpalem. Ohyka nie bedac za pduc
- no bo krypte stas, a księżki uciekny. Z Gierup
Tomczak - Berebasz, z ktorym bylam w Babelonie
Kobiecym i zorem pod lebnu - wstobielom sie
9. XII. 99 w Warszawie. Psnijemy do siebie. To eme
na tym zdjeciu z mne na str. 305. Pozywytyby
sobie miosotny, a je nawet cuple me kuczoty-
stosie od ofensu Riezenu.

O czym psac jesme? Zime, sidre, truche
chomij, sobie wchotko i celkom wozny.

Księżki - jechym to wzoryche. Ahu, znowe
wyjolie nie tak z piemiedkom. To emey, i
mam dac Belleon Kowobkierem 200 tys, a je już
wystetom. Woloc tego wyndoman i luty m, a Pan
mi wyndome kniechom. Dobne? Ahu, a yelwie
te wchotobler olke wuchow - wspomnie ten!

Prepresom ze ten Aotegem, moie ten sobie
pozpience - ach se baby! - ale si nie gniewe!

Zym obrego zepromie, jehiego i olke tekich
zch je hab potneku - i nie bylko ...

Monte J. Smiel - Kostmor.
Ceci!

3) Sz. Panie Bożokowski. 10 maj 1991 r. Jurek.

Bardzo przepraszam, że dopiero teraz odzywam się do Pana. Ale miałem w ostatnie tygodnie kłopotów i komplikacji. Dziękuję serdecznie za list i książkę. Jestem niezmiernie wdzięczny Panu za wykorzystanie pamiętnika mojego ojca (Stwierdzenie Szkoły F.B.), bo wiem, że pozostanie po nim i po jego przyjaciółch jakiś ślad. I po zienut i stronach jego opisywań, które tak kocham i żył ty mi wspomnień. A co najważniejsze alle pamięć mojego ojca, to, że utrwalała już będą w literaturne samobrona wsi Rybczy. Miał to może, ale też krawiec aht wólnych naszej wschodniej ziemi.

Chcę znowu się zobaczyć, ale mam alle Panu wiele spraw i nadzieje, że ty wielki prac, jak by Pan w kłopotach i publikacji o losach Polaków ze 4 szkół.

Przez moje strony te i te historie stety mi się bliżej. Ja jestem warszawianką i wierzę, że bardzo dużo Polaków ze środowiska Polaków mi me pojdzie, albo może bardzo mi me ten temat.

Chcę mieć cyfrytę już te serie „Wschodnie kraj Polaków” Syn mi miel nam szukać po kwiartach, alle

Pan upniejnie postać mi me ty serce mi.

Jeszcze raz serdecznie dziękuję i pozdrawiam
Celina Szkoła.

4) Sieroznyy Penie. Czerstochowa 17.5.92.

Już tak sławno chcieliśmy do Ławy napisać, aby
 poświęcić Penie za pomoc w sprawie poświęcenia
 do reprezentacji komitetu do napis. Skierujemy
 do tej pory nie otrzymaliśmy w tej sprawie z Sieroz-
 nego 24. Edm. AK od pomiedz. Wzrostem ciępliwie
 Dawnie Knieżna przystąpiła mi odpała próba kuli
 i nap. AK u Karan w sprawie z morobnowie myś
 myśi Kuchera ("Gólkia") i jego z odstawy przez
 honorowców u 1993 r. A to też z zeme pomocą.
 - ślicznie! Jednocześnie nam prośbę do Ławy o ne-
 oście mi mi odrem p. Jęże Piethochiego, który
 był koleją myśi Kuchera. O ten adres proszę miś
 koleją z którymś korbantem schody oficerów w Ko-
 moranie, o z którymś nitym miśi karta karta.

Chyba się dowiedzą, że będący mogli się spotkać
 z Ławą, gdy będący uczestniczyli w pracy stoł
 poświęcenia Kuchera, lub cesz ofier wojny z Ławą.

Przepraszam, że zwracam się do Ławy w tych sprawach,
 ale doprawdy nie mam do kogo się zwrócić. Strasznie
 mi przykro, że nie poznałem osobliwie Ławy brata
 - Jęże. Skierujemy pojedźmy do Kulinie z naszym
 systemem w miśi po Jęże i miśi. Ale by tam nie
 przykro Jęże z Ławą Kuchera i jego córki.

Kocham i pozdrawiam

M. Postchowa.

5) Szanowny Panie -

195
Łódź 22-10-91 r.

Kwitam Pana bardzo serdecznie. Nazywam się Maria Wienzicka. Jestem siostrzenicą śp. Piotra Węglińskiego z domu z Białobrodeł. Piotr zmarł 8-1-90 r.

W czasie ostatniej bytności u Poznania od Edmy Piotra - Izemy - otrzymałam Pana adres i poznałam na skróty - lemie tych kilku stron, proszę mi pomieścić gdzie można nabyć książkę, którą Pan był uprzejmy wydać przed laty.

Książkę o życiu moich dziadków i rodziców, a po części i mojej, bo tam zdążyłam się jeszcze urodzić!

Chciałabym zrobić prezent mojej Mamusi-Zofii, siostrze Piotra. Moja Mamusia ciągle wraca do stron siochy dzieciństwa i młodości. Chciałabym choć w ten sposób jeszcze na moment zatrzymać czas, ludzi i obrazy, które odchochoczą w przeszłość.

Wierzę mi odpowiedź, tego rehatam
Maria Wienzicka.

Drogi Panie Edmundzie Łódź 16-11-91 r.

Mam wielką nadzieję, że wybaczy mi Pan ten zwrot, ale to je właśnie jestem to dzieciństwo w pielnosciach, którą Pan sarył tak dobitnie zapamiętać (co za miłość!)

Był to rok 1940. lato. je urodziłam się 6 II 1940 r.

Obraz zachowany u Pana pamięci jest zgodny z prawdą. Istotnie moje Mamusia była bardzo zasmuciona (je też i to Pan zapamiętał!) Jej życie osobiste nie było kolorowe -

196

Ponele w sypkym bardzo rozległym drzewostanie z dębami :
 Wst. Asyetyjskim go z dębami kilka razy. Zulekatem
 z odpolednia, koniem ciekawym me przyjeżdż. Mowu.
 - mieszka w Tomaszowie Maz. - 55 km. od Łodzi. Uczeń tam
 te korespondencje jej przekazał. Była bardzo zaobowiazana
 One cięple wspomina się do tamtych lat, srebro szeregowe
 dzieciństwo s. niedobrych młodości. W 1939 r. kiedy wrócił
 Sowieci, moja babunia krępińska była już wdową. Dziś
 zmarła w 1937 r. Podobno był wielce szanowanym obywatelkiem
 Babunia opowiadała, że gdy zmarła, to nawet Sybil przy-
 stał miesiąc. Był to wymowny gest i zapewne powzięcie,
 jakim dziełkom ciępy się walczyły. Na Sybil nie
 zostawiały wyrażenia. Babunia została upamiętniona o
 wydziale. Uciekłyśmy do Biedzińska do Staszowskich.
 To były straszne przeżycia, które przez tyle parę lat
 lat trzeba było ukrywać. Ale to wszystko obywatelnie zo-
 stało zakodowane u moim organizmie. Jestem
 nie serce II grupy. Byłem bardzo chorowaty, wiele pre-
 żytem. Moja Babunia zmarła kilka lat temu.

A Kotłowiec w artykule „Biedzińska” wspomina Czer-
 wickich. Znam ich losy. Marzyna Czerwicka - żona
 Ludwika (szwedzka wojownik) była spokrewnioną
 z moją Babunią krępińską. Miał czterech synów i córki.
 Byli wymiężeni na Sybir. Hebe, Jurek, Julek i Piotr
 mieszkają w Anglii, natomiast Edward strzyż w L.W.P.
 Do wojnie zamieszkał w Tomaszowie Maz. do kąd'sciępną
 swoją matkę ze swoim dziećmi. Żona Edwarda i ojciec
 zginęli na Syberii.

Od tek i telegraficznym srodkiem. Medalskiy mieszkaj i woz-
 nowiu. Ja historia Biedobki znam tylko z opowiesci.
 Kiej na ten temat mi opowiesci moje Mamusi.

Jezeli Pan poswili - mam propozycje - prosze przyjez-
 dzic do Lodki. Przyjedzie Mamusi - i troche rozmow-
 ny wiele fragmentow tekstu, utwory i wiersze.

Przezytemy serdecznie pozdrowienie - Mamie z Mamus.

Drozy Panie Edmundzie! Dzieki 29.12.91.

Bardzo, ale to bardzo dzikuje za wiadomosci i mily
 niepokojenie. Fantastyczny prezent na Nowy Rok!

Koziolki stajacym w czasie. Ciaszki i ciasteczka z Mamus.
 Mama od bratki przyjechała z Lodki i pozostawila jeszcze
 duzo kieliszki.

Ze dziejow bardzo, ze nasza spoznienie braku od-
 dolito sie, ale mam nadzieje, ze szybko nastapi.

Po lekturze bedzie tematu co niemiernie, a na-
 doze niemiernie. Bardzo prosze przyjechac.

Zycze pomyslnego zatekniem i wytknie prosz,
 aby zabrała i wstac wstac na wszystkie wiadomosci

Seczki Boze na Nowy Rok.

Maria Wierzbicka.

P.S. Niech zyje Biedobka! —

27. stycznia 1992 r.

6) Drogi Panie Edmundie!

Dziękuję za odkrycie stajni w domu warty list z 9-go grudnia, ale do tej pory nie miałem możliwości odpisać. (...) List Pana sprawił mi naprawdę ogromną przyjemność i b. się cieszę, że ta para z brachym dotarła Panu moim adres.

Dziękuję za kartkę z życzeniami świątecznymi i proszę użyczenia mi przyjąć, choć przesłałem miesiąc wcześniej, moje serdeczne życzenia na ten rok 1992. Zdrowia, zdrowia i przede wszystkim zadowolenia, bo wiem, że naprawdę Panu też, jest najważniejsze w naszym życiu. (...) Dziękuję za zakup książki. Opowiadanie Adolfa Katołoję o księdze Józefo, jak i listy list "Biedrzyce" zainteresowały mnie bardzo. Już czytałem. Ksiądz oczywiście pamiętam, ale historia jego nie była mi znana. Przez nazwiskiem gen. Januszajtisa nie natknąłem się na dobre znane mi. I Jurkiem i Aleksiem, synami generała uczyłem się w liceum. Jurek mieszka w Londynie. Korespondencją z nim je jakiś czas i nie miałem w tej chwili czasu przestawić mu do siebie proszę. Młoda też spotkałem w Anglii, gdzie mieszkam po wojnie z nim lat. Oni się są z jednog z naszych młodszych kolegach - Jerzy Szwarcman.

W "Biedrzyce" w królestwie polskich ziemian i dawnej szlachty, kresowej, natknąłem się na nazwisko Kwak. Był ze mną w tej samej klasie szkoły o tym nazwisku ciekać, czy to z tej rodziny. Spotkałem go potem w 2-ym Korpusie. Jest mój o onegdaj w Biedrzyce, to też ma to znane. I kojarzę byłam młody uczeń, które przyjeżdżają do domu tylko na wakacje, reszta roku mieszkając w Przemysku, w Internacie w Kaluzym.

100 / Pamiętam pp. Słuzatków, których syna i brata spotkałem "i
u Andersa" No i u Matytkównie mieszkał mój kolega z Łobawy
" Jurek Stebelski, który miał me tego, że w tym czasie był
bardzo precyzyjnym uczniem, jego wojnie słochi wpał się stopni
generata PRL i nawet dowodził oddziałem polskimi
u Czechosłowacji w 1968r. Zmarł dość młodo - pochowany w Łobawie.

Roztaniem, znotam tylko ludzi najbliższych u pracy mojego
ojca, który był sekretarzem gubny przez ostatnie trzy lata
przed wojną. Pracował tam, na przykład, młody aktor, Władek
Frydrych, z którym przesyłałem mi jeden list u KOP-ie. Śmie
jedną zrytę zebrał u Strzyżewskiej u Biedrzyce. Siedział
on u Koziełsku z moim Tatuziem, ale udało mi się uia
i spotkałem go u wojku. Opowiedział mi dużo o ostatnich
miesiącach życia mego ojca.

Tatuzi moji gółyby żył pamiętali by wszystkie z całej
okolicy. Nie tylko me skutek swej pracy, ale i dlatego,
że lubił ludzi i interesował się nimi. Znał nawet
każdego Żyda u mieście u kaźdego chłopca. A jego
wszysty ludzi i obdarzał sercem. Kiedy "zagroził",
a nas z moją wyrucono z mieszkania gubnego, za-
mieszkałyśmy u jakiejś starej Żydówce, która nie chciała
przejść od nas pieniędzy, o kobiety. Ukraińki - przywo-
zły nam nocowu żywności.

Wyjeżdżano nas u kmi. Truim, między innymi z so-
bą na biłozorskiego widać Berzowskię. Nie wiem czy udu-
to tam się udało z Karachstera, bo wyjechałem z Niemcami
wreszcie na roboty na kolei pod Krasnopolem, a potem

dotykiem się do wojaka. W Białobrodzie mieszkał też jeszcze jeden z moich kolegów licealnych, Leon Porwałuk - syn papa. „Chodźki” ołtyski, jak to się w naszym mundurkiem nazywało z moją Kuzynką i w czasie wojny pobrali się w Łwowie. Ona będąc w ciąży wyjechała w 41-ym do Ameryki, gdzie miała ojca, a on zyskiwał bez śladu.

Choć i widział Pan! Rozbawiał Pan we mnie wspomnienie i od razu rozpisałem się o dawnych czasach. A chciałem przede wszystkim powiedzieć Panu, że wykonałem już książkę, „Moja wojna”. Dotykiem jej od przyjaciółki - Janiny Subkońskiej - z Gdańska z Toronto. Mówi, że pisała o Panu niedawno?

Książkę tę przeczytałem z zainteresowaniem. Chociaż tam nie z należytą zwrócić uwagę na szczegóły. Ale mijsca - mijsca tak drogie i dobrze zapamiętane, jak i wszystko, co dzieło się w tych okolicach w czasie wojny.

Przy okazji ce wstydem, że z artykułu „Białobrodka” po raz pierwszy poznałem trochę bogatą historię tego miasteczka i okolic. Ciekawe są też dzieje młodszego pokolenia białobrodzkiego podczas ostatniej wojny. Obserwuję dzieje nas wszystkich. Gdzieś się, że wielu z tych młodych znalazło się w Korpusie, że jedna Panu wreszcie może na uniwersytecie w Białobrodzie (Marie Klotzowej E.B), gdzie i je studiował. Kiedyś się jednak z nikim z Białobrodki, nie zapomniałem, może dlatego, że poszukiwałem tylko Kremenien. A zatem też wielu z tych, których wymienia Pan w liście.

A szkoda, że tak jak i Pan był to bardzo wiele wstydliwych rzeczy zapomniało na poznanie kolegów, że wielu

1) Szanowny Panie! 203
Poznań 6.4.92.

Dziękuję serdecznie za tydzień świetnego oraz za przyjęcie miłej formułki w sprawie Kopyty. Bertelem jest też od Danusi. Teraz uprzedzam, że dalej moim zainteresowaniem jest mi b. pilnie, że nie będę mógł pojechać na poświęcenie Kopyty. Mam swojego zbrojnika nie pojechać na to. Zależy mi o tym, że teraz to będzie gość i pomocnik moich najbliższych, ale niestety pojechać nie mogę. Popamiętajcie mi od Danusi śmiało, że bym pojechał do niej jeden dzień wcześniej i na drugi dzień pojechałbyś do Lemois. Gdyby to było odległości o 100 kilometrów, to bym się jeszcze zdecydował pojechać, ale tych kilometrów jest o wiele więcej.

Danusia pamięta mnie jeszcze z Biedobki i z Ternopola, gdzie razem mieszkaliśmy w jednym pokoju w tym tygodniu, ale musimy obchodzić, że to już nie jest ta Helenka, którą ona pamięta z 1943 roku. Teraz to już jest ta matka trojga dzieci i babka szesnastoletniego wnuka, a to jest już dość spora różnica. A te wszystkie przeżycia, które mi by pozostały już w wspomnieniu, z tego tydzień wymarza się mi do. Proszę Pana, że z względu na ten zabrak też mi jest pytanie, czy pojedzie do Lemois na to poświęcenie Kopyty. Jest nam jednak wielki proszę. Nie życzę być obciążone tym zaficiem. Może Pan

204 / a może ktoś z Biedobran - ja bym bardzo prosiła
o jedno zdjęcie z tej Krypty. Byłoby to dla mnie b.
cenna pamiątka. Nie wiem, czy tu od nas ktoś pojedzie,
jest za daleko i za długi koszt. Trzeba by rybnosić się na
tę drogę i prosto odwracać z powrotem - a to już
mówi samo za siebie.

Księżki już dawno przeczytałem i muszę przyznać,
że me Pan dar obowiązuje. Czy nie pisze Pan nas-
tępnej o Kolumbie? Czytalem i litowalam się, że takie
jeszcze małe dzieci i cienie wujów błękały się bez ro-
dziców, wśród obcych, ale dziwnych ludzi. Ale widziałam.
Tem się wyłoz, jak opisywał Pan Staszewski. To
było dobre! Teraz te księżki czyta moja kuzynka
i jej zapomniała. Czyli Pan jeszcze coś napisze, to
polecam się leżkowej pamięci.

Z dnia me dzień orekam me list od brata Tatka
z Toronto. Nie wiem, czy pojedzie, ale bardzo chętnie
byłby - jeszcze ostatecznie?

Koniec i z okazji nadchodzących świąt Wiel-
konoceńskich życzę słodkich zabaw, samych pogodnych
dni i wszystkiego najlepszego dla całej Pana
rodziny

H. Kulczycki.

8)

Mundzin!

Preston 7. IV. 92.

Dawaj je trochę zalekatam z odporu okropnie mi T. 5, 10, 15, ale w końcu z mobilizowaniem się i domoszą o uszytkam, co ostatecznie u nas się wydarzyło. O tej 4. km. była w Rz-rie Dawanie Strmiejskie ze swoim strażnikiem Henry & Ewelling. Gosel nos krytykalski Robert Kozubski. Dawanie złożyte mam "melokumel" z postępu prace przy wykonaniu tablic do krypty. Obecnie jest już w choromorniu 17 tablic i będą do odwołania do 15. kwietnia. Koszt tablic wyniósł 7.100 tys. zł. Je dalem Dawani kasy z rebranych zktedek. Dotychczas rebratem ponad 12 mln. zł. 3 ozd 4 pteacta pod mln. zł. Wszystkie i takie zktedam wszelkie dykty.

Krytykalski odnieć 1,3 mln. zł. na wyposażenie i utrzymanie krypty. Mamy zamiar z Polkiem i Dawani wybrać się do Zamościa, żeby zorientować się o zaawansowaniu prace w krypcie. Ostatni Wotyński b. przybył odnieść się do epety i przenie uszyty, których miejscu odnieść uszyty się odnieść do zktedek. Dwie uznanie mam dla Młecia Kary. Do niego zwrócić się z prośbą aby me swoim leżenie przeprowadził okup zktedek i muszę przyznać, że wolał to b. weteran! Wszystkie zktedek przekonać do odbioru i akcji. Skończył nas wphaz ozd 4 pteacta i przekaz me piernięcie. Oczekuję jeszcze zktedek od Janka Bogdanowicza i Jony Turczynskiej. W uszytych strażniku i poźnijemnie krypty ze pomiedze 500, uszyty duzo ozd. Młody i młody wybiere się do Zamościa Adolf. K. z Daw.

206/ 27 v. g. 17 pyley z Sheffield samoltem. Pyley's
milych sch oobshch z letatstva, bytelym C. B. voliqeone
i im byolie pryemnie, ie kto se utnut zjmit.

Upravdie Adalf jest obratny, ale niech zna naszu
eposchnosi. A zovse mlto utic nasych rodakiv.

Mie i Ty pryjediesz sarem z utnut do Kresove, a stepel
sarem pryjedehyiny samochodem do Zemoine, Zapru-
sany serlesnie. Bytly vas ne nose vromy. Zapru-
sany z Tudy.

Prucytetov Druje apracovanie o Ryby - diehuj z
masynops. Sny serlesne podrobenie s hvy, ie
dase znae o robie u nieeltyptm crvie

Zobryj s vryt hiekhie, moy tyupny zboroch
popyoch i pelych sechov olv sine lacych

Sarku.

P.S. Zabrone i stly covoz stobse - tuelie ie
ossepokid! Ose!

9) Bratj Murshin. Preobra 30.3.1992 r.

Dupkuj za tak obserny list ovoj prepisovoy kar-
thy z yemnimy bnykuyat. Naresze dorozhen
Tvoj, "kriobkhoronoy Pamiatki" o obzorny Ryby.
Podoba net ni zubesere som bnyk (stodad 3.) s
z ocheji Sarud s Lotst. Vele Stmierke pnyketa net
2 mirre. Ip te kie stie chone - z lot 1945-46 - ale chuyte-
jice za serce. "Vschodnich Lotst" man 2 kuyt. Jedem
postetom Bratj Sebud do Sarudne, adneyi oje por-
srechniem - (uypryem) otenkom Tor. Mlos. Lzove. Vsyot-
kom sie padeba. Mielkom z vich cytel (Voj), kriobkhor-
onoy Pamiatki s nasej "Kroniky" Biedobne. Dal im
sie utrovalite, ze edy zapovijit se na orozplome - to
zemiet mejo nasejshie upirujit - Biedobne!

Paul Elze kuytorky pnyketa net kochy 52 par-
zeta "kremiemieckich" Byty u vich odine vydutet
z geret, mirre s opoviedanie o Kremieriu s Kre-
mie nasech. B. ne hene vypannie p. F. Shyphuy
Ashraf (Stekuchij) z Mst. Wymezdne 13.04.1940 r.
o Polnomeno Korachteru z nalezte se vord Polchdu
z oholvc Stenyty.

Z Tor. Mlos. Lzove pnyketa vyjorny parki dyr-
no idne oha Polchdu mischejnyot ne Ukretne.
Udoto net sie zate tati 10. mln. it od pnyketa-
ostne kuytorky, v klonye kedytem bdeny.
eluyt, ze na 80 parki mpytency. Vlykuyt sie

208

4 to przedmiotem zwrócić uwagę na
miem. To pierwsze przesłanie i pamiątka
Zeby ich było Ukraińcy nie obawiali, bo znowu
za granicą napadają na polskie samochody.

4 "Gazeta Lwowska" z 29. lutego br. jest artykuł
o "Chapach Świętej Trójcy", w którym podaje, iż "przy
koncu październiku 1692 r. ukazał się w Warszawie
książka, którą nazwano Chap. św. Trójcy, konwulsiem
miejscowym Michał Brandt, pasterkiem orkołozjenskim".
Może to model mamy Łobni Łomajskiej? Może
wystąpił jej w gazetę.

Wobec serdecznie cię pozdrawiamy
z wyrazem szacunku

Terese z domu.

10/

Broj Edmundowi! Polonia 17.03.92r.

Dziękuję za list i za informacje. W najbliższym czasie wysłać "cepietki" na kryptę w wysok. 100.000 zł. Bo jeśli za 20.000 zł. nie ma już krypty nie ma ona. Wiadzę, że cięsuje się z zaledwie jedną i koniecznie emerytalny, zupełnie jak ja w tym czasie. Jeśli za te pieniądze dawnych dni pełnych trosk i różnego typu zajęć domie. Wszystko Albo! - Chociaż nie! Je niemy w odrobinie - dusza nie umie. Albo dobrze dobrze jeśli nie wstąpił w jakiś dom lub nie ciasto, to będzie sobie w pomietem furcie i naprowadzi ludźmi me dobro obywateli! Jeśli napisz do list do Dawida Bun, do mojej kuzynki i Szymona, do córki mego wujka Janka Kowalskiego, który był nauczycielem. Został wymierzony w 1944 r. do tego w "Somietek i Tom znowa" w 1948 r. Chcielibyśmy aby on też był umieszczony me kłębny w kryptie w Zamościu. Pytales o nazwę moją. Jedną przeszedł się Puzdrowscy, a drugą Puzdrowscy. Oboje zależy to od tego jak zorganizuje przy okazji zapisał. Mój ojciec był Puzdrowski, a jego brat Puzdrowski - odnowy, ale młodszy. Ciężko się, że i Regina Puzdrowska wzięła się do tej fundacji. Tak odnowy doznate szczególnie wielkiej troski i strachu.

20 / Al nas na wybrzeżu spotkałem i był młody.
- ochota okłamać się. Mam nadzieję, że za parę lat, oświadczą
się - bardzo lubię młodą. Martwi się, że do-
ruje moje zdrowie. Myślałem nie mam planu, żeby dzieci
były zdrowe, ale żeby były zdrowe. A moje zdrowie
- wyobraź sobie - ma już 48 lat! Kto do wiary!?

W tym mieście mieszka 3 powiatowa komisariat
mojej siostry Julia, z którą chodziła w Biedobroce
do jednej klasy. Była kobietą ładną, inteligentną,
lubiste się b. zdrowie ubierać. Ale coś przyszedł
określenie i zdrowie jej było wszystko zastępczo i
zabrała się w szpital. To jest kolej życie!

Ciepłe to nasze życie, ale mówimy "Kocham
ci życie"!

Jelme

"Wesoła Alchymia"

11) Drogę Kobiędo Edmunda. Pokrywk

Serdecznie dziękuję za życzenia świąteczne. Zapytales jak się czuję na emeryturze. Ślabo, ale co zrobić? Takie już życie wiekowe - zrzędnij - zrzędnij lepiej. Mogłem sobie kiedyś polepszyć, ale pośmiertem się synom, a teraz niechom. Także to już mój charakter, że za dziećmi bym w ogóle poszedł!

Syn Bogus dostaje mieszkanie, techniczne i techniczne to klasa kosztuje - 32 miliony. Mieszkanie wciąż pozostaje i dopłaci do drugiego wchłodzi. Albo Bieda, że jeden rok przedniej. Opleta w mieszkanie i pozostaje będzie wynoszą 4 miliony miesięcznie.

Jest stale, nie trochę maszyn, może po prostu trochę obrotu.

Rozprawa się o syna i może być to znowu krytyka. Ale jak się przed kłami wyzię, to nie dziej. Je choć chonej - zje budył bardzo dale. Od 1961 r. (jak mnie mój zostawił) choroba nie wyprze, nie możemy się wybrnąć, syny chodzą do szkoły. Mieszkanie kwoty i istnieją i mieszkanie obrotu - wyprze nie wybrnąć - zostate nie stale chrypka. Mamy do czynienia z kłami - wybrnąć nie możemy.

Smęta bliska - trzeba być się zę pranie, symptomie, a synom pranie u Zeleniej Yone.

Rozmowa zame podobie. Altem tyłko kur-

212/

creak i gong kusek. Niemiela teko, ale co's mam.
U nos jescue zmuso - Smiez i solozee. "Teletyzi'
za pomiedyji, i Smiete moji lyi ciętle.

Wyhace blumolain, i leki rozpozostan sie e
siojij biednie - jak bełkiesz miast wolno
chmle to pucytest. Da Bdy - moie porzyceny -
olawheny lepszych morder. A kucielabym jescue
olawehai sie mofoi lepszy, pomimo, ze mian
juz tyk led.

Podziwuje-zarytem mac serdecznych
pozdrawien i uwielbienie zmagajacych i ajay
kenclych Smiez i ielhenowca oraz smagajacy
Smiecowego jefku.

Hei!

Maria.

12 Szermowemu Pamię!

Krośnice 20 VII. 91.

Na wstępie mojego listu chciałbym przeprosić Szermow-
nego Pana oraz za zamoczenie pisma, a może w przyszłości
muszę się przedstawić. Nazywam się Jan Plecki i jestem
dawno mieszkającym w Rybicy, a której Pan tak przy-
mie na piśmie "Knieśkowskim Pamiętnikiem". Obecnie
mieszkam w Krośnicach i jestem emerytem. Będąc z ceni-
wytą i siostrą ip. Stoszek Sekula, która mieszka w Opatku,
miejscem możemy współpracować z Pańskim dziełem.
Musię przyznać, że byłem wiele rozkończony, a jednak
nieśmię pełną podobać i wyobrazić sobie Pana. Tyła
trudny i poświęcenie się w tej właśnie sprawie. Czytajcie
pamiętnik warty ze mną wspomnienie z 20 latniego
mojego czasu życia, tak dobrych lat, jak i tych trudni-
nych. Pomimo niektórych niedocięć i braku,
w moim pojęciu dobrze się stało, że to knieśka
o Rybicy została napisana. Jest to ślad zmagani
ludności polskiej na tych rubieżach R.P. Ale chciał-
bym też poczynić kilka usup i co nieco pami-
do pomocy w rekonstrukcji tej pracy, o co Pan
prosi. Dzięko rozmyśleniem nad tym. Co to kałode
olepnieknieć adnownie odnowy wkrętu wspom-
nień przedłożonych; z życia szkoły, młodości,
kontaktów między ludźmi i sp. Proszę mi
odpisać, o moie spróbuję? Pozdrawiam Pana
Krośniany sybrantem - Jan Plecki
- wstę

Amed solbšic na kuro i pomisidme kosity matina-
 lone. Niek Pau Biz nie šepš smetk task, oly Pau
 mlydy nie breht auct zohorie, chet i zapaly do tak
 szlochetych poruyat. Podiqkue moie po stonpalka:
 "Szuešie Boie" Pau! Repomorany rewanie - kriet,
 me grolie ko. Wyry korybiez - wypekny - najiny-
 kose prujemmošie pruy najblišie ohezi. Alue Pau
 zakomuroškonia, ie z ko. Kanouškem bytem do naj-
 mtdlezych lat zriperey. Najpore jako mntvrent,
 e pdimie, wrošie akupaezi zastepowatem wyauotk
 i ko. Kanouškem jeidstem ter me jazyky i spierole
 w košiele me bez. Lpekriede ze dlose zmarlych.

Do Mpkosye jeidie dne rowy ob roku, ko w tentyh
 košiele jest steta "Piety", ktone stete hiech i w gtor-
 nym otlemu i Katerburu. (...) i klyby zednych
 zdyie nie posiedom, bo po nepadnie komeleowedy 1430.
 zotetem tytko w tym co miatem na zohie, a resita
 w sytko postu zdyimem. Komec poschrenim serdnie
 Koleg i powotaje zowre len sam Jan - Currej!

Dnest Kolego! Komelew 26. II. 92 ~

Mtkosye i boroluej wymemomego "qmiedora" me
 moxtes shybe wysyidit. Tym presentem bytko pucha
 z krietshom, ze htoz z kolega serce i dniehuj.

Po porwie ze Szuešime, grolie spozrelem i niste,
 zotetem w obom teky mepadkientu. Del sam zab-
 rehtomuy sie z dmy do cytemie. Jestem zedycomy

216

a si chce ni z rodu si knyzky: Bravo Kalyo!
 Moze z me jest doci vybocka v obore literatury,
 ale te knyzky, jeh poch vycti, to nie oddala si
 pucytele, a jedopiero skonczytem II. tomem o Bie-
 tozra. (...) Dostany et jesce troky viodomosti do
 "Niedokoinowego pamiatku". Moie et jesce potybu
 bpolg. (...) Nalezno ze knyzky "Wielkie lory Kalyo"
 wyctem prekazem potybu. Prepresam, i pino,
 ale te k si docty. Kapsach smalem te isdole
 informacji u bytych rybnan i troky si oparlem
 na mojej knuchej pamiat. A mam jesce taky
 propozycji, ktore zersie wychodet od starszego,
 a ja sam jestem. A wiec - o ile si me pomyślesz.
 To propozycji obytny przesli na p. Ty - Dobro?
 Poedyjnego brudeie wyptny na allegiosci!
 Ciesi. Janek.

Siemowu Kalyo! 6. II. 92 r.

Serobnie dnie kuzi zo rnt i zycenie smyberne.
 dypitetem je jn dawno jestis na emerytura, a z tre-
 go krtu wyszke, i jedopiero lesz stenasz si o to.
 Jje jn co prozde o 8 lat. Mo to dobre i ste stony
 Dobro jest, tak jak jest. Ciesi si, i jn neschadz
 wiozme. Mam stony, jeh jest zdme, to chdine pamiatke
 spryje neschadz i te chdine. (...) dypitetem jn o swi-
 tech. Jaktymy zndr do zyma do Sarcusme. Jn i
 Talie zohonych i spachoznych owet. Janek z rodu
 Ciesi!

13) Drogą Pani Edmunde

Warszawa 1. IV. 91
Miejskie Starostwo.

Ze pierwsze się Pan nie zabrał listem nieznanego
sobie rodzaka, ale bliższego sobie sercem, krajem
zamieszkania i zainteresowaniem tym samym tematem.

Urodzony jestem w Folwarkach, tam skończyłem 4 klasy
w 7 klas w Krasnym. W Rybicy bywałem i wujków
Karola Sęszkowskiego i Ant. Sochackiego od niedawna
tam zamieszkałych. W Kelenburgu na odpuszc, Przemie-
wienie Pańskie. Później list i pamiętnik ip. St. Se-
kuty - odbite na kręto przystąpił mi brzoś z allegorye.
który ze strony matki się kuszynem ptk emeryt. Janke
Krasnowskiego z Warszawy (olowiny z Rybicy). W allegorye
mieszkała jego siostry - Jadwiga i Helena. Odbite Pani
listu na kręto dostatek od Janowej Przepiórki. Siostry
Krasnowskiego zabrały, nie podać Pan adres jego.

Mam już 71 lat, jestem emerytem. Anuszę na serce, prawie
oko nie widzi, serce drży przy pisaniu. Spodnie nam się
wsta z Biełkowie, skąd może być miał ad-rey byłych
mieszkańców Rybicy. Szczęść Boże. Najser Pan zdrowie
w zdrowie o sobie i synch wojennych latach.

Starosta w Miejskie

Drogą Pani Edmunde! 2. II. 91.

Jestem b. wdzięczny za niedługo wspomnienie
Sprowadź Pan radości dla mnie i dla mojej siostry
Krzysztoła wujki. Ale "Wiedza kochać nas pamiętniki"

218 /
oni wspomina nie o manifestacji antyroyalnej
z 1939 r. z Rybary z oluzego koryta, ktory pomysl
ks. Wyrnykowski. Niemcy z r. 1941 wznieśli tam 3 ch
miejscami z Rybary. A w moim miescie jest kopalnia -
Kurozpatulski - podobno byli Konopacki. Chciałbym
Pana bliżej poznać i o pewnej rzeczy zapytać. Czy mog-
szesz Pan oświadczyć w Kramieniu? O domach
starych - wkręcają się tam ludzie Boska - czy
może było inaczej? Wydaje Pan książkę - czy pewne
rzeczy nie wykreślono, jak Pan sobie widzi z cenzurą?
Niewiele jest rzeczy, które skutkiem nas wypro-
szyć, że po podaniu ledwie możemy się poskładać
Stenister Alchymista z Białostoku, jak Pana list
otrzymujemy już nie żył, miał 80 lat. Rozpozna-
łem Pana na zdjęciu po tej stronie. Zostanę Panem
leż swoje, z drugą i z synami. Zycie Pana było
zdrowie i pomysłowe, owocowe życie - jest
Pani Polac polubny. I rekham na Pana książkę -
Święci Boże! Stenister Alch.

Święci Boże! Dnia 7.4.92.

Dziękuję za książkę, przepraszam, że tak późno, ale
byłem zajęty swoją pracą, którą mi nie udało palnową
zachować - ledwie 50 stron. Tańska książka jest wpra-
mie ta - 3 już przeczytane. A co tydzień z Pana?
Książki czytają też synowie, wnuki, siostry i zdomkanie.
Na tym koniec - Święci Boże! ("Wielkiego Alchymista")
Stenister Alchymista

14) The British Library - King Street London WC2R 2RH.
Londyn: str. Pall Mall 12. 11. 1991.

Szanowny Panie.

Ostatnie miesiące, a właściwie całe półrocze między niezrybnie pracującą konferencją i kongresem międzynarodowym, wyjazdy ze zwiedzaniem itp. Długo jestem związany z moim podjęciem i podjęciem i trzymaniem do zbioru Biblioteki Polskiej w Londynie. Pewne wspomnienia "z mojej książki". Przekazała go ty i pewne smierci Karkas synowa Fryderyka Roszkowskiego.

Sam jestem w tym momencie, jestem w tym momencie, ale w latach wojny wyjechałem do szkół, przeżyłem poza staniem w szkole i tym niekiedy się alle moje pewne wspomnienia, są też bardzo ważnym świadectwem w historii szkół: ludzkiej, społecznej, narodowej, zwłaszcza do poznania lorda Ludwika - polski me i me i ziemi i cała historia naszego co tam się dzieje w latach wojny. Tem oboj podbiję nasz antykomunistyczny i emigracyjny, i leki i świadectwa, autentyczne i prawdziwe będą temu skutecznym zapobiegaczem. Są też przygodnym historycznym do historii i historii, ponieważ alle kładę, kto się nim zajmie. Podkreślić to musi, bo z jednej strony piszę o tej ziemi (wzrost "Biedny Kozmiński" - o drugiej przygotuję cykl otyku i w o starym polskim i wewnętrznym, z interesem o wybuch wojny, w oparciu o publikacje i wrażeń, zrybnie

LHO

temolemyjne, które należą prokować i im odpowiednio
prekładać tei. Zogęły mi się nam przyjeź me.
Kores tamten ukuwje wykonywany, orkawięje Polaków
o wszelkie możliwe sprawy, niekto natomiast wybiła-
jęc i wygładzają swoje postępowanie. Potrzebne są więc
tego rodzaju gtony „Ziasków historii“, z tym wyrażen-
szerególnie interesujących ludzi będąc socjologicz i
dnię piosa żywe na kresach. - Znajdę to wiele cen-
nego materiału.

Gratuluję naprawy kochanym pan „Wschodnie
Luz Polaków“ i myślę, że dobrze będzie jeśli
tam wspomnienie ukuwje się ołubien i wykonywan
naktownie. Cieszę się i kochanym panie, że trafiły
do naszej Biblioteki i będą to dla tyje ora
kom zainteresowanym kresan.

Najlepiej porozmówić i żywo się wyrażać
prezydentem z wyrażeniami powołanymi

Dr. L. Jajodabinski
Kierownik Biblioteki.

15) J. Gładki 123 J. Mich. Toronto

25. III. 1990

Szanowny Panie Edmundie!

Dot Panie z 25. III. 90 otrzymałem 4. XII. Pyszałt
4 stron, gdyż je byłem wyrażnie zaobserwowane zprodukt
mojego obrotu w Toronto. Uważałem się Panie listem
do znatem Panie niestety, a także Panie z jego krytyki,
która nie dotyczyła po raz drugi pracy tej samej. Są to
niezwykłe dzieła d. łopca, moim zdaniem z archiwa -
krony J. Gładki. Nareszcie - to miałem nadzieję, że można o
tych sprawach teraz w Polsce pisać, a nawet być pre-
zydentem Janulohi wprost niepodobne. Wiele się zmieniło
w ciągu ostatnich 10 lat.

Czy ma Pan jakieś materiały o losach tych, któ-
ry byli aresztowani i wywiezieni do Rosji Sowieckiej?
Tu ze strony wysiła sporo krytyki, nieznanych je-
szcze w Polsce. Np. „Sprawozdanie o Sowiecku”. w pol. w 43-ym
i 44 r. wbrew założeniom etniczności, o partii o wypracowanie
złoty zuchow. Dwie obywateli dzieł, z których nie
uchodzić im. Jest też „Dziełom - miasto polskich dzieł”.
real. jest jedna Beaupre - Stenkieta - która burmistrz
m. Krasniewice. A także krytyka pt. „W 40-tych nas
można nie Syberii wyjechać” - wspomnienie o zadaniach
wojsk. z Polski. z Polski - real. Tole Dobieńskiego
obrobek ten teniz „na nie lubiłeś zięć”.

Mam nadzieję, że Pan również zajmie się zadaniem
najważnym. Znatem oświadczył Baer - wychowawcy
Adam Krasniewickiego - synowi oświadczył sprawę

2/2/2

Włodzimierz - Zygmunt s Broniek Rumel. Pierwszy
zamordowany przez Ukraińców jako Kozak (Etkewski
opowie jego siostrę), Broniek zamordowany w Lubnie w tej
samej sprawie co ja - udział w Lw. Wielki Zbrojny.
(Ciepła 23 marca 1940 r.) Został skazany na śmierć. Śledził
nasze sprawy - porozumiewaliśmy się przez kawiarnię. Prawo-
podobnie zginął 4 czerwca 1941 r. w głąb NKWD w ramach
domu pozostałych więźniów w Lubnie.

Wacek Potulowski "Gólab", którego mac z rodzinną
zamordowała Anabela w Biedzińcu, był moim ko-
legą. Wspominałem ciem jego z rodziną w jednej książce.
Kapturkiem "chłopie żołnierz z Kalsenickami" we wrześniu
1939 r. od obywateli naszego wyjazdu z Rosji z Armii
Anabela. Teraz mamy przygotować spółkowanie
Kremieńskiem w czerwcu. Miał być ciem z nami w drodze?
Moja siostra z Debroną firmami, płatać nie się poz-
nacie także Samardziej, Chłedzieliskę pochodzący
z Biedzińca. Czy to te z domu książka? Zależy
się też Syberianka?

Wesołego Alleluja s Smarnecka Jęzka
Pamięć s wszystkim Kremieńskiem
Zygmunt Janke

16) Drodzy Edmundo! Toronto 4.3.92r.

Serdecznie ściskam cię za kreskami. Sily 2 miesiące. Dostatek je dopiero 17. II. - Tym już przycelam. Wąski mem i pamięć te nasze biedne sieroty - z obywateli i tyfus i śmiechy zmarły. Tylko po nich psociele pozostały. W tych latach albo Polaków nigdy nie było. Ukwitamy nie każdy nie tyle polskiej ludności wymordowali. A tu w Kanadzie nie ma Polaków wykreślone raczej że to Polacy ich mordowali. Ukwitamy jest dwoje w ogóle w kanadyjskim - to się mogły i się jawią. Bardzo ubolewamy, że nasze wrogość nie zmieli tak się im lekko dostęły. Adom się powieści, że nasze pokolenie jeszcze kiedyś się o to upomnie. Alchemik przeszedł, że się odłam rozproszył, ale zadna nie nowo wrobie powe. Kłómiem, czy mieć coś o Rózi Grepich. Ostatni raz widziałem się z nią w Palestynie w 43 r. Później ktos mi mówił, że była w Anglii. Wanda, Jolcia i Polak Jangbry są w Chicago, a pp. Jangbry już dawno nie żyją. Irene Musielich jest w Buffalo. Byłoby coś z nami i owsz u nas. Tyte wtedy jeszcze moje blama. i Paws Musielichowa też. Była to pierwsza spotkome i wiele radości. Alchemik blama napędzić się nie mogły, musielichowy pozostać jeden dzień drugiej -

23. IX. 90

Cde mamutnie!

Ulystly, ze zdejsej sobie sprawy z tego, ze Tvoj list
 jest dla mnie vcello, nespodivno, tak, jistim
 nfasim, adretno, i to, semy, Bani, utory, puvates
 vuvie 50 let temu v Pachtovce. A ducne, ze
 a moje penultim. Ma puvie od toho meo moy
 adres, ale mysl, ze tego domiu os vobise
 vstane spolkem sy z toly i povspomimany. Bzobne
 je dla moje vuvro intervjue, i nespodivne
 prypoda. Ma vuv byt ile vovuvuvuv, ale vlyt is
 nie vovuvuvuv, vlyt, ze jestes pryp, to vuvuv
 v, ze spolkem stovro, puvy, kicov, nie vuvro vlyt
 voboluv do matej Ban. Ma ovim vuv vuv disterov
 li jolichs vuvuvuv vuvuvuvuv do Tvoich knizek?
 A vuvuvuv vuv vuvuv, i vuv. vuvuvuv vuvuvuv
 (vuvuvuvuv vuv vuv) 655-95-33. vuvuv, vuvuvuv vuvuvuv
 vuvuv vuvuvuvuv. A domiu jestem vuvuv vuvuvuvuv.
 A ducni vuvuv vuvuvuv, to vuvuvuv vuvuvuvuv, vuvuvuvuv
 vuvuvuvuv i jest vuvuvuvuvuv.
 Ma vuvuvuvuvuv, to vuvuvuvuvuv vuvuvuvuv, to vuvuvuvuv
 vuvuvuvuv. Vuvuvuvuvuv, ze je vuvuvuvuvuv vuvuvuvuvuv
 vuvuvuvuvuv vuvuvuvuvuv i vuvuvuvuvuv vuvuvuvuvuv.

do zabezrenie! Marij

Kochany Munku!

Bilgoraj. 226 (18) Ksero

Dziękuję za list! Jesteśmy bardzo ciekawie, że mogły
 my Was wyzstlich porcie do siebie - chociaż
 to było parshere gwiedziel.
 Głównym re wyzstlich inchoygnier
 a było ich / oporo - nie wyzstlich mado of -
 chci tam wem, wem - wyzstlich Bielozor -
 erorem poriednie dano - ale moshety
 nie mogła - dusito mnie co re mostem
 i to moje anioyone rgle.
 Wzalec było wyzstlich poriedshere - jako
 reponce ze sobe - to było nie depetierue
 ASSE dner - wref nie reponoty są
 ze wyzstlich - Munku! Musimy sprokce
 są jereze rez - problemu dnu, rsem
 do sprokce z myte o nekrych anioyone
 i moshet - moshet one poried a sobe -
 moshet są reponoty, moshet sfenowig
 jedny, woshet reakty Bielozoresen - moshet
 poriedty, a swich koronmoch.
 Moshet reje Munku, canje są rle - rgle jereze
 a gjosie - cishone sherege i serce, to gjosie
 moshet serce. Sprokce mi schode ze to jru
 po moshet moshetose.
 Wyszta Ci domylych Poriedty - ~~...~~ (miedp
 rokole wyzstlich jony oleidie i appomudty
 over Wolyndey re domosien)
 Wyszta sei do: Reim Poriedoty, Moshet Poriedoty
 Moshet Moshety (Lerjeclie), do Poriedoty ^{subermit}
 moshet wyzstlich / do jereze moshety
 do jereze z klerow, aie moshety re gjosie
 woshet rle. Są re moshety we woshety -
 ale depetierue, nie moshety - jereze - moshet
 poriedoty? Co Ty moshet? Poriedoty do moshet
 moshet dety - dety? Moshet moshety
 Moshety moshety! Poriedoty moshety (21.VK-92)

2014
ZAMOJSKA ROTUNDA W MAJU 1992 r.

Cześć ci i chwała
Zamojska Rotundo.
Jak Matka Bolesna
tulisz wokół siebie
prochy polskich synów.

Żałobnym wieńcem
cementowych krzyży
dajesz świadectwo -
historii, kaźni, bólu.
Pół wieku gromadzisz pomordowanych .

Teraz przyjąłś
do krwią przesiąkniętej celi
imiona Polaków
poległych na wschodzie.
Przyjąłś urnę tamtej ziemi
zbrukanej krwią niewinnych.

Rotundo - Pomniku drogi
Żywym - i zmarłym,
święte twoje cele.
Uświęcone krwią męczeńską
i łezami rodzin.

Nie jesteśmy tu sami -
Całe rzesze niewidzialnych
naszych najbliższych są dzisiaj tu,
wśród nas. Z nami.

Przyszli z Chrystusem
w orszaku aniołów,
odczytaś swoje imiona,
wryte naszym sercem.

Powiększyli grono
w tym wielkim ceglany grobowcu.
Stare wierzby od dziś,
szumią jeszcze żalosniej uroczystą Rekwiją.
A wschodni - przyjazny wiatr
zawsze będzie im śpiewał
"Dobry Jezu e nasz Panie
daj im wieczne spoczywanie"

Alfreda Magdziak
30 maja 1992 r.

19/ (Kisero)

228

Rzeczpospolita, dn. 19.06.1921

Drogi Mundzu!

W przedkier' drymania Twojo listu wyslałam pani Elizie Gójtowej krotki opis utoczności postępcenia krypty, jej wystroju oraz wspomniełam o naszym spotkaniu. Napisałam również o tym, iż poza tablicami z parafii Białozorka innych pod herbem Księstwa nie było (choć w topu jakaś tablica wisiała tylko trudno było się odczytać o jaką parafie chodzi). W krypte jest półmrok, a tablice są zbyt brzoższe i nie bardzo da się odczytać napisy, zwłaszcza te umieszczone u góry. Może przy zmianie oświetlenia (obecnie jest prawnizoryczne) i zmatowieniu porządku tablic okazać się bardziej czytelne.

Napisałam też, iż wskazane byłoby umieszczenie tam tablicy z nazwiskami zamordowanych profesorów Księstwa. Wyslałam również zdjęcie następną tablic i więcej o "Rotundzie zamorskiej". Więcej mi wypada mi na ten temat pisać. Danka Burdina była u nas i czytała Twoj list. Owekłyśmy, iż najlepiej sprawozdanie do "Zeta Księstwa" wyjdzie spod Twojej ręki. Masz talent, wprawę, bo już nie jeden artykuł tego rodzaju pisałeś.

Dobrze, że mamy te swoje krypty, a w niej miejsce gdzie księżni i znajomi będą mogli zobaczyć kryptę, zapalić zmiere i promodlic się za swoich najbliższych, o które mi zawsze wiadoma gdzie spoczywają ich prochy.

Zauważamy to pani Teresie Rodzińskiej oraz naszym 3-m siostróm Świerckim, które nióżyły trudną i pracę w organizacji tego przedsięwzięcia, nie mówiąc już

Zmieniłam nazwę ulicy na d. Chmaja

22A

pomieszczeniach koszałach zamieszanych z przyspawem góru,
 Tak się złożyło, że na spotkaniu siedzieliśmy obok
 Rejimy Porichowskiej. Charakter się bardzo różniła
 i sympatyczna. Trochę się na ciebie boję, że to co o niej
 napisałeś w swojej książce. Choć ja tam nic nie napisałem na jej temat
 się nie doczytałem. Może jest zbyt przeculona. Prosiła żeby
 w jej imieniu przeprosić Jasiu Sypnarskiego za jej list, który
 uważam o to jej napisanie. Twierdzi, że ja w opole
 nie pamięta (Może to i prawda). Bardzo sympatyczne
 użycie wyraża na mnie ziona wcale Porichowskiego,
 a w opole uszysej uważam poro ~~Porichowskiego~~, który
 jednak ma "pewne odchylenia od normy" byli
 sympatyczni i tacy rodzinni. Tym razem zdecydowali o
 Białostoczaninie. Osadnicy - heteranowocanie - ~~to są~~
 Ale dobrze jest jak przewa, że co jakiś czas spotykamy się
 i tworzymy swój rokiny. To się dzieje. Z aktywności
 zamorskiej zdatam sprawozdanie w TML. pokazując uważnie
 zespina tam wykonane. Mam też około 20-tu. Gdyby się
 interesowały, to mogę zrobić odbitki i ci przesłać.
 W czasie spotkania z jowinnami a, iż ostatnio czytaliśmy wspomnie
 mb. stryżennego - ^{naszego} brata ^{prerwa} TML p. Opaki. Był synem osadnika
 z Napadobu (położonej między Łanowcami i Borsukami).
 Mieszkał nad samym Horyniem. Również w TML. kupiłem
 książkę E. Prusa p. "Bleff XX wieku". wydana w Londynie.
 Autor wspomina w niej o śmierci kuzynka koturkiego. Myślę,
 że Adolek ci je przysła.

Kwiecień muflam podrozrzmia u wiatka dla ciebie, zabrała
 Kowime i Słabo Kowierennego / składa, że nie było podobnej
 Olegma. Tam od p. Eliry zamierzam się o sprawie dworskiej
 Lickem Kowierennego / składa w dniu 2 sierpnia w u. Kowierennego

230 tel. 24.3867

Edmund Bożekowski - Warszawa 00863 Gzybowska 30/410

do

Centrum Dokumentacji Archiwum Wschodniego
- Kresy Wschodnie pod okupacją - pamięć lat 39-45

Informacje dot. „Niedokończony Pamiętnik”, przekazuje u siebie „Odkrycie”. Rzecz ta przekazuje u siebie opracowaniem - wiąże się to z natykiem uwagi do latkowych informacji i uwy od moich korespondentów. Po pierwszym i drugim opracowaniu pozostaniem sobie zrobiłem kseso 10 egz. które rozstelałem cyfrowie do 6. miesi.

Ryby. Wszelkie relacje - te dobre i te mniej - przekazuje dyskusję w drugim opracowaniu i tym, - w tym u ponowienie i uszczególnienie materiału, nadbrun tam je dualitę formy i treści cyfrowie

Według moim zdaniem byłoby aby znaleźć się jeszcze tam, któryby zajęte w opisanem Wschodnie, Południe, Szwajcaria, Łanowie, Szekel i Kyszydzka. Był to na sercu powiat Krasniewicki. Ludzie „odchodzą” i wszystko płynie w niepamięć. Sam - po mojej Biedrze - wszystkim się ze mną o Ryby i tu zaobserwuję Ryby, a mojej sady fakty po rozruch opracuj i z moim pozostaniem przekazuje Szwajcarii Szekel, Archiwum Wschodnie

© ARCHIWUM WSCHODNIE Edmund Bożekowski

Warszawa 26. IV. 1992 rok.
vert.

P.S. Miałem już zakochany do niej, już „odto-
 żyłem się”, ale po zastanowieniu się, a ma-
 jąc jeszcze trochę czasu - miałem wstąpić skró-
 cono do bezpośrednio do mnie, zastanowieniem
 dołączyć do tej pracy jako uzupełnienie. I ac-
 kolwiek przeproszę ją już bez żadnej korekty,
 - bo nie ma tu oświadczenia i nie ujęte nie trzeba -
 to już sam oceniam się oraz swoje urodzie do kome-
 ty lektury, zawierający wiele ciekawego materia-
 łu, przesyłać wcale nie banalnie podanego, a po-
 nadto przypisać trzeba, że o ujęciu są całkiem,
 całkiem dobrze.

Poszę jej słajnele ludzie, którym od czasu
 wojny przeżyto po 50 lat. Mój, serce
 Remacie powiedziałem; „historia tych ujętych
 ujęcie nie wolno”. I myślałem, że warto byłoby
 jeszcze dobrać się do nich, posiedzieć nad nimi
 trochę z ich i coś sensownego zamontować.

Tyż. Tam autentycznych zmierni i osobistych
 refleksji. Czołem i łaskę w roku cyfrem je.

A nie praktycznie i do smaku wzięcie historii
 „niekiedy w formie” do ujętych Słowności Redakcji
 „Archiwum kochanków”

Edmunda Goskowskiego.

~~1. 26. kwietnia 1942 r.~~
 „ 15. lipiec 1992 -